WOKÓŁ CUDOWNEGO OCALENIA
I DRAMATYCZNEJ AKCJI RATUNKOWEJ
CHILIJSKICH GÓRNIKÓW

33 MĘŻCZYZN

JONATHAN FRANKLIN

5 sierpnia 2010 roku w kopalni w San José, w Chile, nad głowami pracujących górników zawaliły się skały o łącznej masie 700 tys. ton, zamykając w potrzasku 33 mężczyzn. Kiedy po 17 dniach od katastrofy odkryto, że mężczyźni wciąż żyją, cały świat wstrzymał oddech na kolejne siedem tygodni, podczas których zaczęto planować jedną z największych i najbardziej spektakularnych akcji ratowniczych w historii.

Na miejsce wypadku natychmiast przybyły tłumy dziennikarzy, jednak żadnemu z prawie dwóch tysięcy reporterów nie udało się przedostać za policyjne taśmy. Wyjątek zrobiono tylko dla jednego człowieka.

Jonathan Franklin, światowej sławy dziennikarz śledczy, jako jedyny mógł z bliska śledzić rozwój wypadków. Miał też niepowtarzalną okazję porozmawiać zarówno z ratownikami, jak i samymi górnikami. W swojej relacji po raz pierwszy przedstawia owiane do tej pory tajemnicą szczegóły najbardziej bezprecedensowej akcji ratowniczej oraz 69 dramatycznych dni pod ziemią.

33
MĘŻCZYZN

33
MĘŻCZYZN

WOKÓŁ CUDOWNEGO OCALENIA
I DRAMATYCZNEJ AKCJI RATUNKOWEJ
CHILIJSKICH GÓRNIKÓW

33 MĘŻCZYZN

JONATHAN FRANKLIN

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
THE 33
THE ULTIMATE ACCOUNT OF THE CHILEAN MINERS' DRAMATIC RESCUE

Copyright © Jonathan Franklin 2010

Copyright © 2011 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2011 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: © Lisa Amoroso

Zdjęcie na okładce: Dario Lopez-Mills/AP/Fotolink

Tłumaczenie: Magdalena Procner, Monika Szwagrzyk,
Alina Siewior-Kuś, Ewa Urbańczyk-Piskorska, Joanna Piątek
Redakcja: Mariusz Kulan
Korekta: Anna Just, Jolanta Olejniczak-Kulan

ISBN: 978-83-7508-358-3

Sprzedaż wysyłkowa:
www.merlin.com.pl
www.empik.com
www.soniadraga.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice
tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl

Skład i łamanie:
DT Studio s.c., tel. (32) 720 28 78, fax (32) 209 82 25

Katowice 2011. Wydanie I

Druk:
Drukarnia Wydawnicza im.W.L. Anczyca, Kraków

Dedykuję tę książkę mojej rodzinie, która w czasie, gdy rozgrywały się opisywane w niej dramatyczne wydarzenia, prawie nie miała ze mną kontaktu – Toty, mojej niezwykle cierpliwej i odważnej żonie, oraz moim sześciu skarbom: Francisce, Susan, Maciel, Kimberly, Amy i maleńkiej Zoe. A także mojemu wnukowi Tomasowi, który przez ten okres praktycznie mnie nie widział.

Opisanie tej historii było dla mnie niezwykłym wyzwaniem, z pewnością jednak znacznie łatwiejszym i mniej wyczerpującym niż to, jakiemu musiało stawić czoło trzydziestu trzech jej bohaterów. Ale podobnie jak oni ogromnie się cieszę, że wreszcie jestem w domu.

Jonathan Franklin
Grudzień 2010 r., Santiago, Chile

SPIS TREŚCI

Prolog	Oczy świata	13
JEDEN	Pogrzebani żywcem	19
DWA	Rozpaczliwe poszukiwania	37
TRZY	Uwięzieni w piekle	57
CZTERY	Szybkość kontra precyzja	75
PIĘĆ	17 dni milczenia	97
SZEŚĆ	Bonanza na dnie kopalni	113
SIEDEM	Powolny powrót do życia	129
OSIEM	Maraton	149
DZIEWIĘĆ	Telewizyjna rzeczywistość	167
DZIESIĘĆ	Meta coraz bliżej	187
JEDENAŚCIE	Ostatnie dni	203
DWANAŚCIE	Ostatnie przygotowania	217
TRZYNAŚCIE	Ewakuacja	237
CZTERNAŚCIE	Pierwsze dni wolności	257
Epilog	Triumf nadziei	271
Od autora		277
Podziękowania		281
Źródła ilustracji		285

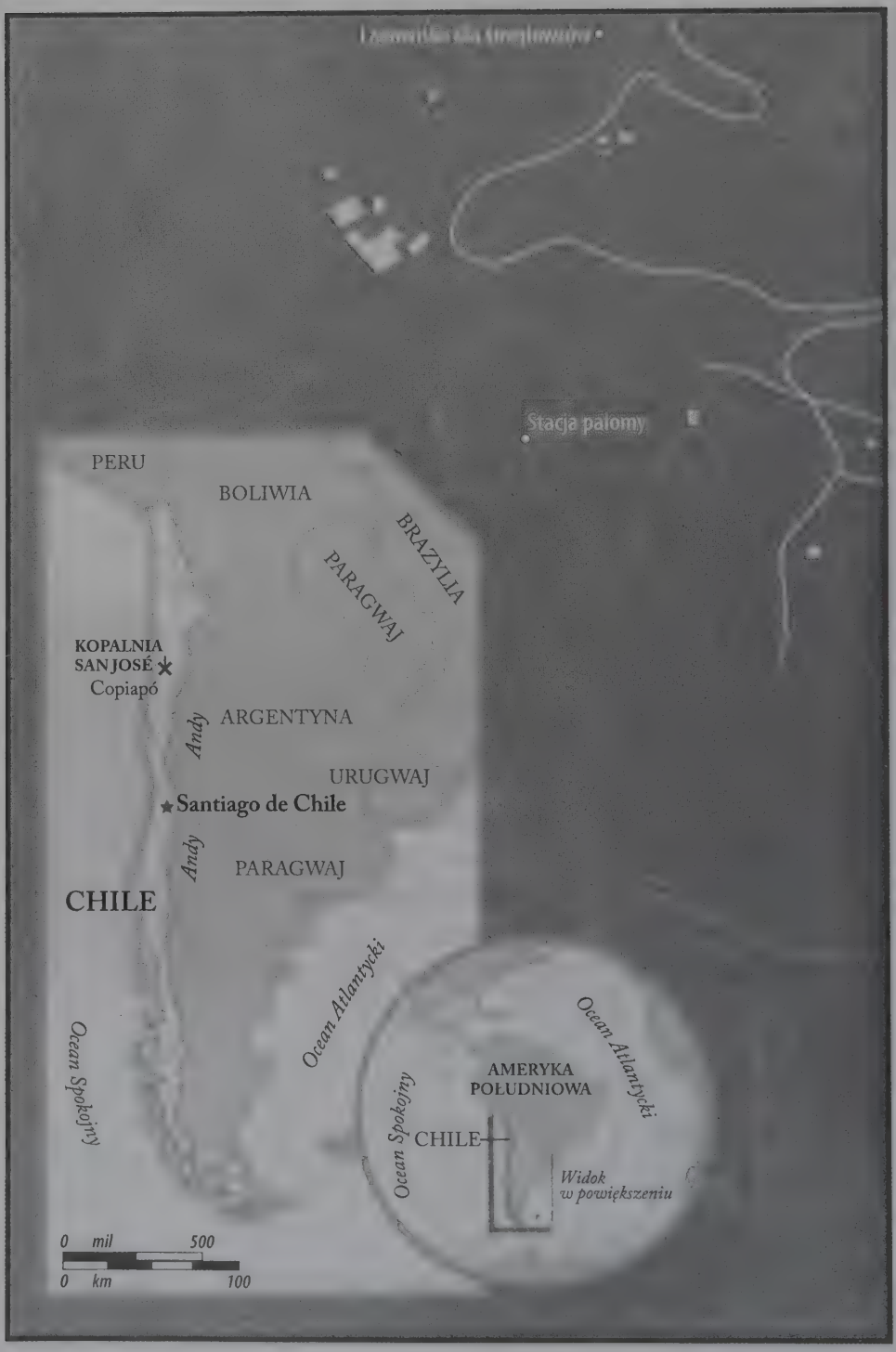
Stacja palomy
PERU
BOLIWIA
BRAZYLIA
PARAGWAJ
KOPALNIA SAN JOSÉ
Copiapó
Andy
ARGENTYNA
URUGWAJ
Santiago de Chile
Andy
PARAGWAJ
CHILE
Ocean Atlantycki
Ocean Spokojny
Ocean Atlantycki
AMERYKA POŁUDNIOWA
Ocean Spokojny
CHILE
Widok w powiększeniu
0 mil 500
0 km 100

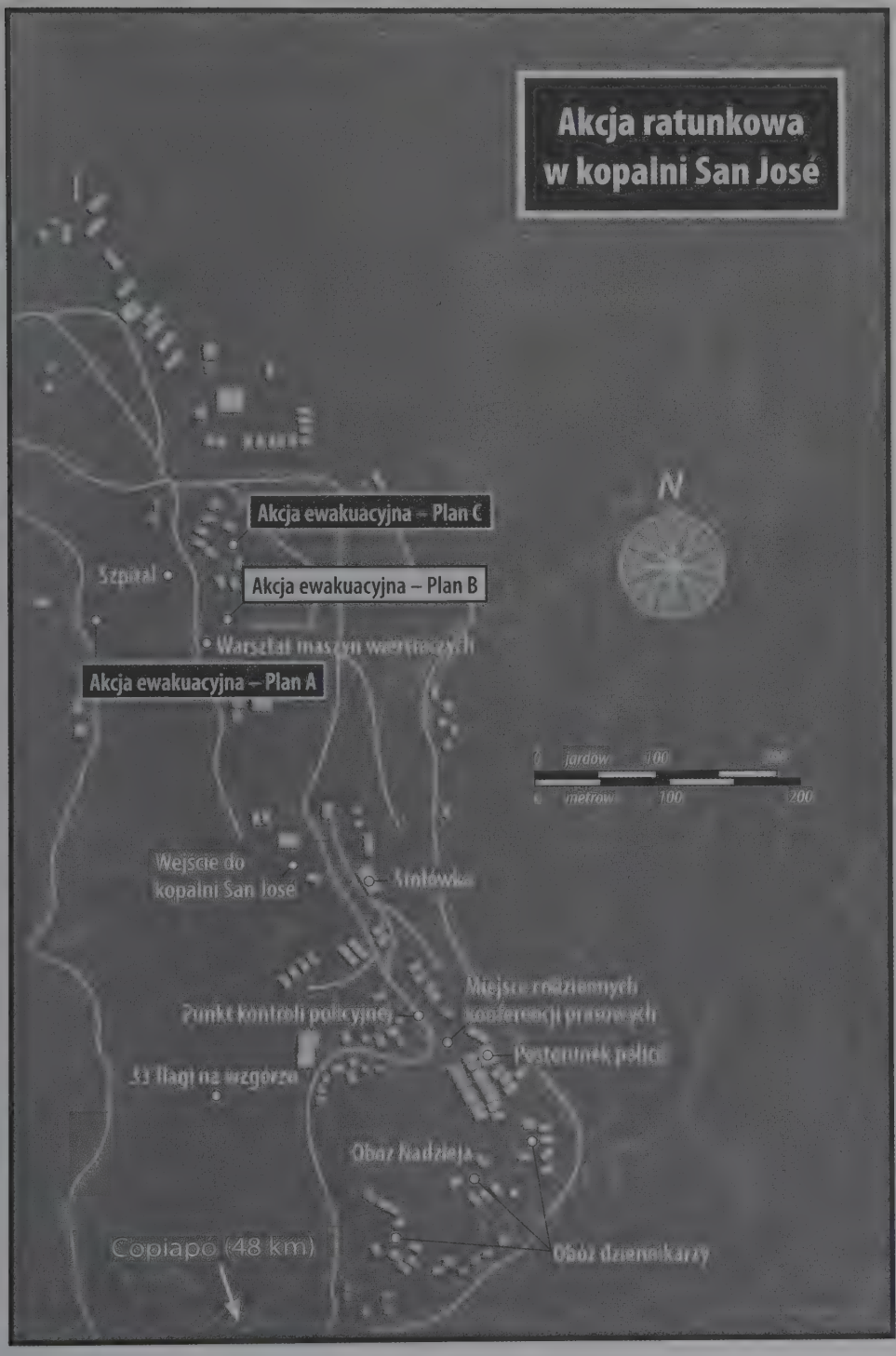
Akcja ratunkowa w kopalni San José
N
Akcja ewakuacyjna – Plan C
Szpital
Akcja ewakuacyjna – Plan B
Warsztat maszyn wiertniczych
Akcja ewakuacyjna – Plan A
jardów
metrów
100
100
200
Wejście do kopalni San José
Kaplica
Punkt kontroli policyjnej
Miejsce różnych konferencji prasowych
Posterunek policji
33 flagi na wzgórzu
Obóz Nadzieja
Obóz dziennikarzy
Copiapó (48 km)

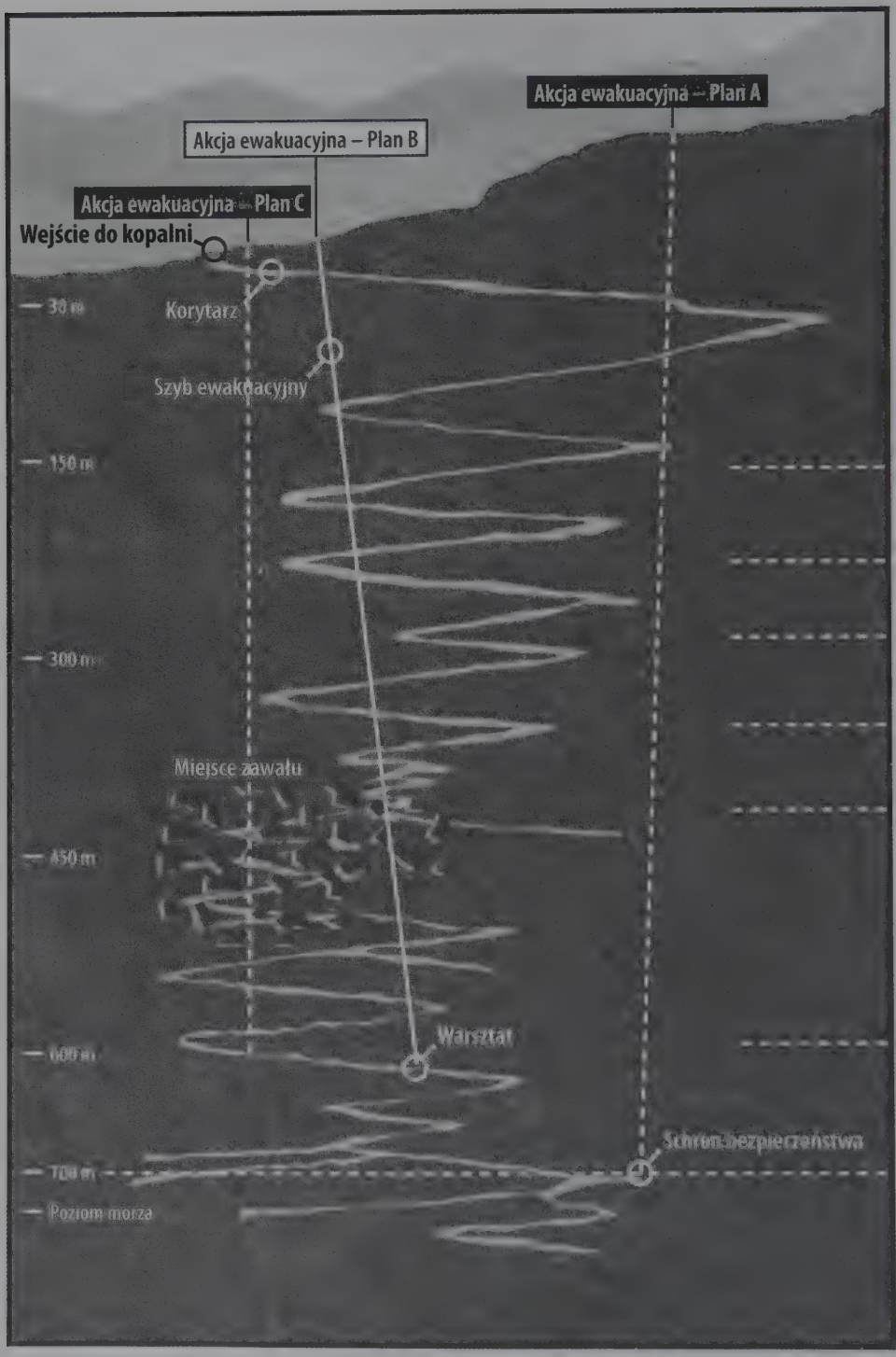
Akcja ewakuacyjna – Plan A
Akcja ewakuacyjna – Plan B
Akcja ewakuacyjna – Plan C
Wejście do kopalni
30 m
Korytarz
Szyb ewakuacyjny
150 m
300 m
Miejsce zawału
450 m
Warsztat
600 m
Schron bezpieczeństwa
700 m
Poziom morza

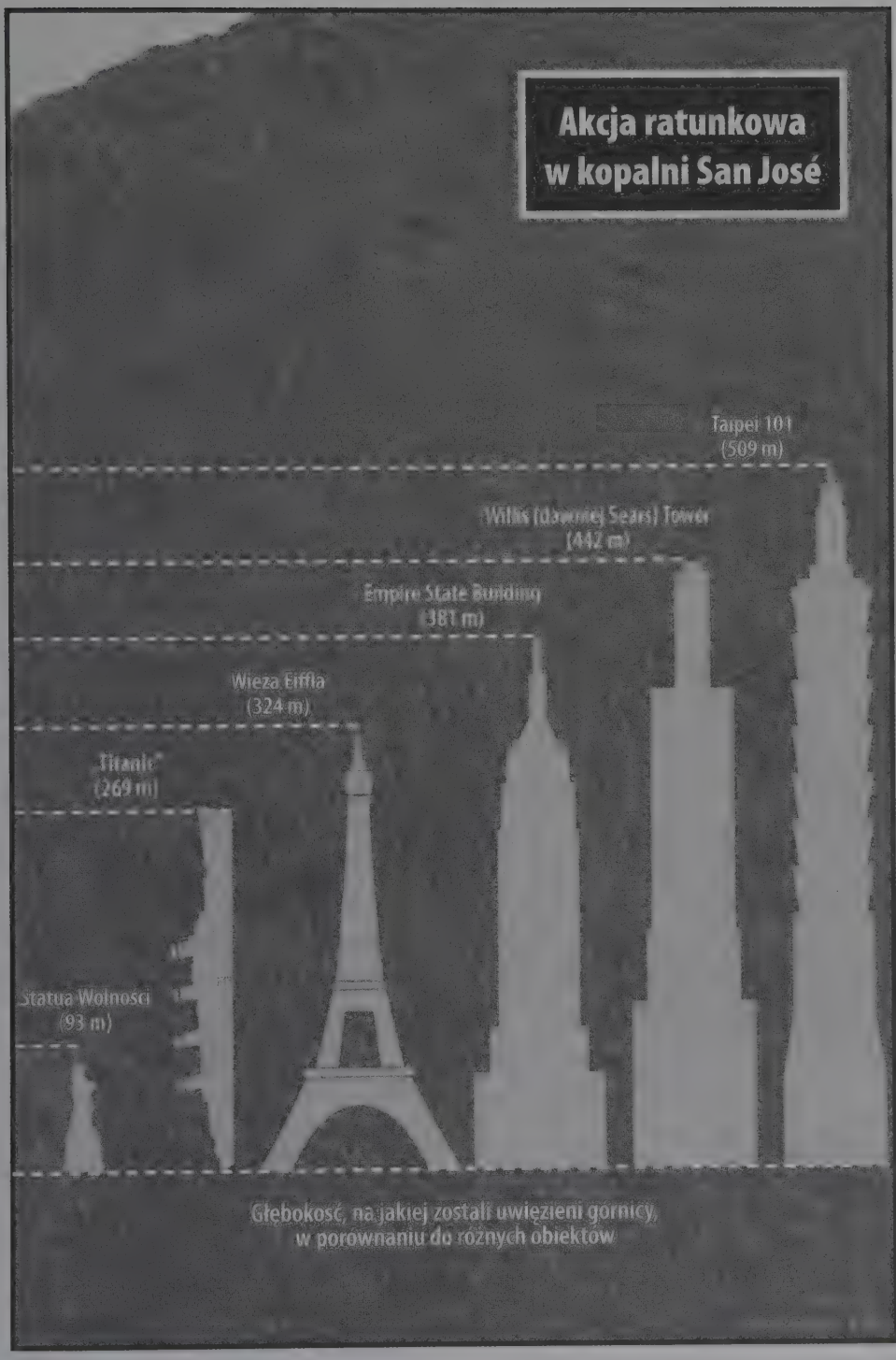
Akcja ratunkowa
w kopalni San José
Taipei 101
(509 m)
Willis (dawniej Sears) Tower
(442 m)
Empire State Building
(381 m)
Wieża Eiffla
(324 m)
„Titanic"
(269 m)
Statua Wolności
(93 m)
Głębokość, na jakiej zostali uwięzieni górnicy,
w porównaniu do różnych obiektów

PROLOG

OCZY ŚWIATA

Dwunastego października gęste opary porannej mgły zasnuwały zbocza masywu górskiego w północnej części Chile. Jej kłęby wolno sunęły ku szczytom. Słońce kryło się jeszcze za horyzontem; zimne wilgotne powietrze unoszące się znad wód Pacyfiku wysysało ciepło z ludzkich ciał. O tak wczesnej porze kilku ludzi krążyło po terenie prowizorycznego obozowiska. Ich sylwetki nasuwały skojarzenie z duchami, wyglądały jak miraże na pustyni Atakama, jednym z najsuchszych obszarów świata.

W obozie rozbitym przez ekipy dziennikarzy mozaika reflektorów oświetlała las anten. Na polu zasłanym warstwą otoczaków stało kilkadziesiąt nadajników satelitarnych.

Skupieni wokół ogniska członkowie rodziny Ávalos, objęci ramionami i trzymający się za ręce, modlili się i rozmawiali szeptem o uwięzionych pod ziemią dwóch swoich krewnych: dwudziestodziewięcioletnim Renánie i trzydziestojednoletnim Florenciu. Dziewięć tygodni wcześniej, 5 sierpnia, bracia zje-

chali do kopalni San José na kolejną dwunastogodzinną zmianę. W godzinach popołudniowych doszło do potężnego zawału. Podziemne korytarze zostały zasypane. Skały zablokowały wszystkie drogi wyjścia i uwięziły górników.

Przez dziewięć tygodni członkowie rodziny Ávalos żyli nadzieją i modlili się o cud. W końcu ich wytrwałość i wiara zostały nagrodzone. Najpierw dotarła do nich wieść, że ich krewni żyją, a potem braci, całych i zdrowych, wydobyto z czeluści ziemi, z kopalni, w której nawet w jej najlepszych czasach górnicy tracili życie lub zostawali kalekami.

Od chwili zawalenia się kopalni na początku sierpnia, setki ochotników – doświadczonych inżynierów, ratowników oraz operatorów maszyn wiertniczych i koparek – przybyło w ten odległy zakątek północnego Chile i zaoferowało pomoc oraz specjalistyczny sprzęt. Prezydent kraju Sebastián Piñera, uruchamiając zarówno kanały dyplomatyczne, jak i znajomości w świecie biznesu, zwrócił się o pomoc do całego świata: „Nasi ludzie są uwięzieni siedemset metrów pod ziemią. Czy macie jakąś technologię, która pozwoliłaby ich wydostać?".

Odzew przeszedł najśmielsze oczekiwania.

Teraz akcja ratunkowa zbliżała się ku końcowi. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny kapsuła Feniks w kształcie rakiety zostanie powoli opuszczona w głąb ziemi, do wnętrza kopalni, a Florencio Ávalos otworzy jej drzwiczki i jako pierwszy podejmie próbę wydostania się na powierzchnię. Jego rodzina wiedziała, że to wielkie wyróżnienie, ale i zdawała sobie sprawę, że wiąże się z nim ryzyko.

Ratownicy przez ponad dwa miesiące w ciszy i skupieniu pracowali, aby uwolnić górników. Byli dumni z tego, że mogą uczestniczyć w bezprecedensowym eksperymencie, o którym mówi cały świat. Nigdy wcześniej nie podjęto próby wydostania z takiej głębokości pod ziemią osób tak długo tam prze-

bywających. I choć wielu ekspertów twierdziło, że to możliwe, z wcześniejszych podobnych wypadków w branży górniczej wynikało, że nie ma zbyt wielkich szans na uratowanie wszystkich mężczyzn. Akcję, nazwaną Operacja San Lorenzo ku czci świętego Wawrzyńca, patrona chilijskich górników, prowadziło państwowe przedsiębiorstwo górnicze Codelco – przez dwa miesiące firma ściągnęła w rejon kopalni najlepsze maszyny wiertnicze i urządzenia geodezyjne.

Codelco, nowoczesny koncern, którego zyski przekraczają 4,5 miliarda dolarów rocznie, dzięki wypożyczonym i wynajętym maszynom i przyrządom zdołał odnaleźć zasypanych górników, a następnie przez pięćdziesiąt jeden dni dostarczał im żywność. Teraz nadeszła chwila prawdy. Czy uda się bezpiecznie wydostać uwięzionych mężczyzn? Przecież od powierzchni ziemi dzieli ich odległość ponaddwukrotnie większa od wysokości wieży Eiffla. Ponadto wywiercony otwór nie jest zbyt szeroki – górnicy musieli regularnie ćwiczyć, aby się zmieścić i wytrzymać w ciasnej kapsule „podróż" na powierzchnię.

Już od wczesnych godzin porannych setki dziennikarzy i fotoreporterów przybywało ze swoim sprzętem na miejsce akcji ratunkowej, by zająć jak najlepsze miejsca. Wszyscy chcieli przekazywać relacje z wydarzenia, które przyciągało uwagę całego świata. Od chwili lądowania człowieka na Księżycu żaden techniczny eksperyment nie wzbudził tak wielkiego zainteresowania. Poza tym dostępne w XXI wieku nowoczesne środki komunikacji umożliwiły śledzenie i relacjonowanie akcji ratunkowej na dziesiątki sposobów.

Wydawało się, że siedząca wokół dopalającego się ogniska, swoistego świadectwa tygodni oczekiwania, rodzina Ávalos zupełnie nie dostrzega panującego wokół zamieszania. Po wygłoszeniu krótkiego komentarza zamilkli i zignorowali kamerzy-

stę. Dziennikarz relacjonujący na żywo akcję ratowniczą i jego dźwiękowiec pokręcili się chwilę w pobliżu i po chwili ruszyli w stronę następnej grupy krewnych.

Ponad głowami państwa Ávalos z mroku wyłaniał się transparent z napisem „Pogrzebani, być może... ale nie pokonani" i zdjęciami uwięzionych pod ziemią górników. Każdy z nich wyglądał przeciętnie – poważnie, ponuro, blado – ale wszyscy razem byli „Los 33", grupą ludzi, która dla niemal całego świata stanowiła symbol przetrwania i woli życia.

We wrześniu i październiku 2010 roku, kiedy ratownicy przedzierali się przez warstwy granitu w poszukiwaniu zasypanych mężczyzn, na pustynię Atakama przybyli najlepsi dziennikarze i reporterzy z całego świata. Aby dotrzeć na miejsce, musieli walczyć o bilety na przelot do Copiapó – do tego sporego, lecz zapomnianego chilijskiego miasta, pomijanego nawet przez prezenterów prognozy pogody w ogólnokrajowej telewizji, kursowało niewiele samolotów. „Nawet wystawiane w różnych miastach Chile trofeum zdobyte w Mistrzostwach Świata przez naszą reprezentację do nas nie dotarło" – narzekał burmistrz Copiapó, Maglio Cicardini, typowy showman z włosami spiętymi w kucyk, przypominający gitarzystę z zespołu ZZ Top.

Choć wydarzenie wzbudzało ogromne zainteresowanie całego świata, operatorom kamer rzadko pozwalano na filmowanie z bliska akcji ratunkowej oraz obserwację podziemnego życia. Dziennikarze musieli się ograniczyć do przeprowadzania wywiadów z bliskimi zasypanych górników i politykami. Śledzący przebieg wydarzeń widzowie i słuchacze z całego świata zastanawiali się, co się dzieje tam na dole.

Jak trzydziestu trzech mężczyzn zdołało przeżyć tyle tygodni w gorącej i wilgotnej jaskini?

Wczesnym popołudniem rozpoczęło się ostateczne odliczanie. Tłumy krewnych zgromadziły się w pobliżu kopalni i skupio-

ne wpatrywały się w telewizory wmontowane w boczne ściany kamperów i telebimy umieszczone przy namiocie dla przedstawicieli mediów. Członkowie ekipy ratunkowej przygotowywali do spuszczenia w głąb ziemi pomalowaną w barwy narodowe Chile kapsułę Feniks – zaprojektowali ją wspólnie inżynierowie NASA i chilijskiej marynarki wojennej.

O godzinie 23 wszystko było gotowe. Podnośnik uniósł kapsułę do góry, a żółty kołowrót, na który nawinięto kabel, zaczął się kręcić. Wszyscy wpatrywali się w niego jak zahipnotyzowani. Przypominało to trochę wielką operację przemysłową z lat 30. XX w. Poza zasięgiem wzroku widzów znajdowały się nowoczesne urządzenia i narzędzia, które umożliwiły przeprowadzenie całej akcji, takie jak GPS-y, dzięki którym udało się zlokalizować zasypanych mężczyzn, kilometry kabli światłowodowych oraz bezprzewodowe przekaźniki podające informacje o pulsie i ciśnieniu krwi górników bezpośrednio do laptopa lekarza.

Sześćdziesiąt dziewięć dni wcześniej pracownicy kopalni zostali odcięci od świata. Trwające ponad dwa tygodnie poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów – nie udało się zlokalizować tunelu, w którym, jak zakładano, uwięzieni mężczyźni zaczynali umierać z głodu. Wydawało się, że ich śmierć jest nieunikniona. Górnicy napisali listy pożegnalne do swoich rodzin, a władze zaczęły już projektować biały krzyż, który miał stanąć w okolicy, w miejscu, gdzie zapewne zginęli. Ale teraz być może narodzą się na nowo, powrócą do życia, zostaną uratowani. Czy to naprawdę możliwe?

Cały świat wstrzymał oddech, gdy kapsuła powoli zsunęła się w dół, a następnie zniknęła w wywierconym otworze. Na obszarze, gdzie występują nagłe potężne trzęsienia ziemi, nie dało się przewidzieć wszystkich zagrożeń dla akcji ratunkowej. Potrzebna była więc nie tylko precyzja, ale również wiara

i szczęście. Podczas przygotowywania planu wydobycia górników konsultowano się z najlepszymi ekspertami z całego świata – pomogli oni w opracowaniu programu pomocy medycznej oraz szczegółów technicznych. Fachowość przygotowanych działań zaskoczyła nawet speców z NASA – plan tej misji opracowali Chilijczycy.

JEDEN

POGRZEBANI ŻYWCEM

CZWARTEK 5 SIERPNIA, godz. 7.00

Podczas pięćdziesięciominutowego porannego dojazdu do pracy w kopalni San José górnicy przez okna autobusu mogli podziwiać zachwycające widoki. Wzgórza pokrywały fioletowe kwiatki tworzące zmysłowe wzory i przyciągające tysiące turystów pragnących zobaczyć „kwitnącą pustynię". Jednak niewielu pracowników dostrzegało otaczające ich piękno – większość drzemała, kiedy wiozący ich autobus wchodził w kolejne zakręty drogi na wzgórze kryjące ogromne pokłady złota i miedzi. Od ponad stu lat górnicy niczym borsuki drążyli kręte korytarze w poszukiwaniu cennych żył minerałów wypełniających wnętrza gór niczym naczynia krwionośne ciało człowieka.

Mario Gómez nie mógł spać. Kiedy o 6 rano obudził go dźwięk budzika ustawionego w telefonie komórkowym, zapytał żonę:

– Mam jechać?

– Zostań – odparła Lillian. Od dawna namawiała swojego sześćdziesięciotrzyletniego męża, by przeszedł na emeryturę. W zasadzie wcale nie musiała go przekonywać. Zaczął pracować

w wieku dwunastu lat, jak Dickens, i podczas pięćdziesięciu jeden lat pracy w kopalni zetknął się chyba z każdym możliwym rodzajem śmierci pod ziemią. Pamiątkę po bliższym spotkaniu z jedną z nich miał na lewej dłoni – odpalony zbyt blisko niego ładunek wybuchowy urwał mu dwa palce i pół kciuka.

Przez okno autobusu Gómez patrzył na pustynię – w porównaniu z podziemnym światem, w którym miał się za chwilę znaleźć, wydawała mu się pełna życia. Kopalnia San José była najniebezpieczniejszą w regionie i dlatego oferowała swoim pracownikom wysokie zarobki. Gdzie indziej *cargador de tiro*, który wtykał laski dynamitu w wywiercone dziury, mógłby zarobić takie pieniądze? Warunki finansowe sprawiały, że pomimo złej sławy, jaka okrywała to miejsce, mężczyźni (którzy sami siebie nazywali kamikadze) trzymali się swoich posad. Bezpieczeństwo czy pieniądze? Zawsze wygrywały pieniądze.

Jadący serpentynami autobus mijał niewielkie kapliczki zwane *animitas* – każda z nich upamiętnia gwałtowną, nieoczekiwaną śmierć jakiegoś człowieka. Według miejscowych wierzeń dusze zmarłych gwałtowną śmiercią krążą w otchłani, zawieszone między niebem a ziemią. Stawiając *animita*, rodziny i przyjaciele zmarłych chcą przyspieszyć ich podróż do raju. W kapliczkach są umieszczane zdjęcia zmarłego, a obok zawsze leżą świeże kwiaty i palą się znicze. Za kilka dni będzie ich na tej drodze jeszcze więcej.

Wielu górników miało ze sobą sycący lunch. Choć właściciele kopalni obliczyli, że dwie kanapki i karton mleka dostarczają wystarczającą ilość kalorii, by przepracować dwunastogodzinną zmianę, mężczyźni często brali ze sobą dodatkowe jedzenie: czekoladowe batony, termosy z zupą lub starannie zapakowane kanapki z kotletem i pomidorem. A także wodę w butelkach, menażkach czy choćby półlitrowych plastikowych woreczkach z supermarketów Unimarc. Temperatura w kopalni rzadko spadała poniżej trzydziestu stopni Celsjusza i pomimo wypijanych codziennie trzech litrów wody górnicy wciąż byli

na granicy odwodnienia. Panująca na dole wilgoć sprawiała, że trzymane w palcach papierosy wykrzywiały się w kierunku podłoża niczym poddani chylący czoła przed królem, którym w tym wypadku była natura.

Przy wejściu pracownicy zakładali robocze ubranie: spodnie i podkoszulek, nakładali kask i czołówkę. Odbijali karty. Pracowali przez siedem dni, a potem przez tydzień odpoczywali – ich życie przypominało wykres cyklu gospodarczego z nagłymi załamaniami i wzrostami. Przez tydzień wylewali hektolitry potu, by potem przez siedem dni oddawać się przyjemnościom. Kiedy nie pojawiali się w pracy w poniedziałek, żartowali, że w ten sposób oddawali cześć bogu kaca, zwanemu „Świętym Poniedziałkiem".

Często organizowano firmowe grille i imprezy, a właściciele kopalni przymykali oko na poranne spóźnienia pracowników. Pod tym pokrytym jałową ziemią wzgórzem, którego nie obejmował zasięg żadnej sieci komórkowej, w kopalni, w której w związku z nieprzestrzeganiem przepisów bezpieczeństwa często dochodziło do wypadków, pracowało 250 mężczyzn. Zatrudniała ich spółka wydobywcza San Esteban Primera, do której należy kilka kopalni w regionie, w tym San José. Choć był 2010 rok, ich życie pod wieloma względami przypominało egzystencję pionierów na Dzikim Zachodzie. Okolica pełna była charakterystycznych dla górniczego regionu miejsc, takich jak otwarte całą noc domy publiczne (40 dolarów za numerek) czy kasyna, np. nowe Antay, przed którym stały rzędy podniszczonych pikapów, gdzie górnicy mogli przepuścić miesięczną pensję w jedną noc, do czego zresztą zdawali się mieć wrodzoną skłonność.

Kopalnie w północnych pustynnych rejonach Chile są największym na świecie producentem miedzi. Większość mieszkańców tego regionu pracuje w nowoczesnych kopalniach nadzorowanych przez międzynarodowe koncerny, takie jak Anglo American czy BHP Billiton.

Chile, w którym ponad pięćdziesiąt procent zysków z eksportu pochodzi z górnictwa, od wielu lat zajmuje pozycję światowego lidera zarówno pod względem stosowanych technologii, jak i sposobów wydobycia. Chuquicamatą, największą na świecie kopalnią odkrywkową, kieruje państwowa spółka miedziowa o nazwie Codelco.

Dla Chilijczyków praca w górnictwie stanowi łakomy kąsek, jest bowiem atrakcyjna zarobkowo, a także w miarę bezpieczna, o ile oczywiście w tej branży można w ogóle mówić o bezpieczeństwie. Wystarczy wziąć pod uwagę ryzyko związane z przewozem saletry amoniakowej, silnego materiału wybuchowego, przez młodych kierowców ciężarówek, codzienne podkładanie ładunków dynamitu oraz najpotężniejsze na świecie trzęsienia ziemi i staje się jasne, że prędzej czy później musi dojść do tragicznego wypadku. A jeżeli doda się do tego chilijskie umiłowanie dobrej zabawy napędzanej olbrzymią ilością *pisco*, taniego winiaku z winogron, wynik tego równania będzie jasny dla każdej pielęgniarki izby przyjęć w regionie: martwi górnicy.

Mężczyźni z San José nie pracowali w bezpiecznej, nowoczesnej kopalni. Byli prostymi górnikami, wykorzystującymi mało zaawansowane technologie – w branży byli znani jako *Los Pirquineros*. Jednak ponieważ klasyczny *pirquinero* miał zwykle przy sobie co najwyżej osła i łopatę, pracownicy San José nazywali siebie „zmechanizowanymi *pirquineros*", co miało oznaczać, że obsługują ciężki sprzęt w niebezpiecznych wyrobiskach grożących zawałem.

W przeciwieństwie do innych kopalni, w których aż się roiło od szczurów i różnego rodzaju owadów, San José była niemalże sterylna – no, może nie całkiem, bo od czasu do czasu pojawiały się w niej skorpiony. Dzień pracy bardzo przypominał plan dnia Kalifornijczyka poszukującego złota w czasie trwającej w San Fransisco za rządów Abrahama Lincolna gorączki. Tamci górnicy często ginęli przygnieceni lub – w lokalnym slangu – „wyprasowani" przez regularnie się osuwające, olbrzymie odłamy.

W San José skały były tak ostre, że samo otarcie się o ścianę było niczym przejechanie po skórze żyletką.

O wiążącym się z ich pracą ryzykiem górnikom przypomniało wydarzenie z dnia 5 lipca 2010 roku. Stojąc w środku kopalni, przyglądali się akcji ratowania Gina Cortésa, a potem pikapowi, który zabierał go do szpitala. Olbrzymia skała ważąca tyle co mniej więcej dwadzieścia chłodziarek osunęła się prosto na przechodzącego pod nią Gina i urwała mu nogę. Gino przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. Jej odcięcie nastąpiło w tak krótkim czasie, że początkowo praktycznie nie odczuwał bólu. Jeden z jego kolegów ostrożnie zapakował nogę w koszulę i zawiózł ją na izbę przyjęć. Leżąc na szpitalnym łóżku w Santiago i wspominając wypadek, Gino powtarzał: „Miałem niesamowite szczęście" i dziękował Bogu za ocalenie prawej nogi i życia. Jego zdeformowana kończyna, przyszyta starannie do kończącego się na wysokości kolana kikuta, ciągle wszystkim przypomina o niebezpieczeństwach czających się w kopalni.

Jeżeli nie zostaną „wyprasowani", *pirquineros* powoli umierają na choroby płuc. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej Alex Vega, idąc kopalnianym korytarzem, runął nagle bez ostrzeżenia na ziemię. Trujące spaliny wydobywające się z używanych w kopalni maszyn pozbawiły jego ciało tlenu. Karetką przewieziono go do szpitala w Copiapó – spędził w nim prawie cały tydzień.

Długotrwały kontakt z gazami i pyłem w wielu przypadkach prowadzi do pylicy krzemowej, powstającej w wyniku wdychania trujących cząsteczek krzemionki. Odkładają się one w płucach i mogą doprowadzić do ostrej niewydolności oddechowej. Z każdym rokiem do układu oddechowego pracujących w San José górników przedostawały się maleńkie drobiny skał i z czasem obniżały wydajność ich płuc. Podczas pięćdziesięciu pięciu lat pracy w kopalni w płucach Maria Gómeza, najstarszego górnika przebywającego pod ziemią tego feralnego dnia, zgromadziło się tak wiele pyłu i odłamków, że często miewał napa-

dy duszności, w związku z czym przyjmował leki rozkurczające oskrzela. Do płuc osoby cierpiącej na pylicę krzemową stopniowo dopływa coraz mniej tlenu, to tak jakby pikap jeździł przez dwadzieścia lat po pustyni bez wymiany filtra powietrza.

Przez cały tydzień, a czasem nawet i miesiąc, życie *pirquinero* jest całkowicie podporządkowane pracy w kopalni. Mężczyźni prowadzą samotną walkę z olbrzymim górotworem, a następnie część z nich zmaga się z uczuciem samotności – zagłuszają je, odbywając przypadkowe stosunki seksualne, co miejscowy lekarz nazwał „syndromem Brokeback Mountain". Chilijski psychiatra mający doświadczenie w leczeniu górników określił to zjawisko mianem „przejściowy homoseksualizm" – jak zauważył, od wieków występuje ono w środowisku żeglarzy. Według niego jest to „praktyczne wyjście z sytuacji przedłużającego się braku kobiecego towarzystwa". Po powrocie do miasta górnicy pili alkohol, spotykali się z kobietami i oddawali się innym rozrywkom, w związku z czym wkrótce znów potrzebowali solidnej wypłaty. Na liście potencjalnych pokus znajdowała się również produkowana w regionie kokaina w cenie 15 dolarów za gram.

Samuel Ávalos przez poprzednie dwadzieścia cztery godziny starał się zarobić 16 tys. chilijskich pesos (32 dolary) potrzebne na bilet do Copiapó. Ávalos, twardziel o okrągłej twarzy, mieszka w Rancagua, mieście usytuowanym na południe od Santiago, w którym znajduje się największa na świecie podziemna kopalnia „El Teniente". Choć w tym rejonie nie brakuje kopalń, Ávalos nie miał doświadczenia w pracy pod ziemią. Wcześniej był ulicznym sprzedawcą handlującym pirackimi płytami CD. Często miewał kłopoty: policja nieraz konfiskowała sprzedawane przez niego rzeczy. Na szczęście tego dnia los mu sprzyjał – udało mu się zarobić wystarczającą ilość pieniędzy, by kupić bilet na ostatni autobus do Copiapó. Dopiero później się dowiedział, że w tym samym pojeździe był również jego kolega górnik José Henríquez.

W drodze do Copiapó Ávalos popijał alkohol. Kiedy przesiadał się do minibusa jadącego do kopalni, był zamroczony.

– Alkohol wciąż płynął w mojej krwi. Kiedy wychodziłem z autobusu, prawie się przewróciłem – opowiadał. – A później wydarzyło się coś dziwnego. Nie wiem do końca, jak to opisać, ale zobaczyłem ducha. Ducha mojej zmarłej matki. Zapytałem ją: Mamo, o co chodzi? Czego chcesz? Ale nic nie zrozumiałem. Później miałem dostatecznie dużo czasu, by zastanowić się nad tym ostatnim ostrzeżeniem.

Ávalos zwykle wypychał kieszenie kurtki czekoladkami, ciastem, ciasteczkami oraz kartonami mleka i soków – starał się ukryć widoczne wybrzuszenia przed brygadzistą Luisem Urzúą, któremu nie podobało się, gdy górnicy jedli podczas pracy. Uważał, że ich to rozprasza.

– Tamtego dnia zostawiłem jedzenie na powierzchni. Nie wziąłem ze sobą ani jednej czekoladki – opowiadał Ávalos. Była to kolejna myśl, która prześladowała go przez kilka następnych tygodni.

Kiedy pracownicy przebierali się w robocze ubrania i przygotowywali do pracy, czterdziestodwuletni ratownik medyczny Hugo Araya opuszczał właśnie kopalnię po zakończonej zmianie. Araya pracował w San José od sześciu lat, wciąż jednak odczuwał niepokój w czasie pobytu pod ziemią. Wiszący nad zapadającym się wejściem zardzewiały znak przypominający o konieczności przestrzegania zasad bezpieczeństwa wydawał się kiepskim żartem, jeśli się wzięło pod uwagę wszystkie wypadki, osunięcia skał oraz omdlenia górników. To właśnie Araya, główny ratownik medyczny, był osobą wzywaną, kiedy pojawiały się problemy. Najbardziej nie znosił panującego w kopalni zapachu.

– Jakby coś się rozkładało. Jakby wokół gniło mięso – opisywał.

Z powodu spalin samochodowych, gazów wydobywających się podczas wysadzania ładunków wybuchowych oraz bezustan-

nie wdychanego przez górników dymu tytoniowego Araya był coraz częściej wzywany. Po odebraniu zgłoszenia zjeżdżał na dół krętymi korytarzami o długości około sześciu i pół kilometra, co zajmowało mu jakieś 25 minut, by dotrzeć do gotowych do ewakuacji górników z maskami tlenowymi na twarzach. Zwykle jeszcze tego samego wieczora wracali do domu. W najgorszym wypadku spędzali kilka dni w miejscowym szpitalu, po czym znów brali do ręki kilofy, wysadzali skały, wdychali chmury pyłu i prawie nigdy nie narzekali.

Po całonocnej zmianie Araya był pokryty grubą warstwą brunatnoszarego pyłu, który ze względu na oleistą konsystencję zwykle z trudem udawało mu się zmyć. Tego ranka, biorąc prysznic i szorując całe ciało w swoim oddalonym o jakąś godzinę jazdy od Copiapó domu, Araya odczuwał zdenerwowanie. Góra „płakała" całą noc. Upiorne trzaski, jęki i huki wprawiały wszystkich w niepokój. Kiedy kopalnia taka jak San José płacze, jej łzy są wielkości głazów.

Ponad sto lat wyrębów, eksplozji i wiercenia wydrążyło w górotworze tak wiele wyrobisk i korytarzy, że zwykle nowi pracownicy zastanawiali się, jakim sposobem stropy jeszcze się nie zawaliły. Araya nie mógł wiedzieć, że po stu jedenastu latach eksploatacji, po wydobyciu wartych miliony dolarów rud miedzi i złota z niemalże każdego zakamarka przypominających labirynt tunelów, konstrukcja kopalni była jak domek z kart.

Na dnie kopalni mężczyźni rozbierali się i odkładali niepotrzebne przedmioty, zostawiając jedynie najbardziej niezbędne rzeczy – kask z czołówką i kalesony, butelkę z wodą i odtwarzacz MP3 z wybranymi przez siebie meksykańskimi *rancheras* oraz romantycznymi balladami opowiadającymi historie miłości, poświęcenia i szlachetności przedstawicieli klasy robotniczej.

– Często pracowaliśmy tylko w butach i bieliźnie – mówił Luis Rojas, zatrudniony w kopalni San José. – Było po prostu za gorąco, żeby nosić jakiekolwiek ubrania.

Darío Segovia przez cały poranek 5 sierpnia mocował metalowe siatki do stropów kopalni. Był to stary sposób na wyłapywanie odpadających kawałków skał i zapobiegnięcie uszkodzeniom maszyn i ciał górników. Powierzone mu zadanie, zwane „uzbrajaniem", było szalenie niebezpieczne. Był jak strażak w piekle – walczył z małymi płomieniami, ale zdawał sobie sprawę, że i tak przegra.

– Przed jedenastą już wiedziałem, że kopalnia się zawali. Ale wysłali nas, żebyśmy pozakładali dodatkowe siatki. Wiedzieliśmy, że stropy są słabe i na pewno runą. Żeby zabić czas, pojechaliśmy nabrać trochę wody ze zbiorników. Było naprawdę niebezpiecznie; wszystko było takie kruche.

Mario Sepúlveda spóźnił się tego ranka na autobus z Copiapó. Około godziny 9 stanął na drodze, próbując złapać okazję. Samochody jednak rzadko pojawiały się w tej okolicy, w związku z czym Sepúlveda rozważał powrót do wynajmowanego za niewielką sumę pokoju. Ale w tym właśnie momencie na horyzoncie pojawiła się samotna ciężarówka. Kiedy kierowca się zatrzymał, Mario uznał, że ma w tym dniu wyjątkowe szczęście. Uda mu się dotrzeć do pracy. O godzinie 10 był już pod kopalnią, zgłosił swoją obecność, po czym pożartował chwilę z ochroniarzami. Przed 10.30 zjeżdżał już na dół, by dołączyć do swoich kolegów.

O godzinie 11.30 górnicy usłyszeli huk. Zapytali kierownika robót górniczych Carlosa Pinillę, co się dzieje. Ze złożonych przez nich później przed kongresem zeznań wynika, że Pinilla był wtedy wewnątrz kopalni. Uspokoił pracowników, że to normalny odgłos związany z „osadzaniem się kopalni", i nakazał pozostać w środku. Sam jednak, jak twierdzą górnicy, przejął pierwszy dostępny samochód, zawrócił i natychmiast ruszył na powierzchnię.

– Tego dnia wyszedł wcześniej, a nigdy tego nie robił. Zwykle kończył pracę pomiędzy pierwszą a wpół do drugiej, a tamtego dnia wyszedł o jedenastej – zeznał Jorge Galleguillos. – Był przerażony.

Wchodząc do kopalni miedzi San José tamtego feralnego poranka, Raúl Bustos nie wiedział o górnictwie praktycznie nic. Można powiedzieć, że Bustos był człowiekiem morza – zajmował się naprawą i renowacją kanalizacji w stoczniach chilijskiej marynarki wojennej. Przepracował tam wiele lat, aż pewnego niedzielnego poranka w lutym 2010 roku stracił nie tylko posadę, ale także całe miejsce pracy – zabrała je dziesięciometrowa fala tsunami. Trzęsienie ziemi o sile 8,8 stopnia w skali Richtera i spowodowane nim tsunami spustoszyły nadmorską miejscowość Talcahuano, niszcząc większość działających w nim fabryk, w związku z czym Bustos przeniósł się w okolice oddalonej o prawie tysiąc trzysta kilometrów kopalni San José.

Czterdziestoletni Raúl zdawał sobie sprawę z nie najlepszej reputacji nowego miejsca pracy, ale zupełnie się nią nie przejmował. Zwykle siedział bowiem na pozbawionym drzew wzgórzu i naprawiał samochody w pokrytym cynkową dachówką hangarze. Największym zagrożeniem był udar słoneczny oraz tęsknota za rodziną. Co dwa tygodnie przejeżdżał praktycznie połowę kraju, by spotkać się ze swoją żoną, Caroliną. Bustos nigdy nie narzekał na zajmującą dwadzieścia godzin podróż ani nie informował żony o ryzyku wiążącym się z jego nowym zatrudnieniem. Kiedy rankiem 5 sierpnia otrzymał informację o przebitej oponie w jednym ze znajdujących się w tej chwili w kopalni samochodów, wsiadł do pikapa i został zawieziony w głąb ziemi.

Kopalniane korytarze stanowiły labirynt o długości ponad sześciu i pół kilometra, drążony przez ponad sto lat w poszukiwaniu żył złota i miedzi. Ułożenie tuneli było przypadkowe i nieprzemyślane, wewnątrz panował kompletny chaos. Ze stropów zwisały luźne kable i przymocowana gruba druciana siatka chroniąca przed spadającymi odłamkami skał. W głównym

korytarzu, w miejscach, gdzie zginęli górnicy, znajdowały się małe ołtarzyki. Mężczyźni pracowali zwykle w trzy- lub czteroosobowych grupach, czasem w pojedynkę. Większość nosiła ochronniki słuchu, co utrudniało komunikację i niemal uniemożliwiało usłyszenie czegokolwiek poza głośnymi dźwiękami pracującej kopalni.

Piątego sierpnia o 13.30 górnicy zrobili sobie przerwę na lunch. Część z nich udała się do schronu bezpieczeństwa, w którym były ławki i butle z tlenem. Zwykle pięciominutowa dawka tlenu wystarczała, by wrócić do pracy albo do stolika, przy którym zawsze siadywali, aby przez kilka chwil odpocząć w towarzystwie innych ludzi. Jedząc, uprawiali *la tallę*, połączenie komediowych występów i improwizowanego rapowania. W tym samym czasie nad ich głowami zapadało się wejście do kopalni.

Franklin Lobos był ostatnią osobą, która weszła tego dnia do kopalni. Jako szofer kopalnianych pojazdów zapewniał pracownikom transport okraszony solidną dawką humoru. W drodze do świata przypominającego miejsce akcji *Władcy Pierścieni*, z zapadającymi się stropami, stosem skalnych odłamków i ścianami, które wyglądały na wykute ręcznie co najmniej sto lat wcześniej, zabawiał swoich pasażerów barwnymi opowieściami o kobietach i sławie.

Lobos, dawna gwiazda chilijskiej piłki nożnej, był legendą. To tak jakby David Beckham podrzucał cię na lotnisko Heathrow albo Mike Tyson odwoził taksówką na JFK. Pięćdziesięciotrzyletni Lobos to łysiejący, niepozorny mężczyzna o okrągłej twarzy. Dzięki przeżytym w młodości przygodom stał się gawędziarzem, raczącym pasażerów anegdotami z czasów swojego triumfu, kiedy grał w klubie piłkarskim Cobresal. Większość górników była niegdyś jego zagorzałymi fanami; dorastali, oglądając w telewizji strzelane przez niego gole.

W latach 1981–1995 Lobos stał się członkiem elity północnego Chile, półbogiem, który zamieniał rzuty karne w nie-

samowite przedstawienia teatru jednego aktora. Jeszcze zanim wziął rozbieg, zgromadzona na stadionie publiczność wpatrywała się w niego całkowicie zahipnotyzowana, wyobrażając sobie niesamowity, niemal naginający prawa fizyki tor lotu kopniętej przez niego piłki. Jego strzały były tak precyzyjne i niewiarygodnie mocne, że chilijska prasa nadała mu przydomek „Magiczny Moździerz". Strzelając ze środka pola, potrafił tak pokierować piłkę, że niemal zawsze wpadała do bramki. Nawet David Beckham biłby brawo, widząc jego gole. Ale kariera piłkarzy w Chile trwa zwykle nie dłużej niż dziesięć lat. Kiedy skończył trzydziesty piąty rok życia, nie miał ani pracy, ani pieniędzy na dalszy ciąg wystawnego życia, jakie prowadził wcześniej. Przez jakiś czas był taksówkarzem, ale gdy jego dwie córki zdecydowały się pójść na studia, wiedział, że potrzeba mu więcej gotówki. A w Copiapó oznaczało to tylko jedno: pracę w San José.

Było tuż po pierwszej, kiedy Lobos wiózł Jorge Galleguillosa do wnętrza kopalni samochodem dostawczym. W połowie drogi zatrzymali się, by porozmawiać z Raúlem Villegasem, zwanym „Guatón" (Grubas), wywożącym na powierzchnię kawałki skał, w których wykryto śladowe ilości złota i miedzi. Trochę później usłyszeli głośny huk.

– Kiedy jechaliśmy w dół, tuż za nami roztrzaskał się olbrzymi odłam skalny – napisał później Galleguillos. – Rozbił się zaledwie kilka sekund po tym, jak tamtędy przejechaliśmy. A potem spadła na nas lawina pyłu i brudu. Nic nie było widać, nawet wyciągniętej przed siebie dłoni. Tunel się zapadał.

Galleguillos porównał później tę scenę z zawaleniem się World Trade Center. Warstwa po warstwie korytarze osuwały się niczym przewracające się kostki domina.

Zawał spowodował lawinę skalnych odłamków. Lobos postanowił nie przyspieszać, zamiast tego skupił całą swoją uwagę na ominięciu blokujących korytarz głazów. Skały osuwały się już teraz nie tylko za nim, ale również przed nim. W pewnym momencie samochód uderzył w ścianę. Nic nie widząc, Galle-

guillos wyszedł z pojazdu, chcąc wskazać Lobosowi właściwą drogę. Ponieważ ze stropów wciąż odpadały kamienie, schował się za zbiornikiem z wodą. Ostatecznie mężczyznom udało się pokonać ostry zakręt i pomimo tumanów kurzu powoli zmierzali w stronę schronu bezpieczeństwa.

Kiedy dotarli do swoich kolegów, ci wpatrywali się w nich przerażonymi oczami. Nikt nie potrafił powiedzieć, co się stało. Ale wszyscy wiedzieli, że nie była to kolejna z typowych w San José minilawin.

Wszyscy, nawet zupełni nowicjusze, zdawali sobie również sprawę z jednego. Zbliżał się *El Piston*. Szybko zgromadzili się w kącie schronu, ściśnięci za skałami niewiele większymi od materaca.

Kiedy zapada się kopalnia, następuje gwałtowne wydostanie się powietrza na zewnątrz. Waląca się konstrukcja działa niczym gigantyczny tłok, wtłaczając masy powietrza do wyrobisk z taką siłą, że może unieść człowieka do góry i rzucić nim o ścianę, łamiąc kości i nie pozwalając złapać tchu i tak już mocno nadwyrężonym płucom.

– To tak, jakby ci ktoś przywalił z całej siły w uszy – opowiadał Segovia. – Jakby ktoś przeciął wnętrze twojej głowy.

Niewielkie lawiny w kopalni San José zdarzały się średnio co miesiąc – odrywały górników od obowiązków jedynie na chwilę. Pomimo ochronników i basów reggaetonu czy kolumbijskiej cumbii płynących prosto do ich uszu, charakterystyczne trzaski i odgłosy pęknięć nigdy nie uchodziły ich uwagi. Uderzenie kamienia o kamień. I zawsze w zaledwie kilka sekund wszyscy znajdowali się w schronie. Następne minuty przynosiły całą serię następstw – w najlepszym wypadku tumany duszącego kurzu, w najgorszym – wiadomość, że któryś z ich kolegów został przysypany. Zwykle wszystko trwało kilka godzin. Ale dziś było inaczej.

– Prawdziwy „efekt tłoka" jest niczym eksplozja. To niski dźwięk przypominający odgłos stada galopujących bawołów. Nie

ma zbyt wiele czasu na reakcję – wyjaśnił Miguel Fortt, jeden z najlepszych specjalistów w dziedzinie ratownictwa górniczego w Chile. – W sumie to niewiele można zrobić.

– Wydawało mi się, że oczy wyjdą mi z orbit – opowiadał Omar Reygadas, pięćdziesięcioszścioletni górnik z wieloletnim doświadczeniem. – Myślałem, że popękały mi bębenki w uszach.

Pomimo kasku i ochronników Reygadas zwijał się z bólu. Bał się, że na zawsze stracił słuch.

Silny podmuch uniósł Víctora Zamorę w powietrze. Jego nieco luźna sztuczna szczęka zniknęła w gruzach. Fale sprężonego powietrza, jak miniaturowe bomby akustyczne, uderzyły w mężczyznę – zostawiły na jego twarzy siniaki i zadrapania. Powietrze było niczym niosące olbrzymią ilość pyłu i kamieni tornado.

Kiedy próbowali wydostać się na powierzchnię, czołgając się, przewracając i prąc w górę szybu, gęsta chmura kurzu i gruzu oślepiała ich i dusiła, pokrywając ich ciała grubą, niemal dwuipółcentymetrową warstwą osadu. Niczym żeglarze w czasie sztormu, uznali to za zemstę niewidzialnej kapryśnej i wszechwładnej bogini, która rządziła ich pełnym grozy światem. Niektórzy zaczęli się modlić.

Araya i inni ludzie, którzy byli wówczas na powierzchni, opowiadali później, że wystrzelone z wnętrza kopalni powietrze przypominało wybuch wulkanu.

Znajdujący się pod ziemią mężczyźni przez kolejne sześć godzin walczyli z unoszącymi się w powietrzu tumanami pyłu. Po zawaleniu się korytarza oślepiła ich chmura skalnych odłamków, brudu i śladowych ilości drogocennych minerałów, takich jak miedź i srebro, które od momentu otwarcia San José w 1889 roku zdołały przyciągnąć sześć pokoleń niezważających na niebezpieczeństwa górników.

– Siedzieliśmy w samochodzie, mieliśmy zamknięte okna, ale i tak myślałem, że pękną mi bębenki – powiedział Franklin Lobos, opisując ciśnienie, które uszkodziło ucho środkowe jego kolegi, José Ojedy.

Dziesięć minut po pierwszym zawale wzgórze ponownie się odezwało. Wyraźnie słyszalny trzask dowodził, że znów oderwały się miliony ton ziemi i kamieni. Przebywające na powierzchni osoby ogarnęła panika.

Operatorzy maszyn i nadzorcy uznali pierwszy huk za „wypalenie dziury", co w górniczym slangu oznaczało odpalenie ładunku wybuchowego. Ale dwa „wypalenia" w ciągu dziesięciu minut? Niemożliwe. Trzeci trzask był przerażający i nie pozostawił żadnych wątpliwości. Strach sparaliżował setki pracujących w okolicy ludzi. Co tam się dzieje? Górnicy nigdy nie detonowali ładunków w tak krótkich odstępach czasu. W odległym zakątku pustyni Atakama zapanowała atmosfera ciekawości i strachu.

Wewnątrz kopalni idąca w górę tunelem grupa około piętnastu górników walczyła z tumanami kurzu, próbując znaleźć wyjście na powierzchnię. W pewnym momencie olbrzymi głaz zagrodził im drogę. Mężczyźni wpadli w panikę.

– Byliśmy ściśnięci niczym stado owiec – opowiadał José Ojeda. Usłyszeliśmy dźwięk... nie wiem, jak go opisać... Był przerażający, jakby skały krzyczały z bólu... Próbowaliśmy posuwać się naprzód, ale nie mogliśmy, ściana kamieni blokowała nam drogę.

Kiedy podjechał do nich pikap prowadzony przez Florencia Ávalosa, wszyscy mężczyźni wskoczyli do środka, ścisnęli się jeden obok drugiego niczym grupa uchodźców. Zjeżdżając w dół, dwa razy wjechali w ścianę, bo nie potrafili odnaleźć drogi w ciemnościach. Kiedy samochód podskoczył na kamieniu, jeden z górników wypadł. Alex Vega wychylił się, chwycił kolegę i wciągnął go z powrotem do środka. W całym tym zamieszaniu nawet nie wiedział, komu pomógł. Jednak podczas

wysiłku coś strzeliło mu w lędźwiach. Dopiero kilka godzin później, kiedy zmniejszył się poziom adrenaliny w jego organizmie, poczuł kłujący ból w plecach.

Przedarcie się na ślepo przez tumany pyłu i powrót do schronu bezpieczeństwa zajęły im około godziny. Kiedy dotarli na miejsce, zamknęli za sobą metalowe drzwi, by unoszący się w powietrzu kurz nie przedostawał się do środka. Następnie na zmianę korzystali z butli tlenowych.

Miejsce, które nazywali schronem bezpieczeństwa, miało pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni i było po prostu wydrążoną w skale jaskinią z pokrytą płytkami ceramicznymi podłogą, wzmocnionym stropem, dwoma butlami z gazem oraz szafką, w której znajdowały się dawno już przeterminowane leki oraz niewielka ilość jedzenia.

– Górnicy często wyjadali żywność, więc nigdy nie wiedzieliśmy, co zostało. Zawsze wykradali czekoladki i ciastka – tłumaczył Araya, ratownik medyczny, który zajmował się również zaopatrzeniem oraz uzupełnianiem zapasów w schronie. – Ale mieli szczęście, bo zazwyczaj trzymaliśmy tam tylko jedną butlę z tlenem, a tamtego dnia były dwie.

Luis Urzúa, zwany „Lucho", mężczyzna o łagodnym głosie, próbował zapanować nad grupą. W górnictwie pracował od dwudziestu lat, do tego zajmował się trenowaniem amatorskiej drużyny piłkarskiej – w związku z tym niemal instynktownie podejmował się przywództwa. Jako brygadzista zmianowy oficjalnie kierował zespołem, jednak ponieważ w San José był zatrudniony dopiero od trzech miesięcy, prawie nie znał swoich podwładnych.

Po przeszukaniu okolicy Urzúa oszacował zapasy: dziesięć litrów wody, jedna puszka brzoskwiń, dwie puszki groszku, jedna puszka łososia, szesnaście litrów mleka – osiem o smaku bananowym i osiem o smaku truskawkowym, osiemnaście litrów soku, dwadzieścia puszek tuńczyka, dziewięćdziesiąt sześć paczek krakersów i cztery puszki fasolki. W normalnych warunkach zgro-

madzone pożywienie miało wystarczyć dziesięciu górnikom na czterdzieści osiem godzin. Ale było ich tam trzydziestu trzech.

– Tego dnia wielu z nas zostawiło lunch na górze – powiedział Mario Sepúlveda. – Mieliśmy znacznie mniej jedzenia niż zwykle.

Około czwartej po południu, jakieś dwie i pół godziny po pierwszym trzasku pękających skał, kopalnia całkowicie się zawaliła.

– Przypominało to wybuch wulkanu, wzgórze wypluwało odłamki skalne i chmury pyłu – opowiadał Araya. Dźwięk, który rozległ się na powierzchni, kiedy zawaliła się 250-metrowa część korytarza, opisał następująco: – Nie trwał zbyt długo. Taki ostatni huk, ostateczne zapadnięcie się kopalni.

Ten ostatni odgłos, o którym mówił Araya, towarzyszył spadnięciu ważącej około 700 tys. ton skały, która zablokowała jedyne wejście. Uwięzieni pod ziemią górnicy doskonale wiedzieli, że nawet w tak niebezpiecznym miejscu jak San José, takie dźwięki nigdy nie były słyszane. Chmura unoszącego się wokół pyłu wywołała u nich ostry kaszel i łzawienie, a także częściowo ich oślepiła. Niektórzy mieli oczy zalepione żółtawą mazistą wydzieliną. Jednak nawet gdy udawało im się je otworzyć, wokół panowała przerażająca ciemność. Ze ścian spływały cienkie strumienie wody.

Kiedy opuścili schron, ich walka z pyłem zamieniła się w zmagania z pokrytym błotem śliskim zboczem. Odgłosy osypujących się kamieni i odłamków odbijały się echem w rozciągającej się na długości półtora kilometra jaskini, w której zostali uwięzieni. Mężczyźni błądzili w ciemnościach; wyłączali lampy, by oszczędzać cenne baterie.

Ich koszmar dopiero się zaczynał.

DWA

ROZPACZLIWE POSZUKIWANIA

CZWARTEK 5 SIERPNIA, GODZINA 17.40

Mario Segura wrócił na komisariat policji w Copiapó zmarznięty i przemoczony. Po czterech godzinach szkolenia w lodowatym Pacyfiku umięśniony komandos marzył jedynie o gorącym prysznicu i zimnym piwie ze swoim kumplem José Ñancucheo. Obydwaj byli członkami GOPE (chilijskiej policyjnej grupy do zadań specjalnych), elitarnej jednostki szkolonej do ekstremalnych zadań – od rozbrajania bomb po zjeżdżanie na linie w głąb wulkanów, których w Andach, łańcuchu górskim rozciągającym się w Chile na długości prawie 4,5 tys. kilometrów, znajdują się setki. To ich wysyła się na poszukiwania ciała spragnionego dużej dawki adrenaliny turysty, który poślizgnął się, stojąc na krawędzi wulkanu. To oni wzywani są, gdy jakiś szaleniec o anarchistycznych poglądach postanowi podłożyć bombę w biurowcu (w Santiago zdarza się to mniej więcej co miesiąc).

Jako jedna z najlepiej wyszkolonych i najbardziej doświadczonych jednostek policyjnych w Ameryce Południowej, oddział cieszy się dużym uznaniem na całym kontynencie. Członkowie GOPE spędzają wiele godzin w siłowni, na strzelnicy oraz

w bazie, gdzie przygotowują akcje ratownicze. Piątego sierpnia, po wielu godzinach szkolenia z zakresu ratownictwa nurkowego, Segura i Ñancucheo kończyli właśnie zmianę, gdy rozległ się dźwięk telefonu.

– Założę się, że to jakaś akcja – zażartował Segura, siadając wraz z kolegami przy stole, by zjeść kanapki i napić się herbaty. Jeden z jego współpracowników podniósł słuchawkę. Segura już po chwili zdał sobie sprawę, że jego zmęczenie gdzieś wyparowało, był gotowy do działania. Rozmowa była krótka, nie dostarczyła im zbyt wielu szczegółów. Kolejny wypadek w kopalni. Tym razem w San José, na wzgórzu oddalonym o ponad 40 kilometrów od ich bazy.

– Wychodząc, spojrzałem na zegarek. Była osiemnasta – relacjonował Segura. – Powiedziałem do Mendeza: Spokojnie, za trzy godziny będziemy z powrotem. Akcje ratownicze zawsze trwają trzy godziny. Oznajmiłem: *Compadre*, zjemy coś po powrocie. Wyłączyłem czajnik, ale zostawiłem na stole przygotowane już kubki z herbatą.

Sześciu mężczyzn załadowało 100-metrową linę, rękawice, uprzęże wspinaczkowe oraz skrzynie z karabinkami, kaskami i czołówkami do pikapa nissana z napędem na cztery koła. Wpakowali też pomarańczową walizkę z lampami oświetleniowymi, podobnymi do tych, których używa się podczas profesjonalnych sesji zdjęciowych, jednak w pośpiechu zapomnieli ważnego elementu wyposażenia: statywu bezpieczeństwa, który pozwala na centralne umieszczenie liny ponad szybem ratunkowym, co ułatwia szybki zjazd i wydostanie się na powierzchnię. Za ten błąd przyjdzie jednemu z nich słono zapłacić.

W świetle znikającego za horyzontem słońca policyjny pikap pędził na sygnale w stronę kopalni. Na tej odludnej pustyni panowała właśnie „godzina szczytu", a mijane przez nich samochody zjeżdżały na pobocze. Mężczyźni niewiele rozmawiali, powtarzając w myślach procedury ratownicze. Dojecha-

nie na miejsce zajęło im zaledwie trzydzieści pięć minut, choć jazda była bardzo niebezpieczna. Ostre zakręty i pojawiająca się nagle mgła, pozostawiająca na drodze cienką, niewidoczną warstwę wody, tłumaczą, dlaczego wypożyczalnie w regionie wyposażają swoje samochody nie tylko w podwójne stabilizatory zawieszenia i dwie opony zapasowe, ale także w pokaźnych rozmiarów apteczkę.

Kiedy komandosi dotarli do kopalni, czekali już na nich geolog i geofizyk, którzy na szybko naszkicowali im plan kopalni oraz wskazali domniemane miejsce uwięzienia górników. Nie było czasu, by znaleźć dokładne mapy, w związku z czym cała akcja ratunkowa oparta była na domysłach. Geolog był skupiony i pełen niepokoju.

– To naprawdę skomplikowana akcja – powiedział sześciu członkom oddziału. – Potrzebujemy dużo czasu.

Zaproponował, by poszukiwania rozpocząć od szybu wentylacyjnego i to nim spróbować dotrzeć do serca kopalni, po czym wskazał na szkicach jego położenie. Do przeszukania było wiele kilometrów korytarzy. Czy górnikom udało się dotrzeć do znajdującego się na samym dole schronu bezpieczeństwa? A może są jakieś czterysta metrów wyżej, w warsztacie? Wiedząc, że pod ziemią znajduje się kilkanaście pojazdów, ratownicy brali pod uwagę możliwość, że górnicy przeżyli, jednak zostali uwięzieni w przygniecionych skalnymi odłamkami samochodach.

Poszukiwani mężczyźni, jeśli wciąż żyli, mogli być w każdym miejscu.

Początkowo wydawało się, że kierownictwo kopalni bagatelizuje sprawę i nie dostrzega skali katastrofy. Javier Castillo, przedstawiciel związków zawodowych San José, który jako pierwszy powiadomił władze o wypadku, powiedział później, że zarząd początkowo zabronił im wezwania pomocy przez kopalniane telefony. Angelica Alvarez, żona uwięzionego Edisona Peñi, również pamięta tę pierwszą reakcję zarządu:

– Górnicy chcieli zadzwonić, a ponieważ komórki nie mają na wzgórzu zasięgu, poprosili o to, by mogli skorzystać z telefonu stacjonarnego. [...] Ale otrzymali bezwzględny zakaz wzywania straży pożarnej, karetki czy policji. Prezesi chcieli to załatwić sami, po cichu.

Kiedy zastępy wspinaczy, doświadczonych górników i członków GOPE rozważały dostępne możliwości, rodziny uwięzionych górników oraz obywatele Chile wpatrywali się z niedowierzaniem w ekran telewizora. W wiadomościach podawano właśnie informację, że zawaliła się kopalnia San José. Wyświetlano listę nazwisk osób mających wówczas zmianę:

1. *Luis Alberto Urzúa Irribarren*
2. *Florencio Ávalos Silva*
3. *Renán Anselmo Ávalos Silva*
4. *Samuel Ávalos Acuña*
5. *Osmán Isidro Araya Araya*
6. *Carlos Bugueño Alfaro*
7. *Pedro Cortez Contreras*
8. *Carlos Alberto Barrios Contreras*
9. *Jonny Barrios Rojas*
10. *Víctor Segovia Rojas*
11. *Darío Arturo Segovia Rojo*
12. *Mario Sepúlveda Espinaze*
13. *Franklin Lobos Ramírez*
14. *Roberto López Bordones*
15. *Jorge Galleguillos Orellana*
16. *Víctor Zamora Bugueño*
17. *Jimmy Alejandro Sánchez Lagues*
18. *Omar Orlando Reigada Rojas*
19. *Ariel Ticona Yáñez*
20. *Claudio Yáñez Lagos*
21. *Pablo Rojas Villacorta*
22. *Juan Carlos Águila Gaeta*

23. *Juan Andrés Illanes Palma*
24. *Richard Villarroel Godoy*
25. *Raúl Enrique Bustos Ibáñez*
26. *José Henríquez González*
27. *Edison Peña Villarroel*
28. *Alex Richard Vega Salazar*
29. *Daniel Herrera Campos*
30. *Mario Gómez Heredia*
31. *Carlos Mamani*
32. *José Ojeda*
33. *William Órdenes*

Dla wielu rodzin to właśnie telewizja była pierwszym źródłem informacji o katastrofie. Właściciele kopalni nie tylko zawiadamiali krewnych z pewnym opóźnieniem, ale również pozwolili, by na liście znalazły się błędy. Nie było na niej nazwisk dwóch górników, Estebana Rojasa i Claudia Acuñi. Ich rodziny przeżyły chwile rozpaczy i grozy, próbując dowiedzieć się prawdy o losie swoich bliskich. Podobnych rozterek doświadczyły rodziny Williama Órdenesa i Roberta Lópeza, którzy zostali uznani za zaginionych, choć w czasie wypadku znajdowali się poza kopalnią. Natychmiast wyszło na jaw, że w kopalni nie przywiązywano zbyt dużej wagi do ewidencji pracowników, zasad bezpieczeństwa oraz prowadzenia dokumentacji.

Słysząc informacje o osunięciu się skał, krewni uwięzionych górników zaczęli przybywać na miejsce zdarzenia i domagać się odnalezienia ich bliskich. Zdając sobie powoli sprawę ze skali katastrofy, ratownicy szukali odpowiedzi na coraz trudniejsze pytania. W jaki sposób dotrą na głębokość 700 metrów? Czy w ogóle możliwa będzie ewakuacja rannych znajdujących się tak głęboko? Czy zejście do kopalni jest bezpieczne?

Przygotowywano dwa plany działania – jeden zakładający, że górnicy przeżyli, i drugi mniej optymistyczny. Gdyby się

okazało, że wszyscy zginęli, władze postanowiły, iż wydobędą ciała zasypanych osób – zrobią co tylko możliwe, aby zrozpaczone rodziny mogły je godnie pochować. Ze względu na czasy dyktatury Augusta Pinocheta w latach 1973–1990, kiedy to trzy tysiące chilijskich obywateli zostało zamordowanych, a ich ciała „zniknęły", pozostawienie martwych górników pod ziemią, a tym samym pozwolenie, by „zniknęli", po prostu nie wchodziło w grę.

Natychmiast po zawaleniu się kopalni przebywający na powierzchni pracownicy podjęli próby przedostania się do jej wnętrza, początkowo samochodami, a potem na piechotę, jednak nie było to możliwe. Światła czołówek i latarek nie potrafiły przebić się przez unoszący się w powietrzu pył. Olbrzymich rozmiarów pęknięcia, z których sączyły się strumienie wody, pokazywały skalę katastrofy. Poza unoszącą się w powietrzu chmurą kurzu, ratownicy nie widzieli praktycznie nic. Z kopalni dobiegał dźwięk spadających w dół i roztrzaskujących się o ziemię odłamków skalnych pomieszany ze złowieszczymi jękami przypominającymi odgłosy wydawane przez duszonego potwora. Góra płakała, a ratownicy starali się unikać jej łez.

– Górnicy zawsze mówią, że góra żyje. To znaczy, że się porusza – wyjaśnił porucznik José Luis Villegas, kierujący akcją ratowniczą GOPE w kopalni San José. – Mówią tak, ponieważ skały wydają odgłosy przypominające przeraźliwy ryk. Tym razem ryczała cała góra.

Niedbale wykute wejście do kopalni jest dziurą w kształcie koślawego prostokąta o szerokości prawie dwukrotnie większej od wysokości. Przypomina otwartą paszczę wściekłego lwa. Wyboisty chodnik schodzi w dół, w bezdenną otchłań, jest jak ścieżka prowadząca do innego świata. Korytarze o długości około sześciu i pół kilometra wiją się niczym wąż, penetrując wnętrze ziemi. Gdyby przeciąć wzgórze na pół i spojrzeć na nie z boku, kopalnia wyglądałaby jak boa dusiciel z długim chropowatym ciałem i widocznymi w różnych miejscach wybrzuszeniami.

Przy wejściu stoi zniszczony zielony znak z nazwą firmy – San Esteban Primera S.A. – olbrzymim rysunkiem przedstawiającym kask i robocze buty oraz sloganem spółki: „Praca uszlachetnia. Wykonując ją, przestrzegaj zasad bezpieczeństwa". Kiedy ratownicy weszli do wnętrza kopalni, ich oczom ukazała się popękana ziemia, ściany i stropy. Żadnych oznak życia, tylko zniszczony korytarz.

W tych pierwszych godzinach, kiedy wokół panował chaos, nad kopalnią wciąż unosiły się tumany pyłu. Nocne zimowe powietrze przeszywało zgromadzonych wokół ludzi. Mario Segura był jednym z pierwszych policjantów, którzy podjęli próbę zejścia w dół.

– Poszliśmy korytarzem w dół, tak daleko, jak to tylko było możliwe. Ale w pewnym momencie drogę zagrodziła nam olbrzymia skała. Zwykle w takich wypadkach udaje się znaleźć szczeliny przy brzegach, ale tym razem kamienie dokładnie zablokowały przejście – mówił Segura. – Nawet eksperci nie potrafili wytłumaczyć, dlaczego góra zawaliła się w taki sposób i skąd się wzięła taka ilość kamieni. Bo żeby całe wzgórze tak runęło? Nikt nie potrafił tego zrozumieć.

Okazało się, że odłam skalny, który spowodował katastrofę, był wielkości olbrzymiego statku o długości około 100 metrów, grubości 30 metrów i wysokości 120 metrów. Późniejsze obliczenia pozwoliły ustalić, że ważył około 700 tys. ton, czyli prawie dwa razy więcej niż Empire State Building i 150 razy więcej niż „Titanic". Kiedy zdali sobie sprawę, że nie uda im się przedostać przez tak wielką skałę, członkowie GOPE odszukali szyb wentylacyjny, nazywany *chimenea*, i używając sprzętu do wspinaczki górskiej, rozpoczęli zejście w głąb wciąż zapadającej się i wydającej ponure jęki kopalni.

Czterech policjantów obserwowało osuwający się strop i asekurowało dwóch pozostałych, którzy na linach zjeżdżali powoli w głąb okrągłego szybu o średnicy dwóch metrów. Nie mając ze sobą statywu bezpieczeństwa, który zapewniłby właściwe uło-

żenie liny i zapobiegł jej ocieraniu się o ostre skały, mężczyźni zmuszeni byli improwizować. Przymocowali liny do zderzaka pikapa. Cały czas starali się zapobiec ich ocieraniu się o skały.

– Po chwili jakieś pięć metrów od nas runęła lawina kamieni. Na początku brzmiało to niczym drobny deszcz. Ale potem usłyszeliśmy huk i zawalił się strop. Tuż obok nas – opowiadał Segura. – W takich sytuacjach trzeba być ostrożnym, bo nigdy nie wiadomo, gdzie spadną odłamki.

Zgodnie z chilijskim prawem górniczym, każdy szyb wentylacyjny powinien być wyposażony w drabinę ewakuacyjną. Ale w San José nikt nie przejmował się przepisami. Ivan Toro, jeden z byłych górników, pamięta, że gdy rozpoczął tam pracę, czyli w 1985 roku, standardowym obuwiem roboczym były tenisówki. We wrześniu 2001 roku, kiedy Toro siedział w korytarzu, czekając na samochód mający zabrać go na powierzchnię, zawaliła się część stropu.

– Słyszeliśmy dźwięk pracujących wyżej maszyn. Nagle odpadł kawałek skały. Ja ucierpiałem najbardziej, bo spadł prosto na moją nogę. Zostały z niej strzępy, więc musieli ją amputować. Kiedy dowieziono mnie do szpitala, straciłem przytomność – opowiadał. Początkowo kopalnia odmówiła wypłaty odszkodowania, ponieważ Toro siedział w czasie pracy. Udało mu się jednak wygrać sprawę w sądzie. Niestety na chilijskim wolnym rynku odszkodowanie za utratę nogi było niewspółmiernie niskie do poniesionej krzywdy. Sąd przyznał mu 15 milionów pesos (po rewaloryzacji około 45 tys. dolarów).

Praca w kopalni San José była śmiertelną grą, w której wygraną stanowiło złoto, a przegrana oznaczała śmierć. Już na pierwszy rzut oka jej wnętrze wyglądało niebezpiecznie, jak jedno z miejsc w filmach z Indianem Jonesem, tylko bez czających się wokół węży. Cuchnące bajora. Ukryte jaskinie. Sypiące się stropy i przyczepione do nich metalowe siatki, zabezpieczające przed spadającymi kamieniami. Wokół unosił się zapach saletry amonowej pomieszanej z wilgocią. Choć górnicy wypalali

mnóstwo papierosów, chmury dymu tytoniowego były niemalże niedostrzegalne. W takim miejscu perspektywa śmierci na skutek raka płuc wydawała się kiepskim żartem – nikomu przecież i tak nie uda się przeżyć dostatecznie długo.

Nieprzestrzeganie standardowych procedur obowiązujących w górnictwie, które wymagają umieszczenia obudowy podporowej w wyrobiskach, sprawiło, że kopalnia przypominała gigantyczny kawałek szwajcarskiego sera zaatakowanego przez wygłodzone szczury. I choć nie można naukowo wyjaśnić przyczyn osunięcia się skał, późniejsze badania i analizy pokazały, że drążone przez lata w przypadkowy i nieprzemyślany sposób chodniki pozbawiły San José kręgosłupa, na którym opierałaby się cała konstrukcja.

– Pozbyli się nawet podtrzymujących całą konstrukcję podpór – mówił Vincenot Tobar, były inspektor do spraw bezpieczeństwa kopalni. – Takich rzeczy się nie robi. Podpory powinny się znajdować co pięćdziesiąt metrów, bo to właśnie one zapobiegają takim wypadkom.

Teraz jednak policjanci znajdowali się wewnątrz zawalonej kopalni i zjeżdżali powoli w dół piętnastometrowego szybu, w którym brakowało wymaganych prawem drabinek ewakuacyjnych. Po chwili byli już w głównym korytarzu i podejrzliwie przyglądali się otoczeniu – nierównym stropom i wyglądającym na wiszące na ostatnich, niewidzialnych nitkach skałom. Mierzący około pięciu metrów wysokości i sześciu metrów szerokości tunel był wystarczająco duży, by przejechała nim załadowana po brzegi kopaliną wywrotka. Temperatura ponad 30 stopni i ponad 100 kilogramów sprzętu sprawiały, że po plecach ratowników spływały strumienie potu.

Segura i Villegas byli przyzwyczajeni do makabrycznych widoków – widzieli ofiary zamachów bombowych, wraki samochodów i wzdęte ciała unoszone falami oceanu. Jednak ta katastrofa miała zupełnie inny wymiar. Kopalnia, w której się znajdowali, była labiryntem podziemnych tajemniczych korytarzy. W olbrzymich wyrobiskach i wydrążonych tunelach wydawało się,

że tuż za rogiem, poza zasięgiem wzroku, czają się żywe istoty, toczy się życie. Siatki przytwierdzone do stropów – mające zatrzymywać odpadające odłamki – były pełne kawałków skał.

Ratownicy nie mogli się pozbyć wrażenia, że kopalnia jest olbrzymim, przypominającym Godzillę potworem, który w każdej chwili może ich zmiażdżyć i połknąć. Nie mogli się pozbyć wrażenia, że czeka ich śmierć.

– Wiedziałem, że musimy szukać dalej, ale te odgłosy... odgłosy płaczących, krzyczących skał – mówił Segura, który wraz ze swoim partnerem odnalazł kolejny szyb wentylacyjny i zjechał jeszcze niżej. Rozglądając się wokół, przystanęli na chwilę i zawołali: *Estaaaaaaaaaaaan?!* [Jest tam ktooooooo?!]. Nasłuchiwali przez chwilę. Ale jedyną odpowiedzią był chlupot wody płynącej przez nowo powstałe pęknięcia oraz stukot spadających kamieni. Osunięcie skał spowodowało rozerwanie zbiorników wodnych, w związku z czym wnętrze kopalni pokryte było błotem, a wilgotność sięgała 85 procent. W slangu górników kopalnia była *asentando*, co znaczyło, że górotwór wciąż się osuwa.

– Każdy szyb wentylacyjny pokrywa metalowa siatka zapobiegająca wpadaniu skał do środka – wyjaśnił Segura. – Ale tym razem odpadło ich tak wiele, że gdy znaleźliśmy się u stóp kolejnego szybu, było tam pełno skalnych odłamków.

– Odczuwaliśmy olbrzymi niepokój. Zjechaliśmy na kolejny poziom, ale korytarz wciąż był zablokowany. Więc próbowaliśmy dalej – opowiadał porucznik Villegas. – Mówiliśmy: Dalej na pewno będzie w porządku. I jechaliśmy jeszcze niżej, ale wszędzie było tak samo, nie można było przedostać się do tunelu.

Kiedy drugi zespół komandosów próbował znaleźć sposób na ominięcie zagrodzonego szybu, spadł kolejny deszcz kamieni. Dla ratowników było to niczym splunięcie w twarz.

– Schodzili w dół, kiedy nastąpiło kolejne osunięcie – powiedział Villegas. – Potem już w ogóle nie można było wejść do szybu.

Kiedy ratownicy prowadzili poszukiwania uwięzionych mężczyzn, wieść o wypadku rozchodziła się z prędkością błyskawicy. Zawaliła się kopalnia San José, w środku jest 33 górników. Pojawiało się również coraz więcej plotek. Jedna z nich głosiła, że 22 górników zostało zmiażdżonych i straciło życie.

– Usłyszałam, że znaleźli samochód mojego ojca. Że była w nim krew, a on nie żyje. Przepłakałam cały dzień – opowiadała Carolina Lobos, dwudziestopięcioletnia córka Franklina Lobosa. – Nie miałam już łez, ale wciąż płakałam.

Doktor Jorge Díaz, dyrektor do spraw medycznych Asociación Chilena de Seguridad (ACHS), spółki ubezpieczeniowej, która pokrywała koszty wypadków w kopalni San José, miał tego dnia dyżur w szpitalu w Copiapó. Słysząc o zawaleniu się kopalni, natychmiast przygotował szpitalne łóżka, wezwał dodatkowych pracowników i czekał, gotów do udzielenia rannym pomocy. Ale nikt nie przyjechał.

Po bezowocnej próbie przekonania męża, Maria Gómeza, do pozostania w domu tego feralnego poranka, Lillian Ramírez czekała zaniepokojona w domu. Kiedy o godzinie 20 usłyszała podjeżdżający samochód, który zwykle przywoził jej męża do domu, włożyła obiad do mikrofalówki.

– Zdziwiło mnie, że tak dużo czasu zajmuje mu dojście do drzwi, więc rozsunęłam zasłony i zobaczyłam szefa mojego męża... To było przedziwne uczucie. Natychmiast zakryłam usta dłońmi i powiedziałam: Boże, coś się stało.

Kierownik wyjaśnił, że wydarzył się mały wypadek, i zapewnił, że następnego dnia sytuacja na pewno zostanie opanowana. Odmówił podania jakichkolwiek szczegółów, co wywołało jeszcze większe przerażenie u Lillian – natychmiast zadzwoniła po swojego bratanka, prosząc, by zawiózł ją do kopalni. Do domu wróciła dopiero po kilku miesiącach.

Złota pustynia otaczająca wejście do kopalni pokryta była szarym osadem i kawałkami skał, które górnicy nazywali „jałowym materiałem". Ponieważ nie zawierały one nawet śladó-

wych ilości miedzi i złota, porzucano je – piętrzyły się wokół w niewielkich stosach.

Te „jałowe" skały stanowiły teraz osłonę przed wiatrem dla wciąż rosnącej liczby krewnych i bliskich uwięzionych górników, którzy przybywali na wzgórze. Przy maleńkich ołtarzykach ze zdjęciami i świecami pojawiały się teraz różnego rodzaju transparenty, na przykład „Fuerza Mineros – Los Estaban Esperando" (Górnicy, bądźcie silni – czekamy na was). Twarz Jimmy'ego Sáncheza spoglądała na ludzi z ponurego zdjęcia, które zostało dołączone do jego podania o pracę, krzycząc bezgłośnie. Na pobliskiej skale leżał pomarańczowy kask górniczy, osłaniający dwie zapalone świeczki.

Dziesiątki, a następnie setki ludzi – członkowie rodzin i znajomi zasypanych mężczyzn – zjawiło się na miejscu tragedii tamtego wieczora oraz następnego dnia o świcie. Przywieźli ze sobą śpiwory, jedzenie i papierosy – czekając nieopodal wejścia do kopalni, cały czas je palili.

– Wiem, że jest w stanie to przetrwać. Kiedyś płynął na gapę statkiem towarowym i nic nie jadł przez dwanaście dni – opowiadała Rossana Gómez. Dwudziestoośmiolatka z dumą opisywała swojego ojca, Maria Gómeza, najstarszego z uwięzionych mężczyzn. – Poza tym przeżył *el accidente* – przypomniała, odnosząc się do wybuchu ładunku, który wiele lat wcześniej pokiereszował mu lewą dłoń. – W myślach przesyłam mu spokój i słowa otuchy – dodała, przekonana, że ojciec, który zawsze marzył o synu, z którym mógłby podzielić się swą wiedzą i umiejętnościami, dzięki jej wierze zostanie uratowany i będzie mógł spełnić swoje marzenia.

Gómez, mający tylko siedem palców u rąk i niewydolne płuca, przeżył tak wiele, że z pewnością łatwiej mu było zaadaptować się do nowych warunków na dnie kopalni. Mógł więc pomóc młodszym, słabszym kolegom, podzielić się z nimi swoją wiedzą na temat sztuki przetrwania. Rossana z dumą zachwalała swojego ojca, twierdząc, że „potrafi tchnąć w ludzi siłę i wiarę".

Osobą potrzebującą największego wsparcia był bez wątpienia Boliwijczyk Carlos Mamani, jedyny obcokrajowiec w grupie. Piąty sierpnia był dla niego pierwszym dniem pracy – zdecydował się podjąć dodatkowe zajęcie, by pokryć koszty utrzymania swojej jedenastomiesięcznej córeczki Emili. A teraz był uwięziony. W dodatku ze względu na trwającą od ponad stu lat wzajemną niechęć Chilijczyków i Boliwijczyków, jego sytuację tam na dole można by porównać do sytuacji Serba ukrywającego się w znajdującej się na terenie Chorwacji lisiej norze.

Z trzydziestu trzech mężczyzn, dwudziestu czterech pochodziło z Copiapó, pobliskiego miasteczka górniczego, liczącego sto dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Gospodarka tego ośrodka aż w około siedemdziesięciu procentach zależy od górnictwa; większość mężczyzn w okolicy pracowała w tej branży, podobnie jak ich ojcowie i dziadkowie. Wiadomość o wypadku praktycznie nikogo tu nie zaskoczyła. W „El Atacameño", lokalnej gazecie, regularnie pisano o zmiażdżonych lub poćwiartowanych górnikach. Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że ta sytuacja jest zupełnie inna, nawet ludzie płynnie mówiący językiem górniczych tragedii. Wyróżniała ją głębokość, na której doszło do zawału, a także liczba ofiar.

Górzyste tereny pustynne i typowe dla Chile solniska skrywają tak olbrzymie bogactwa, że ponad połowa przychodów krajowego eksportu pochodzi właśnie z górnictwa. W dobrym miesiącu kraj ten eksportuje miedź o wartości 4 miliardów dolarów. Jedna trzecia tego surowca na świecie pochodzi właśnie z Chile. „Zielone złoto" od dwudziestu lat przyczynia się do sukcesu gospodarczego tego kraju. Niestety, społecznościom zamieszkującym górnicze tereny naturalne bogactwa przynoszą minimalne korzyści. Ponieważ w ciągu ostatnich pięciu lat ceny miedzi wzrosły niemal trzykrotnie z poziomu 2,40 dolara za kilogram do ponad 6 dolarów, stare hałdy i nieopłacalne kopalnie zostały

poddane ponownej ocenie. Miejsca, w których przy cenie 2,40 dolara za kilogram miedzi wydobycie uznano za nierentowne, mogły przynosić zyski, jeżeli cena utrzymałaby się na poziomie ponad 5 dolarów. Dlatego zamknięte niegdyś kopalnie uznane za niebezpieczne stały się nagle cenne i dochodowe.

Choć w regionie Atakama dokonuje się największych operacji wydobywczych, zajmuje on drugie miejsce w Chile pod względem wysokości bezrobocia. Szacuje się, że dochody spółek miedziowych wyniosły w 2009 roku 20 miliardów dolarów – mimo to rejon ten należy do najbiedniejszych w Chile, co pokazują rządowe statystyki. „Innymi słowy, jeden z najbogatszych regionów w kraju jest jednocześnie najuboższym" – podsumowano w artykule zamieszczonym w „The Clinic", alternatywnym tygodniku informacyjnym z Santiago.

Choć poglądy gromadzących się wokół kopalni rodzin górników różniły się w wielu kwestiach, wszyscy zdawali się zgadzać co do jednego – tę tragedię bez wątpienia można było przewidzieć, była tylko kwestią czasu. Yessica Chilla, partnerka Daría Segovii, uwięzionego pod ziemią czterdziestoośmiolatka, opowiadała później:

– Dzień przed katastrofą powiedział mi, że góra się niedługo zawali i że nie chciałby być wtedy pod ziemią. Ale potrzebowaliśmy pieniędzy. Kiedy skończył zmianę, zaproponowali mu nadgodziny. Nikt w takich momentach nie odmawia, bo płacą podwójnie. Tego dnia miał zarobić dziewięćdziesiąt tysięcy pesos (175 dolarów). Planował wkrótce rzucić tę pracę i założyć własną firmę transportową.

Elvira Katty Valdivia usłyszała o wypadku wiele godzin później.

– Zadzwoniła do mnie koleżanka ze szkoły i zapytała: „Katty, słyszałaś, co się stało? W telewizji wyświetlają listę osób uwięzionych w kopalni. Jest na niej Mario". Powiedziała, żebym natychmiast włączyła telewizor. Po chwili zobaczyłam listę, a na niej nazwisko: Mario Sepúlveda.

Katty ma ciemną skórę, proste czarne włosy i przenikliwy wzrok, w którym można dostrzec, jak ciężkie były dla niej ostatnie tygodnie. Siedząc z laptopem przy rozłożonym nieopodal wejścia do kopalni namiocie, prowadziła rachunkowość klientów firmy, w której pracuje. I kiedy dbała, by ich księgi były w najlepszym porządku, w jej życiu panował jeden wielki chaos. Przy odrobinie szczęścia, tuż przy jej stopach zostanie wywiercony szyb prowadzący do miejsca, w którym jej mąż walczył i modlił się o przetrwanie.

– Naprawdę mu współczuję. Ja jestem tu, a on tam, głęboko, siedemset metrów pod ziemią – powiedziała, wskazując palcem na podłoże. – Chciałabym móc być przy nim, dotknąć go, powiedzieć mu, jak bardzo go kocham. – Valdivia ma żal do właścicieli kopalni: – Nic mi nie powiedzieli. Nikomu nie powiedzieli. Nie poinformowali nas, że nasi bliscy zostali uwięzieni.

Jej pracodawca, amerykańska firma Price Waterhouse, zapewniła ją, że otrzyma całość wynagrodzenia za okres, w którym czuwała na jałowej ziemi, czekając na wieści o losie swojego męża. Valdivia i jej dwie córki, osiemnastoletnia Scarlette i trzynastoletnia Francisca, zorganizowały sobie na wzgórzu tymczasowy dom. Wokół wciąż krążyły plotki o śmierci górników, które sprawiały, że cały świat Valdivii rozpadał się powoli na kawałki.

– Ludzie biegali wokół, krzycząc – opowiadała. – Mój syn płakał, a ja próbowałam go pocieszyć. To były naprawdę ciężkie chwile. Nie potrafiłam zasnąć. Pytałam siebie: Dlaczego ja? Dlaczego ja? Dlaczego musiało się to przytrafić właśnie nam?

Kiedy pojawiły się pierwsze wiadomości o wypadku, prezydent Piñera przebywał w Quito w Ekwadorze. Nikogo nie zdziwiłoby, gdyby w jego głowie pojawiły się te same pytania, które zadawała sobie Katty Valdivia: „Dlaczego ja? Dlaczego musiało się to przytrafić właśnie nam?". W jego niezbyt dłu-

giej karierze prezydenta Chile była to już druga tragedia. Zaledwie cztery miesiące wcześniej przejął władzę nad boleśnie doświadczonym przez los narodem – 27 lutego 2010 roku kraj dotknęło silne trzęsienie ziemi, w wyniku którego setki tysięcy ludzi zostały pozbawione dachu nad głową, a kolejne setki straciły życie w rezultacie wywołanego wstrząsami tsunami. Trzęsienie ziemi o sile 8,8 stopnia w skali Richtera, piąte największe, jakie kiedykolwiek odnotowano, nie mogło pozostać bez wpływu na polityczne plany nowej głowy państwa. Zamiast wprowadzać w życie innowacyjne pomysły i rozwiązania, jego współpracownicy zajmowali się zawalonymi budynkami z suszonej na słońcu cegły, zdewastowanymi szpitalami i gruzami pokrywającymi nowoczesne autostrady o łącznej długości około 2 tys. kilometrów.

– Byłem w Ekwadorze na spotkaniu z prezydentem Correą – powiedział Piñera. – Szybko oceniliśmy sytuację. Trzydziestu trzech mężczyzn uwięzionych siedemset metrów pod ziemią. Zebraliśmy informacje o ich miejscu pracy i zdecydowaliśmy, że sytuacja jest wyjątkowa. Mężczyźni nie mogli w żaden sposób odpowiedzieć ani wskazać miejsca swojego pobytu. Dlatego nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy wziąć sprawy w swoje ręce, inaczej nikt by się tym nie zajął. To naprawdę była bardzo prosta decyzja, prostsza, niż by się mogło wydawać.

Nie bacząc na protokół dyplomatyczny, prezydent odwołał spotkanie z Juanem Manuelem Santosem, nowo wybranym prezydentem Kolumbii, i natychmiast wrócił do Chile. Jeszcze tej samej nocy ściągnął na miejsce zdarzenia dodatkową pomoc.

Współpracownikami Piñery powodowała nie tylko chęć pomocy górnikom, w katastrofie upatrywali również okazję do autopromocji i zaprezentowania możliwości pierwszego od około pięćdziesięciu lat demokratycznie wybranego prawicowego rządu. Piñera postanowił postawić swój kurczący się polityczny kapitał na trzydziestu trzech nieznanych górników. Podję-

ta decyzja i związane z nią ryzyko po raz kolejny potwierdziły talent spekulacyjny miliardera.

DZIEŃ 2: SOBOTA 7 SIERPNIA

Minęły dwa dni od zawalenia się kopalni, jednak wciąż nie znaleziono żadnego śladu życia. W głowach ratowników zaczęły się pojawiać podstawowe pytania i obawy. Czy mężczyźni mają powietrze? Czy są ranni i czy nie umierają powoli w cierpieniach? Co jedzą?

Prowadzące akcję ratowniczą jednostki natrafiły jednak na kolejne utrudnienia. Kiedy próbowały znaleźć sposób na obejście zablokowanej części szybu wentylacyjnego, ten zaczął się walić. Olbrzymia skała wielkości statku wojennego osunęła się odrobinę, powodując lawinę kamieni. Próba odnalezienia górników zamieniła się więc w akcję ewakuacji ratowników i zapobiegnięcia kolejnemu uwięzieniu. Policjanci natychmiast ruszyli na ratunek bombardowanym skalnymi odłamkami kolegom. Akcję spowalniał jednak brak statywu bezpieczeństwa gwarantującego właściwe ułożenie liny, uniemożliwiające jej ocieranie się o wystające skały. Wybierając linę zbyt szybko, mogli ją przetrzeć i narazić życie ratowanej osoby. Zbyt powolne wyciąganie zwiększało ryzyko silnego uderzenia przez opadające kamienie.

– Jesteśmy na to przygotowani. Uczymy się geologii, mamy zajęcia z ratownictwa górniczego – powiedział Hernan Puga, członek GOPE. Stwierdził też, że pobliskie wzgórza kryją około dwóch tysięcy mniejszych kopalni. Według niego zjazd do wnętrza kopalni przypominał trochę ćwiczenia, które odbywali regularnie w ramach przygotowań do akcji specjalnych w więzieniach.

Kiedy wszyscy ratownicy zostali wyciągnięci z szybu, nie cieszyli się, że umknęli śmierci, odczuwali frustrację.

– Byli niepocieszeni – opowiadał dowodzący akcją Villegas. – Wszyscy czuliśmy przygnębienie. Ale wszystko zmieniło

się, kiedy spotkaliśmy się z rodzinami górników. Tchnęli w nas wiarę i nadzieję.

Laurence Golborne, chilijski minister górnictwa, pojawił się w kopalni w sobotę. Ponieważ wszystkie miejsca w samolotach komercyjnych linii były zajęte, wysłano po niego wojskową maszynę – przetransportowano go z Limy, stolicy Peru, prosto do kopalni. Kiedy dotarł na miejsce, natychmiast dostrzegł panujący wokół bałagan i zamieszanie. Zarząd kopalni zupełnie nie radził sobie z tak wielką akcją ratunkową, brakowało też na nią odpowiednich środków. Po dokonaniu szybkiej oceny sytuacji Golborne z dumą poinformował Piñerę, że udało mu się załatwić maszynę wiertniczą. Prezydent spojrzał na niego, zupełnie niewzruszony, po czym powiedział:

– To dobrze. Ale potrzeba nam nie jednej, lecz dziesięciu takich maszyn.

Chciał jednocześnie realizować wiele scenariuszy akcji ratunkowej – stało się to swoistym znakiem rozpoznawczym operacji San Lorenzo.

Ratownicy oznajmili Golborne'owi, że ich zdaniem górnicy wciąż żyją. Nie znaleziono żadnych dowodów świadczących o ich śmierci – żadnych przysypanych pojazdów czy zmiażdżonych ciał dowodzących, że skały osunęły się prosto na nich. Według planu w momencie gdy nastąpił zawał, powinni się znajdować na dużej głębokości, w związku z czym przynajmniej część z nich mogła wciąż żyć, uwięziona w zablokowanych korytarzach.

– Wiedzieliśmy, że mają wystarczającą ilość wody, bo podczas wiercenia zawsze mają do dyspozycji duże zbiorniki. Problemem był tlen – mówił Golborne. – Kiedy zawalił się szyb wentylacyjny, czuliśmy złość i bezsilność. Poinformowaliśmy o wszystkim krewnych górników i wyjaśniliśmy, że nie możemy przeprowadzić tradycyjnej akcji ratunkowej [przez wejście

do kopalni]. Nie chciałem dawać im złudnych nadziei. Obiecałem sobie, że nie będę ich okłamywał. Nie chciałem plotek. W takich sytuacjach ludzie dużo mówią. Pojawienie się pogłoski, że wszyscy zginęli, nie byłoby zaskoczeniem.

W rozmowie z rodzinami uwięzionych mężczyzn Golborne był szczery do bólu. Powiedział, że zawieszono akcję ratunkową. Wydając oświadczenie, załamał się i zalał łzami. Powiedział:

– Nie mam dla was zbyt dobrych wieści.

Ratownicy spakowali sprzęt i powoli opuszczali teren kopalni. W ich ślady poszli strażacy, wspinacze i członkowie GOPE. Segura i Ñancucheo byli zniechęceni i smutni. Wcześniej nie dopuszczali myśli, że może im się nie udać.

– Kiedy zobaczyłam odchodzących członków GOPE, byłam pewna, że wszyscy górnicy nie żyją – powiedziała Carolina Lobos. – Płakałam. Wszyscy płakaliśmy.

– Czułam bezradność i rozpacz – opowiadała Lillian Ramírez. – Członkowie rodzin rozpoczęli strajk. Z drewnianymi kijami, niczym banda chuliganów, szukali szefów kopalni. Złapaliśmy się wszyscy za ręce, uniemożliwiając im wyjście, i oznajmiliśmy, że nie pozwolimy, by ktokolwiek opuścił wzgórze. W napadzie złości i szału popchnęłam policjanta... Później zdałam sobie sprawę, że źle postąpiliśmy, ale w rozpaczy człowiek robi wiele głupot. To część ludzkiej natury. Ważne, by to zauważyć. Naprawdę nie wiedzieliśmy, co się dzieje.

Pablo Ramírez również protestował. Zatrudniony na stanowisku kierownika zmiany Pablo, który był jedną z pierwszych osób zgłaszających chęć wzięcia udziału w akcji ratunkowej, nalegał, by kontynuować poszukiwania uwięzionych mężczyzn. Twierdził, że kiedy był na dole, usłyszał słaby dźwięk klaksonu samochodowego. Koledzy śmiali się z niego.

– Nikt mi nie wierzył – powiedział. – Twierdzili, że nawiedzają mnie dusze zmarłych górników.

TRZY

UWIĘZIENI W PIEKLE

CZWARTEK 5 SIERPNIA, PO POŁUDNIU

Kiedy Pablo Rojas zjechał tego ranka do kopalni San José, męczył go koszmarny kac. Ledwo jego brygada skończyła wzmacniać ściany i podpierać strop, zaszył się w schronie bezpieczeństwa na głębokości 700 metrów pod ziemią, blisko dna kopalni, aby tam – przez nikogo nie niepokojony – chwilę poleżeć w spokoju. Kilka dni wcześniej zmarł jego ojciec i nawet przed szaleństwami ostatniej nocy głowa pękała mu z bólu. Potężny zawał obudził rozmamłanego Pabla, choć skala katastrofy nie od razu dotarła do jego świadomości.

Claudio Yáñez podkładał właśnie ładunki wybuchowe, kiedy uderzenie powietrza wywołane osunięciem się stropu kopalni niemal ścięło go z nóg. Yáñez był jednym z pierwszych górników, którym udało się dotrzeć do schronu bezpieczeństwa – stamtąd przyglądał się, jak inni górnicy podążają w jego ślady, podczas gdy kopalnia wznosiła się i opadała w rytm przemieszczających się mas skalnych.

– W końcu wszyscy dotarli do schronu – opowiadał Yáñez. – Chłopcy próbowali zadzwonić, ale telefon nie działał. Po raz

pierwszy spojrzeliśmy po sobie; w naszych oczach była rozpacz. Nie mogliśmy uwierzyć w to, co się działo.

W chwili zawału Raúl Bustos pracował w warsztacie mechaników usytuowanym powyżej schronu. W późniejszym liście do żony tak opisał tę scenę: „Siła ssąca i podmuch powietrza rzucały nami na wszystkie strony".

W schronie przyjaciele i krewni szukali się nawzajem, żeby sprawdzić, kto przeżył. Trzydziestojednoletni Florencio Ávalos odnalazł swojego młodszego o cztery lata brata Renána. Czuł się za niego odpowiedzialny – w końcu to on namówił brata do pracy w San José. Wprawdzie żaden z nich nie uważał, że jest to jakaś szczególnie dobra praca, jednak w porównaniu z alternatywą – sezonowym zatrudnieniem przy zbiorze winogron w maleńkim górskim *pueblo* w pobliżu granicy z Argentyną – była, nomen omen, żyłą złota.

Esteban Rojas uściskał swoich trzech kuzynów – jakby z wdzięczności za to, że przeżyli. Również Pedro Cortés i Carlos Bugueño, od wczesnego dzieciństwa sąsiedzi i nierozłączni przyjaciele, którzy przyjęli się do pracy w kopalni tego samego dnia, dawali wyraz swej radości, że żyją.

Tylko Franklin Lobos był przybity. Kierował ostatnim pojazdem, który wjechał tego dnia do kopalni. Mijał maszynę prowadzoną przez Raúla Villegasa, która z rumorem pięła się pod górę. Oszacował, w którym miejscu był pojazd w chwili zawału, i obawiał się najgorszego. W wyobraźni już widział zmiażdżoną maszynę kolegi. Biorąc pod uwagę rozmiary katastrofy, mężczyźni nie mieli wątpliwości, że *la mina maldita* (przeklęta kopalnia) upomniała się o kolejnego górnika.

Lobos dobrze znał kopalniany schron – to do jego obowiązków należało uzupełnianie zgromadzonych tam zapasów. Nie lubił swojej pracy. Kiedy wcześniej pracował w innej kopalni, kłęby dymu odcięły mu drogę ucieczki i aby uniknąć uduszenia, musiał uciec na samo jej dno. Przez osiem godzin, kiedy członkowie rodzin gromadzili się na powierzch-

ni, Lobos wraz z kolegami zadawał sobie pytanie, czy dostanie szansę na drugie życie. W jego przypadku byłaby to już trzecia szansa.

Wszystkim trzydziestu trzem górnikom udało się ujść z katastrofy z życiem. Kilku było posiniaczonych i pokrwawionych, ale nikt nie doznał nawet złamania. I – co najważniejsze – nikogo nie brakowało.

Luis Urzúa, najwyższy rangą pracownik kopalni, próbował zapanować nad chaosem. Jako brygadzista zmianowy nie musiał pracować fizycznie – jego obowiązkiem było kierowanie podwładnymi, zachęcanie i motywowanie ich do pracy. W hierarchicznym świecie chilijskich kopalń brygadzista był władcą niemal absolutnym – inni górnicy wypełniali jego polecenia jak żołnierze rozkazy. Podważenie decyzji brygadzisty było wystarczającą podstawą do nałożenia na winowajcę kary dyscyplinarnej lub nawet zwolnienia go z pracy.

– W tym środowisku zasada doboru naturalnego działa niezwykle silnie – wyjaśniał minister zdrowia Chile Jaime Mañalich. – Aby awansować na stanowisko brygadzisty, trzeba przejść niejedną próbę.

Urzúa był silnie zbudowanym mężczyzną o łagodnym spojrzeniu. Jego styl zarządzania nie opierał się na brutalnej sile, lecz na tym, że w większości wypadków miał rację. Po ponad dwudziestu latach pracy dołowej Urzúa nabrał wprawdzie wystarczająco dużo doświadczenia, aby zarządzać swoimi ludźmi, jednak w kopalni San José był zatrudniony od niedawna. Świadomość, że Urzúa nie przepracował jeszcze w San José nawet trzech miesięcy, wisiała teraz jak ciężar w rozedrganym od napięcia i brudnym powietrzu schronu. Górnicy wątpili, czy będzie on w stanie pokierować nimi w czasie katastrofy. Dlaczego właśnie on miałby być przywódcą? Czy zdążył wystarczająco poznać kopalnię? Sugestia, że powinni zaczekać w schronie na przybycie służb ratunkowych, nie przysporzyła brygadziście zwolenników. W pierwszych godzinach po katastrofie wybu-

chały gwałtowne kłótnie. Dochodziły do głosu emocje. Urzúa tracił kontrolę nad sytuacją.

Jeden z górników, Sepúlveda, czuł spokój, obchodząc wkoło schron. W zasadzie przewidział tę katastrofę. Ileż to razy wykłócał się z inspektorami pracy i bezpieczeństwa w Copiapó? Stracił wiele dni, próbując ich nakłonić – płomiennymi mowami lub złorzeczeniami – żeby skontrolowali wreszcie San José. Sepúlveda próbował zorganizować swoich kolegów w związek zawodowy, lecz po jakimś czasie poddał się, dochodząc do wniosku, że krajowa organizacja pracownicza Central Unitaria de Trabajadores (CUT) dba jedynie o własne interesy. Sepúlveda i inni górnicy stracili wiarę w to, że związek zawodowy będzie w stanie zatroszczyć się o ich sprawy.

Sepúlveda – niski łysiejący mężczyzna, ukazujący w szerokim uśmiechu nieco krzywe zęby – był pracoholikiem, który zamiłowanie do wysiłku fizycznego łączył z hartem ducha. Koledzy nazywali go *El Perry* (w chilijskiej odmianie hiszpańskiego „dobry kumpel") albo *El Loco* („wariat"). Sepúlveda był dyżurnym żartownisiem kopalni. Regularnie pozwalał sobie na ostre docinki pod adresem kierownictwa, ale robił to zawsze w taki sposób, że nawet osoby, które były obiektem jego kpin, wybuchały śmiechem. Na zakończenie dziennej zmiany, kiedy górnicy wyjeżdżali na powierzchnię samochodem pokonującym wijącą się serpentynami trasę z prędkością 16 kilometrów na godzinę, co trwało zwykle 25 minut, Sepúlveda mógł zawsze liczyć na wierną publiczność: swoich zmęczonych, lecz zachwyconych kolegów – owacjami nagradzali oni wymyślane przez niego na poczekaniu monologi i skecze. Kto inny mógł dać pokaz tańca na rurze w autobusie, którym górnicy wracali z pracy? Teraz obdarzony umiejętnością naśladownictwa i wrodzoną charyzmą Sepúlveda znalazł się w pułapce – dla jego nadpobudliwej natury było to nie do zniesienia. Był zatem gotów na wszystko, byle się z niej wydostać.

Sepúlveda i Mario Gómez podzielili górników na trzy grupy i każdej z nich powierzyli inną misję. W górotworze nie ucichł jeszcze łoskot i nie opadł pył, kiedy mężczyźni zaczęli przeszukiwać kopalnię, starając się znaleźć drogi ewakuacji. Zapasy żywności, tlenu i czystej wody były ograniczone. Kopalnia nadal wydawała głuche pomruki zapowiadające kolejny potężny zawał. Było jasne, że jeśli nie będą działać błyskawicznie, czeka ich śmierć.

Główne wyrobisko kopalni, na którego nierównych, poszarpanych ścianach reflektory przejeżdżających pojazdów tworzyły tańczące cienie, przywodziło na myśl trzewia przeklętego świata. Wyrobiska boczne, kawerny i magazyny wyrąbano w przypadkowych na pozór miejscach. W różnych punktach górotworu rozmieszczono ogromne zbiorniki, każdy o pojemności ponad 5 tys. litrów, w których trzymano wodę niezbędną podczas pracy sprzętu wiertniczego. Gdyby górnicy mogli zobaczyć kopalnię w przekroju, przypominałaby ona mrowisko.

Poziomy kopalni oznaczano w metrach nad poziomem morza. Wejście znajdowało się na wysokości około 800 metrów, a dno – na poziomie 45 metrów. Schron bezpieczeństwa, do którego uciekli górnicy, był na poziomie 90. Trzydziestu trzech ludzi utknęło w pułapce blisko dna przepastnej kopalni.

Mężczyznom – przekonanym, że akcja ratunkowa została już podjęta – nade wszystko zależało na tym, aby dać ratownikom sygnał, że żyją. Zaczęli zbierać opony samochodowe i brudne filtry olejowe. Następnie wysłano Richarda Villarroela, dwudziestosiedmioletniego mechanika, który pracował w kopalni jako podwykonawca, aby jednym z wozów podjechał w górę chodnika. Mężczyzna dotarł do poziomu 350, gdzie skalny blok szczelnie zatarasował przejście. Zaczął szukać pęknięć w skale. Do otworów powpychał gumowe opony i filtry olejowe, a następnie je podpalił. Gęsty czarny dym wypełnił chodnik. Miał nadzieję, że było go wystarczająco dużo, by choć część wydostała się na powierzchnię i wskazała ratownikom miejsce, w którym przebywają.

Druga grupa ocalałych miała za zadanie pozbierać laski dynamitu i odpalić ładunki. Górnicy liczyli na to, że ekipy ratunkowe usłyszą krótki, lecz charakterystyczny wybuch dynamitu. Pozostali mieli zbadać kopalnię.

Urzúa, który skończył kurs topografii, zabrał się za kreślenie mapy. Była to pobieżna próba zorientowania się w nowej, otaczającej ich teraz rzeczywistości. Brygadzista zarekwirował na swoje biuro białą półciężarówkę i poważnie zabrał się do pracy nad mapą.

Nie wszyscy górnicy widzieli w nim przełożonego. Pięćdziesięciodwuletni podwykonawca Juan Illanes, któremu odwagi dodawały doświadczenia wojenne z Patagonii, gdzie jako żołnierz spędził blisko dwa lata w okopach, uważał, że nie podlega brygadziście. Illanes, podobnie jak czterech innych pracowników wynajętych do konserwacji i obsługi używanych pod ziemią pojazdów, nie był pracownikiem San José. Zgodnie z niepisanym kodeksem obowiązującym w chilijskiej kopalni oznaczało to, że on i jego ludzie byli obywatelami drugiej kategorii. Należeli do odrębnego plemienia.

Bez światła nie istniał dzień. Nie istniała też noc. Nie było już rutynowych działań, zadania radykalnie się zmieniły. Ponieważ lampy górnicze świeciły coraz słabiej – wyczerpywały się baterie – mężczyźni zaczęli oszczędniej ich używać. Wkraczali w kruchy świat deprywacji sensorycznej. Jeśli wziąć pod uwagę przeciążenie emocjonalne będące następstwem otarcia się o śmierć, nie może dziwić fakt, że uwięzieni pod ziemią mężczyźni stracili poczucie czasu. Doświadczeni górnicy od razu zdali sobie sprawę z trudności technicznych wiążących się z wydrążeniem lub wyrąbaniem kilkusetmetrowego tunelu w litej skale. Wiedzieli, że akcja ratownicza – jeśli w ogóle zostanie podjęta – będzie przedsięwzięciem skomplikowanym i bardzo trudnym.

Psychologowie twierdzą, że w takich okolicznościach instynkt samozachowawczy bierze górę nad dobrem wspólnym. Krew pompuje adrenalinę; organizm zalewają związki chemiczne umożliwiające reakcję na zagrożenie życia. W efekcie człowiek jest zdolny do czynów wymagających nadludzkiej siły fizycznej, lecz równocześnie skoncentrowany na jednym celu umysł usztywnia się. W tym wypadku nie pozwoliło to górnikom dostrzec, jak wiele dałaby im chwila namysłu i opracowanie planu działania. Kilka godzin po katastrofie trzydziestu trzech ludzi zaczęło się zachowywać jak gromada wygłodniałych wędrownych zwierząt, które wypróżniały się byle gdzie w skurczonym nagle do rozmiarów klatki świecie. Lekceważąc wezwania, by trzymać się razem, górnicy szykowali sobie legowiska w szczelinach skalnych, w przypadkowo wybranych miejscach chodnika. Zresztą niewielu z nich zmrużyło oko tej pierwszej nocy.

DZIEŃ 1: PIĄTEK 6 SIERPNIA

Przez całą noc górnicy kulili się na kawałkach kartonu, które miały ich ochronić przed wilgocią i ostrymi fragmentami skał. Obudzili się przemoczeni i niespokojni. José Henríquez postanowił rozpocząć nowy dzień od dawki nadziei: zaproponował wspólną modlitwę. Wesoły, okrągły na twarzy pięćdziesięciocztero-latek pracował na stanowisku *jumbero*, czyli operatora ciężkiego sprzętu górniczego, należącego do najlepiej opłacanych w kopalni. Jednak był to tylko sposób zarobkowania. Prawdziwą pasję Henríqueza stanowiło głoszenie cudownej mocy Jezusa Chrystusa zgromadzeniu wiernych w położonym na południu Chile mieście Talca. Teraz kaznodzieja zebrał mężczyzn w schronie i zmówił z nimi krótką modlitwę. Najwyraźniej ukoiła ona nieco nerwy uwięzionych górników. Urzúa i Sepúlveda zorganizowali misję badawczą. Claudio Yáñez miał na ręku zegarek marki Casio, dzięki któremu górnicy mogli rozplanować swój dzień.

– Tam na dole nie potrzebowałem zegarka – twierdził Sepúlveda. – Wiecie, co było moim zegarkiem? Żołądek. Wiedziałem, która jest godzina, po tym, jakiego jedzenia domagał się mój żołądek. Ciało inaczej reaguje na wyobrażenie steku o siódmej rano, a inaczej o siódmej wieczorem.

Wielu spośród ocalałych górników uważało, że należy pozostać w schronie i tam czekać na ratunek. Sepúlveda głośno i dobitnie powiedział kolegom, co o tym myśli: to samobójstwo. Cała jego natura domagała się i pragnęła działania. Rozsadzała go energia i nie zamierzał przyjmować biernej postawy wobec zagrożenia. Zresztą od wczesnego dzieciństwa nieustannie walczył o przetrwanie. Matka Maria zmarła przy porodzie, a ojciec go porzucił. Dorastał, dzieląc posłanie z sześciorgiem rodzeństwa. Zdarzało się, że mały Mario sypiał w stodole wśród zwierząt gospodarskich – czasami wyjadał ich karmę, żeby przeżyć. „Byłem bardzo, bardzo biedny i traktowano mnie gorzej niż te zwierzęta" – zwierzał się Sepúlveda. Teraz, w wieku trzydziestu dziewięciu lat, był przedstawicielem klasy średniej, miał żonę i dwoje nastoletnich dzieci. Wydostanie się z zasypanej kopalni uznał za wyzwanie, na które przygotowało go całe wcześniejsze życie.

Górnicy podzielili się na kilka grup. Jedna z nich miała przy pomocy ciężkiego sprzętu robić jak największy hałas. Pomimo rozmiarów katastrofy mężczyźni dysponowali pokaźną flotą pojazdów, od półciężarowek po ogromny wóz wiertniczy – długi na 9 metrów pojazd górniczy wyposażony z przodu w ramę wiertniczą do perforacji stropu i drążenia otworów, w których umieszczano później dynamit. Górnicy przetransportowali wszystkie dostępne pojazdy do najwyższego osiągalnego punktu tunelu. Usadowiwszy się okrakiem na jakimś głazie, rozpoczęli kakofoniczny koncert. Trąbiły klaksony. Wybuchał dynamit. O karoserię spycharki uderzały wielkie kawały blachy. Krótkie wybuchy dynamitu i niosący się echem metaliczny brzęk odbijały się od ścian tunelu, ale czy były na tyle głośne, by usły-

szał je ktoś na powierzchni? Czy ich wołanie o pomoc dotrze choćby do jednego ratownika? Mężczyźni nadal przypuszczali atak na sklepienie tunelu – wóz wiertniczy uderzał w skałę jak obłąkany dzięcioł, czyniąc piekielny łomot.

– Waliliśmy w ściany za pomocą maszyn górniczych – wspominał Samuel Ávalos. Klaksony samochodów połączyliśmy z rurami, które wychodziły na powierzchnię, żeby tam w górze ktoś je usłyszał. Na zmianę wrzeszczeliśmy do tych rur... Byliśmy zdesperowani.

Alex Vega chciał się wydostać z kopalni, wdrapując się na górę przez sieć szczelin, które – jak sądził – mogły prowadzić na powierzchnię. Był przekonany, że znalezienie wyjścia jest możliwe, jednak moc zasilających lampy górników baterii była ograniczona, nie było też sposobu, by zabrać z sobą wystarczającą ilość wody na – być może – całodzienną wyprawę.

– Baliśmy się zmiażdżenia przez spadające odłamki skał – opowiadał. – Istniało ryzyko, że się zaklinujemy.

Druga grupa górników, na czele której stali Sepúlveda i Raúl Bustos, przeprowadziła rekonesans w szybie wentylacyjnym – chcieli sprawdzić, czy tą drogą można się wydostać z pułapki. Komin ten – jeden z około dwunastu lutniociągów, dzięki którym powietrze w kopalni prawie nadawało się do oddychania – wznosił się pionowo w górę na wysokość 30 metrów. „Zaczęliśmy się zastanawiać nad opcjami; wspięliśmy się po wiszącej drabinie na wysokość 30 metrów. Dotarliśmy do poziomu 210 i okazało się, że on też jest zawalony" – napisał później w liście do żony Bustos. „Był jeszcze jeden komin, ale brakowało w nim drabiny".

W wielu chilijskich kopalniach regułą jest, że kominy wentylacyjne są okrągłe, biegną w górę jak świetliki do wyższych poziomów i w nich jest przechowywany sprzęt oraz wyposażenie ratunkowe, począwszy od drabin, a skończywszy na oświetleniu ewakuacyjnym. Zapewniając dopływ powietrza i jego obieg na dole kopalni, kominy wentylacyjne pełnią również funkcję

dodatkowej drogi ucieczkowej w razie zawalenia się tunelu. W kopalni San José drugi szyb kominowy był nieoświetlony, a znajdująca się w nim drabina – mocno sfatygowana. Poza tym komin wznosił się po obu stronach głównego wyrobiska, co oznaczało, że najmniejszy wypadek mógł równocześnie zniszczyć obie drogi ucieczkowe. Była to główna wada tego systemu, na którą związek zawodowy górników pod przywództwem Javiera Castilla zwracał uwagę od lat. Uwięzieni górnicy pojęli teraz, że miał rację.

Sepúlveda przeprowadził rekonesans i doszedł do wniosku, że wspinaczka szybem jest ryzykowna, lecz możliwa. Wprawdzie z góry spadała kaskada kamieni, ale górnicy mieli przecież kaski. Sepúlveda skierował lampę górniczą w górę i zaczął powolną wspinaczkę. Drabina, po której wchodził, była przeznaczona właśnie do takiej ewakuacji, jednak panująca w kopalni wilgoć spowodowała, że szczeble przeżarła rdza. Sepúlveda czuł, że długo nie wytrzymają jego ciężaru. Zresztą niektórych metalowych szczebli w ogóle brakowało. Jak zdesperowany alpinista Sepúlveda zaczął improwizować. Szyb miał ponad metr szerokości – o wiele za dużo, by wesprzeć się obiema nogami o jego ściany. Mario uchwycił się więc plastikowego przewodu, który biegł wzdłuż całego komina, i szukał na śliskich kamieniach wybrzuszeń i miejsc, które dałyby oparcie stopom. Przez cały czas grad skalnych okruchów tłukł o jego hełm. Górotwór nadal zanosił się płaczem i rozpadał na części. Z uporem Sepúlveda zmusił mięśnie do posłuszeństwa. Sięgnął ręką wyżej i się podciągnął. Nagle się poślizgnął. Kamień uderzył go w twarz, rozcinając wargę i wybijając mu ząb. Kolejny odłamek skalny wielkości piłki tenisowej ze świstem przeleciał obok. Śmierć minęła Maria w odległości zaledwie kilku centymetrów. Kiedy obok niego świsnął kolejny kamień, Sepúlveda uznał to za znak i zaczął się wycofywać.

– Czułem się jak dwunastolatek – silny, przepełniony energią. Nie odczuwałem najmniejszego zmęczenia. Jedynym moim

celem było wydostanie się z kopalni – wspominał Sepúlveda. Później opisał to przeżycie w kategoriach mistycznych: – W połowie drogi poczułem, że doświadczyłem obecności Boga... włosy stanęły mi dęba. Usłyszałem w głowie głos mówiący: „Jestem z tobą".

Schodząc w dół szybu wentylacyjnego, Sepúlveda czuł rozpierającą go radość i ufność.

– Wróciłem do kumpli i powiedziałem im, że nikt z nas nie zginie. Jeśli nie chcecie, nie wierzcie – mówiłem im – wasza sprawa, ale jeśli wierzycie, uchwyćcie się ręki Boga i mojej, a obiecuję, że się stąd wydostaniemy.

Każdy z mężczyzn reagował na tę głęboką, zdolną przeobrazić całe życie traumę inaczej – wszystko zależało od indywidualnych cech osobowości. W dramatycznych sytuacjach, takich jak wypadek w kopalni San José, które podręczniki psychologii opisują jako sytuacje skrajnego ograniczenia wolności, niektóre ofiary więdną, inne – przeciwnie – rozkwitają. Mario Sepúlveda zobaczył całe swoje wcześniejsze życie jako drogę przygotowującą go do tego właśnie wyzwania.

Mario delektował się również swoją nową rolą – rolą przywódcy.

DZIEŃ 2: SOBOTA 7 SIERPNIA

Nie mając w dalszym ciągu żadnego sygnału od ekipy ratunkowej, górnicy przetrwali – nękani niepokojem i lękiem – kolejną noc. Rankiem ponownie zgodzili się pomodlić z Henríquezem. Ta wspólna modlitwa była zaczątkiem czegoś na kształt ustalonego porządku dnia, jednak w serca górników zaczęła się wkradać rozpacz. Żywności było niewiele. Dziesięć litrów butelkowanej wody nie wystarczyłoby dla wszystkich, mężczyźni zaczęli więc pić wodę używaną do celów technologicznych, zgromadzoną w ogromnych zbiornikach o pojemności 5 tys. litrów. Niezmieniana od wielu miesięcy woda była brudna.

– Piliśmy ją, ale smakowała jak olej – opowiadał Richard Villarroel.

Claudio Yáñez wypijał ogromne ilości tej zanieczyszczonej wody – nawet siedem litrów dziennie. Smakiem przypominała mu olej napędowy wymieszany z kurzem. Wiedział, że woda, która stała w zbiornikach od niemal pół roku, jest zanieczyszczona osadem minerałów, odczuwał jednak pragnienie i nie potrafił przestać jej pić.

– Hierarchia służbowa prawie od razu przestała się liczyć – mówił Alex Vega, mechanik, który pracował w kopalni od blisko dziesięciu lat i znał ją jak własną kieszeń. – Cała nasza trzydziestka trójka była teraz jak jeden mąż, dlatego wprowadziliśmy system demokratyczny; wygrywały najlepsze pomysły, te, które miały najwięcej sensu.

Prawie wszystkie ważne decyzje podejmowano w drodze głosowania. W południe odbyła się narada – podczas demokratycznej debaty zgłaszano różne pomysły: albo natychmiast je wyśmiewano, albo poddawano dyskusji. Wszystkim przysługiwało prawo głosu. Pomysły oceniano jako wartościowe lub bezwartościowe, nie miało znaczenia, czy zgłaszał je brygadzista zmianowy, czy też najniższy rangą pomocnik.

Mijała już druga doba uwięzienia. Baterie w lampach górniczych słabły. Padły też telefony komórkowe. W schronie nie było zasięgu sieci, ale aparaty służyły jako latarki, zegarki i odtwarzacze muzyki – górnicy zagłuszali nią bolesną ciszę.

Niektórzy z młodszych wiekiem i stażem górników zaczęli wpadać w panikę. Najmłodszy, dziewiętnastoletni Jimmy Sánchez, miał halucynacje. W kopalni odwiedziła go matka i przyniosła mu świeże *empanadas* – chilijskie mięsne paszteciki z cebulą, udekorowane pojedynczą czarną oliwką. Jako szybkie drugie śniadanie *empanadas* – podobnie jak inne chilijskie potrawy – nie zapadają szczególnie w pamięć. Jednak na tej głębokości pod ziemią Jimmy'emu i jego kolegom wydawały się pokarmem bogów.

Byli też górnicy, którzy – nie mogąc się uporać z emocjonalnym szokiem – po prostu zastygli w bezruchu.

– Przez cały dzień leżeli na swoich posłaniach. W ogóle nie wstawali – wspominał Villarroel.

Czas mijał uwięzionym w zasypanej kopalni boleśnie powoli. Wnękę wypełniała przytłaczająca cisza. Żadnego warkotu wierceń. Żadnych wybuchów dynamitu. Żadnego dźwięku z góry. Tylko uderzenia kropel wody i spadających odłamków skał – dla górników była to tortura.

Co jakiś czas któryś z mężczyzn ruszał kilkaset metrów w górę pochyłego krętego chodnika, aby tam w szoku i rozpaczy przyglądać się rumowisku głazów. Mimo że byli pewni, iż akcja poszukiwawcza na wyższych poziomach już trwa, cisza ich przerażała. W ich głowach kiełkowała niejasna myśl: „Czy kiedykolwiek się stąd wydostaniemy?".

Niektórzy przeklinali skałę: *Piedra maldita, concha de su madre!* (Przeklęta skała, kurwa jej mać!). Inni, wykrzesując z siebie resztki entuzjazmu, wznosili krótkie okrzyki: *Viva Chile!* (Niech żyje Chile!), by następnie ciężkim krokiem powrócić do kryjówki i oznajmić to samo, co zwykle – żadnych wieści.

Górnicy potrzebowali cudu – potrzebowali też żywności. Zaledwie po dwóch dniach ich ciała zaczęły się kurczyć i wysychać. Ich twarze zapadały się, w miarę jak ulatywała z nich życiowa energia. Policzki powlekał cień zarostu, a brudne sztywne włosy sterczały we wszystkie strony. Kiedy rozmawiali twarzą w twarz, było jasne, że znikły nawet pozory uprzejmości. Zapach potu i ludzkich wyziewów stał się tak intensywny, że niektórzy opuszczali schron i kładli się spać na skalistym podłożu tunelu.

Wśród zasypanych górników zaczęły się tworzyć mniejsze grupy. Wybuchały awantury o tekturę. Powstawały klany – krewni i bliscy znajomi łączyli się w grupy, które jednoczył jeden cel: przeżycie. Przywódcy, w tym Sepúlveda i Urzúa, ulokowali się w zakręcie korytarza, na wysokości 105 metrów nad

poziomem morza. Tę grupę ochrzczono wkrótce mianem „Grupa 105" lub po prostu „Stopiątka". Jej członkowie mieli dostęp do najlepszego powietrza, mniej wilgotną podłogę oraz sporo przestrzeni życiowej dzięki oddaleniu od dwóch pozostałych grup. Nieco niżej druga grupa wprowadziła się do schronu bezpieczeństwa i nazwała się *Refugio*. Twarda ceramiczna podłoga schronu utrudniała wprawdzie wygodny sen, lecz za to strop zabezpieczony śrubami i metalową siatką chronił przed spadającymi odłamkami skał.

Trzecia grupa była w zasadzie zdana na siebie. Kuzyni Esteban i Pablo Rojasowie oraz Ariel Ticona, który wżenił się w ich rodzinę, wybrali na swoje legowisko miejsce najbardziej niebezpieczne, znajdujące się niedaleko wyjścia ze schronu w głównym tunelu kopalni, które zyskało miano „Rampy" (*Rampa*). Miejsce to było nieco mniej klaustrofobiczne, bowiem górnicy wyczuwali lekki ruch powietrza, jednak z powodu wilgoci mężczyźni prawie w ogóle nie mogli spać, a niekiedy zmuszeni byli stawiać podobne do czółen schronienia, by ich posłań nie zatopiła płynąca korytarzem woda.

Tektura stanowiła marne zabezpieczenie przed wszechobecną wilgocią, która uniemożliwiała sen. Niektórzy mościli sobie posłania w skrzyniach samochodów ciężarowych.

– Nie mieliśmy wielkich nadziei na szybki ratunek – zwierzał się Alex Vega. – Zaczęło się najtrudniejsze oczekiwanie, w ciszy i niepewności co do naszego losu.

DZIEŃ 3: NIEDZIELA 8 SIERPNIA

Trzeciego dnia przed 6.30 rano wszyscy byli już na nogach, gotowi do modlitwy. Henríquez, w pogodnym nastroju, obiecał górnikom, że Bóg odpowie na ich prośby. W miarę jak mijały kolejne dni, kazania i modlitwy Henríqueza były jak lina ratunkowa – jedyna rzecz, której można się było uchwycić i mocno trzymać. Być może ratunek był tuż-tuż, być może nie, jednak

wiara podtrzymywała ich na duchu. Zaczęli mówić o Jezusie jako o „trzydziestym czwartym górniku".

Po zakończeniu modlitwy Mario Sepúlveda zebrał ludzi na kolejną naradę. *El Loco* zarażał wszystkich entuzjazmem, który stanowił jego znak rozpoznawczy. Nie dochodziło przy tym do łamania górniczej hierarchii – Sepúlveda przekonywał górników, by wykonywali polecenia brygadzisty. Gdyby jednak przywódca nie chciał przewodzić, Sepúlveda chętnie przejąłby tę funkcję – potrafił pochlebstwami lub groźbami zmotywować górników do działania.

Mimo że górnicy tracili siły, wykazywali się różnymi umiejętnościami. Raúl Bustos, który przeżył kiedyś potężne trzęsienie ziemi, zwerbował młodego Boliwijczyka Carlosa Mamaniego do pomocy przy budowie systemu kanałów odprowadzających wodę, która podtapiała obóz górników. Edison Peña skonstruował system oświetleniowy, wykorzystując w tym celu akumulatory pojazdów górniczych, a także przypominającą buldożer maszynę zwaną „chochlą", która miała wbudowane gniazdo wtykowe dla urządzeń o napięciu 220 woltów. Górnicy nie musieli już korzystać z gasnących raz po raz lamp – owocem pracy Peñi był stały i mocny snop światła. Z kolei Illanes zaprojektował układ umożliwiający ładowanie lamp górniczych z akumulatorów. Żeby zaparzyć herbatę, górnicy zapuszczali silnik jednego z samochodów i upychali wypełnione wodą półlitrowe butelki dokoła jego rury wydechowej. Chociaż plastik był tak rozgrzany, że nie można go było dotknąć, nie stopił się. Potem wrzucali do wody znalezione torebki herbaty. Mężczyźni ułożyli przemoczone buty i ubrania na silniku – rozgrzany działał jak suszarka.

Górnicy myli się w pobliskim dole urobkowym. Nie mieli mydła, szamponu czy pasty do zębów. Funkcję latryny pełniła beczka po oleju. Kiedy była prawie pełna, górnicy rzucali na wierzch błoto i żwir, a następnie wylewali jej zawartość w miejscu położonym poniżej obozu – potem przysypywali odpady

jeszcze jedną warstwą żwiru. Mimo to fetor unosił się w górę mdlącymi falami. Víctor Zamora nie mógł go znieść. Wyniósł się ze schronu i zaczął sypiać na rampie. Dla niego uwięzienie w kopalni było, jak sam mówił: „koszmarem... nie wiedzieliśmy, czy kiedykolwiek wydostaniemy się na zewnątrz". Aby uciec od dławiącego go codziennie przerażenia, Zamora zaczął prowadzić dziennik, w którym zapisywał swoje przeżycia. Z czasem spod jego pióra zaczęły wychodzić wiersze – krótkie zwrotki niosące pełne optymizmu i nadziei przesłanie. Musiał jednak zaprzestać tworzenia, kiedy zabrakło atramentu.

Zapasów żywności zgromadzonych w schronie pilnie strzeżono. Dostęp do nich mieli tylko Urzúa i Sepúlveda. Zaproponowali oni racjonowanie żywności, na co mężczyźni wyrazili zgodę w prostym demokratycznym trybie: zagłosowali.

– Większość stanowiło szesnaście głosów plus jeden – wyjaśniał Urzúa. Głosowaliśmy nad każdą sprawą.

Górnicy zgodzili się jeść tylko raz dziennie, niewiele więcej niż jeden kęs.

– Za całe pożywienie musiała nam starczyć łyżeczka tuńczyka, która zmieściłaby się w połowie nakrętki od butelki – opowiadał Richard Villarroel. – Nasze ciała zaczynały zjadać same siebie.

Resztka żywności pozostałej w schronie szybko znikała. Połowa mleka była już dawno przeterminowana. Pod wpływem wysokiej temperatury mleko ścięło się w grudki o smaku bananów. Było zepsute.

Claudio Acuña powąchał zawartość jednego z kartonów. „Pachnie nieźle" – pomyślał, po czym bez chwili namysłu przeżuł i połknął cały litr grudkowatego mleka.

Samuel Ávalos przeczesał wszystkie zakątki kopalni w poszukiwaniu resztek jedzenia.

– Wysypałem i przeszukałem zawartość wszystkich kubłów na śmieci, ale były tam tylko papiery i sprawozdania z kopalni.

Samuel odkrył jednak, że na dnie każdej z sześciu butelek coca-coli kryje się aromatyczna kropla napoju. Znalazł też skórki z pomarańczy i zjadł je ze smakiem.

Mario Gómez, doświadczony górnik, który kiedyś pływał na statkach marynarki handlowej, podnosił kolegów na duchu. Opisywał podróż, którą odbył dawno temu, jeszcze jako młody chłopak, ukryty na pokładzie brazylijskiego frachtowca. Jako pasażer na gapę spędził wtedy jedenaście dni wewnątrz tratwy ratunkowej, pijąc tylko deszczówkę. „Przeżyjemy" – powtarzał kolegom Gómez. Wśród górników cieszył się zasłużonym szacunkiem. Pracował w kopalni San José już w 1964 roku, kiedy niektórych z nich nie było jeszcze na świecie. Na jego oczach zakład rozrósł się z prymitywnej kopalni, którą eksploatowano przy pomocy oskardów i taczek, do obecnych rozmiarów. Urwane palce, których bynajmniej się nie wstydził, stanowiły część jego legendy. Świadczyły o wieloletnich zmaganiach z diabelską kopalnią. Kikuty palców uważał za dowód swojego poświęcenia. „Są jak medale" – mawiał.

– Morale było niskie. Od czasu do czasu chłopcy obrzucali się wzajemnie wyzwiskami. Chcieliśmy tylko wyjść z kopalni – wspominał Pablo Rojas, górnik w trzecim pokoleniu, który znany był z tego, że ciężko pracował, lecz niewiele mówił. – Każdy z nas miał inny charakter.

Wielu miało też swoje nałogi. Nie był to tylko nałóg tytoniowy – wielu górników było silnie uzależnionych od alkoholu. Dla nich uwięzienie w podziemnej pułapce oznaczało przymusowy odwyk, a towarzyszące mu huśtawki nastrojów i napady rozpaczy czyniły to ciężkie doświadczenie jeszcze bardziej dotkliwym. Minęły trzy doby. Mężczyźni byli odcięci od świata od siedemdziesięciu dwóch godzin.

Żaden z nich nigdy nie przebywał tak długo pod ziemią. Pomimo usilnych starań górników, żeby zwrócić na siebie uwagę, nadal nie udało im się nawiązać kontaktu ze służbami ratowniczymi. Zapasy jedzenia były niewielkie, a woda prawie

się nie nadawała do picia. Kiedy ucichły niesamowite odgłosy pękających i przemieszczających się mas skalnych, nastała cisza, która przypomniała górnikom, że zostali żywcem połknięci, znajdują się w brzuchu bestii, że są uwięzieni głęboko pod powierzchnią ludzkiego świata.

Narastała w nich rozpacz. Choć za wszelką cenę starali się unikać tego pytania, nieubłagana rzeczywistość zaczęła prześladować wszystkich: „Czy wydostaniemy się stąd żywi?".

CZTERY

SZYBKOŚĆ KONTRA PRECYZJA

DZIEŃ 3: NIEDZIELA 8 SIERPNIA

Copiapó to chilijskie miasteczko otoczone pasem niezagospodarowanych plaż, rozległymi połaciami pustyni i nagimi górskimi szczytami, kryjącymi obfite złoża złota, srebra i rud miedzi, warte miliony, a nawet miliardy dolarów. Wydobycie podziemnych skarbów rozpoczęto w 1707 roku, kiedy Copiapó liczyło zaledwie 990 mieszkańców. Obecnie miasto też nie imponuje wielkością – w nim i na okolicznych terenach żyje około 125 tys. osób. Jednak miejscowe lotnisko należy do najruchliwszych w tym rejonie kraju. W dziennym rozkładzie lotów figuruje aż czternaście połączeń z Santiago, w obie strony – samoloty zazwyczaj mają komplet pasażerów. Do miasteczka przylatują tabuny inżynierów górniczych, geologów i geodetów. Przybyli wychodzą z samolotów, schodzą po stromych metalowych schodkach, po czym przez nikogo nie odprowadzani, przecinają płytę lotniska – czasem przez pomyłkę trafiając do bagażowni – i udają się do miniaturowej hali odpraw, gdzie mają swoje stoiska handlarze ostryg, krabów i *locos* (słuchotek) – przepysznych, odławianych w miejscowych wodach

skorupiaków o białym i delikatnym mięsie przypominającym w smaku homara.

Zjawiający się w Copiapó pasażerowie pełnią rolę zwiadowców armii przedsiębiorców, poszukujących możliwości wzbogacenia się na ogólnoświatowym boomie na miedź, który rozpoczął się w 2002 roku i w sierpniu 2010 nadal nie wykazywał najmniejszych oznak załamania. Najwyraźniej nienasycony apetyt chińskiego przemysłu na miedź i inne minerały napędza koniunkturę w chilijskiej branży górniczej. Wartość dziennego eksportu miedzi wydobytej z chilijskich kopalń sięga prawie 70 milionów dolarów, a co kilka miesięcy ogłaszane jest uruchomienie kolejnego wielomilionowego przedsięwzięcia górniczego. W tym rejonie północnego Chile zgromadzono ogromną ilość zaawansowanego sprzętu górniczego – maszyn tłukących, drążących i kruszących, zdolnych przebić się przez tysiące metrów litej skały.

Cztery dni po katastrofie w kopalni San José prezydent Piñera – niczym generał stojący na czele zbuntowanej armii – zmobilizował flotę maszyn górniczych. Nie bacząc na przestrogi swoich doradców, Piñera postawił wszystko na jedną kartę i ogłosił, że jest w stanie uratować zasypanych górników. Wywołało to panikę w kręgu jego najbliższych doradców. Uznali oni, że prezydent właśnie rozpoczął samobójczą misję w kopalni, która znana była z tego, że pracujący w niej śmiałkowie sami siebie nazywali „kamikadze".

Jednym z pierwszych zadań Piñery było znalezienie osoby, która podjęłaby się kierowania akcją ratunkową. Chilijski prezydent niewiele wiedział o górnictwie, a jego najbliższymi współpracownikami byli rzutcy młodzi poligloci z dyplomami MBA. Również minister górnictwa Laurence Golborne, którego Piñera powołał na to stanowisko na początku swojego urzędowania w marcu 2010 roku, był spoza branży. Tekę ministra zawdzięczał swoim zdolnościom menedżerskim, jakimi wykazał się na stanowisku dyrektora generalnego Cencosud – sieci

sklepów i ekskluzywnych supermarketów w Ameryce Południowej, której roczne obroty oscylowały wokół 11 miliardów dolarów. Na bossach chilijskiego przemysłu górniczego biznesmen z iPhonem słuchający rockowych kawałków nie zrobił najlepszego wrażenia. Nie rozproszyła ich obaw beztroska odpowiedź ministra na pytanie, jak sobie poradzi bez doświadczenia. Riposta Golborne'a brzmiała: „Szybko się uczę".

Wiedza Piñery i Golborne'a o górnictwie była powierzchowna, a o wydobywaniu ludzi uwięzionych pod ziemią prawie w ogóle nie mieli pojęcia. Politycy zwrócili się więc do zarządu Codelco, państwowego koncernu górniczego zapewniającego 11 procent światowej produkcji miedzi. Dziewiątego sierpnia po serii rozmów telefonicznych i naprędce zorganizowanych konsultacji pomiędzy kierownictwem Codelco i rządem Piñera wybrał głównodowodzącego akcją. Nikt jednak nie pomyślał, aby o tym poinformować owego wybrańca.

Kiedy w godzinach późnowieczornych 9 sierpnia w domu André Sougarreta zadzwonił telefon, ten leżał już w łóżku. „Rada dyrektorów zdecydowała, zbierz ekipę... pomożesz kierującym akcją ratunkową" – poinformował go szef Codelco. Inżynier Sougarret, opanowany czterdziestoześciolatek, na którego ustach zawsze błąkał się uśmiech, wysłuchał tych słów z uwagą, lecz nie był nimi szczególnie poruszony. Wspomniał o rozmowie swojej żonie, po czym, jak gdyby nigdy nic, spokojnie zasnął w swoim domu w Rancagui.

Sougarret był związany z chilijską branżą górniczą od kiedy skończył dwadzieścia kilka lat. Piął się w górę po szczeblach górniczej hierarchii i na każdym stanowisku zyskiwał przyjaciół. Specjalizował się w górnictwie głębinowym, a obecnie kierował „El Teniente", największą na świecie kopalnią z około 2,4 tys. kilometrów korytarzy, zatrudniającą 15 tys. osób. W 2009 roku kopalnia wydobyła 400 tys. ton rudy miedzi. Oznacza to, że gdyby „El Teniente" była osobnym państwem, zajmowałaby dwunaste miejsce na świecie wśród krajów producentów tego surowca.

Wieści o zawale w kopalni San José dotarły wprawdzie do Sougarreta, ale ani przez chwilę nie sądził, że państwowy koncern miedziowy zajmie się tą sprawą. Do wypadku doszło w prywatnym przedsiębiorstwie oddalonym od zarządzanej przez niego kopalni o ponad 900 kilometrów na północ. To prawda, była to katastrofa – co do tego nie miał wątpliwości – ale nie była to jego katastrofa.

DZIEŃ 4: PONIEDZIAŁEK 9 SIERPNIA

O 10 rano następnego dnia Sougarret znów odebrał telefon – pilne polecenie, aby natychmiast stawił się w pałacu prezydenckim.

– Pomyślałem, że to jakaś pomyłka – opowiadał inżynier. – Po co mieliby wzywać mnie do *La Moneda* – pałacu prezydenckiego?

Sougarret spakował swój mały plecak, chwycił kask górniczy, wsiadł w samochód i ruszył w 90-minutową drogę do pałacu. Budynek *La Moneda* mijał już setki razy, ale nigdy nie miał okazji wejść do środka. Teraz wprowadzono go na pierwsze piętro, tam gdzie mieściły się gabinety prezydenta i jego naczelnych strategów. Inżynier nie usłyszał jednak żadnych wyjaśnień, kazano mu tylko czekać.

Historia odcisnęła na ścianach pałacu swoje piętno. Gdyby Sougarret przyjrzał im się dokładnie, zobaczyłby załatane dziury po kulach – pamiątki wydarzeń z 11 września 1973 roku, kiedy to pucz wojskowy obalił ówczesnego prezydenta Salvadora Allende. Allende, doktor medycyny o arystokratycznych korzeniach, głęboko przywiązany do idei rewolucji socjalistycznej, stawiał opór szturmującej pałac armii, ostrzeliwując się z okna na pierwszym piętrze karabinem maszynowym, który – jak utrzymują niektórzy – podarował mu Fidel Castro. Kiedy oblężenie dobiegło końca, ciało Allende znaleziono z pojedynczą dziurą po kuli w głowie. Większość historyków jest zgodna co

do tego, że popełnił samobójstwo. Na następnych siedemnaście lat ster władzy w Chile przejął generał Augusto Pinochet. Rządził silną ręką, wprowadzając jednocześnie śmiałe i nowatorskie reformy gospodarcze. W czasie gdy sprawował władzę, zginęły trzy tysiące Chilijczyków, ale jednocześnie nastąpił rozwój gospodarczy kraju, dzięki któremu Chile ma najbardziej stabilną gospodarkę spośród państw iberoamerykańskich – te dwa fakty przez kolejne dekady przysparzały nieżyjącemu już generałowi zarówno zajadłych wrogów, jak i fanatycznych zwolenników.

Po okresie rządów Pinocheta wspomnienia tortur i egzekucji skłoniły całe pokolenie Chilijczyków do bojkotu prawicowych sił politycznych. W latach 1990–2009 na czele kraju stawali kolejno postępowi prezydenci, którzy walczyli z ubóstwem, inwestowali w infrastrukturę, wspierali swobody obywatelskie i zawierali dziesiątki umów o wolnym handlu z innymi krajami. Wybór w 2010 roku na prezydenta kraju Sebastiána Piñery – centrowego polityka reprezentującego prawicowe ugrupowanie Renovación Nacional – ostatecznie pogrzebał ducha Pinocheta i wprowadził nowy model rządów: technokratycznych, mających społeczeństwu coś do udowodnienia. Ludzie Piñery zdawali sobie sprawę, że etykieta prawicowego polityka w Chile oznacza, że stale będzie on na cenzurowanym – że jeśli teraz zawiodą, może minąć całe pokolenie, zanim dostaną kolejną szansę na rządzenie krajem.

Tymczasem czekający w pałacu prezydenckim Sougarret czuł się niezręcznie. Ubrany był nieformalnie – miał na sobie niebieskie dżinsy. Ze swoim hełmem górniczym i plecakiem wyróżniał się wśród zabieganych ludzi w garniturach i krawatach. Na pałacowych korytarzach czyhała falanga dziennikarzy, co oznaczało, że dzieje się coś ważnego. Jednak Sougarret był coraz bardziej zdezorientowany; od dwóch godzin nikt nie zamienił z nim słowa.

Wreszcie nadszedł rozkaz: „Idziemy!" – inżyniera szybko odprowadzono do podziemnego garażu i wsadzono do jedne-

go z samochodów kolumny prezydenckiej. Eskortowany z obu stron przez pojazdy z uzbrojonymi w pistolety uzi pracownikami ochrony Sougarret szybko przejechał przez Santiago. Przy lotnisku konwój minął zwykły wjazd i skierował się od razu do bazy 10. Pułku Sił Powietrznych, gdzie stał prezydencki odrzutowiec. Sougarretowi nadal nic nie powiedziano, nie wiedział, dokąd ani w jakim celu się udaje. Na pokładzie samolotu prezydent Piñera wezwał inżyniera do swojej kabiny, wyciągnął szkicownik, narysował uproszczony schemat kopalni wraz ze schronem bezpieczeństwa i wydał dyspozycję: „Musi ich pan stamtąd wydobyć". Prezydent polecił zakłopotanemu inżynierowi, aby opracował optymalny plan akcji ratunkowej. Podkreślił przy tym, że może on liczyć na pełne wsparcie rządu Chile i ma do dyspozycji wszystkie państwowe zasoby.

Dopiero wtedy Sougarret zdał sobie sprawę, że powierzono mu dowodzenie misją uratowania górników. W jego ręce złożono życie trzydziestu trzech ludzi i nikt nawet nie zapytał, czy ma czas, ochotę i czy wystarczy mu wiedzy i umiejętności do wykonania tego zadania. Inżynier zwierzył się później, że czuł się tak, jakby go uprowadzono.

Po przybyciu do zaciemnionego obozu jego dezorientacja wzrosła. Nigdy wcześniej nie był w kopalni San José i znowu, bez ostrzeżenia, ciężar odpowiedzialności, którą na niego zrzucono, zwiększył się. Prezydent oznajmił zgromadzonym na miejscu przedstawicielom mediów, że przywiózł „eksperta", który będzie odpowiadał za przebieg akcji ratunkowej.

– Dobra, pomyślałem sobie, sytuacja się komplikuje. Przeszliśmy parę kroków w stronę miejsca, gdzie obozowali krewni zasypanych górników. Uderzyła mnie udręka malująca się na ich twarzach... Było tam pięćdziesięciu ludzi. Widziałem wiele zatroskanych twarzy, na niektórych dostrzegłem rozpacz. I niepokój. Pamiętam, że dostało się prezydentowi za to, że podszedł najpierw do mediów, a dopiero potem do rodzin. Daliśmy słowo, którego później zawsze dotrzymywaliśmy, że najpierw będzie-

my informować o wszystkim rodziny, a dopiero potem dziennikarzy. Zapadło mi to w pamięć. Później prezydent wyjaśnił, że przywiózł z sobą ekspertów, którzy – nie szczędząc środków – spróbują rozwiązać problem. Dla mnie był to przełomowy moment, początek wszystkiego – mówił Sougarret w wywiadzie udzielonym chilijskiej gazecie „El Mercurio". – Zrozumiałem, że to ja odpowiadam za akcję. Prezydent odjechał, a ja tam zostałem, całkiem sam.

Sougarret nie musiał patrzeć na zrozpaczonych krewnych, by zrozumieć, czym jest ta katastrofa. W kopalni El Teniente, którą współzarządzał, w 1945 roku doszło do największego pod względem liczby ofiar śmiertelnych wypadku w historii chilijskiego górnictwa, znanego jako „Tragedia del Humo". Jego przyczyną był dym z pożaru, który wybuchł w bunkrze magazynowym kopalni. Dym z płonącego w beczkach oleju, wdzierający się do wszystkich szczelin i zakamarków Chodnika C, szybko uwięził przeszło tysiąc górników. Przez kilka godzin próbowali oni się przed nim chronić, przykładając do ust mokre szmaty, jednak ten sposób okazał się nieskuteczny i wkrótce ludzie zaczęli osuwać się na ziemię. Systemy bezpieczeństwa kopalni El Teniente nie spełniały wymaganych norm – wyjścia awaryjne nie były wyraźnie oznakowane.

Kiedy z kopalni buchnęły kłęby czarnego dymu, podjęto akcję ratunkową. Górnicy rzucili się w płomienie, przedarli do odciętego korytarza i wynieśli półprzytomnych kolegów na powierzchnię. Sześciuset z nich udało się uratować, lecz 355 straciło wówczas życie.

„Tragedia del Humo" stała się zarzewiem ogólnonarodowej debaty na temat bezpieczeństwa pracy w kopalniach, której rezultatem było utworzenie Agencji Bezpieczeństwa Górniczego. Do procesu decyzyjnego wprowadzono pojęcie „przeciwdziałanie zagrożeniom" – nowe zasady bezpieczeństwa wdrożono z takim powodzeniem, że przez czternaście lat z rzędu kopalnia El Teniente zdobywała międzynarodowe nagrody za wysokie

standardy bezpieczeństwa pracy. To nie przypadek, że doradcy prezydenta Piñery, którzy doskonale wiedzieli, że właściciele San José nie są przygotowani do przeprowadzenia skomplikowanej akcji ratunkowej, zmobilizowali najbardziej profesjonalną, wyczuloną na kwestie bezpieczeństwa ekipę w Chile – załogę kopalni El Teniente z Sougarretem na czele.

Pierwszym wyzwaniem, z jakim musiał się zmierzyć dowodzący akcją, była koordynacja robót wiertniczych. Przez cztery doby od zawału chilijska brać górnicza gromadziła i wysyłała na miejsce katastrofy konwoje sprzętu – wysokowydajne spycharki, samochody cysterny, dźwignice i maszyny wiertnicze, którymi można było drążyć w skale wielusetmetrowe szyby zwane „otworami wiertniczymi". Przybyli na miejsce inżynierowie szybko zdecydowali, że próba dotarcia do górników od strony wejścia do kopalni byłaby szalenie niebezpieczna, a z kolei otwory wiertnicze dawały najpewniejszą szansę nawiązania kontaktu z uwięzionymi.

Wszystkie maszyny wiertnicze zebrano w jednym miejscu – utworzyły ciasny pierścień parujących i syczących wież, które wyglądały jak platforma naftowa z powiewającymi tu i ówdzie chilijskimi flagami. Te przenośne urządzenia nie należały do najnowocześniejszych: już od lat 50. ubiegłego wieku przewożono i przenoszono je w różne zakątki globu, gdzie służyły do przewiercania wierzchnich warstw skorupy ziemskiej.

Pomagały lokalizować złoża surowców – od formacji wodonośnych po pokłady rud cynku. Teraz wszystkie wiertła zamierzano wykorzystać podczas brawurowej akcji poszukiwawczo-ratunkowej. Koronkę jednego z wierteł o szerokości 90 milimetrów nakierowano na spiralne wyrobisko położone prawie kilometr pod ziemią; iglica miała do przebycia 700-metrową drogę w poszukiwaniu jednego z kopalnianych szybów.

Zanim Sougarret przybył do San José, w pośpiechu wypróbowano sześć różnych wierteł.

– Wiercono różne otwory, ale bez żadnego planu – tak opisywał Sougarret to, co zastał na miejscu. – Postanowiliśmy, że zastosujemy trzy techniki wierceń... trzy równoległe plany oparte na różnych koncepcjach: jedne miały stawiać na szybkość, inne na precyzję. Ścigaliśmy się z czasem. Jeśli zależałoby nam na precyzji, postęp prac byłby znacznie wolniejszy. Gdybyśmy jednak postawili tylko na szybkość, wiertła mogłyby zboczyć z kursu.

Zgodnie z obliczeniami Sougarreta można było osiągnąć tempo około 100 metrów na dzień. Innymi słowy – aby świder dotarł w okolice, gdzie przypuszczalnie przebywali uwięzieni górnicy, potrzeba było co najmniej tygodnia.

Mając do dyspozycji jedynie bardzo szkicowe mapy kopalni, prowadzący wiercenia musieli szacunkowo określić lokalizację podziemnego schronu bezpieczeństwa – gdzie prawdopodobnie schowali się górnicy, którym udało się przeżyć. Czy zdążyli dotrzeć do schronu? A może są w warsztacie? Albo leżą pogrzebani pod rumowiskiem skał? Tak jak ratownicy przeszukujący wyrobiska, inżynierowie – przyzwyczajeni do precyzyjnych instrukcji – byli przerażeni ilością zmiennych, z powodu których skazani byli wyłącznie na domysły i spekulacje.

Celem prac wiertniczych jest zazwyczaj duży horyzont ropny lub podziemna formacja wodonośna. W tym wypadku cel był mikroskopijny: podziemny schron wielkości przydomowego basenu. Gdyby przy wyznaczaniu miejsca wlotu otworu inżynierowie pomylili się zaledwie o kilka centymetrów, zanim dotarliby na głębokość 700 metrów, do poziomu, na którym był schron, otwór zboczyłby z kursu o kilkaset metrów.

– Kiedy zjawiliśmy się w kopalni, kazano nam umieścić wiertło bezpośrednio nad miejscem, w którym usytuowany był schron – opowiadał Eduardo Hurtado, kierownik wierceń w specjalistycznej chilijskiej spółce Terraservice. – Buldo-

żer wyrównywał teren pod platformę, na której miały stanąć urządzenia wiertnicze, a geodeta dokonywał pomiarów. Potem przyjechał José Toro, geolog z kopalni El Salvador. Znał dobrze teren i kazał nam przesunąć maszynę w inne miejsce; pojawiły się obawy, że cały górotwór może się posypać.

DZIEŃ 5: WTOREK 10 SIERPNIA

Choć znalezienie uwięzionych pod ziemią ludzi było zadaniem szalenie trudnym, wszyscy w obozie Nadzieja uznali warkot pracujących maszyn wiertniczych za dobry omen. Jeśli jacyś górnicy przeżyli, słysząc odległe buczenie wierteł będą wiedzieli, że akcja ratunkowa trwa.

– Wiem, że czują każdy dźwięk przedzierających się przez skałę maszyn, niosących im to, co niezbędne do życia: tlen, żywność i wodę – mówił prezydent Piñera. – Mam nadzieję, że sześć wiercących niestrudzenie maszyn pozwoli nam doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca. Muszę jednak przyznać, że nie jest to zadanie łatwe; sytuacja jest niezwykle złożona, zawał kopalni położonej na uskoku geologicznym jeszcze się nie skończył. Jak mawiają górnicy – kopalnia żyje, co szalenie utrudnia nam akcję ratunkową.

Kiedy prezydent i jego zespół pochylali się nad zawiłościami planu ratunkowego, na teren kopalni przybyły setki okolicznych mieszkańców.

Ponieważ 10 sierpnia w Chile jest *Día del Minero* – Dniem Górnika – krewni, znajomi i koledzy uwięzionych zebrali się w pobliżu San José na ponurą uroczystość. W normalnych okolicznościach to radosne święto, podczas którego organizuje się *asados* (wspólne grillowanie), zabawy taneczne i uroczystości religijne na cześć ludzi pracujących w górnictwie, które wprowadziło Chile do grupy liczących się gospodarek świata.

W 2010 roku wszystkie imprezy odwołano. Z terenu San José wyruszyła posępna procesja. Około dwóch tysięcy lu-

dzi odbyło krótką i bolesną pielgrzymkę. Chilijska telewizja państwowa (TVN) na żywo relacjonowała to wydarzenie rozgrywające się w odległym zakątku kraju. Cały naród patrzył na maszerujących wolnym krokiem członków rodzin górników – po ich twarzach płynęły strumienie łez. Kilku mężczyzn z trudem dźwigało figurę świętego Wawrzyńca, patrona górników, od którego imienia nazwano akcję ratunkową. Inni nieśli na barkach Dziewicę Maryję z Candelarii, figurę z kaplicy pobliskiej kopalni La Candelaria. Po interwencji rodzin zebranych w San José zrezygnowano z odniesienia posągu Dziewicy; jej moc potrzebna była na miejscu. Z zaaranżowanego na lawecie ciężarówki prowizorycznego ołtarza biskup Gaspar Quintana wzywał rodziny, by nie traciły ducha, gromił urzędników państwowych za niewystarczające standardy bezpieczeństwa pracy i prosił Boga o dobre wieści o uwięzionych:

– *Dios!* Ześlij nam znak – modlił się. – Jak najszybciej.

Gubernator Atakamy Ximena Matas szukała sposobu, by zebrani najpierw zdali sobie sprawę ze smutku i rozpaczy, jakie odczuwają, a następnie opowiedzieli o nich zespołowi psychologów skompletowanemu przez miejscowych urzędników. Aby zapewnić rodzinom wsparcie, ludzie pani gubernator zorganizowali „łapankę" wśród psychologów tamtejszego biura antynarkotykowego, dokooptowali też kilku z Santiago.

– Rozumiemy doskonale, że ostatnie dni i noce były dla was ciężkie. Wszyscy widzimy, jak trudne jest doświadczenie, przez które przechodzicie, ale widzimy też, że wzajemnie się wspieracie w oczekiwaniu na najbliższych – mówiła Matas. Następnie wytłumaczyła rodzinom górników, dlaczego tak ważne jest podzielenie się tymi uczuciami ze sprowadzonymi przez władze specjalistami od zdrowia psychicznego.

DZIEŃ 6: ŚRODA 11 SIERPNIA

Kiedy dwustu członków rodzin zbudziło się następnego ranka, pustynia zgotowała im kolejną niespodziankę: ulewny deszcz. Niezwykła burza rozszalała się nad Atakamą, zamieniając zakurzone miasteczko namiotowe w przenikliwie zimne i śliskie bajoro. Niektóre rodziny spędziły ten dzień w samochodach, z włączonym ogrzewaniem i zamkniętymi szybami.

– Nie zostawimy tu mojego brata – mówiła Jeanette Vega, której brat Alex był wśród zasypanych. – Dopóki jest pod ziemią, nikt się stąd nie ruszy, nieważne, czy pada deszcz, czy jest zimno, czy świeci słońce.

Przez cały dzień rodziny kuliły się w śpiworach, piły przyniesioną w termosach herbatę lub kawę i osłaniały namioty przed deszczem przezroczystymi plastikowymi foliami. Przybyło wojsko i przygotowało podwyższone, płaskie i nieco bardziej osłonięte miejsce, na którym można było rozbić część namiotów. Pozwoliło to też odgrodzić rodziny od nieprzerwanego strumienia aut. Do wieczora temperatura spadła poniżej zera. Bliscy górników zbili się wokół ognisk. Właściciele pobliskich winnic podarowali obozującym wokół kopalni ludziom obcięte łodygi starych krzewów winnych. Twarde poskręcane drewno paliło się powoli gorącym płomieniem, który utrzymywał się do świtu. W życiu przebywających tu rodzin nie było już miejsca na normalny sen.

DZIEŃ 7: CZWARTEK 12 SIERPNIA

Minął już tydzień, a zasypani górnicy wciąż nie dali znaku życia. Ratownicy wiedzieli, że liczba możliwych działań zmniejsza się – kopalnia cały czas miażdżyła kolejne szyby wentylacyjne i grzebała nadzieje na szybki ratunek. Górnicy z całego Chile spieszyli z pomocą, wysyłając na miejsce katastrofy ekipy ratunkowe, zaawansowany technicznie sprzęt poszukiwawczy i wiertła.

– Nie czas upadać na duchu. Moi koledzy prawdopodobnie słyszą odgłosy wierceń i to dodaje im sił – mówił Gino Cortés, pracownik San José, który pięć tygodni wcześniej w tej samej kopalni stracił nogę. – To twardzi górnicy. Wszyscy wiemy, na jakie niebezpieczeństwa się narażamy, i dlatego – w pewnym stopniu – akceptujemy nasz los.

O godzinie 2 po południu (równo tydzień od chwili zawału) rozległo się wycie syren, trąbienie klaksonów i bicie dzwonów kościelnych, jednak cisza, która po nich zapadła, była bardziej wymowna. Minął tydzień i nadal żadnych wieści. Krewni górników posuwali się w górę stoku, dekorując go fotografiami i zamalowując imionami tych, których kochali i utracili. Urządzili się tutaj na dobre, rozbili namioty i cały czas zaklinali ratowników, aby ci nie rezygnowali z prób odnalezienia zasypanych. Obóz Nadzieja stawał się tętniącą życiem świątynią.

Miejsce to błyskawicznie rodziło w ludziach poczucie wspólnoty – co nie powinno dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę, że większość górników stanowili miejscowi: sąsiedzi, kuzyni lub – jak w wypadku Renána i Florencia Ávalosów – bracia. Górnicy pochodzili z wielodzietnych rodzin, żyjących w spartańskich warunkach – nie zawsze wszystkie dzieci miały tego samego ojca. Uwięzieni w kopalni Jorge Galleguillos i Darío Segovia mieli po dwanaścioro rodzeństwa. Średnio na każdego z górników przypadało ośmioro braci i sióstr, co oznacza, że ich rodziny były dwa lub nawet trzy razy liczniejsze od przeciętnej rodziny chilijskiej. Teraz znajdowało to odzwierciedlenie w błyskawicznie powiększającym się obozie.

Z powodu gwałtownie rosnącej liczby koczujących w obozie osób armia chilijska zaczęła dostarczać przenośne toalety i żywność. Polowa kuchnia wydawała cztery posiłki dziennie – czwartym był *once*, serwowany o godzinie 6 wieczorem chilijski podwieczorek. Ivana Viverosa Aranasa, policjanta pracującego na terenie obozu, niezwykle podnosił na duchu widok napływającej szerokim strumieniem pomocy.

– Naród się zjednoczył. Wszyscy byli razem niezależnie od wyznania czy pozycji społecznej – mówił Aranas, który nie patrolował już obozu, lecz spędzał większość czasu na rozmowach z krewnymi górników lub grze w piłkę z coraz liczniejszą grupą dzieci. – Przyjeżdżają tu ludzie, którzy po prostu chcą się na coś przydać; nie są krewnymi uwięzionych pod ziemią górników.

W miarę jak akcja Sougarreta nabierała rozmachu, stok góry wokół wejścia do kopalni zapełniał się skleconymi naprędce prowizorycznymi obiektami: były tu kontenery przerobione na biura, prymitywne markizy osłaniające inżynierów przed palącym pustynnym słońcem, dwa kampery, które pełniły funkcję kwatery niewielkiej, lecz rozrastającej się ekipy dziennikarskiej. Kilkudziesięciu mężczyzn w kaskach i kombinezonach odblaskowych czekało na instrukcje. Nadciągnęła karawana wozów strażackich, spycharek i ambulansów. Ciężarówki z naczepami z trudem pokonywały ostatnie zakręty drogi, zapowiadając przybycie – za każdym razem entuzjastycznie witanej – parady specjalistycznego sprzętu przysyłanego na zamówienie zespołów inżynierskich, gorączkowo poszukujących możliwości uratowania górników. Pomimo ponurych prognoz obóz przenikał duch nadziei. Co kilka godzin daleki odgłos klaksonu oznajmiał przybycie kolejnego transportu darmowego prowiantu lub sprzętu ratunkowego.

Głuchy warkot stał się tłem wszystkich czynności w *Campamento Esperanza*. Zawodzenie dieslowskich silników – podobnie jak ruch uliczny w wielkiej metropolii – zaczęło z czasem brzmieć naturalnie, jak szum wiatru lub fal morskich. Niebo ponad obozem skrzyło się tysiącem gwiazd, dowodząc niezbicie, że miliardy wydane na budowę obserwatoriów astronomicznych w tej części Ameryki Południowej były trafną inwestycją. Badacze ciał niebieskich uważają niebo nad pustynią Atakama za najlepszą na Ziemi soczewkę do oglądania innych światów. Wszystkie modlitwy koczujących w obozie Nadzieja

biegły właśnie ku niebu, ale myśli kierowały się w dół, w głąb ziemi, do uwięzionych górników.

Minister Golborne przekonywał się, że sen to ulotny towarzysz. Początkujący polityk odpowiedział na rozkaz prezydenta, opuścił żonę i szóstkę dzieci i wszystkie działania podporządkował osiągnięciu jednego celu: uratowaniu trzydziestu trzech górników. W tydzień po podjęciu akcji ratunkowej Golborne odchodził od zmysłów. Analizy przygotowane na zlecenie rządu nie nastrajały optymistycznie; jedna z nich szacowała prawdopodobieństwo przeżycia górników na dwa procent. W desperacji Golborne odwiedził wróżkę. Zdradziła mu ona, że miała wizję mężczyzn: szesnastu z nich żyło, lecz jeden był ciężko ranny w nogę. Po tym incydencie Golborne nie był pewien, co było mniej prawdopodobne: szansa, że górnicy przeżyli, czy fakt, że rządowy minister konsultował się z wróżką.

Do biura Golborne'a napływał strumień propozycji – ale także pomysłów, darowizn i teorii. Jedna z firm zaoferowała na przykład, że przez otwór wiertniczy wpuści do kopalni tysiące szczurów. Każdy gryzoń miałby zamocowany na grzbiecie przycisk alarmowy. Po wypuszczeniu szczury rozbiegłyby się po wszystkich zakamarkach górotworu. Jeśli któryś z uwięzionych górników złapałby zwierzę i nacisnął przycisk, uruchomiłby alarm, a ratownicy zyskaliby pewność, że ktoś przeżył.

Dwunastego sierpnia minister górnictwa publicznie dał wyraz swoim wątpliwościom:

– Szanse na znalezienie górników żywych – wyznał – są znikome.

Ten komentarz ściągnął na głowę Golborne'a falę krytyki. Członkowie rodzin byli zdruzgotani: wiara była dla nich warunkiem zachowania emocjonalnej równowagi. Wątpliwości niemal uznano za zdradę. Dzień później prezydent Piñera osobiście interweniował, by uspokoić nastroje. Oznajmił:

– Nadzieje rządu są żywsze niż kiedykolwiek.

Jego optymizm płynął z wiedzy dostępnej wtajemniczonym: wiercenia postępowały dwa razy szybciej, niż przewidywano. W ciągu niecałych dwóch dni jedno z wierteł przebiło się na głębokość prawie 300 metrów. W tym tempie kontakt z górnikami nawiązano by już za czterdzieści osiem godzin, czyli 14 sierpnia. Jednak nawet gdyby otwór przebił strop podziemnego warsztatu, chodnika lub schronu, jego średnica nie była przecież większa od średnicy jabłka. Pozostawało pytanie: co dalej?

DZIEŃ 8: PIĄTEK 13 SIERPNIA

Inżynierowie Codelco na całym świecie poszukiwali technologii, które pozwoliłyby im przyspieszyć roboty wiertnicze, a w razie odkrycia żywych górników – dostarczyć im żywność i leki. Rozwiązanie znalazł Miguel Fortt, profesor fizyki na miejscowym Universidad del Mar w Copiapó. Uczestniczył on wcześniej w dwunastu akcjach ratunkowych, w których stawką było życie ludzi, zarówno w kopalniach na terenie Chile, jak i poza jego granicami. Jako były górnik Fortt znał kopalnie, a jednocześnie posiadał wiedzę i doświadczenie zdobyte w trakcie różnorodnych działań ratowniczych. Fortt zaproponował wypełnienie rury PCW butelkami z wodą i jedzeniem, a następnie spuszczenie jej na linie w głąb kopalni. Był to śmiały i optymistyczny plan. Niezwłocznie rozpoczęto próby. Wynalazek chilijskiego naukowca nazwano *la paloma mensajero* (gołąb pocztowy) lub w skrócie *la paloma*. Już wkrótce cały świat miał podziwiać pomysłowość Fortta.

Podczas gdy władze pospiesznie gromadziły narzędzia i fachowców niezbędnych do realizacji skomplikowanej operacji, dwie osoby znacząco milczały: właściciele kopalni. Postawa Marcela Kemeny'ego i Alejandra Bohna od samego dnia wypadku, kiedy to zwlekali z zawiadomieniem rodzin, aż do momentu, kiedy nie mogli dostarczyć dokładnych map kopalni, ściągnęła na nich powszechną krytykę.

Dla rodzin górników już sam fakt, że właściciele nie czuli się w obowiązku przekazać im informacji o wypadku, był skandaliczny – przy czym uważano, że wsadzenie ich do więzienia to zbyt łagodna kara. Według krewnych przebywających w obozie właściwą karą dla właścicieli niebezpiecznego zakładu górniczego było uwięzienie ich w kopalni. Krążyły pogłoski, że zarządca kopalni w Chinach uznany za winnego zaniedbań właśnie tak został ukarany – na dole miał dopilnować, aby ponownie nie doszło do niebezpiecznej sytuacji, która przyczyniła się do śmierci jego pracowników.

Jeszcze zanim doszło do katastrofy, zadłużenie właścicieli San José wobec rządu Chile przekroczyło 2 miliony dolarów. Spółka była niestabilna finansowo, miała ogromne długi i zatrważającą statystykę wypadków. Choć dzienny urobek San José wynosił przypuszczalnie 6 tys. funtów miedzi (o wartości blisko 22 tys. dolarów), a jej zasoby złota szacowano na około 600 tys. uncji (wartych, według cen z 2010 roku, prawie miliard dolarów), właściciele kopalni byli zdesperowani. Na ostatniej stronie raportu rocznego za 2009 rok widniały wyróżnione tłustym drukiem słowa:

SYTUACJA:
PROBLEMY Z KONTYNUOWANIEM DZIAŁALNOŚCI.
ZAMKNĄĆ KOPALNIĘ.
SPRZEDAĆ.

Chilijski wymiar sprawiedliwości działa zazwyczaj bardzo opieszale, spowalniany wnioskami formalnymi obrony. Jednak ogromne zainteresowanie mediów wypadkiem w San José doprowadziło do wszczęcia trzech niezależnych dochodzeń: jedno prowadził chilijski kongres, drugie – działający z ramienia rządu prokuratorzy, a trzecie – prywatne kancelarie prawne reprezentujące rodziny.

Prezydent Piñera ostrzegał, że odpowiedzialni za katastrofę „nie mogą liczyć na bezkarność". Poleciały głowy w rządowej agencji do spraw bezpieczeństwa górniczego Sernageomin – zdymisjonowano trzech najwyższych rangą urzędników. Dokumenty skonfiskowane w siedzibie spółki wydobywczej San Esteban Primera, do której należała kopalnia San José, a także rządowe dochodzenie wkrótce zrodziły pytania, jak to możliwe, że udało się ponownie otworzyć zakład, w którym doszło do tak wielu śmiertelnych wypadków. Podejrzewając, że przynajmniej niektórzy górnicy zginęli, prokuratorzy rządowi przygotowywali oskarżenie o nieumyślne spowodowanie śmierci.

DZIEŃ 9: SOBOTA 14 SIERPNIA

W obawie, że może zostać obarczony odpowiedzialnością za „akcję ratunkową", której finałem będą ofiary śmiertelne, Sougarret zarządził zmianę technologii. Pracę dwóch wierteł, które dotarły najdalej, wstrzymano, a rurę wiertniczą wyciągnięto z ziemi. Tak jak się obawiał, szybkość okazała się wrogiem precyzji i otwory wiercone w szybkim tempie zboczyły z kursu. Mając do dyspozycji nowe części przysłane drogą lotniczą ze Stanów Zjednoczonych i Australii, Sougarret był pewien, że teraz uda się utrzymać prawidłowy kierunek wierceń – choć prace będą postępować znacznie wolniej. Wiertła – przekalibrowane i przekonfigurowane – zaczęły ponownie zagłębiać się w skale.

Na wzgórzu wybuchła tymczasem przyjacielska rywalizacja pomiędzy dziewięcioma ekipami wiertniczymi. Ich członkami byli weterani jednej armii, wędrowni wiertacze przemierzający całe północne Chile i świadczący usługi spółkom angloamerykańskim, Codelco i innym przedsiębiorstwom górniczym. W zasadzie warunki pracy w San José były takie jak w początkach ery przemysłowej. Ponieważ ekipy wiertaczy posilały się

wspólnie, namiot-kantyna stał się czymś w rodzaju centrum wymiany informacji branżowej. Wiertacze zdawali sobie sprawę z historycznego i wyjątkowego charakteru swej misji. Jednak techniki, które sprawdzały się podczas poszukiwań ropy, gazu czy wody, tylko częściowo zdawały egzamin przy poszukiwaniach uwięzionych pod ziemią ludzi.

– Kiedy wiercimy w ziemi otwory, szukając złóż kopalin, liczymy się z pewnymi odchyleniami od ustalonego kierunku wierceń, które mogą sięgać nawet siedmiu procent; to normalne i wkalkulowane w plany odchylenia – tłumaczył Eduardo Hurtado ze spółki wiertniczej Terraservice, która wsparła akcję ratunkową sprzętem i ludźmi.

DZIEŃ 12: WTOREK 17 SIERPNIA

Sonda po raz pierwszy przekroczyła psychologiczną granicę 650 metrów, jednak z powodu dużego wycieku paliwa straciła moc.

– Ścieżki tego otworu nie da się skorygować; jest on wycelowany w trzy wyrobiska – relacjonował mediom minister Golborne. – Może trafić w jeden z tych tuneli lub przejść pomiędzy nimi. Ma trzy szanse; może trafić w cel, ale może też chybić.

Jak wybite z dużą siłą piłeczki golfowe wiertła posuwały się po łagodnym, parabolicznym torze. Zakładano, że po drodze przebiją strop jednego z wyrobisk. Pytany o odpowiedzialność właścicieli kopalni Golborne odpowiadał, że te pytania mogą poczekać.

– W tej chwili koncentrujemy się na jednym najważniejszym celu – nawiązaniu łączności z górnikami. Znalezienie ich to nasz priorytet. Mamy tutaj wielu ochotników, wszyscy intensywnie pracują. Skupmy się na tym, co pozytywne – mówił Golborne. – Mamy czas na rozmowę o kosztach i odpowiedzialności. Nasi *compañeros* pod ziemią tego czasu nie mają.

DZIEŃ 13: ŚRODA 18 SIERPNIA

Obawy Golborne'a się potwierdziły. Otwór wycelowany najbliżej miejsca, w którym spodziewano się znaleźć górników, minął wszystkie trzy wyrobiska. Stropieni inżynierowie przyglądali się, jak wiertło w równym tempie posuwa się naprzód. Gdyby natrafiło na otwartą przestrzeń, trudno by to było przeoczyć. Tymczasem wiertło równomiernie przegryzało się przez skałę. Na głębokości 700 metrów operację przerwano; nie udało się nawiązać kontaktu z górnikami. Kiedy Sougarret przekazał tę informację rodzinom, zapanowała rozpacz.

– W kopalni nie przestrzegano przepisów, przez co nie mogliśmy dokładnie określić miejsca wiercenia – tłumaczył później. – Kopalnie mają obowiązek co miesiąc dostarczać zaktualizowane mapy wszystkich obszarów roboczych. W tym przypadku ich nie było. Mapy, którymi dysponowaliśmy, nie były dokładne, dane topograficzne się nie zgadzały.

Dla Sougarreta stanięcie twarzą w twarz z żonami górników było bolesnym doświadczeniem. Wiedział, że kobiety, które błagały go o ratunek dla mężów, były na skraju rozpaczy. Uratowanie trzydziestu trzech mężczyzn uwięzionych 700 metrów pod ziemią byłoby wyczynem bez precedensu. Nigdy dotąd nie przeprowadzono podobnej akcji ratunkowej. Najpoważniejszym wyzwaniem było przygotowanie planu dotarcia do górników i jego zrealizowanie – konieczna była improwizacja. Wielu górników uważało, że wiercenia są niepotrzebne. Proponowali tradycyjne metody: rąbanie skały, wysadzanie jej dynamitem i przebijanie się przez zasypany chodnik. Nawet przygotowana przez władze prezentacja pokazująca rozmiary i grubość skalnego zwaliska blokującego wejście do kopalni nie była w stanie odwieść ich od tego pomysłu.

Kilku miejscowych górników – twardzieli niebojących się machać kilofem od rana do wieczora – których namówiły do tego zniecierpliwione rodziny, zażądało dostępu do kopalni. „Pozwólcie nam spróbować" – nalegali. Krewni poparli ten

plan. Sfrustrowani opóźnieniami, wierceniami, które chybiały celu, i bezradnością ratowników, uważali, że warto spróbować wszystkiego. Golborne odmówił zgody. Zbuntowani górnicy skrzyknęli się i ruszyli w stronę wejścia do kopalni, lecz drogę zagrodził im oddział policji. W obawie przed kłopotami na pomoc ściągnięto jeszcze trzydziestu policjantów. Sprowadzono też posiłki, w tym opancerzony pojazd przystosowany do rozpylania gazu łzawiącego i miotania strumieni wody z ruchomego, umocowanego na dachu działka. Pojazd zwany *El Guanaco* – od podobnego do lamy, plującego śliną zwierzęcia zamieszkującego pustynię – był Chilijczykom dobrze znany. Energia strumienia wody z *El Guanaco* była w stanie powalić na ziemię dorosłego człowieka, a gaz łzawiący – udusić niemowlę. Boki pojazdu były wyszczerbione i poznaczone „bliznami" po wcześniejszych starciach.

Urzędnicy rządowi naciskali na Sougarreta, aby wpuścił zbuntowanych górników do kopalni – albo zupełnie otwarcie, albo też udając, że nic nie wie o prowadzonych pracach. Jednak głównodowodzący akcją pozostał nieugięty. Nie mógł tego zrobić, ponieważ obawiał się, że któryś z niedoszłych ratowników mógłby utknąć w kopalni lub zginąć. Jeden ze starszych górników powiedział inżynierowi, że w kopalni jest uwięziony jego syn – więc co komu do tego, że chce zaryzykować życie, by ratować swoje dziecko.

– Podszedł do mnie i zapytał, co bym zrobił, gdyby to mój syn tam był – wspominał Sougarret. – To mną wstrząsnęło. Nie mogłem przestać o tym myśleć.

Zamieszczone poniżej zdjęcie satelitarne NASA przedstawia położenie kopalni San Jose w odległym zakątku pustyni Atakama, w północnym Chile. Niewiele wiadomo o jej istnieniu, w związku z czym na długie miesiące pozostanie ona dla nieznających ją ludzi tylko nazwą, która nic nie mówi.

Do 5 sierpnia 2010 roku, kiedy to zawaliła się kopalnia miedzi i złota, niewiele osób na świecie słyszało o tym zakątku Chile. Okoliczne drogi nie należą do najbezpieczniejszych, o czym świadczą rozsiane kapliczki i wiele znaków ostrzegających o zwężeniu jezdni, które mają przewodzić znajdującym się

Kopalnia San José

Powyżej: Wejście do kopalni San José wyglądało tak przerażająco, że górnicy często się modlili, by udało im się przeżyć kolejną zmianę.

Copiapó

RICHARD VILLARROEL

ALEX VEGA

ARIEL TICONA

CARLOS BARRIOS

SAMUEL AVALOS

DANIEL HERRERA

DARIO SEGOVIA

EDISON PENA

JOSE HENRIQUEZ

JOSE OJEDA

JUAN AGUILAR

MARIO SEPULVEDA

OMAR REYGADA

OSMAN ARAYA

Najmłodszym spośród 33 uwięzionych górników był dziewiętnastoletni Jimmi Sánchez, a najstarszym – sześćdziesięcioczteroletni Mario Gómez. W dniu zawału zespołem oficjalnie kierował Luis Urzúa, brygadzista zmianowy, jednak przywództwo w grupie szybko objął Mario Sepúlveda, charyzmatyczny mężczyzna z dużym poczuciem humoru. Jonny Barrios zasłynął jako górnik, na którego na powierzchni czekały zarówno żona, jak i kochanka. Na dole pełnił funkcję lekarza. Mężczyźni schronili się w niewielkim pomieszczeniu, które nazywano schronem, dzięki czemu udało im się przeżyć (*na dole zdjęcie znaku wskazującego drogę do schronu*).

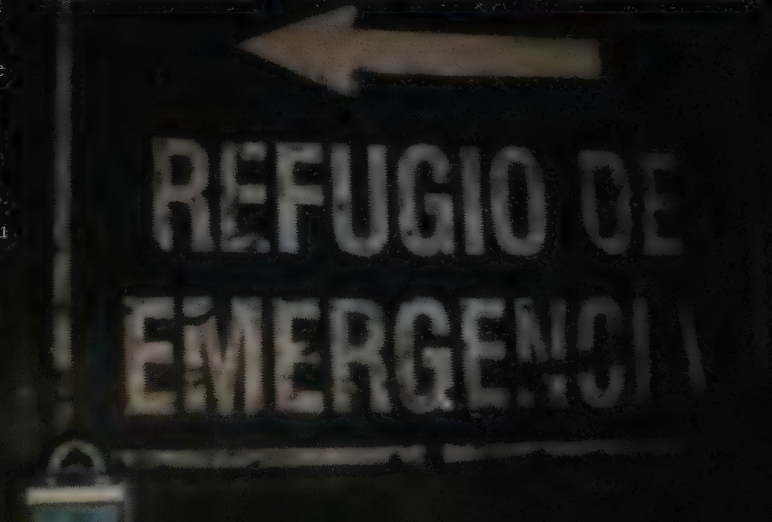

CARLOS BUGUENO

CARLOS MAMANI

CLAUDIO ACUNA

CLAUDIO YANEZ

ESTEBAN ROJAS

FLORENCIO AVALOS

FRANKLIN LOBOS

JORGE GALLEGUILLOS

JUAN ILLANES

JYMMI SANCHEZ

LUIS URZUA

MARIO GOMEZ

PABLO ROJAS

PEDRO CORTEZ

RAUL BUSTOS

RENAN AVALOS

VICTOR SEGOVIA

VICTOR ZAMORA

YONNI BARRIOS

U GÓRY, PO LEWEJ: Zaledwie kilka godzin po zawaleniu się kopalni San José zaniepokojeni krewni górników byli już na miejscu wypadku. Pedro Simonovic, kierownik kopalni, przekazuje rodzinom uwięzionych najświeższe informacje.

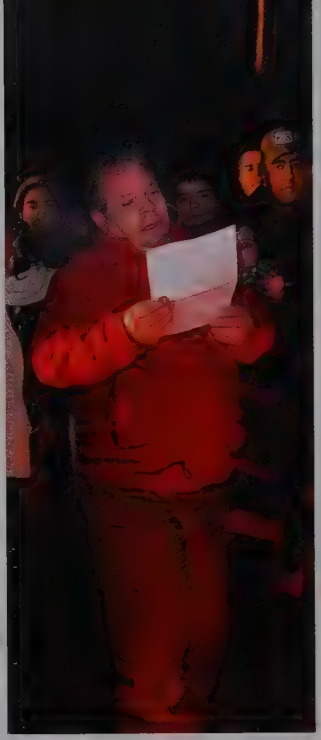

U GÓRY, PO PRAWEJ: Dzięki swojej szczerości i częstym spotkaniom z bliskimi uwięzionych górników, Laurence Golborne, minister górnictwa, zyskał olbrzymie uznanie.

PO PRAWEJ: Bliscy górników wyczekujący wieści na jałowej, pokrytej skalnymi odłamkami ziemi zjadają posiłek dostarczony przez lokalne władze.

Po prawej: Według wstępnych informacji akcja ratunkowa, o ile w ogóle uda się ją przeprowadzić, będzie niezwykle trudna. Rodziny uwięzionych górników płaczą, słysząc te wieści.

Powyżej, po lewej: Początkowo próbowano przekopać się przez zasypany tunel, by odnaleźć uwięzionych mężczyzn. Jednak kolejne osunięcia skał wielokrotnie zmuszały sfrustrowanych ratowników do powrotu na powierzchnię i pełnego napięcia wyczekiwania na poprawę warunków.

Powyżej, po prawej: Początkowo na miejscu akcji ratunkowej brakowało jakiejkolwiek infrastruktury. Na zdjęciu widać spycharkę wyrównującą teren, na którym zostaną umieszczone maszyny wiertnicze.

Poniżej: Dziesiątego sierpnia odprawiono mszę w intencji uwięzionych górników, na którą przybyły setki ich znajomych i krewnych. Głęboko religijna społeczność górnicza stała się jeszcze bardziej pobożna, mając nadzieję, że siła ich wiary uratuje zasypanych mężczyzn.

Ratownicy pracowali przez ponad dwa tygodnie, nawet w chłodne zimowe wieczory, wiercąc kilkanaście otworów, z nadzieją na odnalezienie zasypanych. Odgłosy maszyn wiertniczych przynosiły ukojenie zarówno uwięzionym górnikom, jak i ich rodzinom, dając nadzieję na rychły ratunek.

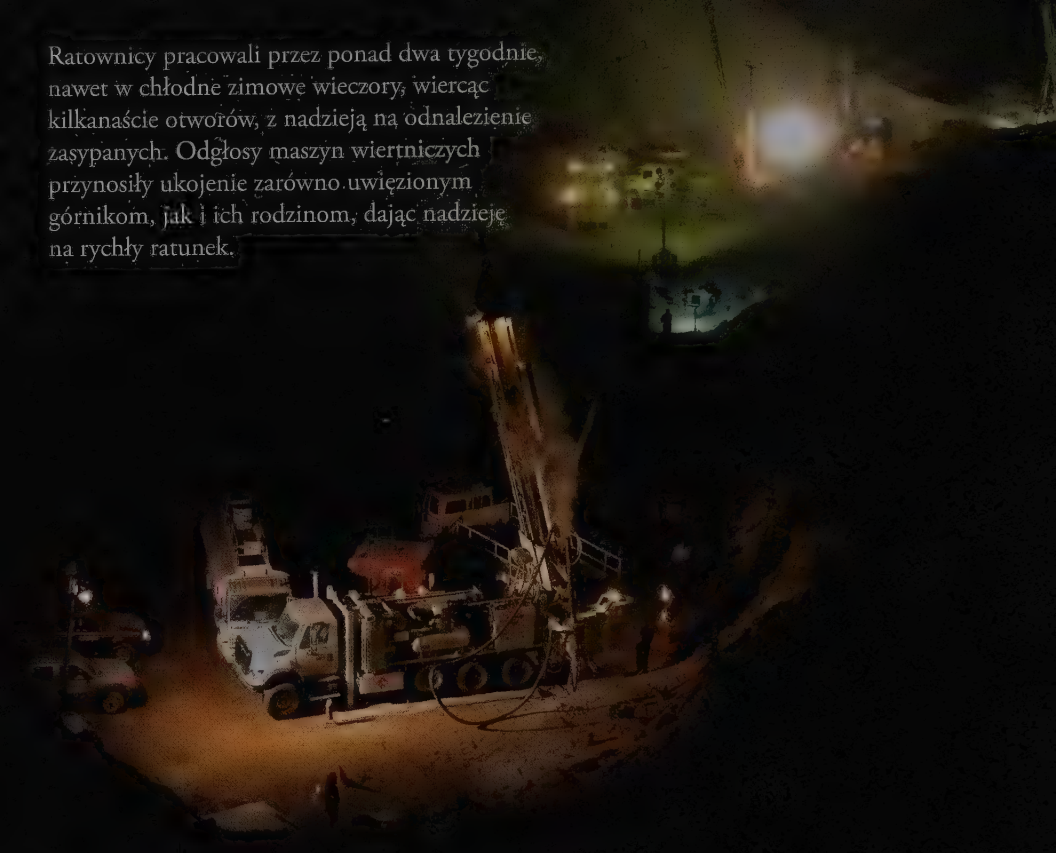

Poniżej: Krewni zapalają świece na drodze do obozowiska, nie tracąc nadziei na odnalezienie swoich bliskich.

Dwudziestego drugiego sierpnia, po 17 dniach bezowocnych poszukiwań w obozie Nadzieja wybucha radość (*mniejsze zdjęcie*), kiedy prezydent Sebastian Piñera ogłasza znalezienie wiadomości od uwięzionych górników o następującej treści: „Wszyscy czujemy się dobrze, jesteśmy w schronie, jest nas 33".

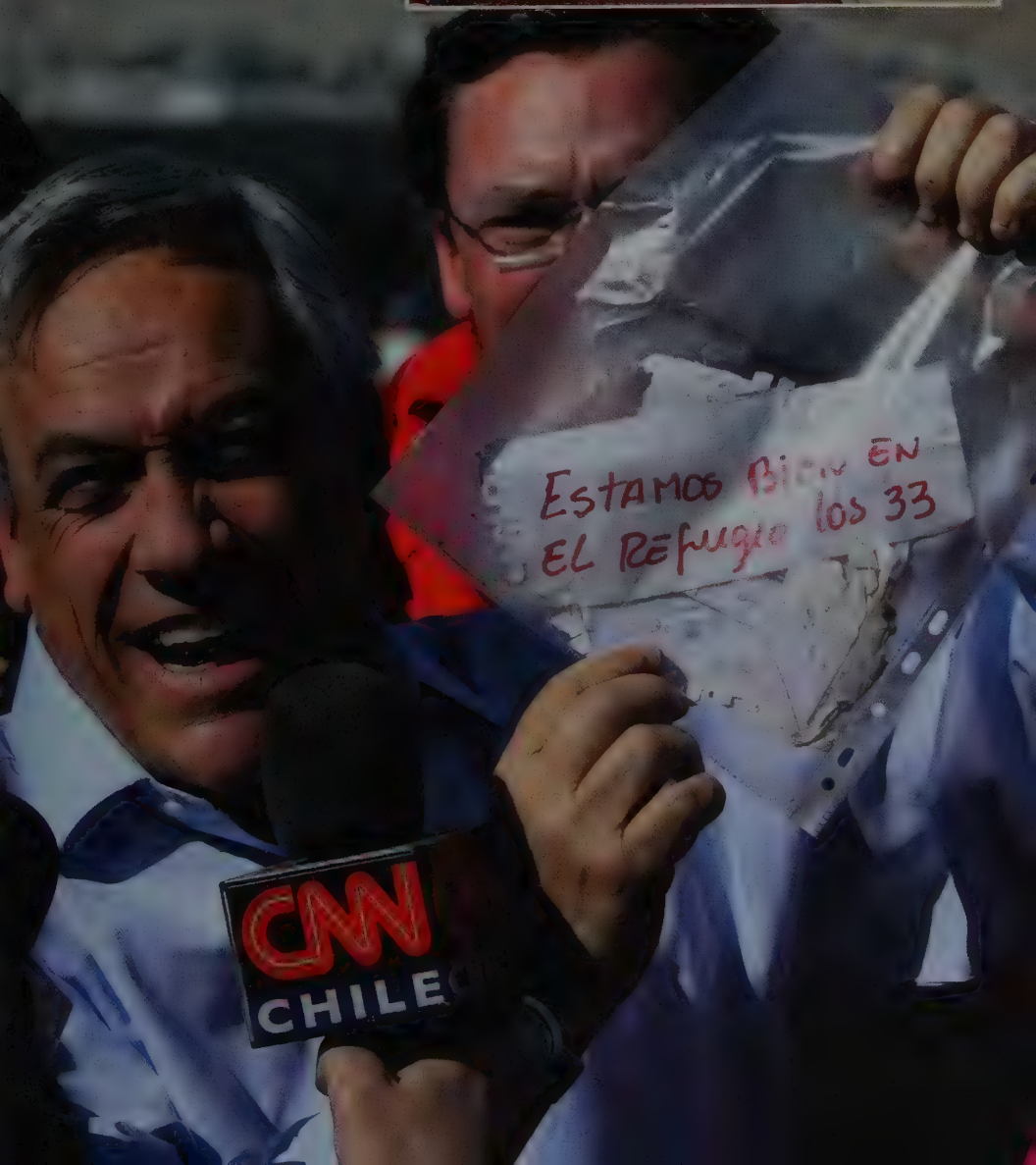

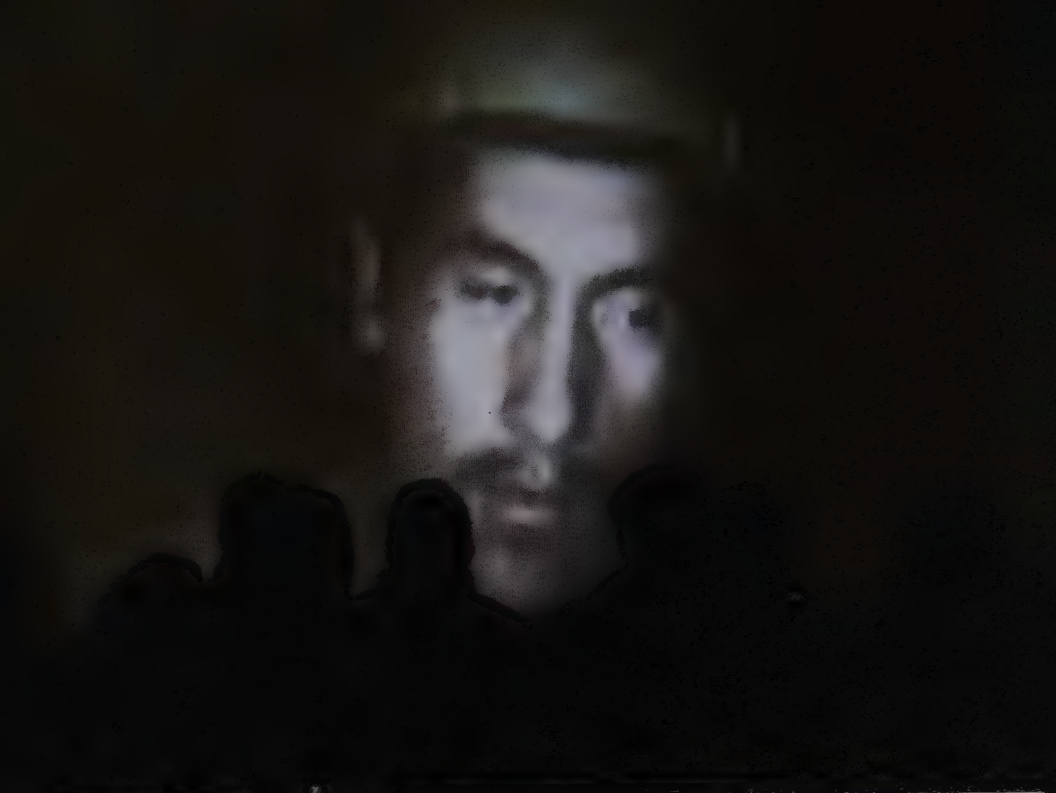

Powyżej: Rodziny oglądają pierwsze nagranie przedstawiające uwięzionych górników. Po tygodniach nerwowego wyczekiwania, wieści okazują się zaskakująco dobre – żaden z zasypanych mężczyzn nie odniósł poważnych obrażeń.

Po prawej: Pomimo trudnych warunków i perspektywy kilkumiesięcznego oczekiwania, na przekazywanych na powierzchnię nagraniach górnicy okazują zadziwiającą odwagę i jedność. Przesyłane przez nich materiały były cenzurowane przez przedstawicieli rządu.

Na dole: Na początku września udało się zainstalować system telekonferencyjny umożliwiający górnikom audiowizualny kontakt z bliskimi.

PIĘĆ

17 DNI MILCZENIA

DZIEŃ 4: PONIEDZIAŁEK 9 SIERPNIA

Jak każdy dowódca oddziału Mario Sepúlveda wiedział, że lojalność wobec grupy zaczyna się od żołądka i dopiero stamtąd wędruje do mózgu. *Compañeros* byli głodni, zestresowani i podzieleni, Sepúlveda zaczął więc kombinować. Wziął pokrywę filtra oleju, odwrócił i *voilà!* – jest garnek. Z tuńczyka z puszki i wody ugotowali wodnistą zupę. Trudno to było nazwać posiłkiem, ale przynajmniej mogli posmakować ryby i przypomnieć sobie o normalnym jedzeniu. Mężczyźni jedli razem, modlili się, robili zdjęcia telefonem komórkowym José Henríqueza (ostatnim, który jeszcze działał) i odpoczywali. Wszystko to pozwalało im na moment zapomnieć o sytuacji, w jakiej się znaleźli. Kilku górników stwierdziło później, że to był kulminacyjny punkt wspinaczki Sepúlvedy na pozycję samca alfa.

Po czterech dniach kurz opadł, a chociaż w głowach wciąż mieli zamęt, zaczęli badać każdy zakątek i niszę chodnika. Szukali szybów ewakuacyjnych i sprawdzali zasoby wody zmagazynowane w kopalni. Zbiorniki po raz ostatni napełniono przed

wieloma miesiącami – José Ojeda, okrągły łysiejący mężczyzna cierpiący na cukrzycę, uznał zanieczyszczoną ciecz za tak obrzydliwą, że zdecydował się na picie własnego moczu.

– Piłem swój mocz. Powiedziałem o tym kolegom i nazwali mnie wariatem – przyznał. – Wiedziałem, że Los Uruguayos robili to samo.

Określenia Los Uruguayos górnicy używali, kiedy chcieli uniknąć mówienia wprost o tym, czego się najbardziej obawiali: że wkrótce będą musieli jeść ciała swych towarzyszy. W 1972 roku grupa młodych Urugwajczyków, która leciała z Montevideo do Santiago w Chile na mecz rugby, cudem przeżyła katastrofę samolotu w oddalonej od cywilizacji części Andów na granicy Argentyny i Chile. Po wielu dniach głodu mężczyźni zaczęli jeść ciała tych pasażerów, którzy zginęli w czasie katastrofy i później podczas zejścia lawiny. Najpierw po prostu żuli twarde kawałki mięsa, a potem zaczęli rozmrażać trupy i piec je na kawałkach metalu oderwanych z kadłuba. Nando Parrado i Roberto Canessa, dwaj z uratowanych, przez dziesięć dni przedzierali się przez góry, aż znalazł ich chilijski farmer. To wydarzenie wstrząsnęło światem. Dla Chilijczyków Los Uruguayos nie byli dziejową anomalią, ale ponurą historią, która wydarzyła się na granicy ich państwa. W kopalni upiór kanibalizmu towarzyszył górnikom od pierwszych dni głodu.

W chwili gdy zawalił się chodnik, Víctor Zamora, długowłosy wielbiciel Boba Marleya z listkiem marihuany wytatuowanym po wewnętrznej stronie ramienia, był przekonany, że trafił do piekła. Nie należał do ludzi religijnych, ale do nowej rzeczywistości przystosował się poprzez powierzenie swojego losu Bogu, nieustanne opowiadanie dowcipów i proszenie tylko o jedno: jeśli to ma być koniec, niech będzie spokojny.

– Mieliśmy do wyboru czekać na ratunek albo umrzeć – powiedział Zamora.

Brygadzista zmianowy Urzúa, który przez długie godziny opracowywał dzienny rozkład zajęć, miał podobnie stoickie podejście do losu i mówił górnikom:

– Jeśli nas znajdą, to dobrze, jeśli nie, to trudno.

Spokojne zachowanie i cichy głos Urzúy nie odzwierciedlały jego pozycji ani nie były typowe dla dowódcy. Jego styl przywództwa ostro kontrastował z tym prezentowanym przez Sepúlvedę.

Wkrótce Sepúlveda i Urzúa mieli największą władzę: sprawowali kontrolę nad gwałtownie kurczącymi się zapasami żywności. Słusznie się domyślając, że pozostaną uwięzieni przez wiele dni, początkowo jedli miniaturowe porcje co dwanaście godzin. Zanim jednak pierwszy tydzień dobiegł końca, Sepúlveda i Urzúa zredukowali posiłki do jednego na dobę. Zapas jedzenia dzielono na minimalne porcje, każdy dostawał łyżkę tuńczyka, pół szklanki mleka lub soku i krakersa. Mężczyźni gromadzili się, czekali, aż każdy dostanie swoją porcję, po czym wspólnie jedli mizerny „posiłek".

Decyzji nie wydawał Urzúa, Sepúlveda czy Mario Gómez, choć ten ostatni zdobył sobie wielki szacunek rozsądnymi radami i doświadczeniem. Górnicy codziennie debatowali i głosowali nad wszystkim, co ich dotyczyło, i osiągali Konsensus. Sepúlveda pełnił funkcję moderatora; jego głos był ważny, ponieważ ze wszystkimi ciągle rozmawiał – dogadywał się zarówno z pojedynczymi górnikami, jak i z całą grupą.

– W obecności innych byłem twardy i silny – powiedział – ale kiedy spali, płakałem. Żałowałem, że nie mam magicznej różdżki, którą mógłbym wyczarować łóżko albo jedzenie.

Wraz z rozwojem systemu demokratycznego górnicy uporządkowali swoje życie pod ziemią i ułożyli plan dnia. Sepúlveda zaczął każdemu przydzielać zadania. Wśród górników byli mechanicy, elektrycy, inżynierowie i operatorzy ciężkiego sprzętu – Sepúlveda wiedział, jak to wykorzystać.

– Powiedziałem Arielowi Ticonie i Pedrowi Cortésowi, że będą odpowiadać za kwestie techniczne. Każdemu dałem coś do roboty. Na tym polegał mój pomysł.

Chociaż rzeczywistym przywódcą był Sepúlveda, górnicy wciąż traktowali Urzúę jak przełożonego i nigdy go nie zdetronizowali.

– Dla górnika brygadzista to świętość. Nigdy nie wpadłoby im do głowy, żeby go zastąpić. To zasada wyryta w kamieniu, jedno z przykazań górnika – powiedział doktor Andres Llarena z chilijskiej marynarki wojennej. – [Urzúa] jest przywódcą od wielu lat i za takiego uważają go podwładni.

Górnicy przetrwali dzięki trzymaniu się planu codziennych zajęć, w tym modlitw i zebrań, oraz zredukowaniu wysiłku fizycznego do absolutnego minimum. Pracą, którą uznano za najważniejszą, było *acunar* sklepienia: kilku ludzi wyrywało obluzowane kamienie i rzucało je na ziemię – dzięki temu malała szansa, że któryś z nich przypadkiem dostanie w głowę spadającym odłamkiem skały. Im więcej pracowali, tym bardziej uprzejmi byli dla siebie nawzajem – stawali się zespołem. Dzięki oświetleniu, które zamontował Edison Peña, oraz naładowanym czołówkom symulowali dzień i noc: co dwanaście godzin włączali i wyłączali światło. Zapewniło im to namiastkę normalności w tym niesamowitym otoczeniu. Pozwalało także żyć w grupie. Elementem tego życia było codzienne zebranie o pierwszej po południu, na którym wspólnie podejmowali decyzje. Po naradzie modlili się. Katolicy, ewangelicy i ateiści zjednoczyli się pod przewodnictwem José Henríqueza – szybko zaczęli go nazywać pastorem. Kazania Henríqueza notował Victor Segovia, wyznaczony na „kronikarza" codziennego życia i niezwykłych wyzwań stojących przed górnikami.

– Byłem operatorem buldożera i w szoferce miałem papier i długopis. Nie zamoczyły się, dlatego zostałem pisarzem – wyjaśnił Segovia. Przed laty omal nie zmiażdżył go odłamek skały. Po wypadku wiele tygodni spędził w gipsie. Teraz jego

notatnik zapełnił się opisami codziennych zmagań górników, czymś w rodzaju księgi pokładowej.

– Ci ludzie zostali uwięzieni w swoim „biurze", nie byli turystami zwiedzającymi jaskinie. Znali zasady, wiedzieli, jak się poruszać – powiedział doktor Llarena. – Regularnie spędzali dziesięć do dwunastu godzin pod ziemią w wilgoci i upale, i teraz też to robili. To była długa szychta, bardzo długa, ale wciąż szychta.

Miguel Fortt zwrócił uwagę na to, że górnicy byli zorganizowanym zespołem przed katastrofą.

– To sytuacja podobna do katastrofy morskiej. Górnicy muszą być zorganizowani w sposób, który pozwala na uratowanie maksymalnej liczby osób, mają to w genach. Instynkt przetrwania jest niewiarygodnie silny.

Zapasy wody były ogromne, dostęp powietrza ograniczony, ale wystarczający, dlatego podstawowy problem stanowiła żywność. Minimalne dzienne racje (tuńczyk zawierający w przybliżeniu 25 kalorii i mleko – 75 kalorii) oznaczały, że dieta górników była niewystarczająca. Biorąc pod uwagę, że mieli praktycznie nieograniczone zapasy wody, mogli przeżyć od czterech do sześciu tygodni, pod warunkiem że nie wdałyby się jakieś infekcje, które zwykle rozwijają się w osłabionym organizmie. Nieustanny żar zmuszał ciała do spalania kalorii w celu ochłodzenia się, a to z kolei powodowało usuwanie elektrolitów poprzez ciągły strumień potu.

Wielu górników miało nadwagę, co jest korzystne w sytuacji, gdy organizm zmuszony jest do przetworzenia każdego kilograma tłuszczu na około 7200 kalorii. Grubsi przypominali foki w gorszym sezonie: ich ciała zużywały nagromadzony tłuszcz. Pierwsze dni były jednak niezwykle trudne z powodu bolesnych skurczów głodu skręcających żołądki. W przypadku szczuplejszych mężczyzn proces przetwarzania tłuszczu na kalorie szybko przeniósł się do następnego najlepszego źródła energii, czyli masy mięśniowej.

Mężczyźni zauważyli, że wraz z malejącą masą mięśniową na ich ciałach – na piersiach i stopach – pojawiają się dziwne narośla oraz odbarwienia skóry. Wielki upał i wilgoć okazały się idealnym środowiskiem dla pleśni, która pokryła wszystko, także ciała. Owrzodzenia i otwarte rany zaczęły powstawać w ustach, co oznaczało, że w tym niewłaściwym dla człowieka otoczeniu panują idealne warunki do rozwoju zakażeń.

Yonni „Chico Yonni" Barrios wziął na siebie obowiązki lekarza-pielęgniarza. Drobny, kruchy mężczyzna, który od lat przeglądał medyczne teksty i malował akwarele, nie powinien być w kopalni w dniu wypadku. Zakończył tydzień pracy i zgodnie z planem miał dzień wolny, ale zrezygnował, kiedy zaproponowano mu podwójną stawkę za dalszą pracę. Pod ziemią miał mało czasu na lamenty nad swoim losem, ponieważ ciągle przychodzono do niego z dolegliwościami.

– Zawsze chciał być lekarzem. Dużo czyta i naprawdę wie wszystko o medycynie – powiedziała Marta Salinas, jego żona. – Robił zastrzyki swojej matce i ciągle czytał.

Badał kolegów, radził i starał się podtrzymać ich na duchu, za co dostał nowe przezwisko. Pod ziemią znany był jako doktor House.

Nie wszyscy mężczyźni byli gotowi do regularnego wykonywania zadań. Pablo Rojas pierwszy dzień uwięzienia spędził na dochodzeniu do siebie po potężnym kacu, a potem musiał walczyć z demonami szalejącymi w jego głowie. Rojas, mężczyzna o okrągłej twarzy, sympatyczny i emanujący spokojem, przez dziesięć lat opiekował się chorym ojcem alkoholikiem, który umarł tydzień przed katastrofą. Nie tylko wciąż płakał po ojcu, także górniku, ale martwił się również tym, że nie załatwił wszystkich niezbędnych formalności. Nic nie było w stanie usunąć z jego myśli obrazu ojca. Dla Rojasa uwięzienie w kopalni było torturą.

Przeszukiwał zawalony chodnik w poszukiwaniu jedzenia.

– Nie było robaków ani szczurów – powiedział. – Gdyby były, na pewno byśmy je zjedli.

Rojas nigdy nie czuł się bezpiecznie w kopalni, zawsze przeczuwał bliską tragedię. W 2005 roku, kiedy te obawy wzrosły, rzucił pracę w San José. Wrócił jednak w 2010 roku, zwabiony wysoką pensją. Teraz był zły – na właścicieli, na kopalnię, na siebie samego. Jak to się stało? Jak mógł być taki głupi, żeby przebywać na dole, kiedy doszło do tej od dawna przewidywanej katastrofy?

DZIEŃ 5: WTOREK 10 SIERPNIA

Piątego dnia po zawaleniu się kopalni mężczyźni poczuli słabą wibrację i usłyszeli cichy odgłos.

Dla każdego górnika było jasne: to wiercenia. Później jedni twierdzili, że nastąpiło to 8 sierpnia, w trzecim dniu uwięzienia, inni upierali się, że odgłos wiercenia usłyszeli 9 sierpnia. Wobec braku punktów odniesienia, takich jak słońce i gwiazdy, wyczucie czasu górników było dalekie od precyzji, ale w tamtym momencie nie miało to znaczenia. W końcu pojawiła się nadzieja na uwolnienie.

Alex Vega przystawił do ściany kawałek bambusa, który wzmocnił dźwięk i dostarczył jasnego dowodu, że to zbliżające się wiertło. Jego entuzjazm osłabł, kiedy się wkrótce przekonał, że w każdym miejscu dostępnych chodników o łącznej długości dwóch kilometrów bambus przystawiony do ściany dawał podobne wrażenie. Jedynie dwóch spośród uwięzionych górników pracowało na urządzeniach wiertniczych i obaj wiedzieli, że bardzo trudno precyzyjnie je nakierować.

– Mówiłem im, że pierwsze pięćdziesiąt metrów idzie szybko, ale potem tempo zwalnia – powiedział Jorge Galleguillos. On i José Ojeda znali procedury głębokich odwiertów.

Jego uwagi sprawiły, że do nadziei dołączył też strach. Podjęto próbę ich uratowania, ale odgłos był bardzo słaby i odległy,

a oni sobie uświadomili, że wywiercenie otworu o głębokości siedmiuset metrów potrwa wiele tygodni i będzie wymagać niezwykłej precyzji. Nawet w miękkiej skale maszyny rzadko pokonują więcej niż siedemdziesiąt sześć centymetrów na dzień, a wszyscy dobrze wiedzieli, że ta góra pełna jest najtwardszej skały, z jaką kiedykolwiek się spotkali, dwukrotnie twardszej od granitu. Na krótko ogarnął ich entuzjazm, ale odgłos wiercenia, który docierał do nich jakby z innej planety, nie stłumił głodu i strachu.

Nocą kilku mężczyzn zerwało się na nogi i wrzeszczało na wiertaczy:

– Pospieszcie się, skurwysyny, kiedy macie zamiar do nas dotrzeć? Przeklęte dupki!

Potem zasnęli, ale po dwóch godzinach znowu się obudzili i przeklinali.

Dziewiątego dnia racje żywnościowe znowu zostały zmniejszone. Postanowili, że zamiast co dwadzieścia cztery godziny będą jeść co trzydzieści sześć godzin – odrobina jedzenia, która nie zdoła przekonać organizmu, że został nakarmiony. Głód i wyczerpanie sprawiły, że górnicy musieli ograniczyć ruchy do minimum. Całe dnie przesypiali na kartonie, oszczędzając resztki energii. Pokarmu było tak mało, że wszystkim skurczyły się jelita cienkie.

„Bóg dał mi siłę do walki z niepokojem i głodem, który cierpieliśmy", napisał w liście do żony Caroliny Raúl Bustos. „Wszyscy prawie mdleliśmy. Modliłem się i prosiłem, żebyśmy godnie przyjęli śmierć, jeśli nadejdzie".

W jedenastym dniu Sepúlveda się załamał. Napięcia i stresy związane z niezwykłą odpowiedzialnością, którą na siebie przyjął, okazały się zbyt wielkie. Płakał. Leżał na posłaniu.

Inni ruszyli mu na pomoc. Postawienie Sepúlvedy na nogi było niezwykle istotne dla przetrwania grupy.

– Nie możesz się poddać, Mario. Bez ciebie się nam nie uda – prosił Victor Zamora.

– Jesteśmy jak rodzina – powiedział Samuel Ávalos. – Kiedy ktoś upada, podnosimy go. Ale on zrezygnował. Poddał się, rzucił ręcznik na ring. Jako grupa rozumieliśmy presję, pod jaką się znajdował, ale musieliśmy też sprawić, by zrozumiał, że nie może porzucić statku. W jego ręce oddaliśmy przywództwo.

Grupa starała się przywrócić go do życia. Zamora opowiadał mu dowcipy. Ávalos zabierał go na długie spacery.

– Nie pogrywaj z nami, Perry. Musimy się stąd wydostać.

Kiedy Sepúlveda się otrząsnął, grupa znowu się zjednoczyła. Bardziej niż przedtem szanowali swego przywódcę.

– Mario. Nawet swoim szaleństwem nas uratował – powiedział Alex Vega.

Trzydziestu trzech górników uwięzionych w zawalonej kopalni stało się wbrew sobie uczestnikami okrutnej próby, wyjątkowego psychologicznego wyzwania, którego niewiele istot ludzkich doświadcza. Odcięci od świata, żyli w tunelu pozbawionym światła i naturalnych odgłosów z wyjątkiem bulgotania wody. Musieli znosić nieprzewidywalną i nigdy nie cichnącą ścieżkę dźwiękową, na którą składały się wrzaski, jęki i trzask pękających skał. Podobnie jak sama kopalnia, ludzie żyli pod straszliwą presją.

– Zdarzenia na dole to wiele różnych rzeczy, które zebrane razem były torturą. Zostali uwięzieni pod ziemią, to po pierwsze, po drugie, w ciemności, po trzecie, bez jedzenia, a woda, którą mieli, ledwie nadawała się do picia... Do tego dochodzą sprawy, które oddzielnie nie mają znaczenia, ale nagromadzone stają się przepisem na psychiczne załamanie – powiedział Dominic Streatfeild, autor *Brainwash*, obszernego studium o doświadczeniach nad kontrolą mózgu i technikach przesłuchania. – Każdy śledczy wie, że kiedy kogoś przesłuchuje, na jego

korzyść działa niepewność, strach przed bliską śmiercią, utrata poczucia czasu, deprywacja zmysłowa, brak rutyny. Wszystko to wytrąca istotę ludzką z równowagi i odbiera jej pewność siebie – wiele z tych elementów obecnych było w kopalni.

Młody Jimmy Sánchez ciągle miał halucynacje i koszmary senne. Wyobrażał sobie, że w chodnikach straszą duchy umarłych górników. Halucynacje tak często zdarzają się samotnym żeglarzom, rybakom i odkrywcom, że zostały uwiecznione jako legendy lub mity. Wizja ponętnej syreny na pełnym morzu jest fantastycznym wytworem głębokiego pożądania. Duchy martwych górników mogą stanowić wytwór umysłu pozostającego w podobnie chwiejnym stanie. Gdy upał wysysał z ich ciał wodę i energię, wielu zwróciło się do Boga.

Mario Sepúlveda rozmawiał z diabłem.

– Chodziłem się modlić w odosobnione miejsce, to samo, w którym Gino Cortés stracił nogę. Raz modliłem się bardzo głośno i obok mnie spadł wielki kawał skały. Wiedziałem, że nie sprawił tego Bóg, tylko diabeł. Przychodził po mnie. Włosy stanęły mi dęba. – Sepúlveda zaczął krzyczeć na skałę. – Ile jeszcze czasu potrwa, aż wreszcie zrozumiesz? Ty też jesteś synem Boga, okaż pokorę. – Po tej konfrontacji diabeł zostawił Sepúlvedę w spokoju.

W różnych miejscach kopalni ludzie widywali cienie, postaci i stwory, które po chwili się rozpływały. Zjawom tym nadali nazwę *mineros chicos*, mali górnicy.

– W tej kopalni jest mnóstwo paranormalnych zjawisk – oznajmił Sepúlveda z przekonaniem prawdziwego wyznawcy.

Przestali mówić, że jest ich trzydziestu trzech, teraz mówili o trzydziestu czterech: był z nimi Bóg, trzydziesty czwarty górnik. Nawet niewierzący zaczęli się modlić.

Víctor Zamora opisywał obfite posiłki, o których zjedzeniu mógł tylko pomarzyć: steki z pomidorami i piwem. Alexowi Vedze było w miarę wygodnie: jako jeden z nielicznych miał

łóżko. Wymontował siedzenia z ciężarówki i zbudował z nich posłanie. Inny górnik zrobił kostki domina z trójkątów ostrzegawczych, które znalazł w jednym z pojazdów. Górnicy zbierali się w grupki i zwierzali się sobie nawzajem z obaw i marzeń; parami chodzili na długie spacery w ciemność.

Ariel Ticona cierpiał również innego rodzaju katusze. Miał zostać ojcem. Jego pierwsza córka Carolina już się urodziła czy jeszcze nie? Czy poród był udany, jak się czuje matka? Większość mężczyzn żyła, wyczekując na dzień ratunku, kiedy w końcu wydobędą ich z tej dziury, ale Ariel Ticona bezustannie myślał też o czymś innym. Skupił się na jednej dacie, 20 września – wtedy miała przyjść na świat jego córka Carolina.

– Mogłem nie jeść przez piętnaście dni, wystarczyła mi woda do napełnienia brzucha – powiedział. – Byłem przygotowany na następny miesiąc.

– Pogodziłem się ze śmiercią – opowiadał Richard Villarroel, który za niecały miesiąc także po raz pierwszy miał zostać ojcem. – Schudłem prawie 13 kilogramów i bałem się, że nie zobaczę dziecka. Wszyscy byliśmy tacy chudzi... Rozglądałem się i widziałem moich *compañeros*, którzy wyglądali bardzo źle, to mnie przeraziło. – Mimo to walczył o uratowanie kolegów. – Nie wiem, skąd wziąłem siły. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale kiedy podniosłem się z posłania, byłem oszołomiony. Mocno kręciło mi się w głowie. Chwiałem się na nogach... Ale zszedłem na poziom 90, znalazłem resztki rur, potem wspiąłem się na inne poziomy, polałem to, co znalazłem, olejem i podpaliłem – wysyłałem sygnały dymne.

Na wyższych poziomach kopalni Villarroel widział niezdarnie wykonane wiadomości na ścianach: „Los 33", pomarańczowa strzałka i słowo „Kryjówka". W pierwszych rozpaczliwych dniach, kiedy sobie wyobrażali, że ekipy ratowników są blisko, farbą w sprayu oznaczyli położenie swojej kryjówki.

Teraz te wiadomości wydawały się hieroglifami z poprzedniej epoki.

Sepúlveda zauważył, że kiedy leżeli, nieustannie rozmawiając, powoli umierając, egzystowali we wspólnym marzeniu, utopijnej wizji przyszłego życia, jeśli Bóg i wiertnicy będą współpracować i dadzą im drugą szansę. Odgłos wiertła się zbliżał, ale delirium, w jakim się znajdowali, utrudniało podtrzymywanie marzenia.

– Spędziliśmy mnóstwo dobrych, szczęśliwych chwil, dużo żartowaliśmy – wspominał Sepúlveda. – Raz powiedzieliśmy: „Kiedy się stąd wydostaniemy, zaproszą nas na wycieczkę samolotem. Samolot się rozbije, a my wszyscy się uratujemy, trzydziestu trzech górników znowu ujdzie z życiem". Zawsze się z tego śmialiśmy.

Franklin Lobos, piłkarz, zaczął opowiadać o założeniu fundacji non profit, urzeczywistnieniu ich zbiorowej wizji. Wszyscy się na to złożą – będą propagować idee uczciwej zapłaty i przyzwoitych warunków pracy dla wszystkich robotników na świecie. Marzyli o niekończącym się pakcie, o trzydziestu trzech muszkieterach – jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Ten fenomen sytuacji ekstremalnej, która prowokuje pozytywne zmiany w nastawieniu do życia, od dawna znany jest religijnym mistykom świadomie podejmującym post. Uwięzionym górnikom wspólne marzenia o pokoju i jedności przychodziły bez trudu, ale rzeczywistość była o wiele bardziej skomplikowana. Rodzinne więzi powodowały, że tworzyły się grupki, ponieważ wujów, kuzynów i braci łączyły krew i rodzinna tradycja. Dwudziestu pięciu mężczyzn mieszkało w okolicy – do kopalni mieli dwie godziny jazdy – więc mówili wspólnym językiem pustyni, surowym szyfrem twardych ludzi, który słownictwem, akcentem i wartościami wykopywał fosę pomiędzy nimi a resztą.

Podczas gdy tych trzydziestu trzech mężczyzn spotykało się na naradach związanych z podejmowaniem decyzji, na modlitwach i posiłkach, mała grupka złożona z pięciu górników,

podwykonawców niezatrudnionych oficjalnie przez właścicieli kopalni, zepchnięta została na bok.

„Traktowano ich jak obywateli drugiej kategorii" – stwierdził przedstawiciel rządu. Starzy górnicy mało mieli wspólnego pod względem kulturowym czy językowym z nowo przybyłymi.

Chociaż schron był bezpiecznym miejscem do spania, panował tam nieznośny upał i smród – dochodził z szatni zarzuconej niepranymi ręcznikami. Odór był tak potworny, że Omar Reygadas uruchomił buldożer i zaczął rozwalać główne drzwi. Wcześniej chroniły ludzi przed kurzem i brudem, teraz przestały być potrzebne. Reygadas rozbił całą ścianę i zepchnął gruz w dół tunelu. W schronie wciąż unosił się odór dziesięciu brudnych, spoconych mężczyzn, ale teraz powiewy świeżego powietrza, choć nie zdarzały się często, uczyniły to miejsce możliwym do mieszkania. Dla Franklina Lobosa powietrze było jak słodkie perfumy.

DZIEŃ 14: CZWARTEK 19 SIERPNIA

Każda osobna „sypialnia" zaczęła tworzyć własne zasady i reguły wspólnego życia, choć w chwilach kryzysu różnice te przezwyciężał silniejszy instynkt przetrwania. Czternastego dnia górnicy byli pewni, że odwiert do nich dotrze – ale czy na czas? Ułożyli skomplikowany plan reagowania: tuż przed przebiciem dachu chodnika schowają się w zakątkach, każdy z listem – ustalili, że gdy dotrze do nich wiertło, umocują go na jego końcówce. Górnicy mieli do dyspozycji pojemniki z pomarańczową farbą w sprayu, zwykle wykorzystywaną przez topografów, więc zamierzali też pomalować wiertło, by powiadomić ratowników, że gdzieś głęboko, uwięziony jak zwierzę, jest co najmniej jeden żywy człowiek. Przygotowano ciężki sprzęt. W razie konieczności mieli zamiar użyć maszyny perforującej, zwanej *jumbo*, do poszerzenia tunelu. Podobny do buldożera pojazd – „chochla" – miał posłużyć do usunięcia gruzu.

Odgłos wiercenia nieznacznie się zbliżył i w kopalni zapanował entuzjazm.

Górnicy uwielbiali warkot wiertła. Teraz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę rozmawiali z podnieceniem o swoich listach i planach powiadomienia ratowników, że żyją. Wyczuwali wibrowanie tuż nad sobą. Nadchodzi ratunek. A potem ze strachem coś sobie uświadomili.

Wiercenie trwało, ale teraz było pod nimi. Wiertło przebiło się przez siedemset metrów i chybiło. Górnicy zbiegli na niższy poziom pełni nadziei, ale i zdesperowani. Dwadzieścia cztery metry pod nimi wiercenie ustało. Zapadła ogłuszająca cisza. Ludzi ogarnęła panika, kiedy najgłośniejsze z kilku wierteł nagle ucichło. To było przerażające. Edison Peña zaczął krzyczeć, że wszyscy umrą. José Henríquez powiedział, by mieli ufność w Bogu.

– Chłopcy zaczęli tracić poczucie czasu, ogarnęła ich rozpacz. Nic nie robili, tylko spali, tak jak Claudio Yáñez. Odnosiłem wrażenie, że siedemdziesiąt procent ludzi poddało się temu nastrojowi. Płakałem często, ale nigdy nie dopuściłem, żeby mnie zobaczyli. Krąg miał się zamknąć. Krąg śmierci – wspominał Samuel Ávalos. – Serce mi pękało, gdy patrzyłem na Richarda Villarroela: jego żona była w ciąży. Osmán Araya miał troje małych dzieci. Sam też mam jedno małe dziecko, ale przynajmniej pozostałe są starsze. Wyobrażałem sobie, że nigdy nie zobaczę powierzchni ziemi. Bardziej się martwiłem o towarzyszy. Mieli malutkie dzieci, ciężarne żony. To mnie przygnębiało... Widok płaczących *compañeros*. To było cholernie trudne. Każdy by się załamał, gdyby to widział, każdy.

– To był najgorszy moment, kiedy zeszliśmy na najniższy poziom i czuliśmy, że wiertło przestało pracować – mówił Alex Vega. – Wielu zdecydowało, że umrze. Zaczęli pisać pożegnalne listy. Pierwszy był Víctor Zamora, następni Víctor Segovia i Mario Sepúlveda.

– Znajdowaliśmy się w poczekalni śmierci – mówił Mario Sepúlveda. – Czekałem na śmierć i byłem spokojny. Wiedzia-

łem, że w każdej chwili światła zgasną i nadejdzie spokojna śmierć. Przygotowałem kask, rzeczy, zwinąłem pasek, ustawiłem buty. Chciałem umrzeć jak górnik. Jeśli mnie znajdą, będę leżał godnie, z głową wysoko uniesioną.

Claudiowi Yáñezowi myśl o bliskiej śmierci nie przyniosła spokoju. Od wielu dni towarzysze sugerowali, że nadchodzi pora sięgnięcia po drastyczne środki, pora zjedzenia chudego nowego, Yáñeza, który pracował w kopalni dopiero od trzech dni, gdy doszło do katastrofy. Czasami Yáñez odnosił wrażenie, że koledzy żartują, nigdy jednak nie był tego na tyle pewien, by zdecydowanie odrzucić myśl, że pierwszy, który umrze, prawdopodobnie zostanie ugotowany na wolnym ogniu i zjedzony przez pozostałych.

Daniel Sanderson, młody górnik, który pracował w San José, ale fatalnego dnia miał wolne, później stał się powiernikiem kilku z uratowanych. Pisali do niego listy, w których wspominali o śmierci głodowej.

– Wszyscy myśleli, że się wzajemnie pozjadają – powiedział.

Piętnastego dnia zapasy żywności właściwie się skończyły. Kaznodzieja José Henríquez zmusił wszystkich, by chwycili się za ręce i modlili o podwojenie dwóch puszek z tuńczykiem. Posłuchali go, położyli dłonie na skrzyni z jedzeniem. Nie mieli wiele do stracenia, a wszyscy się zgadzali, że Henríquez jest ich zbawcą i siłą jednoczącą grupę. Niektórzy uśmiechali się i żartowali, prosząc Boga o zesłanie tuńczyka.

Dwudziestego pierwszego sierpnia, w szesnastym dniu uwięzienia, Mario Sepúlveda był przekonany, że umrze.

Nie jadł od dwóch dni i teraz wymiotował zanieczyszczoną wodą. Napisał list pożegnalny, w którym dawał rady swemu

trzynastoletniemu synowi Franciscowi: „Pamiętasz Bravehearta, wojownika, który bronił swojego narodu? Teraz to musisz robić, opiekować się matką i siostrą, ochraniać je... teraz jesteś panem domu".

SZEŚĆ

BONANZA NA DNIE KOPALNI

DZIEŃ 16: SOBOTA 21 SIERPNIA

Na odosobnionym, zarzuconym odłamkami skały zboczu w odległości około ośmiuset metrów od wejścia do kopalni San José Eduardo Hurtado i jego sześcioosobowy zespół wiercili bez przerwy. Z miejsca, gdzie się znajdowali, widzieli opuszczone biura kopalni, dwa proste drewniane baraki, które niczym miasto duchów na zawsze utrwaliły chwilę gwałtownej ucieczki: otwarte szuflady, dokumenty na biurkach. W dniach po katastrofie podłogę pokrywał pustynny kurz; otwarte okiennice leniwie kołysały się na wietrze. Hurtado i jego zespół niemal gotowali się w słońcu. Rześki wiatr zrywał się w nocy, kiedy niebo jaśniało od gwiazd i temperatura spadała poniżej zera. O świcie dolinę zasnuwał jęzor gęstej mgły nadciągającej znad Pacyfiku i tworzył kolejną warstwę przenikliwego zimna. Nikt nie narzekał. Pogoda stanowiła najmniejsze z ich zmartwień, kiedy kierowali wiertło bliżej celu znajdującego się siedemset metrów poniżej. Zespół wiertniczy pracował całą dobę z dwoma przerwami o ósmej rano i ósmej wieczorem na uzupełnienie oleju i sprawdzenie poziomu płynu hydraulicznego. Byli jednym z dziewię-

ciu zespołów wiercących dziewięć oddzielnych otworów. Całą operację koordynował André Sougarret. Przy każdym odwiercie pracował siedmioosobowy zespół, ale stosowali różne taktyki i rodzaje wierteł. Sougarret wypróbowywał różne metody. Odwiert 10B wykorzystywał technologię zwaną „odwróconym powietrzem", dzięki której w ciągu jednego dnia udawało się zrobić otwór o długości dwustu czterdziestu czterech metrów, ale trudno było dokonać poprawek, jeśli wiertło zeszło z wyznaczonego kursu. Wolniejsza, lecz bardziej precyzyjna technika zwana wierceniem diamentowym pozwalała na korygowanie kursu. Niczym promienie światła dziewięć odwiertów prowadziło pod kątem w dół, długie wiertła pracowały, usiłując dotrzeć do chodnika, warsztatu lub samego schronu. Mapy kopalni raz po raz zawodziły inżynierów, raz były na nich struktury nieistniejące, kiedy indziej nie zaznaczono metalowych prętów wzmacniających, które w ułamku sekundy potrafiły złamać wiertło i zniszczyć tygodniową pracę. W normalnych odwiertach na głębokość siedmiuset metrów, kiedy szybkość nie gra roli, wiertła zwykle zbaczają z kursu o siedem procent i docierają na miejsce w promieniu dwustu stóp od celu. Tym razem celem był schron bezpieczeństwa, długi na dziesięć metrów o powierzchni nie większej niż 50 metrów kwadratowych.

Czas na posiłki był krótki, zejście na dół do stołówki niepotrzebną przerwą. Co kilka dni dostarczano wiertaczom skrzynię wypełnioną stu kanapkami i butelkowaną wodą – dar od właścicieli pobliskiej kopalni żelaza Santa Fe. Ratownicy resztkami karmili niebiesko-zieloną jaszczurkę, która żyła w skałach.

– W normalnych warunkach mielibyśmy grill i pieklibyśmy mięso albo kurczaka – powiedział Hurtado. – Ale to nie była pora na zabawy, za bardzo się denerwowaliśmy.

Hurtado, pięćdziesięciotrzylatek z niemal dwudziestoletnim doświadczeniem wiertniczym, miał obsesję na punkcie czasu.

Ze wszystkich sił starał się, aby wiertło pracowało, nie wiedział, ile dni minęło, odkąd zaczęli nowy odwiert. Pięć, siedem? Jak na liczniku bomby zegarowej każda sekunda zbliżała górników – o ile jeszcze żyli – do śmierci. Dla wielu ratowników pracujących niżej na zboczu pomysł wywiercenia siedmiusetmetrowego otworu był beznadziejny i niezrozumiały. Zespół Hurtada doskonale zdawał sobie sprawę z istoty tego wyzwania; zjawili się na miejscu po czterdziestu ośmiu godzinach od wypadku i w kolejnych tygodniach prawie nie spali.

– Wszyscy mieliśmy obsesję na punkcie czasu – mówił Hurtado. – Byłem przekonany, że jeśli za dzień lub dwa nam się nie uda, znajdziemy ich martwych.

DZIEŃ 16: W KOPALNI

Ponieważ zostały tylko dwie puszki tuńczyka, górnicy podjęli następną bolesną decyzję. Zamiast kęsa jedzenia co dwa dni, teraz przyjmowali kęs co trzy dni. Byli tak wyczerpani, że nawet przejście do toalety usytuowanej w odległości 30 metrów stało się wyzwaniem. Twardzi górnicy, którzy regularnie pracowali na dwunastogodzinnych szychtach, pocili się, palili i wyrywali górze węgiel, teraz pogrążyli się w apatii; głód i poczucie opuszczenia pokonały ducha przetrwania. Zachowanie energii było najważniejszą funkcją organizmu. Alex Vega leżał na wilgotnym skalistym zboczu i rozglądał się, jego *compañeros* pozostawali w bezruchu, rozmawiali, ale prawie nikt nie stał.

– Po prostu leżeliśmy – powiedział. – Chodzenie było zbyt wielkim wysiłkiem.

Zdrowie mężczyzn gwałtownie się pogarszało; doktor Jean Romagnoli, chilijski lekarz, któremu zlecono nadzór nad fizyczną kondycją i odżywianiem uwięzionych, powiedział, że znaleźli się na granicy swobodnego upadku, zwanego spiralą śmierci.

– Załóżmy, że poziom ich zdrowia był taki – uniósł wysoko rękę – ale za dwa dni obniżyłby się w taki sposób. – Przeciął powietrze dłonią jak gilotyną.

Nawet prosta infekcja powodująca biegunkę teraz była potencjalnym wyrokiem śmierci.

„Nie dam rady dłużej", pisał Víctor Zamora w pożegnalnym liście z 21 sierpnia. „Mojej żonie i dzieciom mogę tylko powiedzieć, że ich przepraszam".

Odgłos wierceń zbliżających się ku kryjówce nie ustawał, ale echa i akustyka kopalni nie pozwalały na ustalenie dokładnej lokalizacji powstających szybów. To, co brzmiało jak warkot wprost nad ich głowami, mogło w rzeczywistości znajdować się kilkadziesiąt metrów dalej. Zważywszy na niedawne pomyłki, kiedy wydawało się, że wiertła osiągną cel, ale chybiły, górnicy żywili umiarkowany optymizm, wciąż jednak zachowywali wielką czujność. Wiedzieli, co robić, gdyby wiertło do nich dotarło, przećwiczyli to i omówili wiele razy. Dwukrotnie wcześniej się zmobilizowali. Zadawali sobie pytanie, czy dostaną ostatnią szansę?

DZIEŃ 16: OPERACJA RATUNKOWA

Po południu w sobotę 21 sierpnia odwiert 10B osiągnął głębokość 640 metrów, do celu brakowało około 50 metrów. Sporo to mówiło o rozmiarach całej operacji. W wielu akcjach ratunkowych przewiercenie 50 metrów twardej skały byłoby zadaniem trudnym do wykonania, tutaj to był po prostu etap finalny. Hurtado i jego zespół wiedzieli, że odwiert zboczył nieco z kursu. Nelson Flores, główny operator, usilnie się starał, by prowadzić wiertło zgodnie z precyzyjnymi koordynatami GPS podanymi przez program komputerowy o nazwie Vulcan, światowej klasy narzędzie wykorzystujące precyzyjne mapy cyfrowe, na które nakłada trajektorię wiertła. Dzięki projektowaniu paraboli wiertła Vulcan pozwolił inżynierom skierować odwierty ku ostatecznemu

celowi. Flores prosił także o pomoc niebiosa. Kiedy przychodził na stanowisko, z kieszeni wyjmował różaniec i wieszał go delikatnie na desce rozdzielczej. Różaniec należał do jego szesnastoletniej córki, która przed rokiem zmarła. Podczas wiercenia różaniec lekko się kołysał.

Obecnie Sougarret potrzebował cudu. Odwiert wykonywany przez zespół Hurtada posuwał się szybko i niewiele odbiegał od założonego kursu, ale symulacje wskazywały, że wiertło może chybić celu.

– Właściwie nie wierzyliśmy, że się uda... Musieliśmy wiercić bardziej pionowo i zmienić kierunek. Stało się to na ostatnim etapie, kiedy było najtrudniej to zrobić – powiedział Sougarret.

DZIEŃ 17: NA POWIERZCHNI

Na głębokości 660 metrów Flores zwolnił szybkość wiercenia z normalnych dwudziestu obrotów na minutę do pięciu. Nie chodziło o przebicie ścian chodnika, ale delikatne wywiercenie czystego otworu. Gdyby wiertło pracowało na pełnych obrotach, prawdopodobnie rozrzuciłoby na wszystkie strony odłamki skał niczym pociski – mogłyby one zabić lub zranić górników. O czwartej nad ranem wokół odwiertu 10B zgromadził się tłumek. Noc była pogodna, bez mgły i wiatru. Pomimo serii porażek na pozostałych odwiertach w powietrzu wyczuwało się wyczekiwanie. Reflektory oświetlały miejsce jak plan filmowy, rzucając długie cienie na stosy kamieni. Warkot wiertła co chwilę milkł.

Podobnie jak różdżka zbliżająca się do źródła wody kąt odwiertu na ostatnich metrach uległ nieznacznej zmianie. Po dwóch tygodniach, w czasie których natura udaremniała każdy ich wysiłek, Sougarret i Hurtado nagrodzeni zostali pozytywną niespodzianką. Wiertło jakimś sposobem skorygowało swój kurs.

– Podczas wiercenia zdarzają się rzeczy, które nie znajdują uzasadnienia w logice. Wierzę, że coś takiego się stało – mówił Sougarret, usiłując wyjaśnić ową dokonaną w ostatniej chwili korektę. Na pytanie, czy ma na myśli cud, odpowiedział ostrożnie: – Mieliśmy szczęście... albo ktoś nam pomógł.

O 5.50 rano, gdy wiertło dotarło na głębokość 688 metrów, Flores poczuł, jak urządzenie wolno opada, nie napotykając żadnego oporu. Trafili na pustą przestrzeń głęboką na około 4 metry.

DZIEŃ 17: W KOPALNI

Dosłownie pozbawieni sił górnicy dawno temu porzucili pomysł czuwania przez cały czas w oczekiwaniu na wiertło. Sen nie przychodził łatwo. Wilgoć w powietrzu, mokra ziemia i trudne warunki niemal uniemożliwiały spanie. Całonocne partie domina łagodziły bezsenność i pomagały zwalczać strach przed głodową śmiercią.

O 5.50 rano odgłos wirującego wiertła, sypiące się odłamki skał i ogłuszający hałas wstrząsnęły spokojnym, wilgotnym, śliskim chodnikiem.

– Nie spałem, grałem w domino – mówił Richard Villarroel, który przebywał w schronie. – Chwila, kiedy zobaczyliśmy wiertło, dla nas wszystkich była najcudowniejsza. Musiało minąć parę minut, nim zrozumieliśmy wagę tego, co się stało, i dopiero potem zaczęliśmy się obejmować i świętować. Uświadomiliśmy sobie, że nas uratują. – Zapanował chaos. – To było szaleństwo, wszyscy biegali jak wariaci. Poszukałem czegoś, czym mógłbym uderzyć w wiertło.

DZIEŃ 17: AKCJA RATUNKOWA

O świcie robotnicy przy odwiercie skakali, obejmowali się, krzyczeli i czekali na instrukcje od Hurtada. Flores wyłączył sprzęt.

Zebrali się wokół odwiertu w milczeniu. Gabriel Díaz, asystent operatora, siedmiokilogramowym młotem trzy razy uderzył w rurę. Hurtado przyłożył do niej ucho. Usłyszał dochodzące z dołu rytmiczne słabe dźwięczenie – „jakby ktoś uderzał w rurę łyżką", powiedział później. Chwilę potem rozległo się głębokie metaliczne dudnienie, nieomylny znak życia.

Z dołu docierało wyraźne echo. Czy można było wątpić, że głęboko pod ziemią ktoś wali w rurę? Ale Hurtado i jego pomocnicy nie mieli pewności. Tydzień wcześniej na innym odwiercie scenariusz był taki sam: kiedy dotarli do chodnika na głębokości 500 metrów, usłyszeli rytmiczne stukanie, ale po opuszczeniu kamery wideo nie mogli uwierzyć własnym oczom, ponieważ nie było tam górników, żadnego śladu życia. Czy teraz wyobrazili sobie, że dotarli do uwięzionych? Czy kopalnia z nich drwi?

Minister Golborne i Sougarret pospieszyli do odwiertu. Jak lekarz szukający pulsu, Sougarret przystawił stetoskop, by wzmocnić odległe dudnienie. Ktoś walił w rurę. Golborne uściskał ratowników, potem ściągnął kask i ruszył w dół zbocza, zamierzając najpierw powiadomić rodziny. Chodząc od namiotu do namiotu, przekazywał ostrożną informację: „Dzisiaj podamy wiadomości. Czekajcie". W całym obozie iskrzyło od emocji. Dziennikarze otoczyli ministra, zarzucając go gradem pytań, on jednak nie ujawnił niczego poza informacją, że niebawem na miejsce przyjedzie prezydent. Członkowie rodzin, nagle obudzeni, zaczęli wymachiwać chilijską flagą i skandować: *Viva Chile!*

DZIEŃ 17: W KOPALNI

Ze wszystkich stron zbiegli się górnicy z pojemnikami farby, zdecydowani pomalować wiertło.

– Baliśmy się, że wiertło się podniesie. Musieliśmy się spieszyć – mówił Alex Vega. Tłumaczył, że wszyscy zapomnieli o przećwiczonym sposobie postępowania. – Najpierw mieliśmy

ustabilizować miejsce, upewnić się, że wszystkie luźne odłamki z sufitu zostały usunięte, następnie przymocować wiadomości, ale to stało się tak szybko, że wszystko zrobiliśmy odwrotnie, zajęliśmy się wiertłem, a sufit groził osypaniem.

Wielkim kluczem wielkości kija baseballowego Villarroel zaczął uderzać w rurę. W chodniku rozległo się echo, ale czy to echo dociera na górę? Villarroel wziął żelazną rurę z jednego z urządzeń górniczych. Żelazo uderzające w żelazo zabrzmiało jak gong. Górnicy zmieniali się przy wiertle.

Podczas gdy nad ich głowami kołysały się wielkie odłamki skały, mężczyźni mocowali swoje listy do wiertła. Mario Gómez i José Ojeda wysłali listy, pierwszy do żony, drugi do ratowników. Inni także niezgrabnie wiązali kartki do nieruchomej rury. Mario Sepúlveda zdjął bieliznę i oddarł gumę, którą użył do przywiązania wiadomości.

Mężczyźni przez godzinę uderzali w wiertło, zużyli też na jego pomalowanie cały zapas farby. Potem wiertło wolno się uniosło i górnicy znowu zostali sami, ale atmosfera w tunelach uległa zmianie, wszyscy wypełnieni byli cudownym poczuciem, że zostaną uratowani. Dotąd znajdowali się na skraju głodu, kanibalizmu i straszliwie powolnej śmierci, teraz tylko godziny dzieliły ich od boskiej odpowiedzi na ich modły: jedzenia.

DZIEŃ 17: AKCJA RATUNKOWA

Na odwiercie 10B Hurtado i jego zespół rozpoczęli uciążliwy proces podnoszenia 114 rur, które połączone tworzyły niemal 700 metrów metalowego szybu. Demontaż szybu podzielonego na segmenty o długości siedmiu metrów, z których każdy ważył ponad 180 kilogramów, miał potrwać sześć godzin.

Asystenci prezydenta informowali go na bieżąco przez całe przedpołudnie, tymczasem jednak Piñera musiał zająć się inną pilną sprawą: jego osiemdziesięciosiedmioletni teść Eduardo Morel Chaigneau umierał. Prezydent wraz z żoną, Cecilią Mo-

rel, siedział przy łóżku umierającego. Powiedział mu, że górnicy dali znak życia. W południe Morel przestał oddychać. Godzinę później prezydent pospiesznie udał się na lotnisko w Santiago, gdzie czekał na niego samolot. W towarzystwie ministra spraw wewnętrznych, Rodriga Hinzpetera, poleciał do Copiapó. Przed przyjazdem prezydenta usunięto ostatni fragment szybu. Eduardo Hurtado zobaczył pomarańczową plamę na jej końcu. Wiadomość? Wytarł ziemię, a potem polał rurę wodą z butelki, ochlapując przy tym ministra Golborne'a.

– Przepraszam, panie ministrze – powiedział Hurtado. – To nie jest nasze oznaczenie, to znak życia.

O drugiej po południu Golborne dokładnie obejrzał rurę. Odległe echo dodało mu otuchy, ale teraz widział wykonane ręką ocalonych przesłanie. Kilka sekund później, gdy nad ziemię wynurzyło się samo wiertło, ratownicy zobaczyli przywiązany do niego żółty plastikowy worek, owinięty kablami i gumową taśmą ze spodenek Sepúlvedy. Robotnicy rozplątali węzły i odwinęli warstwy zabłoconego plastiku. Golborne wziął małe, oderwane kawałki papieru, jakby to były delikatne dary. Zaczął czytać na głos wiadomość z otchłani: „Wiertło dotarło do chodnika na [poziomie] czterdzieści cztery... w rogu sufitu, z prawej... spłynęło trochę wody. Jesteśmy w schronie... niech Bóg was błogosławi, pozdrowienia, Mario Gómez".

Kartka była zapisana także z drugiej strony. Golborne odczytał na głos: „Kochana Lily, cierpliwości, chcę niedługo się stąd wydostać..." Umilkł i po chwili oznajmił:

– To osobisty list.

Minister ostrożnie pozbierał kawałki kartek i razem z Sougarretem wsiadł do pikapa, żeby pojechać na dół. Czas naglił, zamierzali poinformować rodziny, zanim wiadomości przedostaną się do prasy.

Francisco Poyanco, technik, układał segmenty rury z odwiertu. Ostatni, na którym Golborne znalazł list, ociekał błotem. Poyanco zaczął usuwać kable mocujące list Gómeza i do-

strzegł kawałek taśmy. Pociągnął za róg i odkrył kolejną ściśle opakowaną przesyłkę z wiadomością od zasypanych. Ucieszył się na myśl, że będzie mógł zabrać ją na pamiątkę do domu, ale kiedy rozłożył kartkę, przeszedł go dreszcz: „*Estamos Bien En El Refugio los 33*". Wyraźne, czerwone litery napisane pewną ręką stanowiły dowód, że wszyscy się uratowali.

Pobiegł do Golborne'a, krzycząc, że wszyscy żyją. Usłyszał go Hurtado, Golborne uniósł głowę. Kiedy zobaczył, że Poyanco trzyma list, kazał mu go na głos odczytać. Trzydziestoletni pomocnik mocnym głosem odczytał siedem słów:

– „*Estamos Bien En El Refugio los 33*" (Wszyscy czujemy się dobrze, jesteśmy w schronie, jest nas 33).

Przy odwiercie zapanowała ogromna radość. Jak kibice na meczu piłkarskim po wyjątkowo spektakularnym golu inżynierowie w kaskach wyrzucili ręce w górę, skakali i wzajemnie się obejmowali. Cristian Gonzales, dwudziestodwuletni technik górniczy pracujący w kopalni San José, bez namysłu zbiegł na dół do obozu Nadzieja, krzycząc:

– Wszyscy żyją! Wszyscy żyją! Przysłali wiadomość, że wszyscy żyją, ale nic nam nie mogą powiedzieć! – Później Gonzales bronił swego postępku, który w zasadzie był złamaniem zasad: – Znam tych górników. Pracowałem przez siedem miesięcy w kopalni San José i jestem bliskim przyjacielem Claudia Acuñi i José Ojedy. Przyrzekłem ich rodzinom, że jak tylko czegoś się dowiem, natychmiast ich powiadomię.

DZIEŃ 17: W KOPALNI

Po tym, jak wiertło się wycofało, Zamora zajął się wzmocnieniem sufitu. To samo robił w ostatnich, szarpiących nerwy godzinach 5 sierpnia, kiedy wyczuwał, że katastrofa jest nieuchronna, ale kazano mu nie przerywać pracy. Usuwał gruz z sufitu z nowymi siłami – ratunek zależał od integralności tej jednej niszy. Wstrząs znowu może ich odciąć. Każdy górnik na dole

i każdy ratownik na powierzchni doskonale zdawał sobie sprawę, że długa droga przed nimi. Teraz najważniejsze było dostarczenie na dół leków i żywności.

DZIEŃ 17: AKCJA RATUNKOWA

O 14.30 do obozu Nadzieja przybył prezydent Piñera, co jeszcze podsyciło atmosferę. Po krótkim spotkaniu z członkami rodzin prezydent zwrócił się do dziennikarzy. Stojąc obok członków rodzin górników i senator Isabel Allende, córki byłego prezydenta Allende, Piñera podniósł przezroczysty plastikowy worek z listem od José Ojedy i na głos odczytał wiadomość:

– *„Estamos Bien En El Refugio los 33"*. Otrzymaliśmy to dzisiaj z wnętrza góry, najgłębiej położonej części tej kopalni – powiedział, mrużąc oczy przed ostrym pustynnym słońcem. – To wiadomość od naszych górników, z której wynika, że wszyscy żyją, są razem, czekają, aż zobaczą światło dnia i przytulą swoich bliskich.

Carolina Lobos, która od siedemnastu dni spała w ojcowskim czarno-białym T-shircie z logo Nike, powiedziała:

– Rozpłakałam się, kiedy usłyszałam, że nic im nie jest... Wszyscy krzyczeli: „Oni żyją! Oni żyją!". Byłam w szoku. Zadzwoniłam do mamy i powiedziałam: „Mamo, oni żyją! Do zobaczenia"... Płakałam ze szczęścia. Objęłam Kristiana Jahna [przedstawiciel rządu koordynujący pracę psychologów]. Wypłakałam się na jego ramieniu.

W obozie Nadzieja wszyscy płakali, śmiali się, padali sobie w ramiona, machali flagami. Pod wpływem impulsu setki członków rodzin pobiegło na wzgórze, by stanąć pomiędzy trzydziestoma trzema flagami, które od tak długiego czasu symbolizowały ich wierne czuwanie. Na każdej fladze widniało nazwisko jednego z uwięzionych górników. Każdy maszt otaczał wieniec stopionego wosku. Kiedy zaczęli śpiewać chilijski hymn, prezydent Piñera przyłączył się do nich.

W ciągu kilku minut wieść rozeszła się po całym kraju. Nieznajomi ściskali się w metrze i na ulicach. Górnicy żyją! Wszyscy ocaleli! Kierowcy naciskali klaksony. Tysiące ludzi wyległo na ulice Santiago i skierowało się na Plaza Italia, na którym zwykle świętowano zwycięskie mecze piłkarzy. Jakby Chile zdobyło mistrzostwo świata – panowała atmosfera radosnego patriotycznego zrywu.

Podczas gdy naród świętował, ratownicy się naradzali. Nie zadowalał ich pomysł tylko jednej rury *paloma* łączącej powierzchnię z górnikami. Potrzebne były trzy kolejne odwierty, może więcej. Trzęsienie ziemi albo zawał mogą w jednej chwili zerwać kruchą łączność – byłaby to katastrofa cofająca ratowników do pierwszego dnia, a górników niemal na pewno skazująca na śmierć, jako że nie mieli żadnych zapasów żywności. Zdecydowano że *paloma 1* będzie pełniła funkcję tunelu, przez który zostanie dostarczona żywność i woda. Drugi odwiert zapewni górnikom wzbogacony tlen, wodę i prąd. Chodziło o wpompowanie zimnego powietrza w celu obniżenia wysokiej temperatury pod ziemią, a także o dostarczenie stałego połączenia światłowodowego, który pozwoli górnikom na bezpośredni kontakt z bliskimi. Trzeci odwiert miał być drogą ewakuacyjną. Chociaż nie było jeszcze jasne, jak górnicy zostaną wydobyci na powierzchnię, zgodnie z jedną z teorii wywiercony zostanie otwór, a następnie poszerzony na tyle, by zmieścił się w nim jeden człowiek. Ewentualność tę świadomie oddzielono od innych, bardziej naglących potrzeb. Podczas wiercenia szybu ratowniczego zespół ratowników kierował się na dach warsztatu znajdującego się około 365 metrów powyżej schronu. Stanowił on dość spory cel, a co więcej, zapewniał odpowiednie miejsce postojowe dla ostatecznej akcji ratunkowej. Pomimo długoterminowych planów wszyscy zdawali sobie sprawę, że wiele ich dzieli od tej fantastycznej chwili. Na razie górnicy potrzebowali leków, jedzenia i planu przetrwania.

Gdyby górnicy zostali zasypani pokolenie wcześniej, komunikacja ograniczałaby się do telefonu i listów. Teraz inżynierowie ostrożnie opuścili kamerę wideo na dno szybu, by zebrać informacje o stanie górników.

DZIEŃ 17: W KOPALNI

Czekając na znak z powierzchni, górnicy wpatrywali się w szyb. Lampy oświetlały wilgotny tunel, który szybko pochłaniał światło, widoczność sięgała 9 metrów. Z góry kapała na nich woda i wiał strumień chłodnego powietrza, druga pożądana niespodzianka. Teraz wszyscy się uśmiechali. Obejmując się i wycierając pot, nie odczuwali już paniki i przerażenia, które im towarzyszyły w poprzednich dniach. Na razie nie dostarczono im żywności, ale głód dawno przestał im dokuczać. Ludzi wypełniało radosne oczekiwanie, bo ich modlitwy zostały wysłuchane, i znowu wierzyli, że dostaną drugą szansę na życie.

Zaczęły się spekulacje: co najpierw dostaną? Gorący posiłek? Mydło i szampon? Szczoteczki do zębów? Podręcznik przetrwania? Każdy puszczał wodze fantazji i nawet ta możliwość wyobrażania sobie drobnych przyjemności podniosła grupę na duchu.

Trzy godziny później w otworze pojawiło się małe światełko – z góry spuszczano niewielki przedmiot. Zgromadzeni wokół niego, zastanawiali się, co też jest tą pierwszą historyczną dostawą.

– Najpierw myślałem, że to prysznic – powiedział Pablo Rojas, opisując rurkę zakończoną bulwiastym przedmiotem. Kiedy ów przedmiot wsunął się do schronu, nie ulegało wątpliwości, że to urządzenie elektroniczne, ale nikt dotąd takiego nie widział. Miniaturowa kamera opadła na podłogę i jak robot w kształcie owada zaczęła wirować i się unosić. Więc to obsługiwana zdalnie kamera, ale co z dźwiękiem? Czy to urządzenie także słyszy?

Pablo Rojas podszedł do kamery.

– Co to za cholerstwo? – powiedział, przysuwając twarz tak blisko, że widział obracający się obiektyw kamery.

Luis Urzúa, brygadzista zmianowy, powiedział:

– Jeśli mnie słyszycie, unieście kamerę.

Wszyscy czekali. Kamera się obniżyła. Górnicy roześmiali się, oszołomieni podnieceniem i adrenaliną. Przez dwadzieścia minut kamera nagrywała, potem zaczęła wolno się unosić. Pablo Rojas odprowadzał ją wzrokiem.

– Chciałem się na niej uwiesić i wyjść na powierzchnię, ale nie zmieściłbym się w otworze.

DZIEŃ 17: AKCJA RATUNKOWA NA POWIERZCHNI

Świat po przebudzeniu usłyszał historię o chilijskich górnikach. W tym czasie w kopalni inżynierowie gorączkowo pracowali, usiłując naprawić dźwięk w kamerze. Delikatne urządzenie uległo zniszczeniu w kontakcie z wodą. Ścieżka dźwiękowa przestała istnieć.

Obrazy odtworzone w centrum ratowniczym były dziwne, trudne do odcyfrowania. W tle widać było słabe światła, bez wątpienia czołówki na kaskach górników, którzy stłoczyli się wokół kamery. Złe oświetlenie spowodowało, że niewiele było widać i ratownicy mogli tylko się domyślać, czyje twarze oglądają. Pomimo frustracji wywołanej brakiem dźwięku widzieli, że górnicy stoją i poruszają się. Każde pytanie, na które uzyskano odpowiedź, prowokowało dziesięć następnych: jakich doznali obrażeń? Czy są poważnie ranni? Czy po siedemnastu dniach na minimalnych racjach żywnościowych nie zapadli na choroby zagrażające ich życiu?

Dwie godziny później wideo pokazano członkom rodzin w obozie Nadzieja. Wyświetlono je na ścianie namiotu. Czarno-białe obrazy były trudne do odczytania. Pojawiły się oczy widziane pod dziwnym kątem, z małym fragmentem twarzy.

Dziwne i straszne oczy Florencia Ávalosa. A może to Luis Urzúa? Albo Esteban Rojas? Wiele rodzin twierdziło, że rozpoznało swych krewnych. Zamazane obrazy pozwalały na wyrażenie podświadomych myśli. Test Rorschacha na głębokości siedmiuset metrów.

Niepokój i desperację chwilowo stłumiło poczucie, że dokonano postępu, i w obozie Nadzieja rozpoczęło się świętowanie życia.

Rozpalono ogniska, zadudniła muzyka; wszyscy tańczyli, choć północ dawno już minęła. O drugiej w nocy członkom rodzin szalejącym na skałach ochotnicy serwowali jajka na twardo, kiełbaski i kurczaka z rożna. Paul Vásquez, komik znany w całym kraju jako „El Flaco" (Chudzielec), wystąpił z monologiem, a Juan Barraza, miejscowy ksiądz, w sąsiednim namiocie prowadził modlitwy.

Barrazę ta sytuacja bardzo podniosła na duchu.

– Informacja, że górnicy żyją, pozwoliła wszystkim na wyrażenie emocji, które dotąd dusili w sobie. To było jak zdjęcie pokrywki z szybkowaru. Teraz wszyscy mówili: „Bez nich nie wracamy do domu".

SIEDEM

POWOLNY POWRÓT DO ŻYCIA

DZIEŃ 18: PONIEDZIAŁEK 23 SIERPNIA

Gdy opadły pierwsze emocje związane z nawiązaniem kontaktu ze światem, mężczyźni pomyśleli o jedzeniu. Po całych dniach żartów na temat soczystych steków, halucynacji ze świeżymi *empanadas* z mięsem w roli głównej i wizji bankietów górnicy byli gotowi na ucztę. Jednak pierwsze przysłane im porcje płynów były bardzo małe – trzeba było przygotować ich organizmy na powrót do zdrowia. „Przysłali nam maciupeńkie plastikowe kubeczki z glukozą – powiedział Vega – mniej więcej takie, jak te do próbek moczu".

Szczuplejsi z górników, jak Claudio Yáñez, po siedemnastu dniach bez jedzenia wyglądali jak pokryte cienką warstwą mięśni szkielety z wymizerowanymi twarzami. „Spodziewaliśmy się jedzenia, a dostaliśmy tylko płyny" – mówił Claudio Acuña, opisując ich zdziwienie faktem, że przez pierwsze czterdzieści osiem godzin nie podano im żadnych stałych pokarmów. Mężczyźni postępowali zgodnie z zaleceniami, brali leki i powoli, w równych odstępach czasu popijali glukozę i wodę butelkową.

Sepúlveda żył w dziwnym stanie zawieszenia. Jego stan się pogarszał, głodówka coraz bardziej dawała mu się we znaki. Euforia związana z nawiązaniem kontaktu z powierzchnią, oczekiwanie na rozmowę z żoną Katty i zdumienie, że ratownikom udało się do nich dowiercić, spowodowały, że emocjonalnie był rozchwiany. Dla niego podziemny świat stał się bardzo swojski – stwierdził: „zapach błota i ludzkiej skóry wydawał się przyjemny, był częścią mojego życia". Nawiązanie kontaktu z powierzchnią nie rozwiązało problemu wszechobecnej wilgoci. „Nasze ubrania były mokre, chodziliśmy w samej bieliźnie" – powiedział Sepúlveda. W nocy mężczyźni spali razem, jeden obok drugiego na ziemi.

Mężczyźni od razu przyznali, że spali blisko siebie na podłodze tunelu – wywołało to pytania o ich aktywność seksualną. Kwestia wspólnego spania stanowiła pożywkę dla tych, którzy wątpili, że trzydziestu trzech mężczyzn – niezależnie od poziomu stresu i cierpienia – mogło tygodniami żyć bez seksu. Sepúlveda zaprzeczył plotkom na temat kontaktów homoseksualnych pomiędzy górnikami w ciągu tych siedemnastu dni samotności i stwierdził, że energii ledwie im starczało na chodzenie i mówienie. Według niego w ogóle nie myśleli o seksie.

Jako operator ciężkiego sprzętu do robót ziemnych Sepúlveda nosił inne obuwie niż pozostali górnicy. Jego buty były grubsze, więc zatrzymywały wilgoć w środku, co spowodowało poważną grzybicę stóp. Klatkę piersiową i plecy Sepúlvedy pokryły maleńkie czerwone plamki. Grzybica rozniosła się po całym jego ciele; w niektórych miejscach powstawały wypełnione płynem pęcherzyki – kiedy pękały, pozostawiały małe blizny. Dziewięćdziesięciopięcioprocentowa wilgotność zapewniała idealne warunki dla rozwoju tego typu grzybów – swędzenie niemal doprowadzało go do szaleństwa. Brudna woda i wilgoć wywoływały też infekcje w jamie ustnej. Tak jak większość gór-

ników miał nieświeży oddech. Brakowało mu setek drobnych udogodnień dostępnych na powierzchni, ale pierwszym, o co poprosił, była szczoteczka do zębów.

DZIEŃ 18: NA POWIERZCHNI

Pedro Gallo modlił się, żeby jego wynalazek zadziałał. Po dwóch tygodniach dłubania Gallo, właściciel Bellcomu, jednoosobowej firmy telekomunikacyjnej, skonstruował malutki telefon, który mieścił się w 90-milimetrowej tubie *palomy*. Golborne i inni odpowiedzialni za akcję ratunkową początkowo ignorowali upartego przedsiębiorcę i jego „Gallofon", jednak ponieważ kolejne gadżety high-tech zawodziły, Gallo dostał swoją szansę. Minister Golborne miał zaplanowaną rozmowę z górnikami, a jego współpracownicy już wyobrażali sobie skandal, jaki wybuchnie, jeśli się okaże, że nie działa żadna linia telefoniczna.

Tak więc, choć początkowo Gallo był ignorowany, a jego ustrojstwo wyśmiewane, w końcu został wezwany i usłyszał, że ma przygotować telefon, i to natychmiast. Popędził do furgonetki i wyjął swój prosty wynalazek. „Dali mi około dwóch godzin" – powiedział Gallo. Telefon ostrożnie włożono do *palomy* i wraz z ośmiuset metrami kabla światłowodowego ofiarowanego przez jakąś japońską firmę opuszczono na dół do niepokojących się mężczyzn. Gallo przyniósł tani plastikowy żółty telefon – postawiono go na rozklekotanym stole na zboczu, a współpracownicy prezydenta i inżynierowie otoczyli go ze wszystkich stron, czekając, aż na dole Ariel Ticona i Carlos Bugueño podłączą telefon do japońskiego kabla. Nagle Gallo usłyszał przetransmitowane na powierzchnię głosy z głębi kopalni. Wynalazek, który kosztował mniej niż 10 dolarów, zapewnił komunikację z górnikami. Gallo nie posiadał się z radości.

Niecałą godzinę później minister Golborne dotarł na miejsce i podniósł słuchawkę.

– Halo – powiedział Golborne.

– Tak, słyszę pana!

Wśród ekipy ratunkowej wybuchła wrzawa, jednak szybko przycichła, bo wszyscy chcieli słyszeć słowa płynące z głośnika.

Dobiegł ich wyraźny i spokojny głos:

– Mówi brygadzista zmianowy Luis Urzúa… Czekamy na ratunek.

– Zaczynamy wiercić tunele i… – słowa Golborne'a utonęły w nowej fali radosnych okrzyków, tych dochodzących spod ziemi. Rozmowa toczyła się dalej. Górnicy dopytywali o los Raúla „Guatóna" (Grubasa) Villegasa, który jechał w górę rampy, kiedy zawalił się tunel. „Wszyscy żyją, udało im się wydostać" – powiedział Golborne, w odpowiedzi na co komorę na dole wypełniły szalone wrzaski i okrzyki. Przez te tygodnie, podczas gdy świat opłakiwał górników, oni zamartwiali się o Grubasa.

Stojący tuż za Golborne'em główny psycholog akcji ratunkowej Alberto Iturra, w zielonej odblaskowej kamizelce i kasku ochronnym na głowie, przez cały czas uważnie słuchał. Pod jego przystrzyżonym wąsikiem nie było widać uśmiechu. Nie przyłączał się do wiwatów ekipy ratunkowej, a na jego twarzy malował się stoicki spokój. Literatura medyczna jest pełna opisów klaustrofobii, ataków paniki i zachowań ludzi zamkniętych na niewielkiej przestrzeni przez wiele dni. Ale zamkniętych przez miesiące? Iturra wiedział, do kogo się zwrócić. Przez lata utrzymywał liczne kontakty zawodowe, w tym z grupą szanowanych psychologów. To ich trzeba wezwać na pomoc. Już wysłał swój prywatny sygnał SOS.

Wyprowadzenie górników ze skraju przepaści stanowiło trudne zadanie. Głodówka zmieniła skład chemiczny ich organizmów. Organizm ludzki, nie mając dostaw żywności, aby wytworzyć energię, spala tłuszcz i mięśnie, a także wprowadza pewną chemiczną hierarchię i daje pierwszeństwo płucom, sercu i mózgowi; funkcje innych organów są w takiej sytuacji mniej ważne.

Doktor Mañalich, wylewny minister zdrowia o podwójnym podbródku, przesłał zasypanym górnikom jednostronicowy kwestionariusz do wypełnienia. Czy są umierający? Nie. Czy cierpią z powodu głodu i utraty masy ciała? Oczywiście. Nie wiadomo jednak, ile stracił na wadze każdy z mężczyzn. Zanim zostanie im dostarczona waga, miną dni – najpierw na dół musiały dotrzeć artykuły i rzeczy, które pozwolą górnikom w miarę normalnie funkcjonować. Kiedy wypełnione kwestionariusze wróciły na górę, ratownicy mogli częściowo się domyślić, przez co przeszli odcięci od świata mężczyźni. Mario Sepúlveda stracił ząb podczas wspinaczki w górę komina. Víctor Segovia cierpiał na bóle ucha spowodowane falą uderzeniową. Mario „Mocho" Gómez miał problemy z oddychaniem, kurz zatykał jego już i tak osłabione płuca.

Lekarze martwili się też wcześniejszymi schorzeniami górników, takimi jak cukrzyca José Ojedy. Z powodu braku światła ultrafioletowego infekcje i bakterie mogły się przenieść na wszystkich mężczyzn w ciągu kilku dni, jeśli nie godzin. Opracowano specjalny plan szczepień, aby chronić mężczyzn przed dyfterytem i zapaleniem płuc. Nawet infekcja zęba mogła się okazać zabójcza. Doktor Mañalich zagłębił się w lekturze historii medycyny. „Zaczęliśmy przeglądać stare podręczniki medyczne" – powiedział. – „Jak lekarze leczyli infekcje wewnętrzne, takie jak zapalenie wyrostka robaczkowego, zanim nastąpił rozwój chirurgii?"

Doktor Jorge Díaz, dyrektor medyczny ACHS, stwierdził: „Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy ich żywych, jednak sądziliśmy, że niektórzy będą ciężko ranni, a nawet martwi. [...] Wiedziałem, że górnicy są twardzi, więc wydawało się pewne, że niektórzy przeżyją". Jako specjalista od urazów powstałych na dużej wysokości i wypadków przy pracy Díaz był przyzwyczajony do pracy w trudnych warunkach. Teraz stanął przed największym wyzwaniem w swojej karierze: musiał opracować procedurę postępowania medycznego dla osób znajdujących się

nie na dużej wysokości, lecz głęboko pod ziemią. Na szczęście przez trzydzieści dwa lata pracował z górnikami. Znał język, tradycje i twardy świat, który zamieszkiwali „Los 33".

Stan zdrowia górników był kiepski. Przeżyli na zanieczyszczonej wodzie, niemal bez jedzenia, tracąc średnio po około dziewięć kilogramów. Zespół medyczny odmówił dostarczenia mężczyznom posiłku składającego się z pokarmów stałych, gdyż porcja takiego jedzenia mogłaby ich zabić. Zjawisko to jest znane pod nazwą „zespołu ponownego odżywienia". Podanie posiłku o dużej zawartości węglowodanów osobie głodującej może wywołać chemiczną reakcję łańcuchową, która spowoduje odprowadzenie koniecznych zasobów mineralnych z serca, co prowadzi do zatrzymania jego akcji i natychmiastowej śmierci.

Zamiast tego, organizmy mężczyzn nawadniano. *Palomę* Fortta wypełniano butelkami wody i spuszczano w dół. Pierwsza dostawa trwała godzinę. Gdy pomarańczową rurę PCW wciągnięto z powrotem na górę, była pusta – system działał. *La paloma* stała się systemem podtrzymującym życie trzydziestu trzech mężczyzn. Cokolwiek chciano im dostarczyć, nie mogło mieć więcej niż 90 milimetrów. Mañalich ułożył dłonie w kółko wielkości cytryny i powiedział: „Cały świat zredukowany do tego rozmiaru".

Gdy w eter i Internet poszły szokująco dobre wieści, świat na nowo odkrył zarówno Chile, jak i chilijskich górników. Do użytku weszły nowe słowa i wyrażenia, w tym *paloma* i „Los 33".

Większości ludzi Chile kojarzyło się albo z łamaniem praw człowieka za czasów rządów Pinocheta w latach 70. XX w., albo z dobrymi i niedrogimi winami.

Teraz oczy świata zwróciły się na ten wcześniej zupełnie nieznany obszar północnego Chile. Miejsca w samolotach i hotelach zostały wyprzedane. Ceny najmu kamperów – ulubionego środka transportu i zarazem miejsca noclegowego zagranicznych ekip telewizyjnych – skoczyły o 300 procent. Zapełniły się

terminarze tłumaczy języka angielskiego z całego regionu. Setki reporterów pospieszyło w okolice kopalni, aby relacjonować jedno z tych nielicznych wydarzeń niezwiązanych z przemocą i przelewem krwi, które przyciągają uwagę całego świata.

Najpierw Chilijczycy zdołali znaleźć górników na głębokości dwukrotnie przekraczającej wysokość wieży Eiffla. Teraz przyszedł czas na drugą *mission impossible*: utrzymać górników przy życiu przez cztery miesiące, do Bożego Narodzenia – przypuszczano, że wówczas uda się ich wydostać.

W swoim biurze w Berlinie w stanie Pensylwania Brandon Fisher w zdumieniu wpatrywał się w ekran telewizora. Brodaty trzydziestoośmiolatek nie wierzył własnym uszom: trzy do czterech miesięcy? Jako prezes Center Rock Inc. Fisher nadzorował projektowanie, produkcję i dostawy zestawów wiertniczych, których cena sięgała 1 miliona dolarów. Uważał, że nie ma potrzeby przewiercać się przez skałę. Jego firma specjalizowała się w produkcji młotów pneumatycznych, które uderzając w skałę dwadzieścia razy na sekundę, rozbijały ją na kawałki.

W 2002 roku Fisher brał udział w akcji ratunkowej w pensylwańskiej kopalni węgla kamiennego Quecreek. Kiedy zalało ją niemal 200 tys. metrów sześciennych wody, dziewięciu mężczyzn zostało uwięzionych na siedemdziesiąt dwie godziny. Podnoszący się poziom wody groził zatopieniem górników. Fisher wziął wtedy udział w akcji wiertniczej, która uratowała górników przed zalewającą tunele wodą. Wrócił myślami do tych wydarzeń. Zawał w kopalni. Uwięzieni mężczyźni. Wiertnicza akcja ratunkowa. Fisher natychmiast uznał, że w San José jest miejsce dla Center Rock. Chciał zgłosić się do pomocy na ochotnika. Zaczął szukać lotów do Chile.

Późnym popołudniem tego samego dnia pewien milioner dotarł do obozu Nadziei swoim błyszczącym żółtym hummerem. Świetnie leżący garnitur od Ermenegilda Zegny, spinki

do mankietów i fale tlenionych blond loków na ramionach nie pozostawiały żadnych wątpliwości – to był Leonardo Farkas. Dla Chilijczyków ten czterdziestotrzyletni właściciel kopalni jest wzorowym biznesmenem. W jego przedsiębiorstwach taki wypadek nie mógłby się zdarzyć. W Santa Fe i Santa Barbara, należących do niego odkrywkowych kopalniach rudy żelaza, na pierwszym miejscu stawia się bezpieczeństwo, odpowiednie płace i udział pracowników w zyskach. Praca dla Farkasa gwarantuje najlepsze świadczenia pracownicze i emerytalne. „Żeby zdobyć tam pracę, trzeba czekać, aż ktoś umrze" – żartuje Mauricio, taksówkarz z Copiapó, który na próżno stara się o jedno z dwóch tysięcy miejsc pracy w kopalniach Farkasa. „Oni tam są jak jedna wielka rodzina, każdy chce tam pracować".

Spontaniczna działalność charytatywna Farkasa jest już w Chile legendarna. Wiadomo, że przekazuje warte miliony dolarów darowizny na rzecz Teletónu, chilijskiej fundacji zbierającej środki dla osób niepełnosprawnych. Ale są i inne opowieści, na przykład o tym, że pewnego popołudnia wszedł na basen pełen studentów uniwersytetu i zaoferował nagrodę dla najszybszego pływaka. Pierwszy, który przepłynie długość basenu, miał otrzymać czek na milion chilijskich pesos – równowartość 2 tys. dolarów. „Sport odgrywa dużą rolę w edukacji" – stwierdził Farkas kilka minut później, podpisując czek dla zaskoczonego zwycięzcy, Eduarda Halesa. Kelnerzy obsługujący Farkasa w restauracjach często otrzymują napiwki w wysokości kilku tysięcy dolarów.

Wysiadający z błyszczącego hummera Farkas, ze swoimi lśniącymi lokami i bielutkimi zębami, przypominał popularne w Las Vegas w latach 50. XX w. gwiazdy muzyki. Zaczął rozdawać zwykłe białe koperty, po jednej na rodzinę. W każdej znajdował się czek na 5 milionów chilijskich pesos – ok. 10 tys. dolarów.

– Moja firma bierze udział w akcji ratunkowej od pierwszego dnia – powiedział Farkas w krótkim oświadczeniu, na-

wiązując, choć nie bezpośrednio, do kartonów kanapek, które jego kopalnie dostarczały codziennie ekipie ratunkowej. – Kupiliśmy kurtki i czapki. Nie o wszystkich elementach naszej pomocy informujemy opinię publiczną i prasę.

Następnie Farkas ogłosił rozpoczęcie zbiórki pieniędzy na uwięzionych pod ziemią górników – po milionie dolarów dla każdego z nich – wezwał zarówno biznesmenów, jak i zwykłych obywateli do „sięgnięcia do kieszeni", tak aby ci mężczyźni już nigdy nie musieli pracować.

„Nie chciałbym, aby ci faceci po wydostaniu się z dołu musieli się martwić o finanse – stwierdził Farkas. – Nie przyszedłem tutaj, aby oferować im pracę. Chcę im zaoferować coś lepszego niż praca – po milionie dolarów na rodzinę".

Wdzięczni członkowie rodzin obiecali przekazać czeki, które Farkas mądrze wypisał bezpośrednio na poszczególnych górników, co niewątpliwie pozwoli uniknąć nieprzyjemnych sytuacji.

Podczas gdy Fisher i Farkas realizowali swoje plany pomocy zasypanym górnikom, Alejandro Bohn, współwłaściciel kopalni San José, wywołał nową falę krytyki: w udzielonym 23 sierpnia wywiadzie chilijskiej stacji radiowej Cooperativa ogłosił, że firma „jest spokojna", jeśli chodzi o ewentualne prawne skutki wypadku.

– Nie odebraliśmy żadnego sygnału ostrzegawczego, że taka katastrofa może się zdarzyć. Pracownicy przeszli szkolenie, a kopalnia była wyposażona w system bezpieczeństwa, który zapewniał im ochronę na wypadek jakiegoś zdarzenia – stwierdził Bohn i jednocześnie wspomniał, że firma może zaprzestać wypłacania wynagrodzeń trzydziestu trzem górnikom uwięzionym pod ziemią i kolejnym trzystu pracownikom firmy. – Rozmawialiśmy z władzami na temat poszukiwania rozwiązań umożliwiających kontynuację działalności kopalni. Jednak obecnie władze – tak jak i my – koncentrują się na akcji ratunkowej.

Zapytany, czy zamierza przeprosić górników i ich rodziny za to, co się stało, Bohn się zawahał.

– Trzeba zachować ostrożność. Dopiero na dalszym etapie dochodzenia okaże się, czy można było zrobić cokolwiek, aby temu zapobiec.

Właściciel kopalni odmówił też złożenia zeznań przed komisją śledczą powołaną w chilijskim kongresie.

Już po kilku minutach minister Golborne wytoczył przeciw Bohnowi najcięższe działa.

– Uważam to za niesłychane. Słuchałem tych stwierdzeń i byłem doprawdy zdziwiony. – Następnie Golborne obwinił właścicieli kopalni San José za brak drabin bezpieczeństwa w szybie wentylacyjnym. – Mogliśmy uniknąć całego tego dramatu – stwierdził Golborne, dodając, że wypadek zwrócił uwagę na bardzo poważne braki w systemie bezpieczeństwa wewnątrz kopalni.

Senator Alberto Espina również zaatakował Bohna i oskarżył spółkę San Esteban Primera o „złe zarządzanie, naruszenia prawa pracy oraz spowodowanie dramatycznej sytuacji, a także o dystansowanie się do sprawy, m.in. poprzez stwierdzenie, że firma nie ma środków na wypłatę wynagrodzeń. To niesłychane".

– Mogli chociaż stawić się przed komisją śledczą i wyjaśnić, co się stało – powiedział Frank Sauerbaum, deputowany do kongresu, i dodał, że właściciele kopalni „systematycznie uchylali się od odpowiedzialności". Sauerbaum zauważył także, że górnicy żyli „dzięki profesjonalnej i spokojnej pracy rządu. Gdyby to firma, do której należy kopalnia, była odpowiedzialna za akcję ratunkową, ta historia mogłaby mieć zupełnie inny przebieg".

DZIEŃ 20: ŚRODA 25 SIERPNIA

Luis Urzúa od tygodni nie miał tyle pracy. Władze na górze kierowały wszystkie wiadomości do brygadzisty – chodziło

o to, by wzmocnić osłabioną pozycję Urzúi. Prezydent Piñera zadzwonił do niego, aby z pierwszej ręki usłyszeć, jak udało im się przeżyć.

– Jak próbowaliśmy uciec z tego piekła... To był przerażający dzień – stwierdził Urzúa. Potem opowiedział prezydentowi, jak górnicy uciekali przed zawałem. – Wydawało się, że cała góra zawaliła się na nas, nie wiedzieliśmy, co się stało. – Następnie Urzúa zaapelował do Piñery: – Tutaj, pod morzem głazów, wszyscy czekamy, aż Chile wydostanie nas z tego piekła.

Urzúa zgodził się nakręcić dla rządu film wideo. Ustalono, że na dół zostanie opuszczona kamera, a mężczyźni sfilmują swój niezwykły świat. Im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej górnicy się rozluźniali – nastrój stawał się bardziej swobodny. Mężczyźni poprosili prezydenta, aby na zbliżające się obchody dwusetnej rocznicy uzyskania przez Chile niepodległości 18 września przysłano im coś specjalnego: „po kieliszku wina".

DZIEŃ 21: CZWARTEK 26 SIERPNIA

W piątkowy wieczór, gdy górnicy przygotowywali się do snu, w porze najwyższej oglądalności wyemitowano dziewięciominutowy film z kopalni. To było jak otwarcie okna do podziemnej cywilizacji. Wtedy po raz pierwszy górnicy pojawili się w telewizji. Reakcja na film, który szybko został zaprezentowany w każdym zakątku globu, była niesamowita. Świat był oszołomiony.

Kamerę trzymał Florencio Ávalos, a Sepúlveda przesuwał się powoli po ich niewielkim schronieniu. Surowe, nieregularne ściany skalne. Zardzewiały zbiornik tlenu. Pęknięta rura, w której górnicy trzymają dzbanek z wodą. Zniszczona apteczka, nie większa od plecaka, zawierająca leki, których termin przydatności dawno już minął.

Rozebrani do pasa mężczyźni byli stłoczeni jak przestraszone zwierzęta, mało który spoglądał w kamerę. Sepúlveda pró-

bował ich rozweselić, obudzić ducha grupy. Niewielu górników zareagowało. Pablo Rojas chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Inni mężczyźni siedzieli na podłodze i unikali kamery. W schronie panowała ciężka atmosfera, zmęczone oczy górników wpatrywały się w nicość. Wyglądali jak wyczerpani żołnierze na starych czarno-białych fotografiach.

Na ich brudnych i zarośniętych twarzach malowało się cierpienie. Claudio Yáñez ze swoimi wystającymi żebrami wyglądał, jakby zaraz miał upaść. Mężczyźni przypominali pluton znużonych partyzantów. Widoczna na ich obliczach obawa przed śmiercią nadała filmowi niezwykły wyraz.

Niektórzy górnicy mieli na głowach pomarańczowe kaski. Pot strumieniami spływał po ich ciałach. Stłoczeni na niecałych 50 m^2 komory ratunkowej mężczyźni wyglądali na zrozpaczonych. Sepúlveda kontynuował swój występ, żartując, że któryś z górników znalazł jakiś nowy materac, i namawiając swoich towarzyszy, aby powiedzieli kilka słów do członków swoich rodzin. Zamora zebrał całą swoją energię, aby podziękować rodzinom.

– Wiemy, że walczyliście o nas. – Przerwał na chwilę, aby otrzeć łzy z twarzy. – Brawa dla was.

Oklaski były krótkie.

Pod koniec filmu górnicy głośno odśpiewali hymn chilijski. Niezależnie od tego, co świat wywnioskował z tego pierwszego filmu z życia górników, niewielu mogło wątpić w ich jedność.

Film był wycieczką po tajemnym świecie uwięzionych pod ziemią górników. Wielu z nich leżało i wyglądało na onieśmielonych kamerą, ale tryskający humorem, elokwencją i pewnością siebie Sepúlveda odegrał rolę swojego życia. Dopingował pozostałych, jednego po drugim, aby powiedzieli kilka słów do swoich rodzin, przesłali słowa nadziei i pozdrowienia. Film był szokująco optymistycznym obrazem trudnej egzystencji górników i jednocześnie dumną deklaracją woli przetrwania.

To, że Sepúlveda odegrał główną rolę, nie było przypadkiem, lecz wynikiem przemyślanej strategii medialnej: rząd Piñery skłonił górników, aby wyznaczyli Sepúlvedę na swoistego gospodarza programu.

– Musieliśmy poprosić górników, aby na filmie nie pokazali Florencia Ávalosa, lecz „artystę" [Sepúlvedę] – wyjaśniał minister zdrowia doktor Mañalich. – To były bardzo trudne negocjacje.

Rząd Piñery chciał pokazać światu górników jako bohaterów, ludzkie trofea inspirującego i przedsiębiorczego ducha prezydenta. Wymagało to uważnego montażu. Film starannie ocenzurowano: wycięto ujęcia, w których były widoczne ślady grzybicy na twarzach mężczyzn, i sceny pokazujące łkających górników.

DZIEŃ 22: PIĄTEK 27 SIERPNIA

Z dołu na powierzchnię dotarły listy górników zawierające opisy ich podziemnego świata. Psychologowie i członkowie rodzin mogli teraz zacząć układać sobie obraz ich codziennego życia i zasad panujących w tej miniaturowej społeczności. Górnicy pisali o podziale na trzy grupy robocze po jedenastu mężczyzn, które na 3 zmiany wymieniały się w walce o przeżycie pod ziemią. „Mamy trzy grupy: *Refugio* [Schron], *Rampa* i 105 [metrów nad poziomem morza]", napisał Omar Reygadas w liście do swojej rodziny. „Ja stoję na czele jednej z nich [Refugio]". Każda grupa ma swojego przywódcę zwanego *capataz*, który podlega bezpośrednio Urzúi.

W miarę jak mężczyźni zaczęli odzyskiwać siły, wprowadzono harmonogram dnia. Kierownictwo akcji ratunkowej obawiało się, że teraz, gdy żywności i wody było pod dostatkiem, bez sztywnego harmonogramu mężczyźni oddadzą się całodziennemu odpoczynkowi i spójność społeczna ulegnie dezintegracji, co byłoby wręcz podręcznikowym przykładem na to,

że bezczynność prowadzi do złego. Każda grupa z *capatazem* na czele otrzymywała codziennie zadania. Poranna zmiana rozpoczynała dzień pobudką o 7.30 i śniadaniem o 8.30, po czym przechodziła do wykonywania zadań, z których część wyznaczali inżynierowie z góry, a część górnicy podejmowali z własnej inicjatywy, idąc za głosem zdrowego rozsądku.

Ku zdziwieniu specjalistów, tak chilijskich, jak i tych z NASA, górnicy sami wypracowali sobie pewien rutynowy plan dnia, który sprawił, że tych siedemnaście dni stało się przedłużeniem codziennego życia w normalnych warunkach. Zamiast porzucić swoje dotychczasowe role, wielu z mężczyzn zastosowało swoje umiejętności z zakresu mechaniki czy elektryki do stworzenia wynalazków ważnych dla ich przeżycia. Kontynuacja codziennej rutyny pozwoliła mężczyznom uniknąć poczucia bezradności.

– Naszym celem jest sprawić, aby potrafili sami sobie pomóc, a nie traktować ich jak chorych – stwierdził doktor Llarena.

W miarę jak powracała im energia, górnicy zaczęli wzmacniać słabe ściany, usuwać gruz i zmieniać bieg strumieni wody sączących się do ich „sypialni". Tunelem *palomy*, łączącym dół kopalni z powierzchnią, przez cały czas kapała woda – w świecie uwięzionych mężczyzn tworzyła błotnistą maź. Listy od górników miały plamy z potu i brązowego błota, co nie pozwalało zapomnieć o panującej na dole 90-procentowej wilgotności i temperaturze przekraczającej 33 stopnie Celsjusza. Ale teraz uwięzieni mieli do dyspozycji szampon, mydło, pastę do zębów i ręczniki – w porównaniu z dotychczasowym standardem to tak, jakby nagle znaleźli się w pięciogwiazdkowym hotelu.

Mężczyźni zorganizowali patrole kontrolujące stan bezpieczeństwa w obrębie powierzchni do spania i życia i stale sprawdzali, czy nie ma sygnałów, że niestabilna kopalnia San José ponownie się zawali, jeszcze bardziej ograniczając ich przestrzeń

życiową. Górnicy obawiali się, że nawet niewielki strumień opadających kamieni może przerodzić się w lawinę powodującą całkowity zawał kopalni. Mężczyźni spędzali więc codziennie całe godziny *acunando*, czyli usuwając duże kamienie z sufitu kopalni przy użyciu kilofów o długich styliskach.

– Przy pierwszych większych ruchach skał poszukają schronienia – powiedział Alejandro Pino, główny organizator akcji ratunkowej z ramienia ACHS. – To są doświadczeni górnicy. Będą wiedzieli, gdzie się chować przy pierwszych sygnałach wskazujących na duże obsunięcia.

Dostawy *palomą* docierały teraz co czterdzieści minut, co sprawiało, że obsługa systemu stała się dla uwięzionych górników pełnoetatowym zajęciem. Sześciu górników zostało mianowanych *palomeros*. To nowe słowo chilijskie, które można przetłumaczyć jako „gołębiarze". Zadaniem *palomeros* było odbieranie trzymetrowej metalowej tuby przesyłanej z góry, odkręcanie zatyczki, wysypywanie lub wytrząsanie zawartości, a następnie pakowanie najnowszych listów i wiadomości i odczekanie, aż tuba, w kształcie torpedy, zniknie w górze z pola widzenia.

– Dajemy im na to niewiele czasu – muszą ukończyć „operację *paloma*" w ciągu dziewięćdziesięciu sekund – powiedział doktor Mañalich. – Tuba mogłaby zostać na dole i dziesięć minut, ale dajemy im niecałe dwie minuty, aby wyznaczyć pewien cykl rutynowych zadań. [...] Wczoraj powiedzieli nam, że nigdy w życiu tak ciężko nie pracowali. To bardzo dobry znak. Nie mogą się zatrzymywać ani na chwilę. Muszą pracować co najmniej osiem godzin dziennie.

Górnicy zaczęli czekać przy *palomie* nawet poza swoimi dyżurami, albo spodziewając się listów od najbliższych, albo z czystej ciekawości, jakież to gadżety czy artykuły dotrą tym razem. Dzięki coraz bardziej wydajnemu systemowi dostaw już w cztery dni po nawiązaniu kontaktu górnicy mieli w swoim schronie rzutnik, nowe czołówki i zapasy świeżej wody. Ra-

townicy nalegali, aby górnicy zrobili zapasy żywności na czternaście dni.

– Zaczynają gromadzić strategiczną rezerwę – powiedział Pino z ACHS.

Odbieranie żywności i posiłki zajmowały sporą część dnia. Dostawa obiadu zaczynała się w południe – trwało półtorej godziny, zanim wszystkie porcje dotarły na dół.

– Po zjedzeniu obiadu wszyscy się gromadzą i rozpoczynają modlitwę – powiedział doktor Díaz.

Codzienną modlitwę prowadzi José Henríquez. „Don José" żyje dla Jezusa i swoich codziennych kazań. Zaczęło się od niewielkiej grupy modlitewnej, ale do tego momentu przerodziło się to już w pełne nawrócenie. Regularnie na msze uczęszczało dwudziestu mężczyzn, czasem więcej. Henríquez mógł też liczyć na Florencia Ávalosa, oficjalnego kamerzystę grupy, który nagrywał jego kazania.

Pedra Cortésa i Carlosa Bugueña wyznaczono na techników dźwiękowych i przydzielono im zadanie konserwacji linii telefonicznych na potrzeby telekonferencji odbywających się wczesnym popołudniem.

Dziewiętnastoletni Jimmi Sánchez został „inspektorem sanitarnym" i razem z Samuelem Ávalosem przemieszczał się po podziemnych jaskiniach z ręcznym urządzeniem do pomiaru stężenia tlenu i dwutlenku węgla oraz temperatury powietrza. Sánchez i Ávalos codziennie odczytywali pomiary z Drägera X-am 5000 i przesyłali sprawozdania ekipie medycznej na powierzchni.

Teraz, gdy ich podstawowe potrzeby, w tym wyżywienie i miejsca do spania, zostały zaspokojone, mężczyźni zaczęli przyjmować na siebie funkcje administracyjne i kulturalne. José Ojeda, znany teraz na całym świecie jako autor pierwszej słynnej notatki, został mianowany oficjalnym sekretarzem. Víctor Segovia wciąż pełnił funkcję oficjalnego kronikarza grupy i opisywał w „dzienniku pokładowym" codzienne zdarzenia z trudnej egzystencji górników.

W ciągu kilku dni od nawiązania kontaktu kierownictwo akcji ratunkowej mianowało Yonniego Barriosa lekarzem grupy, legitymizując funkcję, którą już pełnił podczas pierwszych siedemnastu dni. Barrios szybko namówił do pomocy Daniela Herrerę – nadano mu tytuł „asystenta medycznego".

Z wszystkich mężczyzn odpowiedzialnych za funkcjonowanie grupy Barrios był chyba najważniejszy. Zaszczepił całą grupę przeciwko dyfterytowi, tężcowi i zapaleniu płuc, a ze względu na infekcje grzybiczne i zepsute zęby, które stanowiły główne problemy zdrowotne górników, stał się centralną postacią bezprecedensowego eksperymentu w zakresie telemedycyny.

Poza codziennymi „obchodami lekarskimi" Barrios każdego popołudnia odbywał godzinną telekonferencję, podczas której otrzymywał instrukcje od ekipy medycznej na górze.

– Yonni, słyszy mnie pan? – krzyczał dr Mañalich podczas telekonferencji medycznej przy użyciu telefonu podłączonego do siedmiusetmetrowego kabla. – Yonni, wyrywał pan kiedyś ząb?

Z głębi, poprzez trzaski dotarł głos Barriosa.

– Taa... swój własny.

Lekarze popatrzyli po sobie ze zdziwieniem, zaszokowani ciężkimi realiami życia górnika.

– Jeśli poprosimy pana o wyrwanie zęba i prześlemy sterylny sprzęt, zrobi pan to? – zapytał Mañalich. Lekarz obiecał przysłać instruktaż wideo, pokazujący najlepszy sposób ekstrakcji zainfekowanego zęba trzonowego. Za pośrednictwem Barriosa, Mañalich przekazał też górnikom przyjacielską radę. – Niech pan pamięta, Yonni: proszę powiedzieć pozostałym, że jeśli nie będą regularnie myli zębów, to wkrótce zacznie im je pan wyrywać.

Barrios miał jeszcze jedno ważne zadanie.

– Chcieliśmy, aby zmierzył mężczyzn. Musieliśmy znać ich obwód, aby stwierdzić, czy zmieszczą się w wiercony właśnie

wąski otwór ratunkowy – powiedział doktor Devis Castro, chirurg specjalizujący się także w dietetyce.

Na powierzchni Barrios miał jednak jeszcze bardziej skomplikowane zadanie do wykonania – utrzymać z daleka od siebie nawzajem kochankę i żonę, które walczyły o niego na oczach mediów. Pod ziemią mężczyźni nie przestawali nabijać się z Barriosa. W zamkniętym świecie górników żartuje się przez cały czas. Nie ma świętości. Zamiast uszanować delikatny problem Barriosa, górnicy śmiali się z niego, żartowali i drwili do upadłego.

DZIEŃ 24: NIEDZIELA 29 SIERPNIA

Po sześciu dniach od nawiązania kontaktu przy użyciu prostego telefonu Pedra Galla, który stał się głównym kanałem komunikacji z górnikami, żądania z dołu wzrosły. Górnicy chcieli, potrzebowali i prosili o możliwość rozmowy ze swoimi rodzinami. Kierownictwo akcji ratunkowej zaplanowało bardzo krótki kontakt: zgodnie z zaleceniem psychologa Iturry każdej rodzinie przyznano po sześćdziesiąt sekund rozmowy.

Górnicy byli oburzeni. Po grubo ponad godzinie rozmowy z prezydentem Piñerą i ministrem Golborne'em przyznawano im teraz łącznie zaledwie trzydzieści trzy minuty na najważniejsze telefony w życiu? Wraz z początkiem tych rozmów zaczęły się nowe problemy.

– Rozmawiałem przez telefon, a Iturra w trakcie mówi: „Koniec, koniec, koniec", a ja mu na to, o co ci chodzi? Nie minęła jeszcze nawet minuta. A on na to: „Albo kończysz, albo ja przerwę tę rozmowę". Pomyślałem, co za dupek, to mi dało pewne wyobrażenie o nim. – Samuel Ávalos oskarżył Iturrę, że był zbyt surowy i zaborczy wobec górników. – Chciał narzucić grupie swoje zasady. Nie mieliśmy zamiaru się na to godzić. [...] Stanowiliśmy grupę, rodzinę na dobre i złe.

Na początku górnicy zgodzili się na codzienną dwugodzinną telekonferencję, podczas której Iturra i lekarze zasypywali

ich pytaniami, próbując zbudować profil psychologiczny grupy i jej poszczególnych członków. Jednak w miarę jak górnicy odzyskiwali masę ciała i siły, rosła ich niechęć do tych codziennych sesji.

– Twierdzą, że nie są chorzy i nie chcą rozmawiać z lekarzami ani psychologami – powiedział doktor Díaz.

Wraz z nowym poziomem komunikacji pojawiły się też kontrowersje i konflikty. Istniało ryzyko, że kłótnie rodzinne z powierzchni przeniosą się do listów i rozmów z górnikami. Nikt nie wiedział, ile jeszcze stresu są w stanie znieść górnicy – a gdyby tylko jeden z nich się załamał, mogłoby to rozznieść się na całą grupę. Ratownicy martwili się, że napady paniki lub przemocy mogłyby doprowadzić górników do takiego stanu, w którym nie byłoby już miejsca na rozsądek czy porządek.

W obie strony przepływały codziennie dziesiątki listów, więc zespół psychologów pod przewodnictwem Iturry wprowadził surową politykę: wszystkie listy napisane przez górników miały być czytane przed przekazaniem rodzinom. Psychologowie mieli też czytać każde słowo kierowane do górników. Tak więc grupa psychologów całymi dniami odcyfrowywała odręcznie napisane przez rodziny uwięzionych mężczyzn listy.

Nick Kanas, wieloletni doradca NASA, krytycznie odnosił się do tej cenzury i podejścia kojarzącego się z Wielkim Bratem.

– Ja bym niczego nie sprawdzał… to daje podstawy braku zaufania. Górnicy zaczną pytać: „To co jeszcze przed nami ukrywają?". Będą wiedzieli, że nie mówi im się wszystkiego, i będą chcieli wiedzieć z jakiego powodu.

W tej sytuacji napięcie rosło w szybkim tempie. José Ojeda nie wierzył, że listy gubiły się, czy też opóźniały, jak urzędnicy starali się wyjaśniać. „To jest jak więzienie, wszystko cenzurują", napisał. „Było nam lepiej, zanim mogliśmy się komunikować". Jego rodzina nigdy nie zobaczyła tego listu, został przechwycony przez psychologów.

– Czasem dodają jakieś słowa albo sami przepisują listy – stwierdził Carlos Barrios. – Znam pismo mojej babci.

Barrios zaczął mówić o strajku. Górnicy mieli stworzyć jednolity front wobec niewidocznych dowódców z góry. Zdaniem Barriosa cały ten incydent uwydatnił protekcjonalne podejście psychologa Iturry do nich, podejście, które zjednoczyło mężczyzn.

– Myśleli, że jesteśmy ciemni – powiedział Barrios. – Nigdy nas nie rozumieli.

OSIEM

MARATON

DZIEŃ 26: WTOREK 31 SIERPNIA

Szara furgonetka przedzierała się przez tłum kamerzystów i fotografów w obozie Nadzieja, a członkowie rodzin uwięzionych górników ustawiali się wzdłuż drogi i wznosili radosne okrzyki. Sześciu ekspertów z agencji NASA siedzących w furgonetce wyglądało na zewnątrz ze zdumieniem. Dla nich, wyszkolonych w sterylnych i wysoce zuniformizowanych, zbiurokratyzowanych warunkach amerykańskiego programu kosmicznego, widok dziesiątek kobiet wykrzykujących do nich coś po hiszpańsku i setek dziennikarzy przepychających się, aby zrobić im zdjęcie, był jak z innej planety.

Świat po raz pierwszy popadł w osłupienie na wieść, że górnicy zdołali przeżyć pod ziemią siedemnaście dni, a następnie, gdy się okazało, że Chilijczycy zdołali wywiercić otwory i użyć sprzętu górniczego do nawiązania kontaktu z uwięzionymi mężczyznami. Teraz jednak, gdy mężczyźni zaczęli już otrzymywać jedzenie i leki, pojawiło się zupełnie nowe wyzwanie: ich zdrowie psychiczne. Odpowiedzialni za akcję ratunkową na wszystkich szczeblach potykali się, brnąc przez niezbadane

obszary ludzkiej psychiki. Mając świadomość unikalnego charakteru katastrofy w kopalni San José, prezydent Piñera rozesłał swoich współpracowników w poszukiwaniu konsultantów posiadających odpowiednie doświadczenie w tym obszarze. Wrócili z dwoma pomysłami: astronauci i marynarze służący na łodziach podwodnych.

Jednak program kosmiczny Chile ogranicza się do jednego człowieka, Klausa von Storcha z Chilijskich Sił Powietrznych. Von Storch był upartym optymistą, który cierpliwie czekał na liście rezerwowej NASA przez ponad dekadę, zanim ostatecznie się poddał. Choć pustynia Atakama stawia Chile na czele światowej astronomii, załogowe loty kosmiczne znajdują się w odległości lat świetlnych od realiów finansowych kraju. W obliczu braku własnych zasobów, z których można by skorzystać, ambasada chilijska w Waszyngtonie skontaktowała się z NASA, które zgodziło się podzielić swoim wieloletnim doświadczeniem w obszarze badań nad zachowaniami ludzkimi w stresowych sytuacjach w warunkach odcięcia od świata. W skład zespołu, który wysłano do obozu Nadzieja, wszedł doktor Al Holland, psycholog posiadający bogate doświadczenie w zakresie życia w ekstremalnych warunkach, zdobyte m.in. podczas misji kosmicznych Apollo i wypraw w bezludne rejony Antarktyki.

Eksperci z NASA dołączyli do niedawno utworzonego zespołu chilijskiego, w którego skład wchodzili psycholodzy, specjaliści od żywienia, inżynierowie górnictwa oraz Renato Navarro, dowódca chilijskiej floty podwodnej, którego sprowadzono, aby podzielił się swoim doświadczeniem w zakresie zarządzania ludźmi w warunkach odcięcia od świata.

– Marynarze w łodzi podwodnej mają na zewnątrz wodę; ci górnicy mają nad sobą siedmiusetmetrową skałę – powiedział. – Poczucie odcięcia od świata jest takie samo.

W warunkach życia tych trzydziestu trzech górników było tak wiele problemów, zarówno logistycznych, jak i tych związanych ze zdrowiem psychicznym, że personel wspierający roz-

rósł się do trzystu specjalistów, włączając w to profesora fizyki, kartografa i człowieka ocalałego z lawiny. W skład zespołu wchodził też Edmundo Ramírez, szef kuchni, sprowadzony, aby przygotowywać posiłki, które opuszcza się na dół górnikom. Specjaliści z NASA byli najnowszymi z całej rzeszy zagranicznych ekspertów sprowadzonych na pomoc. Jednak nawet przy zespole liczącym dziesięciu specjalistów na każdego uwięzionego górnika wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi.

– To jest sytuacja bez precedensu, i taka jest też ta akcja ratunkowa – powiedział Michael Duncan, psycholog NASA, podczas spotkania w namiocie na terenie kopalni San José. – Według mojej wiedzy nigdy jeszcze nie udało się odnaleźć tak wielu ludzi uwięzionych głęboko pod ziemią. To niezwykłe, że odnaleziono ich po tak długim czasie od zawału, i to żywych.

Eksperci z NASA chwalili podjęte do tej pory przez Chilijczyków działania, proponując jednocześnie drobne zmiany, w tym włączenie do diety witaminy D oraz wzmocnienie sztucznego oświetlenia mającego symulować cykl dnia i nocy. Zespół NASA podkreślił też, jak ważna dla uniknięcia monotonii jest codzienna rozrywka, na przykład gra w karty, czytanie czy oglądanie filmów. Specjaliści z NASA odmówili ujawnienia szczegółów na temat tej pięciogodzinnej odprawy, jednak według uczestników spotkania agencja kosmiczna Stanów Zjednoczonych gorąco rekomendowała wprowadzenie ścisłej hierarchii wśród górników. Głosowanie i wspólne podejmowanie decyzji mogło być skuteczne w ciągu pierwszych siedemnastu dni, jednak teraz, podkreślano, mężczyźni muszą być przygotowani na wieloetapowy wyścig – „maraton" – jak to ujęli przedstawiciele NASA.

Ostrzegli też kierownictwo akcji, że należy się spodziewać buntu.

– Opowiedzieli, jak podczas jednej z misji na stację orbitalną Skylab astronauci pokłócili się z dowództwem do tego stopnia, że przerwali połączenie i nie było z nimi kontaktu przez cały

dzień, a w tym czasie przemieszczali się po orbicie – przekazał doktor Jorge Díaz.

Chilijski psychiatra doktor Figueroa podzielał to przekonanie.

– Kiedy opadnie euforia wynikająca z faktu, że zostali odnalezieni, normalną reakcją psychologiczną będzie zmęczenie i stres – wyjaśnił. Doktora Figueroę zatrudniło Chilijskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Jego zadaniem było sporządzanie raportów na temat opieki w zakresie zdrowia psychicznego, zapewnianej górnikom i ich rodzinom. – U około piętnastu procent górników to doświadczenie może wywołać długotrwałe urazy psychologiczne. Rządowi bardzo zależy na udzieleniu tym ludziom mocnego wsparcia, aby uniknąć właśnie takich długoterminowych problemów psychologicznych. Najważniejszą rzeczą jest otwarcie kanału komunikacji w określonym czasie w ciągu dnia, podczas którego górnicy będą mogli wysyłać wiadomości.

Już stwierdzono, że listy są niesamowicie stymulującym czynnikiem, zarówno dla rodzin, jak i dla górników. Jednymi z pierwszych artykułów, o jakie poprosili uwięzieni mężczyźni, były przybory do pisania. Chilijczycy wprowadzili też stopniowo system komunikacji telefonicznej, a następnie wideotelefonicznej. Jednak otwarcie kanału komunikacji oznaczało też utratę kontroli. Co, jeśli któraś z żon zażąda od męża górnika rozwodu? Czy to naprawdę dobry czas na kłótnie o domowe rachunki czy finanse?

DZIEŃ 27: ŚRODA 1 WRZEŚNIA

Z daleka teren akcji ratunkowej w kopalni miedzi San José wyglądał jak chaotyczny plac budowy. Ogromne dźwigi hałasowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, transportując metalowe rury długości masztu statku. Betoniarki, spychacze, koparki i maszyny górnicze przemieszczały się po zboczach, z daleka

przypominały owady. Parkingi były pełne zapasów, począwszy od stosów wierteł, a skończywszy na dwudziestu ośmiu paletach węgla drzewnego. Węgiel, podpalany w beczkach na ropę, dostarczał nocą światła i ciepła około dwudziestu policjantom rozstawionym na straży wzdłuż zbocza.

Mężczyźni w kaskach ochronnych, z brudnymi rękami i bladym uśmiechem na twarzy pracowali na zmiany, wykonując żmudne zadanie, które przez ostatnie cztery tygodnie wymagało ściągnięcia setek robotników. Oprócz dobrze wyszkolonych Chilijczyków, w namiocie pełniącym rolę kantyny można było spotkać obywateli Brazylii, RPA, USA i Kanady. Ci ratownicy, zamiast spędzać czas ze swoimi rodzinami, świętować urodziny swoich dzieci, przylecieli tutaj, na pustynię Atakama, aby pomóc. Pracowali po dwanaście godzin na dobę, próbując ocalić mężczyzn, których nie znali i być może nigdy nie poznają.

Na teren akcji ratunkowej przyjeżdżały całe karawany samochodów z napędem na cztery koła, wiozące jedzenie, maszyny i dary.

– Chcemy wesprzeć rodziny i dzieci tych mężczyzn. Co cztery, pięć dni przywozimy mleko i jogurty dla tych stu osiemdziesięciorga ludzi – powiedział Adolfo Duran, kierownik dystrybucji z firmy Soprole, wskazując na stosy kartonów z jogurtami i mlekiem. – Poczucie braterstwa znacznie wzrosło w tym roku; najpierw przeżyliśmy trzęsienie ziemi, a teraz to. Jestem przekonany, że nasz naród stał się w tym roku silniejszy.

Tymczasem u stóp góry, poniżej posterunków policyjnych, zaczęły wybuchać rodzinne spory i szybko stały się pożywką dla mediów. Setki reporterów koczujących za taśmami bezpieczeństwa miało niewiele do roboty, mogli tylko przeprowadzać wywiady ze sobą nawzajem lub spekulować. Ilu z żonatych górników ma kochanki? Czy uwięzieni mężczyźni uprawiają seks?

Czy akcja ratunkowa rzeczywiście przebiega tak gładko, jak przedstawia to rząd Piñery?

Pomimo wsparcia i pomocy z zewnątrz obóz Nadzieja nie był jakimś festiwalem miłości. Zaczęły wybuchać kłótnie rodzinne, płynęły łzy złości.

– Yonni nie chce wyjść z kopalni – zażartował lekarz pracujący w obozie Nadzieja, nawiązując do trójkąta miłosnego, który dla Yonniego Barriosa stał się drugą pułapką bez wyjścia. Jego wieloletnia małżonka i wieloletnia kochanka walczyły ze sobą. W każdej rodzinie powtarzały się podobne historie: dawno nie widziane dzieci – córki i synowie – gromadziły się, aby zobaczyć ojca, który nigdy nie był ojcem, dając bolesny i poruszający dowód na to, że więzy krwi są silniejsze od nadwątlonych relacji.

Lokalne władze zdały sobie sprawę, że obóz Nadzieja wciąż będzie się rozrastał. Liczba mieszkańców osiągnęła już pięć tysięcy, a co tydzień wyrastały kolejne „osiedla" – nowe kawałki ziemi zajmowały kolejne ekipy dziennikarzy przybywających z nadzieją, że to właśnie oni odkryją jakąś perełkę w historii, której przyglądał się cały świat. W 2000 roku, kiedy rosyjska łódź podwodna „Kursk" zatonęła w oceanie ze 118 członkami załogi na pokładzie, światowe media oszalały na punkcie powoli umierających uwięzionych marynarzy. Ich dramat odmierzano coraz słabszym „stuk, stuk, stuk" w alfabecie Morse'a dobiegającym z wnętrza kadłuba okrętu. Dekadę później, z dokładnością niemal co do dnia, rolę największego w historii mediów dramatu przejęła katastrofa górnicza w Chile. Po tym, jak do mężczyzn doprowadzono kabel optyczny, a *palomą* dostarczono im cyfrowe kamery oraz sprzęt rozrywkowy, w tym projektor wideo i odtwarzacze MP3, trzydziestu trzech górników szybko stało się najbardziej okablowanymi i medialnymi ofiarami katastrofy w historii ludzkości. W dwa miesiące od katastrofy

liczba zapytań ze słowami kluczowymi „górnicy" i „chilijscy" w wyszukiwarce Google sięgnęła 21 milionów.

Dramat chilijskich górników szybko stawał się codziennym składnikiem rozrywkowego menu na całym świecie.

W obozie Nadzieja wyznaczono strefy dla dzieci, pojawiły się tablice informacyjne i planowe połączenia autobusowe z okolicznymi miastami, odprawiano także nabożeństwa – używane podczas nich trzeszczące głośniki i wzmacniacz stały w odległości zaledwie trzech metrów od namiotu prasy międzynarodowej. Podczas gdy reporterzy i producenci opracowywali swoje serwisy informacyjne, towarzyszyły im odgłosy mszy, m.in. napomnienia, że nie należy zapominać o „trzydziestym czwartym górniku", Jezusie Chrystusie.

Chilijskie władze wciąż przestrzegały, że przed ratownikami jeszcze ogromne wyzwania techniczne i logistyczne, którym muszą stawić czoło, zanim wydostaną mężczyzn z kopalni; jednak rodziny już świętowały i organizowały grille – wszyscy się cieszyli, że górnicy żyją. Wśród palących się ognisk i ogromu pozytywnej energii, to miejsce mniej przypominało obóz uchodźców, a bardziej kojarzyło się z chilijskim festiwalem muzycznym. Często na terenie obozu odbywały się koncerty. Słynny chilijski pianista Roberto Bravo otoczony kręgiem członków rodzin górników dawał upust emocjom podczas – jak sam to określił – występu swojego życia.

– Teraz mogę oddychać spokojnie. Zniknęły wątpliwości – powiedział trzydziestoośmioletni Pedro Segovia, brat górnika Daría Segovii. – Wcześniej nie wiedzieliśmy, czy cała ta maszyneria rzeczywiście zdoła ich odnaleźć siedemset metrów pod ziemią. – Ssąc cytrynę posypywaną solą, Segovia opisał kopalnię San José jako pułapkę śmierci. – Pracowałem tutaj przez rok. To zawsze było niebezpieczne miejsce pracy. Schodząc, wszyscy zastanawialiśmy się, czy wrócimy. Raz oderwał się nade mną kawał sufitu, głaz o wadze stu kilogramów. Na szczęście roztrzaskał się o ekran ochronny i tylko posiniaczył mi plecy.

Pedro Segovia, inni członkowie jego rodziny i przyjaciele trzymali wartę w rodzinnym namiocie, gdzie samotna świeca paliła się pośród obrazków przedstawiających Chrystusa i Marię Pannę. Jednak to nie warta na wypadek kradzieży. Obóz Nadzieja to takie miejsce, gdzie zgubione telefony komórkowe zwraca się wdzięcznym właścicielom. Rodzina Segovia zorganizowała to czuwanie z szacunku dla Daría. Jest przecież bezpośrednio pod nimi, uwięziony. Jak mogliby wszyscy zasnąć?

Obok ich namiotu grupka dzieci bawiła się świecami w kapliczce postawionej dla ich dziadka, Maria Gómeza. Dzieci ołówkami i kredkami rysowały proste obrazki przedstawiające samochody i ustawiały je obok zdjęcia dziadka, po czym biegły się bawić na stertach kamieni rozrzuconych na zboczu.

Obóz Nadzieja stał się społecznością. Choć każda rodzina miała osobny dom i własny porządek dnia, wspólny powód pobytu tutaj i cel, jaki przyświecał wszystkim, ocieplił relacje pomiędzy ludźmi. Członkowie rodzin mają niewiele sekretów. Połączenie obfitości wolnego czasu i wspólnej pasji oznacza, że wieści rozchodzą się szybko.

Carolina Narváez, żona Raúla Bustosa, przyzwyczajała się powoli do życia w cieniu tragedii. Pół roku wcześniej Narváez i Bustos, uwięzieni w epicentrum trzęsienia ziemi o mocy 8,8 w skali Richtera, patrzyli, jak tsunami niszczy stocznię, w której Bustos pracował. Praca w San José miała być tylko tymczasowa – do momentu gdy Talcahuano, rodzinne miasto Bustosa, oddalone o niemal 1200 km na południe, zostanie odbudowane.

– Nikt nigdy nie przeżył tak długo pod ziemią. Nie mogę być słabsza niż on – powiedziała Narváez, siedząc na głazie i paląc papierosa. Na plakacie za nią widać Raúla, patrzy przed siebie z ponurym wyrazem twarzy. Narváez nie żywi nadziei, że wyjdą z tego bez szwanku. – Wiem, że Raúl, który tam wszedł, i ten, który stamtąd wyjdzie, nie będzie tą samą osobą.

Niedaleko, w odległości zaledwie 20 metrów, Nelly Bugueño niemal świętuje to, że jej syn Víctor Zamora został zasypany. Zawsze krytykowała syna za wieczny pośpiech i życie w ciągłym stresie. Według niej to uwięzienie zmusiło Víctora, aby spojrzał w głąb siebie. Ze zdumieniem wciąż na nowo czyta jego listy. Víctor, górnik od zawsze i na zawsze, nigdy nie wykazywał takiego talentu do otwartego, emocjonalnego pisania. To zdecydowanie nie był ten sam Víctor, którego najpierw wychowywała, a następnie obserwowała, jak staje się górnikiem na całe życie.

– Tam na dole znalazł swoje drugie ja. Odkrył w sobie poetę. Skąd się biorą te wszystkie piękne uczucia? Tak po prostu wykiełkowały? – Bugueño uśmiechnęła się, ogromna duma przesłania jej filigranową postać. – Nie chcę, aby nadal pracował w kopalni. Powinien pisać piosenki, wiersze.

W narodzie, który wydał na świat poetów-noblistów Gabrielę Mistral i Pabla Nerudę, nikogo nie dziwi, że górnicy okrzyknęli Zamorę swoim oficjalnym poetą. Rymowane prace Zamory to często jednostronicowe homilie kierowane do ratowników. Zawarte w nich połączenie nadziei, wdzięczności i humoru szybko sprawiło, że stały się najczęściej czytanymi wiadomościami z dołu. Nawet po wielokrotnym przeczytaniu wiersze Zamory wywołują łzy u Pedra Campusana, asystenta medycznego pracującego przy *palomie*.

– Kiedy pojawił się pierwszy z wierszy, przeczytałem tylko do połowy; nie mogłem... – Oczy Campusana napełniły się łzami. – Kiedy je czytam... przepełniają mnie emocje.

Pomimo euforii, jaka ogarnęła wszystkich, kiedy znaleziono górników żywych, wydostanie ich z kopalni – co chilijscy inżynierowie nazwali „ostatecznym starciem" – stanowiło przytłaczające wyzwanie. Wymagało to trzech, czterech miesięcy pracy: trzeba było wywiercić 700-metrowy tunel do uwięzionych mężczyzn, a także wymyślić system, który pozwoli wyciągnąć ich, jednego po drugim, na górę. Rząd Piñery, uznając bezprecedensową skalę wyzwania, zdecydował się jednocześnie wdrożyć

kilka planów ratunkowych opartych na różnych technologiach. Dwa niezmiernie skomplikowane plany prac wiertniczych nosiły zwodniczo proste nazwy: Plan A i Plan B.

Plan A opierał się na zastosowaniu jednego z największych na świecie wierteł, wysokiej klasy urządzenia australijskiego znanego pod nazwą Strata 950. Urządzenie to może wywiercić otwór o średnicy 66 cm na głębokość do 3 km, przy koszcie wahającym się od 3 tys. do 5 tys. dolarów za każdy wywiercony metr. Istnieje tylko sześć takich maszyn, na szczęście jedna z nich znajdowała się w Chile. Aby uratować uwięzionych górników, urządzenie musiałoby się wwiercić prosto w dół. Najpierw maszyna miała wydrążyć 46-centymetrowy otwór, a następnie drugie, szersze wiertło miało go poszerzyć tak, aby pomieścił kapsułę ratunkową z górnikami. Jest to metoda powolna, ale pewna; po czterech miesiącach – do Bożego Narodzenia – tunel miał być gotowy. Eksperci byli zgodni co do tego, że Strata 950 jest w stanie wykonać zadanie. Jednak czy górnicy przetrwaliby tak długie zamknięcie w zdrowiu psychicznym, a przede wszystkim żywi?

Władze chilijskie otrzymywały setki propozycji planów ratunkowych. Bardzo szybko zdecydowano się także na strategię zastosowaną podczas akcji ratunkowej w kopalni Quecreek w Pensylwanii. Plan zakładał wykorzystanie jednego z już wykonanych otworów i poszerzenie go przy użyciu mocnego amerykańskiego urządzenia wiertniczego o nazwie Schramm T-130. Plan ten, ochrzczony Planem B, dawał możliwość uwolnienia mężczyzn po niecałych dwóch miesiącach. Jednak nie było żadnej gwarancji, że technologie, które sprawdzały się na głębokości 70 metrów, zdołają ocalić górników uwięzionych na dziesięć razy większej głębokości.

DZIEŃ 29: PIĄTEK 3 WRZEŚNIA

Brandon Fisher przybył do obozu Nadzieja z wyjątkową misją: miał wesprzeć kierowanie Planem B. Niestrudzony inżynier

ponownie spotkał się z członkami tego samego zespołu, który osiem lat temu ocalił górników z Pensylwanii. Czy uda mu się powtórzyć tamten cud?

James Stefanic, prezes chilijskiego oddziału amerykańsko-chilijskiej firmy Geotec Boyles Brothers, zainwestował w ten sam model urządzenia wiertniczego jak to, którego użyto w Quecreek – Schramm T-130 – na potrzeby kopalni Doña Inés de Collahuasi w północnym Chile. Urządzenie o masie 45 ton jest mobilne, jego konstrukcja opiera się na pięciu osiach, co oznacza, że łatwo je transportować i szybko można je przygotować do pracy. Ustalono, że zostanie przewiezione do kopalni San José.

Ale Plan B mógł też nosić inną nazwę: „Ślepiec", a to dlatego, że tego wiertła nie da się poprowadzić. Kluczowym elementem planu był Fisher. On i osiemdziesięcioosobowa załoga jego fabryki Center Rock w Berlinie w Pensylwanii mieli wymyślić rozwiązanie. Fisher był pewien, że jego zespół potrafi zaprojektować i wyprodukować wiertło z małą końcówką, która w sam raz zmieści się we wcześniej wywiercony otwór i zdoła utrzymać większe wiertło na właściwym kursie.

Jednak Plan B był na wielu frontach eksperymentalny – przede wszystkim urządzenia nie używano dotąd w akcjach ratunkowych na tak dużej głębokości.

– Jedną z najważniejszych kwestii podczas wiercenia jest dokładna wiedza, ile wiertło będzie ważyć – powiedział Mijail Proestakis, inżynier pracujący przy Planie B. – Łatwo wwiercać się w dół, ale trzeba mieć pewność, że da się też wszystko wyciągnąć w górę. Inżynierowie zakładali, że maszyna poradzi sobie z wagą całego szybu wiertniczego, szacowaną na 48 ton.

Ambasada Chile w Waszyngtonie przekonała United Parcel Service, giganta transportu morskiego z siedzibą w Sandy Springs w stanie Georgia, do koordynacji transportu. Z Pensylwanii przetransportowano na odległą pustynię Atakama ponad

dwanaście ton sprzętu wiertniczego. Koszty wzięła na siebie Fundacja UPS, charytatywny oddział giganta przewozowego o rocznych obrotach na poziomie 50 mld.

Jednak wciąż brakowało kluczowego elementu Planu B: wiertacza. Pomimo zastosowania zaawansowanej technologii wiertniczej i GPS, Schramm T-130 potrzebował kapitana, który poprowadziłby misję. Stefanic dokładnie wiedział, kogo chce mieć u steru.

Jeff Hart, wysoki, spalony słońcem czterdziestoletni naftowiec z Denver w Kolorado, jest ekspertem od poszukiwania podziemnych skarbów. Regularnie jeździ w różne mało przyjazne zakątki ziemi, gdzie prowadzi odwierty.

W tym momencie Hart wiercił dla armii amerykańskiej w Afganistanie. W tej ziemi pełnej minerałów, ropy i gazu zadaniem Harta było znalezienie tego, co pod ziemią najcenniejsze: wody pitnej, nowego afgańskiego złota.

Pierwsza wiadomość wysłana do Harta była dość sucha. W Ameryce Południowej zawaliła się kopalnia. Trzydziestu trzech górników zostało odciętych od świata na głębokości 700 metrów – na dnie kopalni złota i miedzi. Czy mógłby przyjechać i spróbować wywiercić im bezpieczną drogę na powierzchnię? Hart zgodził się i jak James Bond został „wyciągnięty" z głębokiej afgańskiej prowincji i przetransportowany do Dubaju, dalej do Amsterdamu i do Chile. Zapytany, dlaczego wybrał Harta, Stefanic miał jasną odpowiedź:

– Po prostu Hart jest najlepszy.

Kiedy Hart zdecydował się pokierować wierceniem w ramach Planu B, konkurencja pomiędzy dwoma zespołami jeszcze się zwiększyła. Inżynierowie zebrani na miejscu zaczęli robić zakłady, która z ekip ratunkowych dotrze do górników pierwsza. Glen Fallon, wysoki Kanadyjczyk pełniący funkcję głównego operatora Planu A, stwierdził, że nie boi się konkurencji.

– W tej sprawie wysłano globalny sygnał SOS. Codziennie otrzymuję maile od osób, które zgłaszają się do ochotniczej pracy, chcą przylecieć do Chile, aby pomagać – powiedział. – Nawet moja konkurencja oferuje pomoc. W tym wyścigu jest tylko jedna drużyna.

DZIEŃ 35: CZWARTEK 9 WRZEŚNIA

Jeff Hart czuł się za sterami Schramma T-130 jak w domu, przepracował na tej maszynie tysiące godzin. Używając dźwigni i pedałów, pracował na stojąco, rzadko zdejmując ciemne okulary przeciwsłoneczne i zakładając na uszy potężne żółte słuchawki ochronne. Z tyłu jego kasku zwisała materiałowa osłona, która chroniła kark przed słońcem Atakamy. Po przebyciu połowy świata Hart był na dobrej drodze, aby znaleźć najcenniejszy skarb, jakiego kiedykolwiek szukał: 33 ludzi. Całymi dniami niemal nie ruszał się ze swojego stanowiska pracy przy szybie wiertniczym Planu B. Wiercił po dziesięć godzin dziennie, a upływ czasu odmierzała coraz większa ilość plam z oleju i błota na jego kombinezonie. I nagle, 9 września, już piątego dnia robót, Plan B stanął w miejscu.

Tymczasem Plan A kontynuował powolne wwiercanie się w zbocze. Ogromna maszyna, obracając się, wgryzła się w skałę na głębokość 150 metrów. Urządzenie zastosowane w Planie B wierciło znacznie szybciej, jednak wymagało wywiercenia najpierw niewielkiego otworu, a następnie ponownego wwiercenia się do środka i poszerzenia go tak, aby mógł się przez niego przecisnąć człowiek. Plan A był żółwiem – powoli, ale miarowo wiercono szyb o szerokości wystarczającej, aby uratować mężczyzn.

Zdezorientowany Hart patrzył, jak ciśnienie w urządzeniu spada, a wiertło obraca się, ale nie wdziera się już w skałę.

Akcja zatrzymała się na głębokości niecałych 270 metrów. Hart próbował odczytać sygnały z dołu. Inżynierowie nie mieli innego wyjścia, jak tylko zaprzestać wiercenia i rozebrać szyb,

segment po segmencie, aby sprawdzić stan urządzenia. Okazało się, że głowica wiertła jest roztrzaskana. Kawałki wielkości piłki nożnej zostały oderwane od trzonu z wolframowej stali. Kamera wideo, którą spuszczono w dół otworu, pokazała, że brakujące kawałki były splątane z żelazem. Błędne mapy spowodowały, że inżynierowie zaprojektowali trasę wiercenia przez warstwę prętów stosowanych do zbrojenia kopalni. Teraz te pręty przeszkodziły w pracach nad tunelem ratunkowym.

DZIEŃ 36: PIĄTEK 10 WRZEŚNIA

Inżynierowie opuścili w dół otworu ogromne magnesy, próbując usunąć kawałki metalu, ale nie udało się. Próby rozbicia i poluzowania zablokowanych kawałków również się nie powiodły. Metal się zaklinował. Skała ciasno trzymała odłamki wiertła, jakby złapała przynętę zastawioną na dnie jeziora.

Igor Proestakis, dwudziestoczteroletni chilijski inżynier, przyjechał na teren kopalni ze swoim wujem Mijailem, jednym z głównych inżynierów akcji ratunkowej. Był jednym z najmłodszych inżynierów na miejscu. Usłyszawszy o problemie z kawałkami wiertła, Proestakis zaczął projektować rozwiązanie. Zapamiętał z zajęć na uniwersytecie starą technikę odzyskiwania materiału zagubionego w głębi kopalni, polegającą na opuszczeniu otwartej metalowej szczęki z ostrymi zębami na dno szybu i umieszczeniu jej wokół celu – w tym przypadku wolframowych elementów. Następnie należało od góry metalowej szczęki przyłożyć ogromne ciśnienie, jakby gigantyczną stopę zgniatającą aluminiową puszkę. Ciśnienie z góry zmusza ostre zęby do powolnego zamknięcia się i pochwycenia „zdobyczy". Technika ta, znana jako „*la Araña*" („Pająk"), jest prymitywna, ale sprawdzona. Jednak wielokrotne sugestie Igora, aby zastosować Pająka, były ignorowane.

Plan B stał więc w miejscu. Kiedy się okazało, że Plan A również trzeba wstrzymać, ratownicy spanikowali. W tym dru-

gim przypadku przyczyną był przeciekający wąż hydrauliczny. Tak więc obie maszyny stanęły, a do uszu górników dobiegła najstraszniejsza serenada: cisza. Żadna maszyna nie zmierzała w ich kierunku.

DZIEŃ 37: SOBOTA 11 WRZEŚNIA

Postęp Planu A był wolniejszy, niż się spodziewano; Plan B utknął w miejscu, i możliwe, że na dobre. Obóz ogarnęło przygnębienie. Czy ci górnicy są przeklęci? Czy cały wysiłek włożony w akcję ratowniczą był tylko preludium do nieuniknionej śmierci kolejnej grupy pracowników kopalni? Rząd był jednak zdeterminowany, aby kontynuować akcję ratunkową – zaprosił na teren kopalni San José trzecią grupę ratowników i zainaugurował Plan C.

Przybycie ogromnego zestawu urządzeń wiertniczych stosowanych w przemyśle naftowym wywołało krótkie ożywienie w obozie Nadzieja: przez chwilę dało się słyszeć radosne okrzyki, znów powiewały flagi. Dziennikarze – już zniecierpliwieni brakiem możliwości bezpośredniego śledzenia postępów akcji ratunkowej – pospieszyli sfilmować konwój czterdziestu dwóch ciężarówek pnących się w górę po żwirowych drogach z ładunkiem rur, wież, generatorów i ogromnej ilości innej maszynerii. Platforma wspierająca była długa na 100 metrów, jak boisko do piłki nożnej.

Sprzęt został przekazany przez Precision Drilling, kanadyjską firmę specjalizującą się w głębokich odwiertach wykonywanych przy poszukiwaniach złóż ropy. Przez dwa lata był magazynowany w Iquique, mieście portowym 1600 km od Copiapó. Jednak przy cenach złomu miedzi sięgających obecnie aż 6 dolarów za kilogram, na całym świecie wzrosły kradzieże miedzi. W niektórych częściach Stanów Zjednoczonych właściciele domów zaczęli wymalowywać sprayem napisy: „Tu nie ma miedzi", aby zniechęcić potencjalnych złodziei. Co bardziej

przedsiębiorczy zaczęli wytapiać pensy wybite przed 1984 rokiem. Wartość miedzi była dużo wyższa niż pensa, nawet „Financial Times" opublikował artykuł zatytułowany: *Topienie monet może przynieść trochę grosza*. Inżynierowie odpowiedzialni za Plan C z przerażeniem odkryli, że złodzieje włamali się również do magazynów w Iquique i skradli miedź z okablowania urządzeń, rozbrajając skomplikowany zespół obwodów elektrycznych.

– Powrót do Chile był nieco frustrujący. [...] Skradziono część kabli – powiedział Shaun Robstad, główny inżynier. – Zniknęły wszystkie przewody, więc mój elektryk złapał za telefon i zaczął dzwonić, aby zamówić kable. Zajęto się tym w Houston. [...] Wielu ludzi zarywało weekendy i noce, aby uzupełnić braki.

DZIEŃ 38: NIEDZIELA 12 WRZEŚNIA

O świcie trzydziestego ósmego dnia Golborne i zespół Codelco zaczęli rozważać to, co zdawało się nie do pomyślenia: zarzucenie Planu B.

W ramach początkowego planu ratunkowego wywiercono trzy osobne otwory: jeden na potrzeby dostaw żywności i zapasów systemem *paloma*, drugi w celach telekomunikacyjnych i trzeci do przesyłania wody i świeżego powietrza. Plan B wykorzystał jeden z tych pierwszych otworów, tak więc ratownicy mieli tylko jeden otwór na potrzeby telekomunikacji, dostaw wody i wzbogacanego powietrza. Teraz pozostały tylko dwa otwory. Żaden z inżynierów nie chciał poświęcić kolejnego otworu na eksperymentalny plan *gringos* z Pensylwanii. Jeżeli nie da się usunąć wolframowego wiertła, trzeba będzie od początku zacząć wiercenie szybu. Jednak wiercenie bez otworu, który prowadziłby wiertło, byłoby jak strzelanie na oślep.

Jeff Hart u sterów Planu B dostawał świra. Przeleciał pół świata, aby pomóc uratować tych uwięzionych górników, a te-

raz okazuje się, że praca już trzeci dzień stoi w miejscu. Fragmenty metalowego wiertła były ciasno zaklinowane na dnie. Wielokrotne próby wyrwania, podważenia lub wyciągnięcia ich zakończyły się fiaskiem. Hart był sfrustrowany. W jego głowie tykał zegar. Każdy dzień opóźnienia to kolejny dzień cierpienia trzydziestu trzech górników.

Tymczasem André Sougarret koordynował instalację Planu C, gigantycznej platformy wiertniczej montowanej teraz w rekordowym czasie. Podczas gdy normalnie zajmowało to osiem tygodni, w ramach Planu C montaż miał się zmieścić w połowie tego czasu. Wciąż jednak za wolno.

W miarę jak czas upływał bez żadnego rozwiązania, Igorowi udało się wyprosić krótką popołudniową audiencję u Golborne'a. Wykończony minister wysłuchał przedstawionego przez młodego inżyniera opisu Pająka i natychmiast zatwierdził to rozwiązanie. Pająk został spuszczony na dół i ciśnieniem przyłożonym z góry zmuszony do zaciśnięcia zębów, po czym szybko wyciągnięty. Na powierzchni użyto lampy lutowniczej, aby dostać się do środka kokonu Pająka, otwierając ząb po zębie. Kiedy w strumieniu iskier odsunięto ostatni ząb, Pająk pokazał swoją zdobycz: wolframową głowicę wiertła. Wśród zebranych inżynierów wybuchła radość. Plan B wciąż miał szansę powodzenia. Nie będzie trzeba zaczynać od podstaw, bez otworu, jak się obawiano. A jednak Plan B stracił trochę czasu – a wrogiem była nie tylko góra; liczyła się każda godzina. Ratownicy zaczęli zarywać noce i zapuszczać brody.

Głęboko pod ziemią górnicy wyczuwali chaos panujący na powierzchni. Za każdym razem, gdy wiertło stawało, ich świat wypełniała cisza – straszna pustka, która podsycała wątpliwości. Czy kiedykolwiek zostaną uratowani?

DZIEWIĘĆ

TELEWIZYJNA RZECZYWISTOŚĆ

DZIEŃ 41: ŚRODA 15 WRZEŚNIA

Mężczyźni otrzymywali teraz gorące posiłki; dostali też czyste ubrania i łóżka polowe – nie musieli już spać na podłodze. Mieli też miniaturowy projektor, który umożliwiał im oglądanie telewizji i filmów. W ich sytuacji nastąpiła poważna zmiana: z krawędzi fizycznego przetrwania przeszli w bardziej nieokreślony stan – monotonne oczekiwanie, bez daty końcowej. Codziennie docierało do nich około stu litrów wody. Do kopalni wpompowywano też około 115 metrów sześciennych schłodzonego świeżego powietrza na godzinę, ale temperatura wewnątrz ani drgnęła, utrzymując się na poziomie 32 stopni Celsjusza przy 95-procentowej wilgotności.

Dwadzieścia dni po pierwszych dostawach żywności pojawił się nowy problem.

– Wcześniej nie mieliśmy śmieci – wręcz przeciwnie, szukaliśmy ich – powiedział Samuel Ávalos.

Zaczęli napełniać śmieciami beczki, a następnie wykorzystali ciężki sprzęt, aby zepchnąć odpady na najniższy poziom

kopalni. Coraz większym problemem stawał się też brak zwykłej toalety. Niewielki powiew z niższego poziomu zaczął wypełniać ich „kwaterę" smrodem starego moczu. Było to tak dalece nie do zniesienia, że mężczyźni zaczęli oddawać mocz do pustych plastikowych butelek po wodzie, zakręcać je i wyrzucać do beczek na śmieci. To w dużym stopniu poprawiło jakość powietrza.

Podczas gdy ratownicy i psychologowie pracowali po godzinach, wymyślając im zajęcia, górnicy zaczynali się wyłamywać. Przestawali wykonywać swoje obowiązki. Dyscyplina załamywała się.

– Tak naprawdę to była wina telewizji. Kiedy pojawił się telewizor, cała komunikacja legła w gruzach; to był poważny problem – stwierdził Sepúlveda. – Niektórzy z chłopaków potrafili całymi dniami jak zahipnotyzowani gapić się w telewizor.

Górnicy zaczęli oglądać wieczorne wiadomości, odkrywając globalny zasięg swojego dramatu. Występ Sepúlvedy jako gospodarza w pierwszym filmie z kopalni przysporzył mu milionów fanów na powierzchni, ale na dole wzbudził raczej zawiść. Uciekając przed tym, Sepúlveda zaczął znikać ze schronu. Godzinami włóczył się po tunelach, zatrzymując się, aby się pomodlić.

– Kiedy traciliśmy kontrolę, gdy brakowało pokory, wychodziłem sam w ciemność – powiedział. – Znajdowałem sobie własne miejsce. Nie masz pojęcia, jak to jest być tam zupełnie samemu. Tam znajdowałem spokój.

Ciągle wybuchały kłótnie i spory o to, który program włączyć. Urzúa zadzwonił na górę, poskarżył się, że telewizja „niszczy organizację", poprosił też o ograniczenie transmisji do wiadomości, odrobiny piłki nożnej i filmu od czasu do czasu.

Wiele z rytuałów, które mężczyźni wypracowali podczas pierwszych, wyczerpujących siedemnastu dni, teraz zanika-

ło. Kiedy pojawiły się codzienne dostawy żywności i zadbano o podstawowe wygody górników, więzy solidarności, które utrzymywały ich przy życiu w najczarniejszych chwilach, zaczynały się rwać.

– Wcześniej mężczyźni podczas swojej zmiany robili obchód i sprawdzali, czy ze śpiącymi wszystko jest w porządku. Kładli rękę kolejno na klatce piersiowej każdego śpiącego, aby upewnić się, że oddycha. Chodziło o to, żeby sprawdzić, czy żyją, ze względu na ryzyko zaczadzenia – mówił Pedro Gallo, technik telekomunikacyjny, który codziennie rozmawiał z mężczyznami przez telefon. – Nazywali ich „Aniołami Stróżami"... Trzymali wartę i troszczyli się o śpiących mężczyzn, ale kiedy pojawił się telewizor, przestali robić te obchody. [...] Woleli oglądać telewizję.

Poczta docierała teraz do mężczyzn regularnie. Każdy z nich czekał z nadzieją na przesyłkę *palomą* z jego nazwiskiem i na list w środku. Jednak szybko okazało się, że nie wszystkie listy docierały na czas.

– Nie dało się prowadzić rozmowy; odpowiedzi zawsze przychodziły z opóźnieniem o jakieś cztery, pięć listów – powiedział Claudio Yáñez.

Członkowie rodzin zaczęli się zastanawiać, co się stało z listami, które ratownicy określali jako „zaginione".

– Jestem przekonany, że niektóre z tych listów były po prostu mięte i wyrzucane – powiedział doktor Romagnoli, który zdecydowanie nie popierał tej polityki.

Młodsi psychologowie zaczęli podobno pisać protesty do Ministerstwa Zdrowia, uważając taką cenzurę za nieetyczną.

Podczas rozmów telefonicznych z rodzinami górnicy oskarżali rząd o psucie ich relacji rodzinnych. Zaczęli fantazjować o wtrąceniu Iturry, psychologa, do więzienia.

– Pytali, czy na górze przy stacji *palomy* są jacyś policjanci, którzy mogliby zamknąć Iturrę. Mówili, że w nagrodę przyślą

policjantom na górę złoto z kopalni. Mówiłem im: „Pewnie, zrobi się" – opowiadał doktor Romagnoli, opisując desperackie próby górników pozbycia się Iturry. Górnicy wierzyli, że ten plan może zadziałać: – Przysłali na górę to złoto.

Frustracja związana ze spóźniającymi się i ginącymi listami sięgnęła zenitu, kiedy Alex Vega, jeden ze spokojniejszych i cichszych górników, wybuchł, rozmawiając z Iturrą na temat cenzury. Zaczął kląć i wyzywać Iturrę, grożąc mu, że sam wydostanie się z kopalni, aby w końcu porozmawiać z rodziną. Vega opisał swoim kolegom na dole, jak zamierza wspiąć się na górę, wykorzystując pęknięcia i wąskie komory w zboczu, które, jak mężczyźni byli przekonani, dochodziły aż do powierzchni. Była to jednak misja, która, jak wszyscy uważali, skończyłaby się śmiercią. Ostatecznie, z braku profesjonalnego sprzętu wspinaczkowego, żywności i oświetlenia, nawet Vega zrezygnował z realizacji tego planu.

Pomimo tych scysji Iturra z powierzchni kontynuował też swoją kontrowersyjną politykę nagród i kar.

– Nie powinni byli dostać telewizora, powinniśmy byli im go przekazać w zamian za coś – stwierdził brodaty psycholog z frustracją w głosie.

Kiedy mężczyźni zachowywali się dobrze, dostawali dodatkowe programy telewizyjne i nastrojową muzykę. Inne nagrody – w tym obrazy z życia na powierzchni – trzymano w rezerwie. Iturra zawsze był gotowy, z kijem lub marchewką, zależnie od tego, czy mężczyźni zasłużyli na nagrodę, czy stawali się zbyt zadziorni. Górnicy zaczęli się buntować przeciwko takiemu traktowaniu. W ramach demonstracji siły zaczęli odrzucać codzienne sesje psychologiczne.

Kiedy przysłano im imienne zestawy do gry w kości, także się zbuntowali, ponieważ trzy z nich miały literówki w nazwiskach. Odesłali kości i kubeczki na górę wraz z gniewnym listem.

– Są jak dzieci – stwierdził doktor Díaz, główny lekarz, i dodał, że po tym, jak zaspokojono podstawowe potrzeby męż-

czyzn, w tym głód, zaczęli zwiększać swoje żądania. – Kiedy już otrzymali jedzenie i wodę, zaczęli prosić o ubrania; a teraz przechodzą na trzeci poziom: żądają, aby jedzenie było smaczne. Któregoś dnia odesłali na górę deser – brzoskwinie – bo jednemu z nich nie odpowiadał ich smak.

W odpowiedzi zespół Iturry wymierzył im karę.

– Kiedy robią coś takiego, należy stwierdzić, OK, nie chcecie rozmawiać z psychologami? Świetnie. W takim razie nie będzie dzisiaj telewizji ani muzyki – bo to my tym zarządzamy. A jeśli będą chcieli otrzymać jakieś czasopisma? No to muszą porozmawiać z nami. To jest codzienne siłowanie się na rękę – stwierdził doktor Díaz. – Eksperci z NASA mówili nam, że to my musimy przyjmować na siebie strzały, tak aby nie zaczęli strzelać do siebie nawzajem. Więc wystawiamy się na strzały; pozwalamy im celować w lekarzy i psychologów.

Doktor Figueroa, psychiatra zatrudniony jako obserwator akcji ratunkowej, krytycznie nastawiony do tej, jego zdaniem, prowokacyjnej strategii, oskarżył zespół psychologów o traktowanie górników jak króliki doświadczalne.

– Wprowadzają jakieś nietypowe rozwiązania, a następnie obserwują ich skutki, jakby to był jakiś eksperyment – powiedział. – Wdrażanie postępowania psychologicznego bez zgody górników jest niebezpieczne. To jest mieszanie się w ich życie. [...] To naruszenie godności górników. [...] Fakt, że jakoś się trzymają, nie znaczy, że są niepokonani czy jakoś szczególnie odporni. [...] Ich psychika jest bardzo krucha.

Iturra nie zrażał się rosnącą falą krytyki.

– Raz usunęliśmy pierwszą stronę gazety. Górnicy oszaleli i zaczęli wrzeszczeć – powiedział, broniąc cenzury. W gazecie był artykuł na temat wypadku górniczego w regionie Copiapó, w którym w następstwie przypadkowej detonacji ładunków wybuchowych zginęło czterech górników. – Jeden z górników,

którzy zginęli, nosił takie samo nazwisko jak jeden z mężczyzn na dole; może był jego krewnym? Nie miałem czasu na sprawdzenie tego, a nie mogliśmy pozwolić, aby dowiedzieli się o tym z gazety.

„Dezinformacja i trzymanie w stanie niepewności to dwa najgorsze akty agresji na psychikę człowieka" – napisał Figueroa w miażdżącej krytyce zespołu psychologów w San José. „Dokładne, uczciwe, realistyczne i dostarczane na czas informacje są kluczowe. Korzyści płynące z ograniczania przepływu informacji z obawy o skutki przekazania złych wiadomości nie są poparte dowodami empirycznymi, a mogą prowadzić do załamania zaufania do ratowników". Jednak Figueroa przyznał też, że Iturra otrzymał zadanie niemal nie do wykonania. Wiadomo, że górnicy należą do grup najmniej otwartych na kontakty z psychologami. Zwykle ukrywają swoje słabości, wyjaśniał Figueroa, podkreślając trudność w prowadzeniu terapii zdrowia psychicznego grupy, której opór jest skierowany nie tylko wobec Iturry, ale wobec wszystkiego, co ten sobą reprezentuje.

Podczas wideokonferencji pomiędzy górnikami a ich rodzinami radość z kontaktu twarzą w twarz przesłaniało przeświadczenie, że psychologowie nie pozwalają nawet na zachowanie pozorów normalnej komunikacji. Członkowie rodziny zapewniali Víctora Zamorę, że napisali do niego piętnaście listów, a on otrzymał tylko jeden – już zaczął podejrzewać, że rodzina coś przed nim ukrywa.

– Víctor jest bardzo zły, że nie dostarczają mu naszych listów – powiedział bratanek Zamory. – Jest na granicy wybuchu. To wszystko jest obrzydliwe. Żadne listy nie docierają.

Również media zaczęły kwestionować cenzurę, co było nie do uniknięcia. Podczas wywiadu dla przedstawiciela chilijskich mediów Iturra bronił swojej polityki.

– Powiedział, że to, co rodziny sądzą na ten temat, nie ma znaczenia, że górnicy są „jego dziećmi" – stwierdził Pedro Gallo, parafrazując wypowiedź Iturry.

Tego samego wieczora dwunastu górników zebrało się, aby obejrzeć wiadomości. Jak zwykle, Pedro Gallo, wynalazca ich systemu telekomunikacyjnego, przesłał zasypanym mężczyznom obraz wideo. Sam też siedział przed monitorem, mając na oku ich podziemny świat. Był zaskoczony ich reakcją na komentarze Iturry.

– Widziałem ich twarze, kiedy pojawił się ten materiał i usłyszeli Iturrę. [...] Natychmiast rozdzwonił się telefon.

Wzburzony Sepúlveda zadzwonił na górę i zażądał rozmowy z Iturrą, ale ten wyjechał tego dnia do domu. Gallo wiedział, że szykuje się wielka burza.

– Mario w zasadzie nic nie powiedział, ale poznałem po jego głosie, jak bardzo jest wzburzony.

Gallo wyjaśnił, że Iturra złamał święty kodeks górniczy: naruszył etos rodziny.

Jedność górników była teraz nadwyrężona przez różne indywidualne priorytety, różne godziny spania i pracy. Nadal jednak codziennie wspólnie się modlili oraz odbywali spotkania w południe, choć teraz mniej mężczyzn brało w nich udział. To, co było koniecznością, gdy chodziło o przeżycie, zaginęło gdzieś wśród relatywnych wygód zapewnionych górnikom przez ekipę ratunkową. Jednak w kluczowych momentach, na przykład gdy chodziło o odrzucenie cenzury, górnicy znów mówili jednym głosem.

DZIEŃ 42: CZWARTEK 16 WRZEŚNIA

Rano Sepúlveda zadzwonił ponownie i poprosił do telefonu Iturrę. Pilnie. Iturra podszedł do aparatu. Gallo znów był przy tym i zdawał sobie sprawę, że do wybuchu brakuje bardzo niewiele. Sepúlveda oskarżył Iturrę o naruszanie praw górników. Iturra bez przekonania powiedział kilka słów na swoją obronę, po czym zamilkł. Sepúlveda zaatakował ponownie.

– Jeśli dalej będziesz srał w nasze gniazdo, usuniemy cię. To twoja ostatnia szansa – powiedział Sepúlveda. Dał Iturze jasno

do zrozumienia, że zamierza zgłosić ten incydent ministrowi górnictwa Golborne'owi.

Górnicy przypuścili kontratak, wykonując przez resztę dnia całą serię telefonów do przedstawicieli władz.

– Traktował nas jak dzieci – powiedział Alex Vega. – Oczywiście, musieliśmy zaprotestować przeciwko cenzurze.

Dopiero co odzyskawszy siły, mężczyźni zapowiedzieli, że od tej chwili nie będą przyjmować żywności ani zapasów.

– Powiedzieliśmy im, że jeżeli nie skończą z cenzurą, przestaniemy przyjmować przesyłki *palomą* i przestaniemy jeść – powiedział Barrios.

– Wszyscy byli przeciwko psychologowi; był do niczego. Jeżeli by go nie usunęli, mieliśmy przestać jeść. Po prostu zostawialibyśmy jedzenie w *palomie* – stwierdził Samuel Ávalos. – Jak porządni górnicy rozpoczęlibyśmy strajk.

Po tym, jak niemal umarli z głodu, mężczyźni grozili teraz strajkiem głodowym.

Górnicy skarżyli się rządowi, jednak rząd nie mógł zbyt wiele zrobić w tej sprawie. Iturra został zatrudniony przez prywatnego ubezpieczyciela zdrowotnego ACHS.

– Próbowaliśmy zwolnić Iturrę, wylać go – powiedział wysoki rangą urzędnik Piñery, który wolał pozostać anonimowy. – Ale zagrozili nam, że jeżeli nie będą mieli kontroli nad poradnictwem psychologicznym, nie pokryją kosztów akcji ratunkowej w części medycznej. Byliśmy w pułapce.

Iturra uznał konflikt za oczyszczający.

– Powiedziałem im, że będę ich ojcem; jeśli chcą się na mnie złościć, proszę bardzo, ale i tak pozostanę ich ojcem i ich nie opuszczę, jestem tutaj i mogą mi zaufać.

Spięcia z Iturrą stały się nie do zniesienia. Doktor Díaz namówił Iturrę, aby zrobił sobie krótki, tygodniowy urlop i odetchnął od intensywnego tempa życia na kopalni. Po ponad miesiącu spędzonym na miejscu Iturra, przemęczony naciskami ze strony górników, brakiem snu i odpowiedzialnością za utrzy-

manie w zdrowiu psychicznym trzydziestu trzech ludzi, zgodził się i pojechał do domu w Calderze, porcie rybackim oddalonym od kopalni o niecałą godzinę jazdy.

Jego codzienne obowiązki przejął Claudio Ibáñez, psycholog z Santiago, który asystował Iturze. To był trudny okres, górnicy byli zbuntowani i silni. Mieli przed sobą jeszcze tygodnie, a może i miesiące życia w niewoli, więc utrzymanie ich w zdrowiu i spokoju było kluczowe. Akcja ratunkowa ciągnęła się. Odwierty posuwały się naprzód, ale napotykały na trudności techniczne. Ibáñez, ugodowy człowiek posiadający rozległą wiedzę i doświadczenie z zakresu – jak to nazywał – „psychologii pozytywnej", wywrócił zasady do góry nogami. Cenzura była minimalna. *Palomy* nikt nie przeszukiwał, a listy nie były sprawdzane.

Teraz, gdy zniesiono ograniczenia, rodziny zaczęły wypełniać *palomę* prezentami. Dla Samuela Ávalosa ta zmiana była darem niebios. Jako mól książkowy był znudzony ulotkami świadków Jehowy i psychologicznymi poradnikami dostarczanymi przez Iturrę. Ávalos potrzebował dramatycznej akcji, czegoś mocnego, co pozwoliłoby mu się wyrwać z kopalni.

– Przeczytałem biografię psychopatycznego zabójcy nazywanego El Tila, grasującego w dzielnicy La Dehesa [bogata dzielnica Santiago]. Była niesamowita. Przeczytałem ją trzy razy – powiedział Ávalos.

– Sądzę, że to był błąd. Byłam za tym, aby utrzymać kontrolę – stwierdziła Katty Valdivia, żona Maria Sepúlvedy. – Jakaś kobieta przemyciła list do swojego kochanka – jednego z górników na dole. Napisała, że jest w ciąży. A następnie żona dowiedziała się o tym; sytuacja była bardzo napięta. Taka wiadomość nie powinna była dostać się na dół.

Kiedy zaczęły obowiązywać mniej surowe zasady, nie tylko listy docierały do górników. Valdivia opowiadała, że rodziny

„zaczęły wkładać do *palomy* papierosy, jakieś pigułki, a nawet narkotyki. Nie powinni byli mieć takiej swobody. Niektórzy górnicy denerwowali się, co psuło atmosferę". Podobno mężczyźni otrzymywali amfetaminę. Według Valdivii Ibáñez powinien był wiedzieć, co się dzieje. Tymczasem na dole zapanował chaos.

– Otwarcie tej furtki spowodowało na dole konflikty pomiędzy mężczyznami – mówiła Valdivia. – Od surowej kontroli nagle przeszli do zupełnego braku kontroli.

– Zanim się spostrzegliśmy, rodziny zaczęły uprawiać swoistą kontrabandę – powiedział doktor Romagnoli. – Górnikom nie wolno było jeść słodyczy ze względu na problemy stomatologiczne, ale rodziny szmuglowały dla nich chipsy, czekoladę i cukierki.

A przecież nawet niewielka infekcja, jak zapalenie zęba Zamory, czy nagły wzrost poziomu insuliny u cukrzyka Ojedy mogły szybko przerodzić się w kryzys. Lekarze na powierzchni byli zdeterminowani, aby uniknąć najbardziej drastycznego scenariusza: zabiegu chirurgicznego przeprowadzanego przez Yonniego Barriosa według instrukcji przekazywanych z góry. Jednak obawa, że Barrios będzie musiał wykonać jakąś operację, nie opuszczała ich nawet na chwilę. A dostawy niedozwolonych produktów tylko zwiększały to prawdopodobieństwo.

Ávalos zauważył, że niektórzy górnicy zachowywali się podejrzanie. Oddzielali się od reszty i w małych grupach chodzili w stronę toalety, jak przypuszczał, na jointa.

– Nigdy nawet nie zaproponowali mi sztacha – powiedział Ávalos. – Kiedy widziałem, że pięciu facetów zmierza razem w stronę toalety, wiedziałem, o co chodzi.

Ávalos desperacko potrzebował kopa, haju, który uwolniłby go od stresu po niemal miesiącu spędzonym pod ziemią.

– Poszliśmy w miejsce, gdzie pracowali na spycharkach, wiedzieliśmy, że palą tam marihuanę. Mogli wypalić jointa w kabinie, potem zapalić papierosa i nikt by nic nie wyczuł. Wszędzie szukaliśmy *colillas* [niedopałków].

Ale niczego nie znaleźli.

Biorąc pod uwagę, że jedność grupy i długoterminowe kwestie zdrowotne były kluczowe dla przeżycia mężczyzn, pokusy krótkoterminowych przyjemności – takich jak alkohol, kokaina czy marihuana – pozostawały w sprzeczności z potrzebami grupy. Te niewielkie ilości narkotyków krążące wśród mężczyzn wywoływały więcej napięć, niż rozładowywały stresów, powodowały zawiść, co groziło poważnymi zmianami w podstawowych zasadach współżycia. Urzędnicy chilijskiego rządu byli tak zaniepokojeni, że rozważali nawet postawienie na straży przy *palomie* psa wyszkolonego w wyszukiwaniu narkotyków. „Zrobimy z tego przejście graniczne", powiedział jeden z urzędników pół żartem, pół serio.

Jednak to, czego mężczyznom brakowało najbardziej, nie zmieściłoby się w tubach *palomy*: kobiety. Teraz, gdy ich stan zdrowia szybko się poprawiał, w rozmowach, zarówno górników, jak i ratowników, pojawił się seks. Powoli powracały odruchy seksualne, choć wciąż jeszcze były dalekie od normalnego poziomu.

– Jestem pewien, że dosypywali nam coś do jedzenia, coś, co sprawiało, że nie myśleliśmy o seksie – powiedział Alex Vega. W rzeczywistości jednak zespół medyczny pracował nad tym, jak zaspokoić oczekiwany wzrost popędu seksualnego.

– Pojawił się pewien facet, który oferował nam dmuchane lalki, ale miał ich tylko dziesięć. Powiedziałem mu: albo trzydzieści trzy, albo żadna. W przeciwnym razie kłóciliby się o te lalki: czyja to teraz kolej? Kogo widziano z czyją dziewczyną? Dobierasz się do mojej dmuchanej lali? – stwierdził doktor Romagnoli. – To miało być narzędzie służące do rozluźnienia. [...] Górnicy mieli takie miejsce, które mogliby wykorzystać na seks z lalkami, i prosili, abyśmy przysłali im cztery czy pięć lalek i prezerwatywy. Mogliby się wymieniać. Wszystko było już zaplanowane. Gdybyśmy mieli trzydzieści trzy lalki, nie byłoby problemu. Każdy mógłby ze swoją robić, co tylko by chciał... ale nie mogłem od nich wymagać, aby się dzielili lalkami.

Tak więc lalki nigdy nie dotarły do górników, za to dostali trochę pornografii i plakaty z „La Cuarty", chilijskiego tabloidu słynącego ze swoich dziewczynek znanych jako *Bomba 4*. Kiedy mężczyźni potrzebowali chwili prywatności, po prostu przesłaniali rządową kamerę plakatem.

DZIEŃ 44: SOBOTA 18 WRZEŚNIA

Chilijskie Święto Niepodległości było pewną odskocznią od codzienności dla ratowników, górników i ich rodzin. Tegoroczny 18 września oznaczał też długo wyczekiwane obchody dwusetlecia niepodległości Chile. Zawieszono więc chwilowo walki o cenzurowane listy i gumowe lalki, a górnicy zgodzili się wziąć udział w zaplanowanych przez rząd obchodach, wraz ze świątecznym posiłkiem i odśpiewaniem hymnu narodowego.

Historia „Los 33" zdominowała uroczystości. Na górze, na płaskim terenie wykorzystywanym zwykle na codzienne konferencje prasowe, komandor Navarro z chilijskiej floty podwodnej poprowadził ceremonię wciągnięcia flagi na maszt. Obok flagi państwowej na maszt wciągnięto drugą, z wizerunkami górników.

Siedemset metrów niżej trwała prosta ceremonia. Omar Reygadas pociągnął za sznur, wciągając w górę niewielką chilijską flagę. Wciągnął flagę najwyżej, jak to było możliwe w komorze, co oznaczało, że zawisła niecały metr nad jego głową. Następnie Sepúlveda rozpoczął swój niepowtarzalny występ, podczas którego odtańczył chilijski taniec narodowy *la cueca*. Z kaskiem w jednej dłoni i z białym ręcznikiem w drugiej Sepúlveda zaczął tańczyć. Kręcił się z entuzjazmem i szwungiem chilijskiego kowboja *huaso*. Tradycyjna *cueca* to taniec odzwierciedlający rytuał godowy, w którym macho w kapeluszu z szerokim rondem tupie groźnie, podczas gdy kobieta obraca się, a jej długie włosy i spódnica zalotnie falują. Ona uskakuje w bok, nie unikając jednak zalotów mężczyzny, a tylko kokie-

teryjnie umykając mu i prowokując go. *Cueca* Sepúlvedy była występem jednego aktora.

Górnicy wybudowali niewielką scenę, na ścianie zawiesili pomarańczową płachtę brezentową, a na niej wypisali swoje motto: *Estamos Bien En El Refugio los 33*. Na środku brezentu przypięto flagę chilijską, a na suficie powieszono liczne chorągiewki w kolorach chilijskiej flagi: niebieskie, białe i czerwone. Na krawędzi brezentu wypisano nazwy trzech zespołów: *El Refugio*, *La Rampa* i 105. Surowy schron, teraz jasno oświetlony, wyglądał jak teatralna scena. W butach na gumowych podeszwach, długich białych skarpetach z wystającymi owłosionymi nogami, Sepúlveda podskakiwał na ostrych skałach, a jego *compañeros* przyglądali się z widocznym znudzeniem. Przy ostatniej zwrotce upadł na kolana i rozłożył ramiona jak pobożny pielgrzym w żarliwej modlitwie, wysyłając całą swoją energię ku niebiosom, przez 700 metrów skały.

– Dziękujemy wam wszystkim, drodzy koledzy, którzy pracujecie dla nas tam na górze! Jesteśmy wam wdzięczni za to, czego już dokonaliście, i dziękujemy wam. – Głos Sepúlvedy się załamał, co pokazywało, jakie obciążenie wiązało się z przewodzeniem grupie.

Kamera prześlizgnęła się po twarzach mężczyzn – patrzyli beznamiętnie i bez zainteresowania, niewielu się uśmiechało. Zaczynali się czuć nie jak ofiary wypadku, lecz jak aktorzy.

DZIEŃ 46: PONIEDZIAŁEK 20 WRZEŚNIA

Podczas codziennej konferencji prasowej minister górnictwa Golborne wykazywał optymizm.

– Trzy prowadzone równolegle akcje ratunkowe posuwają się naprzód zgodnie z planem – powiedział. – Plan A, czyli pierwsza akcja, którą rozpoczęliśmy 29 sierpnia, dotarł na głębokość 325 metrów, czyli przebyła niemal połowę drogi do mężczyzn. Plan B i C – ciągnął Golborne – posuwają się naprzód w tempie 1 metra na godzinę.

Ponieważ cyrk medialny w obozie Nadzieja przerodził się tymczasem w zoo, ekspert ds. mediów Alejandro Pino opracował strategię mającą na celu pomoc górnikom w radzeniu sobie z ich nowym statusem celebrytów. Pino, spokojny sześćdziesięciosiedmiolatek z pięćdziesięcioletnim doświadczeniem jako dziennikarz i mówca, przeprowadził dla górników pięciogodzinne zajęcia ze strategii medialnej. Kurs w pigułce obejmował techniki przydatne podczas wywiadów, możliwości marketingowe, sposoby radzenia sobie z trudnymi pytaniami oraz ogólną instrukcję, jak przeżyć pośród paparazzich.

Pino miał wieloletnie doświadczenie w pracy jako dziennikarz i szef regionalnego oddziału ACHS; nie otrzymał żadnego wynagrodzenia za przeprowadzenie szkolenia, nikt mu też nie kazał go przeprowadzić; zrobił to z poczucia odpowiedzialności za tych mężczyzn. Bardzo chciał im pomóc przetrwać zbliżający się atak mikrofonów i kamer.

Wczesnopopołudniowe zajęcia z Pino były miłą odskocznią od technicznych rozmów o projektowaniu szybu ratunkowego czy też skompromitowanych sesji z psychologami. Górnicy zebrali się przy swojej prowizorycznej scenie na dnie kopalni. Pino siedział z mikrofonem w dłoni w kontenerze wyposażonym w sofę, trochę roślin i duży ekran telewizyjny, na którym widział górników na dole.

Zamiast ostrzegać górników przed ryzykiem związanym z nadmiernym nagłośnieniem w mediach (jakiego wielu się spodziewało), Pino przeszedł od razu do instrukcji.

– Jeśli nie będziecie patrzeć w kamerę albo dacie nudny wywiad, więcej was nie zaproszą – powiedział Pino mężczyznom. – To jest wasza szansa i musicie nauczyć się stosować mowę ciała, wypowiadać się z entuzjazmem.

Pino, mężczyzna o żywiołowej osobowości i donośnym basowym głosie, z żarliwością próbował zmienić nieśmiałych i zagubionych górników w gwiazdy medialne.

Górnicy ciągnęli na codzienne wykłady Pina. Choć wielu z nich pozostawało poza zasięgiem kamery, w miarę jak przekonywali się do niego, a ich relacja wzmacniała się, zaczęli zadawać pytania, wtrącać pomysły i komentarze. Niektórzy z górników, w tym Samuel Ávalos, byli niechętni i nieufni po doświadczeniach z Iturrą i nie chcieli zaakceptować Pina.

– Po tych wszystkich bredniach, których się nasłuchaliśmy od tego psychologa, nie chcieliśmy kontaktów z tego typu ludźmi – powiedział Ávalos. – Nie podobał nam się ten pomysł.

Z kolei inni górnicy mieli głęboką potrzebę rozmowy; Pino stał się de facto ich psychologiem. Jeden ze starszych górników w środku rozmowy o strategiach medialnych zboczył z tematu i zwierzył się Pino:

– Jeżeli czegoś się tutaj na dole dowiedziałem, to tego, że zmarnowałem ostatnie dwadzieścia lat mojego życia. [...] Kiedy stąd wyjdę, rozwiodę się.

Zaczęły też pojawiać się podziały. Luis Urzúa nie był zadowolony z tego, że niektórzy z górników, w tym Víctor Zamora, otrzymali kamery wideo i zaczęli filmować innych. A kiedy dotarł do nich egzemplarz czasopisma „Ya", z wywiadem, w którym Sepúlveda stwierdzał, że jest „przywódcą" stada, wybuchły dalsze sprzeczki.

– Były jakieś kłótnie i drobne potyczki. Cwaniakowali i przegadywali się, ale nie było bójek. [...] Nikt nie tracił głowy – powiedział doktor Romagnoli i stwierdził, że jego największymi awanturami były konfrontacje z inżynierami na górze. – Miałem problemy z facetami na powierzchni. Nie rozumieli, jak ważne są działania zespołu medycznego. Mogli sobie mieć swój Plan A, B i C czy jakikolwiek, ale co będzie, jeśli oni tam na dole umrą? Wtedy żaden z planów wiertniczych nie będzie potrzebny.

DZIEŃ 47: WTOREK 21 WRZEŚNIA

Profesor Nick Kanas badał zachowania astronautów przez lata. Znał aż za dobrze model zachowań mężczyzn przebywających

w zamkniętych powierzchniach i w stresujących warunkach przez dłuższy czas. Im bliżej końca misji – a w tym przypadku zakończenia akcji ratunkowej – zamknięci mężczyźni stają się coraz bardziej niespokojni i drażliwi. Nazwał to „syndromem trzeciej kwarty".

– Po sześciu tygodniach ludzie zwykle zaczynają wykazywać silny instynkt terytorialny. Na tym etapie nie ma zbyt dużo żartów czy kpin, choć starają się. Zaczynają też tworzyć podgrupy – powiedział Kanas, pracownik Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco i wieloletni konsultant NASA. – Po sześciu tygodniach atmosfera staje się wyjałowiona i przytłaczająca. Coś, co wcześniej mogło bawić – na przykład żarty kolegi – staje się irytujące i męczące.

Mężczyźni spędzili już pod ziemią czterdzieści siedem dni. Ich niewola była uwieczniana na filmach wideo: tu górnik przyjmujący dostawę *palomą* i wyjmujący z tuby żywność, tam górnicy wciągający flagę na maszt i odśpiewujący hymn państwowy. Reporterzy telewizyjni wielokrotnie próbowali przeszmuglować na dół *palomą* kamery, aby górnicy mogli zacząć kręcić podziemny dokument.

Kiedy detektywi pracujący dla chilijskiej Policji Śledczej (PDI) potrzebowali materiału dowodowego, aby udokumentować szczegółowo akt oskarżenia przeciw właścicielom kopalni, nauczyli górników podstaw fotografowania miejsca zdarzenia. Przez tydzień górnicy byli jak gwiazdy *Kryminalnych zagadek Las Vegas* – dokumentowali i filmowali wadliwy system bezpieczeństwa wewnątrz kopalni. Florencio Ávalos dochodził do najdalszych zakątków kopalni i filmował popękane ściany, zardzewiałe rurociągi i ogromne głazy leżące w miejscu, w którym kiedyś biegła główna droga do wnętrza kopalni. Górnicy nakręcili około czterdziestu godzin materiału dowodowego i przesłali go na górę.

DZIEŃ 48: ŚRODA 22 WRZEŚNIA – SPADA WIERTŁO

Dwudziestego drugiego września górnicy otrzymali zaskakującą przesyłkę z góry. Kiedy Plan B dotarł do głębokości 85 me-

trów, coś trzasnęło w wiertle i jedna z czterech głowic spadła na dół szybu i wylądowała na podłodze kopalni. Nikt nie został ranny, ponieważ metalowy fragment urządzenia zarył w błoto. Plan B. został zatrzymany.

Mario Sepúlveda zadzwonił do ratowników.

– Hej, zdaje się, że mamy tu coś, co należy do was – zażartował. – Zdaje się, że to wiertło. Ale co ono tutaj robi?

Juan Illanes, jeden z górników, wyjął wiertło z błota. Górnicy mieli doświadczenie w pracy z ciężkim sprzętem; codziennie mieli do czynienia z zepsutymi częściami, improwizowanymi na ostatnią chwilę rozwiązaniami i komplikacjami. Ale to było nie do zniesienia. Frustracja zaczynała narastać.

– Pracują po to, żeby was stąd wydobyć, a wy tak się zachowujecie? To było przygnębiające – stwierdził Samuel Ávalos. – To oznacza dwa do pięciu dni dłużej. Otrzymywaliśmy *palomą* jedzenie, ale żyliśmy w zamknięciu. Byliśmy uwięzieni! To nas zabijało.

DZIEŃ 49: CZWARTEK 23 WRZEŚNIA

Napięcie na dole wciąż rosło.

Ibáñez, psycholog, nawiązał z górnikami serdeczne relacje i wielu z nich podobało się jego luźne i pozytywne podejście. Jednak Ibáñez nie potrafił utrzymać kontroli. Kryzys władzy, ciągłe oglądanie telewizji i narkotyki szmuglowane na dół – wielu górników odbierało to wszystko jako poważny błąd. Mężczyźni przestali słuchać rad z góry i zaczęli wymyślać sobie własne zajęcia.

Edison Peña zaczął zapuszczać się w tunele. Przed katastrofą był zapalonym sportowcem, codziennie jeździł przez godzinę na rowerze, po czym biegał na długich dystansach. Zaczął biegać tunelami po 5 kilometrów dziennie. Jego sztywne buty sięgające powyżej kostki powodowały otarcia, więc wziął nożyce do cięcia drutu i skrócił buty. Ostre kamienie i nierówny teren

pogarszały stan jego już uszkodzonego kolana, ale Peña dalej biegał, jakby mógł w ten sposób uciec przed terrorem tuneli czy koszmarami we własnej głowie. Pablo Rojas, Mario Sepúlveda, Franklin Lobos i Carlos Mamani przyłączyli się do Peñi. Mężczyźni dyszeli i pocili się, a potem odpoczywali w najgłębszej części kopalni. W swoich białych ochronnych kombinezonach, kapturach i goglach wyglądali jak astronauci.

Palomą zaczęły docierać gry i książki. Mężczyźni organizowali w schronie maratony domina i gry w karty. Gra w karty w dużym stopniu stanowiła tylko okazję do żartów i kpin, monologów i dwuznaczności. Umiejętność przegadania przeciwnika – czy to przy grze w karty, czy podczas codziennego spotkania – była dla górników kluczowa przy wyznaczaniu pozycji. O ile kłótni było sporo, bójki zdarzały się niezmiernie rzadko – a według niektórych górników w ogóle do nich nie dochodziło.

– Raz musiałem walnąć Ariela [Ticonę] w głowę moją lampką – przyznał Sepúlveda, ale podkreślił, że ten incydent był jednym z nielicznych przypadków przemocy fizycznej pomiędzy mężczyznami. Ticona rzekomo obraził matkę Sepúlvedy, wyjaśniał jeden z górników, którzy byli świadkami tej bójki.

– Gdybyśmy pozwolili sobie na przemoc, mogłoby nas stąd wyjść o kilku mniej.

Kolejna burza wybuchła, kiedy Ibáñez spróbował sprowadzić reportera chilijskiej telewizji do pokoju telekonferencyjnego, aby mógł przeprowadzić wywiad z górnikami. Reportera wprowadzono do małego kontenera wysoko na wzgórzu, w strefie dostępnej tylko za okazaniem przepustki ekipy ratunkowej. Ibáñez zapytał górników, czy dziennikarz może przeprowadzić z nimi kilka wywiadów. Urzúa, Sepúlveda i pozostali wściekli się. Telefon na górze natychmiast się rozdzwonił. Górnicy byli oburzeni. Gallo słyszał rozmowę, która się wtedy odbyła.

Urzúa zgromił Ibáñeza, mówiąc:

– Słuchaj, przestań się z nami bawić, OK? Po co nam tu sprowadzasz dziennikarza? Nie chcemy tu żadnych dziennika-

rzy! Nie chcemy, aby nas oglądano. My tu cierpimy; żadnych wywiadów; i złożymy raport w tej sprawie. Zgłosimy to.

Górnicy zadzwonili do Renego Aguilara, człowieka numer 2 w ekipie ratunkowej i prawej ręki Sougarreta. Aguilar był psychologiem z wykształcenia i przedstawicielem kierownictwa Codelco; od tygodni znajdował się w pierwszym szeregu. Teraz był wściekły.

– Przyszedł porozmawiać z Ibáñezem, był cały czerwony na twarzy. Wkurzył się – powiedział Gallo, który był świadkiem tej sceny.

Górnicy szybko się zjednoczyli, kiedy władzę ponownie przejął Iturra.

– To był Iturra wersja 2.0, wersja odchudzona – stwierdził Gallo, do którego obowiązków należało też monitorowanie przekazywanego z dołu obrazu wideo. – Przyjechał z zupełnie innym nastawieniem i zaoferował mężczyznom czas przeznaczony na jego dwugodzinne sesje psychologiczne. Powiedział, że górnicy mogą wykorzystać ten czas na rozmowy z rodzinami.

Teraz, gdy mężczyźni wygrali batalię o cenzurę, nagle pojawiły się też brakujące wcześniej listy.

– To było jak deszcz listów. Wysłali je na dół wszystkie razem – jakieś trzysta listów, wszystkie naraz – powiedział Gallo.

DZIESIĘĆ

META CORAZ BLIŻEJ

DZIEŃ 50: PIĄTEK 24 WRZEŚNIA

Dwudziesty czwarty września był pięćdziesiątym dniem spędzonym przez górników pod ziemią. W annałach wielowiekowej historii górnictwa nigdy wcześniej nie odnotowano, aby po tak długim czasie jakiś człowiek wydostał się z kopalni na powierzchnię. W obozie Nadzieja nie świętowano tego swoistego ponurego rekordu. Jednak coś się zmieniło – rozpacz znikała, a zamiast niej pojawił się promyk światła. Rodziny uwięzionych wreszcie były w stanie uwierzyć, że naprawdę zobaczą swoich bliskich. Trzy niezależne maszyny warte miliony dolarów drążyły skałę, spiesząc na ratunek drogich im osób. Co kilka godzin dostarczano jedzenie. Listy dochodziły z opóźnieniem i czasami były cenzurowane, ale docierały. Pralnia działała bez zarzutu, choć nadal wszystko trzeba było zwijać w jak najmniejszy rulonik, żeby zmieściło się w wąskiej *palomie*. Żony często same prały i prasowały ubrania mężów. Czasami spryskiwały koszule ich ulubionymi perfumami, z myślą o tej chwili, gdy znów będą razem.

Marzenia o spotkaniu z ukochanymi jeszcze bardziej rozbudziła przywieziona 25 września kapsuła ratunkowa Feniks.

Skonstruowali ją specjalnie na potrzeby operacji ratunkowej w kopalni San José specjaliści chilijskiej marynarki wojennej – wykorzystali przy tym rozwiązania techniczne wymyślone przez NASA oraz doświadczenia z udanej akcji ratunkowej w pensylwańskiej kopalni Quecreek. Kapsuła Feniks w kształcie pocisku błyszczała kolorami chilijskiej flagi. Ważąca ponad czterysta kilogramów, z komorą o wysokości dwóch metrów, kabina stała się jednym z bohaterów rozgrywających się wydarzeń. Ministrowie i ratownicy kolejno wchodzili do wąskiej tuby i pozowali do zdjęć. Członkowie rodzin górników podchodzili i nabożnie dotykali urządzenia, jakby to był jakiś totem.

Gdy prace ratownicze szły pełną parą, doktor Romagnoli, który pozyskał zaufanie uwięzionych, rozwiązując sprawę z Iturrą i Ibáñezem, zaczął przygotowywać górników do akcji wyciągania ich spod ziemi. Romagnoli wiedział, że jeśli kapsuła się zepsuje albo utknie gdzieś po drodze, ratownicy mogą być zmuszeni wyciągać ludzi prostszym, ale i bardziej niebezpiecznym sposobem – w uprzęży na bardzo długiej linie. Niezależnie od wszystkiego górnicy powinni być w jak najlepszej formie – może będą musieli się wspinać po drabinach albo spuszczać na linie, gdyby kapsuła się zaklinowała, albo też zwyczajnie przez godzinę stać w bardzo ciasnym pomieszczeniu.

Romagnoli, doradca chilijskiej armii i zawodowych sportowców, w ramach przygotowań do bardziej wyczerpujących zajęć, rozpoczął z mężczyznami program prostych ćwiczeń fizycznych. Zalecił grupowy jogging na dwukilometrowym odcinku jednego z chodników. Wzorując się na treningach armii amerykańskiej, w czasie biegu kazał im śpiewać. Wyjaśnił, że dzięki śpiewowi można kontrolować pracę serca: jeśli tętno wzrośnie powyżej stu czterdziestu uderzeń na minutę, nie będą w stanie biec i śpiewać jednocześnie.

Lekarz stwierdził, że górnicy z entuzjazmem podeszli do nowych zadań.

– Na naszą korzyść działa fakt, że mamy do czynienia z ludźmi silnymi, przyzwyczajonymi do fizycznej pracy rękami i ogólnie górną częścią ciała. Nie są to urzędnicy prowadzący siedzący tryb życia. Efekty powinny być widoczne dość szybko.

Dzięki zaawansowanym pulsometrom Romagnoli zebrał ogromną ilość danych o stanie zdrowia uwięzionych pod ziemią mężczyzn. Górnicy dostarczyli ekspertom z NASA bezcenne informacje na temat kondycji ludzi w sytuacji ekstremalnej.

– Można powiedzieć, że Chilijczycy piszą książkę o tym, jak ratować tak wielu ludzi, którzy na tak długi czas utknęli tak głęboko pod ziemią – powiedział Michael Duncan, jeden ze specjalistów NASA, który odwiedził Chile.

Romagnoli zjednał sobie górników nie tylko załatwieniem sprawy z psychologami, ale już wcześniej, gdy poparł ich prośby o papierosy. Sam był palaczem i otwarcie kwestionował sens zmuszania ludzi do rzucania tego zgubnego nawyku w najtrudniejszym momencie ich życia. Myślał niekonwencjonalnie, wierzył w zdrowy rozsądek, nawet jeśli przeczyło to książkowym mądrościom.

Jego biurko znajdowało się wysoko na górze, niedaleko *palomy*, a codzienne obowiązki, takie jak wysyłanie leków, zapisywanie parametrów życiowych pacjentów i pogawędki z nimi, zajmowały mu ledwie ułamek czasu jego dwunastogodzinnej zmiany. Teraz, gdy było im już w miarę wygodnie, mężczyźni skończyli się skarżyć na męczące dolegliwości zdrowotne i zaczęli zadręczać go prośbami o rzeczy, które choć w minimalny sposób mogły poprawić jakość ich życia. W jednym z listów górnik narzekał na brak słodziku. Inny wysłał do Romagnolego swój odtwarzacz MP3 i poskarżył się, że ma za dużo reggae, a za mało cumbii. Romagnoli zaczął więc wgrywać muzykę, kasując jedne utwory i zastępując je innymi z przekazanej listy.

– Oni nie są już chorzy – mówił ze śmiechem. – Mają mnie teraz za obsługę hotelową i jakiegoś cholernego osobistego didżeja w jednym.

DZIEŃ 52: NIEDZIELA 26 WRZEŚNIA

Górnicy regularnie wysyłali spod ziemi nagrane filmy wideo. Stopniowo bohaterowie pierwszego planu, Sepúlveda i Urzúa, zaczęli zyskiwać światową sławę – pierwszy jako charyzmatyczny przywódca, a drugi jako solidny brygadzista. Wielu innych górników pozostało anonimowych. Nie tylko trudno ich było zauważyć na nagraniach, równie rzadko przychodziła im chęć do pracy. Mężczyźni podzielili się na tych, którzy z ochotą wspomagali akcję ratunkową, i tych, którzy leniwie czekali, aż inni ich uratują. Mimo ogromnych starań, jakie podjęto, by dać im jakieś zajęcie, tak naprawdę górnicy niewiele robili. Znaleźli się w takiej sytuacji, przed jaką ostrzegała NASA – dużo wolnego czasu w stresujących i trudnych warunkach oznaczało, że z pewnością pojawią się problemy.

Pomiędzy dwoma grupami co chwila wybuchały sprzeczki. Sześciu górników leżało na łóżkach i gapiło się w skalny sufit albo słuchało muzyki, ewentualnie leniuchowało w sali telewizyjnej.

– Nic im się nie chciało i dosłownie nic nie robili – powiedział Franklin Lobos, opisując podejście niektórych kolegów.

Początkowo pewną atrakcję stanowiła obecność kamer telewizji, teraz nuda i względne poczucie bezpieczeństwa zagrażały harmonii grupy. Samuel Ávalos, do którego obowiązków należał codzienny pomiar temperatury, wilgotności i ewentualnie poziomów śmiercionośnych gazów, które mogły występować w kopalni, mówił, że jego praca to codzienne ćwiczenia z monotonii.

– Temperatura nigdy się nie zmieniała, zawsze wynosiła około trzydziestu dwóch stopni, a wilgotność utrzymywała się na poziomie dziewięćdziesięciu pięciu procent – wspominał, opisując, jak upał doprowadzał ludzi do szału. Víctora Segovię, niestrudzonego pisarza, zaczęły nawiedzać koszmary, że ktoś zamknął go w piecu.

DZIEŃ 54: WTOREK 28 WRZEŚNIA

Po tygodniach wypełnionych rozwiązywaniem technicznych problemów drążenie wszystkich trzech szybów w końcu przebiegało bez zakłóceń. Plan C został wprowadzony w życie i pięćdziesięciometrowa naftowa wieża wiertnicza górowała teraz nad „konkurencją". Użyto ogromnych świdrów wyglądających jak pazury dinozaura z zębatką. Inżynierowie szacowali, że dzięki wieży wiertniczej szyb pozwalający wydostać górników powstanie w ciągu dwudziestu dni. Obstawiali, którego dokładnie dnia świder zobaczą uwięzieni górnicy. Dopiero tydzień później uświadomili sobie, że skała w kopalni San José jest tak gęsta – dwa razy twardsza od granitu – że potężna wieża wiertnicza będzie drążyć szyb dużo wolniej, niż się wszyscy spodziewali.

Sougarret musiał teraz podjąć trudną decyzję. Czy drążony szyb potrzebuje stalowego wzmocnienia? Zaletą takiego rozwiązania było zapewnienie równej powierzchni dla wysuwanych, regulowanych kół kapsuły. Nikt nawet nie chciał myśleć, że Feniks mógłby utknąć w szybie i konieczna byłaby akcja ratunkowa ratowników, albo co gorsza, niemal już wydobytego na powierzchnię górnika. Dokładnie więc przemyślano wszystkie szczegóły, aby ostateczna ewakuacja górników mogła się odbyć bez zakłóceń. Sougarret jednak zdawał sobie sprawę, że montaż wzmocnienia wydłuży całą operację o kolejne siedem dni. Ciężar wzmocnień oceniono na czterysta ton, musieli więc sprowadzić z Santiago specjalny dźwig. Z regularnie przeprowadzonych inspekcji drążonych szybów wynikało, że powierzchnia ścian jest niemal równa – na wielu odcinkach zupełnie gładka, prawie jak marmur. Jednak pierwsze sto metrów nie było tak wyrównane i ze ścian mogły spadać odłamki skalne. Sougarret odłożył decyzję na później, a na razie skupił się na tym, by jak najszybciej dotrzeć do górników. Uznał, że najważniejsze jest, aby utrzymać ich w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej.

DZIEŃ 55: ŚRODA 29 WRZEŚNIA

W obozie Nadzieja czas wlókł się niemiłosiernie, dziennikarze zaczynali już wariować z bezczynności. Bezpośredni dostęp do miejsca akcji i ratowników mieli wyłącznie operatorzy rządowych kamer i kilkoro szczęśliwców, którym udało się uzyskać pozwolenia – wśród nich dziennikarze Discovery Channel, chilijska ekipa kręcąca dokument na temat operacji oraz autor niniejszej książki.

By zaspokoić media żądne zdjęć i relacji, ekipa prasowa prezydenta Piñery zorganizowała przy głównym wejściu do kopalni stanowisko dowodzenia. Członkowie utworzonej na miejscu jednostki zwanej „Sekretariatem do spraw Komunikacji" przeglądali nagrany materiał, oceniając, czy można go rozpowszechnić. Prasie pozwolono wykorzystać tylko krótkie migawki – setki godzin nagrań nigdy nie zostały upublicznione, gdyż rządowi prawnicy zaczęli podważać legalność nadawania dłuższych fragmentów. Jeśli kopalnia była teraz praktycznie ich domem, jakie prawa mieli górnicy do filmów nakręconych przez rządowe kamery? Czy akcja ratunkowa była publiczna, czy też życie w podziemnych korytarzach to sprawa prywatna? Czy nadanie tych nagrań mogło doprowadzić do wytoczenia rządowi procesów z powodu naruszenia prywatności ludzi na dole?

Gdy ludzie Piñery męczyli się z prawem do prywatności, do obozu Nadzieja napływali wciąż nowi przedstawiciele światowych mediów – nigdy wcześniej w Chile, i niezmiernie rzadko w innych częściach świata, nie pojawiło się ich tak wielu. Liczba akredytowanych dziennikarzy przekroczyła dwa tysiące. Kilka hektarów skalistego wzgórza w pobliżu kopalni zaroiło się od kamperów, namiotów, anten satelitarnych i naprędce skleconych stanowisk reporterskich. Fotografowie łańcuchami przykuwali swoje trójnożne statywy w wybranych miejscach, by zrobić dobre zdjęcia urządzeń wiertniczych. Ekipy telewizyjne prowadziły ostre spory o to, kto pierwszy „znalazł" wysoki głaz, idealny do transmisji satelitarnych. Każdego dnia w San José pojawiali się

nowi ludzie, dźwigający statywy, próbujący połączyć się z kimś przez telefon i gapiący się na teren akcji ratowniczej.

Poza tym zatłoczonym miejscem przy kopalni wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, roztaczała się najprawdziwsza pustynia. Ani jednego drzewa na horyzoncie, wszędzie tylko złote pagórki piasku, na których tu i ówdzie pozostał ślad opon motocykli biorących udział w legendarnym Rajdzie Dakar. W 2009 roku ze względu na niestabilność polityczną kontynentu afrykańskiego, obawy o bezpieczeństwo uczestników, a także z powodu wypadku, w którym pędzące samochody i motocykle zgniotły przechodnia, rajd przeniesiono do Ameryki Południowej. Setki dziennikarzy relacjonowało wtedy to wydarzenie, a pobliskie wzgórza stały się na chwilę ich domem. Teraz wrócili, by obserwować inną rywalizację: wyścig z czasem.

Pomiędzy reporterami doszło do kłótni i przepychanek. Przy tej ilości kamer i mikrofonów wykonanie dobrego zdjęcia graniczyło z cudem. Pył niszczył drogie soczewki. A co gorsza, najlepsze ujęcia pstrykano tysiąc razy. Jedna z lokalnych gazet nazwała to widowisko „Medialnym Woodstock". Wybuchła nawet wojna budowlana, gdy TVN, chilijska stacja telewizji publicznej, skonstruował podest, z którego nadawał program, dokładnie przed podobną platformą CNN Chile, zmuszając tę drugą do dobudowania wyższego poziomu. Ramon Vergara, miejscowy stolarz, zarabiał na tym krocie. W trzy dni postawił trzy konstrukcje.

– Biorę sto dwadzieścia pesos za sztukę [250 dolarów] – powiedział „The Clinic". – Próbuję stawiać jedną na dzień.

Stan górników był zadowalający, ale załoga karetki pogotowia ACHS, która stała na wzgórzu w ramach akcji ratunkowej, miała sporo roboty. Często zjeżdżała na sygnale ze wzgórza, spiesząc na ratunek rannym dziennikarzom. Zanotowano dziesięć wypadków z udziałem reporterów.

Z trupą clownów i przechadzającymi się w tłumie franciszkanami w habitach, całość zaczynała powoli przypominać cyrk.

– Brakuje tylko lwów – zauważyła Vinka Ticona, krewna uwięzionego pod ziemią Ariela Ticony. Dzieci przebrane za superbohaterów stały się widokiem tak powszechnym, że nikogo nie dziwiło już stadko maluchów w strojach Spidermana wspinających się po skałach jak małpki.

Przy nocnych ogniskach wzmacniały się więzi łączące dziennikarzy, policjantów, polityków i członków rodzin. Widziano, jak Isabel Allende, córka Salvadora Allende, udziela wywiadu CNN, a zaraz potem dzieli się kanapką i gawędzi z inną Isabel Allende, chilijską powieściopisarką i daleką kuzynką byłego prezydenta. Do straganu z rybnymi tacos wiła się nieskończenie długa kolejka. Dzięki rozdawanym za darmo grillowanym owocom morza, domowym zupom i ciężarówce herbatników nikt nie był głodny. Oficjalnie teren kopalni ogłoszono strefą bezalkoholową, ale sterty pustych butelek po piwie, winie i *pisco*, widoczne każdego ranka, stanowiły niezbity dowód, że w strefie nie było alkoholu wyłącznie dlatego, że wszystkie jego zapasy niezwłocznie konsumowano.

Na całym świecie miliony telewidzów z zapartym tchem śledziło rozwój wydarzeń: czy górnikom uda się wydostać? Kto będzie pierwszy? Sprawa stała się jakby połączeniem reality TV i relacji na żywo z katastrofy, kształtowaną i przekazywaną do mediów przez sprytną i niewidoczną ekipę Piñery. Zamiast oczekiwanych przez widzów chaosu, aktów przemocy i rozpadu grupy jak we *Władcy much*, zaprezentowano jedność górników. Dominowały radość, nadzieja i solidarność. Dramat bez przemocy, którego głównymi bohaterami było trzydziestu trzech ludzi niemal skazanych na niepowodzenie, przeczył tradycyjnej telewizyjnej zasadzie, według której „im więcej krwi, tym większa oglądalność".

W obozie Nadzieja pojawili się pierwsi łowcy talentów i producenci filmowi – rozpoczęli walkę o dożywotnie prawa do historii górników, a w szczególności do stupięćdziesięciostronicowego dziennika Víctora Segovii, który zapisywał wszystkie wydarzenia na dole, nie pomijając najczarniejszych chwil z tych pierwszych siedemnastu dni bez jedzenia. Rodzina Segovii rozpoczęła negocjacje z wydawcami. Cena wyjściowa za unikalny pamiętnik wynosiła dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Dziennikarze tabloidów biegali już za pierwszymi wywiadami na wyłączność, obiecując bohaterom wycieczki do Los Angeles czy Madrytu.

Mimo że górnicy wciąż pozostawali pod ziemią, zaczęto już produkcję filmu o nich. W usytuowanej nieopodal opuszczonej kopalni chilijscy i meksykańscy aktorzy odgrywali dramat zasypanych górników, dodając sporo od siebie, ponieważ nadal nie znano wielu szczegółów z życia przebywających pod ziemią ludzi. Chilijski reżyser Leonardo Barrera ogłosił, że na podstawie tych wydarzeń zamierza nakręcić film porno. Mówił, że nie będzie to „masowa orgia", ale pełna współczucia fikcyjna historia górników uprawiających seks z *minas*, co w chilijskim slangu oznacza seksbomby. Górnicy mieli zostać wyciągnięci z ciemnej wilgotnej kopalni i stanąć w światłach reflektorów Hollywood. Praktycznie nie będą mieli czasu, by ochłonąć.

DZIEŃ 57: PIĄTEK 1 PAŹDZIERNIKA

Trzydziestego września adwokat górników Edgardo Reinoso złożył w sądzie pozew przeciwko rządowi, oskarżając go o zaniedbanie, jakim było ponowne rozpoczęcie wydobycia w kopalni San José, i domagając się 27 milionów dolarów odszkodowania. Reinoso reprezentował niemal wszystkie rodziny, brakowało jedynie trzech. Miesiąc wcześniej udało mu się wstrzymać wypłatę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, które miały trafić do spółki wydobywczej San Esteban. Zatrudnio-

ny przez burmistrza Caldery, nadmorskiego miasta w pobliżu kopalni, Reinoso miał nadzieję, że pieniądze uda się przekazać górnikom jako część wielomilionowego odszkodowania, które się im należało.

Pulchny i lubiący rozgłos prawnik zdobył sławę, wygrywając w 2007 roku proces przeciwko samorządowi w nadmorskim Valparaiso po tym, jak zarwała się tam kładka dla pieszych i w sylwestra zginęło dwoje ludzi. Zdeklarowany oponent Piñery i chilijskiej prawicy był teraz zdeterminowany uzyskać od rządu pieniądze.

– My, rodziny, chcemy, żeby zapłacili za wszystkie szkody, domagamy się sprawiedliwości – powiedziała Katty Valdivia, żona Maria Sepúlvedy.

Współpracownicy Piñery uznali ten atak na rząd za cios poniżej pasa. Podnosili, że o tym, iż kopalnia San José jest niebezpieczna, wiedziano od dziesięciu lat, a El Concertación, postępowa koalicja centrolewicowa, która rządziła w Chile od 1990 do 2010, nie zrobiła prawie nic, by chronić górników, a właściwie cały czas zgadzała się na to, by nie wstrzymywać wydobycia.

Sondaże opinii publicznej wykazały, że notowania nowego prezydenta – niezbyt rzetelny barometr rzeczywistych sukcesów na współczesnej scenie politycznej – skoczyły z 46% przed katastrofą do 56% w czasie akcji ratowniczej. W sierpniu prezydent Piñera postawił wszystko na jedną kartę – jego wiarygodność zależała od powodzenia akcji ratowniczej. Teraz, z powodu pozwu Reinosa, mógł ją od razu stracić.

Również w kopalni spotkała go krytyka, niektórzy ratownicy oburzali się na jego postępowanie. Oskarżali go o wykorzystywanie akcji do własnych celów. Doktor Díaz, główny lekarz ACHS, krytykował Piñerę i Golborne'a za zmiany wprowadzone w procedurach medycznych i technicznych po to tylko, żeby oficjele mogli stanąć w świetle fleszów.

– Ci ludzie chcą grać przed kamerami wielkich zbawicieli – mówił sfrustrowany faktem, że postęp akcji poświęca się

dla wyreżyserowanych reklamowych scenek, które, jak twierdził, miały służyć wyłącznie poprawie wizerunku prezydenta. – W którymś momencie zdołam ugryźć się w język na czas.

Na stronie CNN w artykule zatytułowanym „Członkowie rodzin oskarżają chilijskiego prezydenta o wykorzystywanie tragedii" Nelly Bugueño, matka uwięzionego górnika Víctora Zamory, zdemaskowała Piñerę:

– To wszystko tylko polityka. Brudna polityka. Jedno wielkie oszustwo i propaganda – mówiła. – Igrają z naszymi emocjami.

Członkowie innych rodzin przyznawali jednak, że choć nie pałają miłością do Piñery ani jego polityki, to rząd robi wszystko, co możliwe, żeby uratować górników.

– Osobiście nie znoszę tego faceta i mam zupełnie inne poglądy, ale podjął świetne decyzje – stwierdził Cristian Herrera, bratanek uwięzionego górnika Daniela Herrery. – Jeśli spytacie mnie, czy mu podziękuję, odpowiem: tak. Gdybyśmy nadal mieli poprzedni rząd, górnicy już byliby martwi.

Pierwszego października minister Golborne zakończył miesiąc spekulacji i plotek, potwierdzając to, co stało się już tajemnicą poliszynela – akcja posuwała się znacznie szybciej, niż oficjalnie przyznawano.

– Dobra wiadomość jest taka, że po analizie przeprowadzonej z udziałem ekipy technicznej możemy stwierdzić, że akcja powinna się zakończyć w drugiej połowie października – poinformował opinię publiczną i swierdził, że urządzenia wiertnicze przebiły się już przez luźniejszą wierzchnią warstwę skały i teraz drążą w twardszej części górotworu. – To pozwala nam nieco optymistyczniej oceniać sytuację – powiedział, a potem dodał, że tę samą wiadomość przekazał już górnikom.

Teraz, gdy akcja nabrała tempa, pojawiły się dociekliwsze pytania i w Chile rozpoczęły się gorące dyskusje. Jak w ogóle doszło do uwięzienia górników? Dlaczego tak niebezpieczna kopalnia wciąż działa? W końcu sierpnia kongres chilijski roz-

począł śledztwo w tej sprawie – odkrył przerażającą, długą historię wypadków śmiertelnych, do jakich doszło w kopalniach spółki San Esteban. Do tego przedsiębiorstwa należy zarówno San José, jak i kopalnia z nią sąsiadująca, San Antonio.

Ze statystyk dostarczonych do kongresu przez ACHS wynikało, że średnia wypadków w San José była o 307% wyższa od przeciętnej w tym sektorze przemysłu.

– Firmy przeznaczają średnio na ubezpieczenie pracownika równowartość 1,65% jego wynagrodzenia, w San José było to 5,37% – zeznał Martin Fruns z ACHS, zaznaczając, że właściciele kopalni nie opłacili składek za ostatnie pięć miesięcy.

María Ester Feres, zeznająca przed komisją była minister pracy, powiedziała, że już dziesięć lat wcześniej, w 2001 roku, próbowała zamknąć kopalnię San José, ale bez powodzenia – jak to ujęła – „z powodu nacisków sektora wydobywczego", jak również ze względu na obawy, że wiele osób utraci miejsca pracy.

– Wykonano jakieś pomniejsze naprawy, ale w ministerstwie pracy nadal uważano, że ta kopalnia to tykająca bomba [...] i nie miała żadnych wyjść ewakuacyjnych.

W śledztwie wyszedł też na jaw fakt, że w kopalni San José przygniecenia górników przez odłamki skał były bardzo częste. Niektóre z tych wypadków kończyły się hospitalizacją poszkodowanego. Inne pogrzebem.

Właściciel kopalni, Alejandro Bohn, zeznał, że środki bezpieczeństwa to „święta rzecz w naszej kopalni". Zapytany o wypadek, w którym Gino Cortés stracił nogę, Bohn zrzucił winę na górników, bo rzekomo nie założyli siatki bezpieczeństwa, która miała zatrzymać spadające ze stropu skały. Po czym dodał:

– Tak się składa, że była to ta sama zmiana, która teraz jest uwięziona.

Wielu obserwatorów przeżyło autentyczny szok, słuchając bezdusznych uwag Bohna. Brzmiało to tak, jakby oskarżał ofia-

rę porażenia piorunem, że nie zawsze miała na nogach buty na gumowych podeszwach.

– Nigdzie nie było żadnych siatek, no może jakieś dwadzieścia procent stropu zostało nimi pokryte, na pewno nie więcej – wyjaśniał Samuel Ávalos, oburzony interpretacją Bohna. – Którędy niby mieliśmy chodzić? Którędy?

Świeżo mianowana przez Piñerę minister pracy, Camila Merino, przyznała, że rząd Piñery wiedział o zagrożeniach, jakie występują w kopalni.

– Wiele wskazywało na problemy z bezpieczeństwem i powinniśmy byli zadziałać z wyprzedzeniem. Dlatego tak ważne jest, by w tej chwili zastosować wszystkie proponowane przez nas środki. Pozwoli to również w przyszłości uniknąć podobnych wypadków – powiedziała Merino.

Jej wystąpienie wywołało w Chile istną burzę. Opozycja natychmiast zażądała więcej szczegółów. Czy rząd ukrywał poważne problemy San José? A jeśli tak, czy zatuszuje również ten skandal? Merino wycofała się, utrzymując, że nie posiada takich informacji.

Javier Castillo, przewodniczący związków zawodowych w Copiapó, który od ponad dziesięciu lat walczył z właścicielami kopalni i krajowym urzędem nadzoru górniczego Sernageomin, był zachwycony tym nagłym zainteresowaniem warunkami bezpieczeństwa pracy. W setkach dokumentów przekazanych sądom, politykom i właścicielom kopalni Castillo ostrzegał, że zarówno San José, jak i San Antonio są śmiertelnie niebezpieczne i w każdej chwili grożą zawaleniem.

Podczas gdy świat się zastanawiał, dlaczego doszło do zawału w kopalni San José, Castillo był zdeterminowany, aby wykazać, że zawiódł rządowy nadzór. Film nakręcony przez związki zawodowe w 2002 roku pokazywał niebezpieczne praktyki stosowane w obydwu kopalniach i dobitnie uzmysławiał prawdopodobieństwo zawału. W dokumentach dostarczonych komisji śledczej Castillo wykazał, że właściciele kopalni zosta-

li ostrzeżeni o zagrożeniu. W 2003 roku w sąsiadującej z San José kopalni San Antonio doszło do zawału. Później, w 2007 roku, San Antonio się zawaliła i została zamknięta. Ofiar nie było tylko dlatego, że doszło do tego o pierwszej w nocy, kiedy nikt w niej nie pracował.

Podanie przez Castilla szczegółowych informacji na temat serii wypadków doprowadziło do zamknięcia San José przez rząd na cały 2007 i część 2008 roku. Obecne śledztwo komisji skupiło się na głównej kwestii – czy San José w ogóle powinna zostać ponownie otwarta.

Prawo chilijskie wymaga, aby kopalnia miała dwa niezależne wyjścia, jedno główne, używane na co dzień, oraz drugie, ewakuacyjne, na wypadek zagrożenia. Śledztwo komisji ujawniło, że San José nie posiada wyjścia awaryjnego oraz że nie zamontowano nawet prowizorycznych schodów w szybach wentylacyjnych, które mogłyby pełnić funkcję drogi ewakuacyjnej.

W miesiącach poprzedzających ostateczne zawalenie kopalni, San José dawała sygnały, że dzieje się coś niedobrego. W czerwcu 2010 roku spadł blok skalny i poranił plecy Jorge Galleguillosa. We wnioskach ze śledztwa ACHS znalazły się ostrzeżenia przed kolejnymi zawałami. Alejandro Pino z ACHS powiedział, że właściciele kopalni zostali powiadomieni o grożącym niebezpieczeństwie.

– Poleciliśmy, by firma zabezpieczyła kopalnię – stwierdził.

DZIEŃ 59: NIEDZIELA 3 PAŹDZIERNIKA

Śledztwo komisji trwało, a świdry drążyły coraz głębiej. Wzgórze nad San José zaroiło się od ekip budowlanych stawiających lądowisko dla helikopterów, szpital polowy i trybunę dla dziennikarzy. Rząd przygotował nawet swego rodzaju salony z niebieskim neonowym światłem, eleganckim wejściem i stylowymi, wygodnymi kanapami – wszystko to na pierwsze krótkie spotkanie górników z rodzinami.

W międzyczasie górnicy przeszli szkolenie w zakresie kontaktu z mediami i błyszczeli już w pełni im należnym blaskiem świeżo upieczonych gwiazd. Efektem tego był napływ do obozu Nadzieja ich dawno zapomnianych dalekich krewnych. Przybyło tak wielu nieznanych „członków rodzin", że na mapce wydrukowanej w chilijskiej gazecie „The Clinic" znalazły się miejsca oznaczone „Członkowie rodzin" i „Rzekomi członkowie rodzin".

Psychologowie musieli się spieszyć, by przygotować rodziny na skutki doznanego przez ich bliskich urazu. Czy mężczyźni będą radośni, czy przygnębieni? Wyznają żonom wieczną miłość, czy od razu poinformują, że planują rozwód? A Yonni Barrios – zostanie z wieloletnią kochanką czy z żoną? U wielu górników podejrzewano depresję. Jakie będą długofalowe efekty takiego szczególnego doświadczenia?

Po miesięcznej walce z przebywającymi na dole mężczyznami Iturra pomagał im teraz w codziennych sprawach i podtrzymywał na duchu. Unikał konfrontacji, a chcąc utrzymać ich razem na tyle długo, żeby zdążyć ich wydostać, przeobraził się w dyplomatę – łagodził rodzinne kłótnie, przekazywał wiadomości i powtarzał jak mantrę, że znów są „o jeden dzień bliżej wolności".

Gdy Iturra martwił się stanem psychicznym swoich podopiecznych, Sougarret i jego ekipa napotkali kolejne przeszkody.

Kolejna seria problemów technicznych zatrzymała Plan A. Stracili następne trzy dni na wymianę młotów i głowicy świdra. Choć pierwszy odwiert tylko sto metrów dzieliło od górników, prawie nikt z inżynierów nie założyłby się, że to właśnie ta wychwalana technologia wygra wyścig. Posuwająca się do przodu, ale powolna wiertnica najprawdopodobniej zajmie dopiero miejsce trzecie. W specyficznych warunkach San José dwa pozostałe urządzenia okazały się szybsze.

Plan C również miał opóźnienie, bo w pewnym momencie zboczyli z kursu. Technicy wymyślili, jak przy pomocy mniejsze-

go świdra skierować tunel z powrotem na właściwy tor, po czym ponownie zaczęli używać tego, który od razu drążył szyb wystarczająco szeroki dla Feniksa. W sumie stracili prawie tydzień. Okazało się, że Plan C zapewnia wprawdzie szybkie tempo, ale precyzja prac jest znacznie mniejsza – przy masywnej wieży wiertniczej trudno utrzymać właściwy kierunek drążenia.

Wszyscy stawiali więc na Plan B, którego szyb w 59 dniu miał prawie 427 metrów długości. Wykorzystywana technologia wydawała się najbardziej niezawodna. Teraz, gdy plany A i C napotkały poważne trudności, wcześniejsza decyzja prezydenta Piñery, żeby rozpocząć trzy niezależne odwierty, okazała się słuszna i niezwykle dalekowzroczna.

JEDENAŚCIE

OSTATNIE DNI

DZIEŃ 62: ŚRODA 6 PAŹDZIERNIKA

Gdy świder wiertnicy B znalazł się niecałe pięćdziesiąt metrów od schronu, górnikom wydawało się, że odgłosy kruszonej skały dochodzą z tak bliska, iż lada chwila zobaczą, jak urządzenie przebija strop. A może to tylko kolejne złudzenie? Pojawiły się plotki – dotrą do nas jutro. Albo za osiem dni.

Nagle jedzenie stało się mniej ważne od codziennej porcji informacji.

– Za piętnaście dziewiąta ktoś zwykle walił w puszkę. Brzmiało to jak dzwon, a chłopcy wrzeszczeli: „Za dziesięć minut wiadomości. Za dziesięć minut wiadomości!". I wszyscy szliśmy oglądać – opowiadał Samuel Ávalos.

W ten sposób program informacyjny o godzinie 21 stał się ich głównym punktem dnia. W podziemnej sali telewizyjnej, oblani potem, w samych tylko białych spodenkach i butach na gumowych podeszwach, górnicy siadali przed telewizorem, by posłuchać najnowszych wiadomości. Akcja ratunkowa przyćmiewała resztę informacji – całe dwadzieścia minut poświęcano Operacji San Lorenzo.

– Wiedzieliśmy, co się dzieje, minuta po minucie – wyjaśniał górnik Samuel Ávalos. – Śledziliśmy akcję i sami próbowaliśmy kalkulować, kiedy się zakończy. Byliśmy aż za dobrze poinformowani i to spowodowało, że zaczęliśmy się denerwować i myśleć: „Niech to się już skończy. Wyciągnijcie mnie stąd". [...] Bez wiedzy o postępie prac nie mielibyśmy pojęcia, kiedy mamy szansę wyjść.

Koordynatorzy całej operacji, włącznie z Sougarretem, nie zgodzili się na podanie górnikom konkretnej daty. Golborne doradzał ostrożność i Sougarret przyznał mu rację. Wiele rzeczy mogło jeszcze pójść nie tak. W czasie drążenia maszyny od czasu do czasu zbaczały z kursu i trzeba było korygować ich ustawienia, w wyniku czego szyb nie był prosty, powstały mniejsze i większe zakrzywienia – czy kapsuła może w tych miejscach utknąć? Inżynierów martwił w szczególności jeden taki nierówny fragment, już blisko celu. W centrum dowodzenia rozeszły się plotki, że Feniks będzie miał problem z przejściem przez ten zakrzywiony odcinek. Była też kwestia obliczenia dokładnej ilości ładunku wybuchowego, który trzeba będzie zdetonować, by powiększyć otwór w stropie, przez który Feniks dotrze do górników. Ta sprawa również spędzała ratownikom sen z powiek. Jeśli ładunek będzie za duży, szyb może ulec zniszczeniu. Nikt nie był też w stanie przewidzieć, jak zachowają się ściany szybu w czasie wielokrotnego opuszczania i wyciągania Feniksa – kapsuła będzie o nie trzeć i uderzać. Kamera pokazywała, że są masywne i gładkie, ale nikt nie mógł zagwarantować, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Wszystkich martwiło też ryzyko wystąpienia trzęsienia ziemi. Chile było epicentrum dwóch z pięciu największych trzęsień ziemi na świecie – ostatnie miało miejsce w 2010 roku i wciąż jeszcze było bardzo świeżym wspomnieniem.

Ponadto, jak już wiedział cały świat, wskutek chaotycznego wydobycia złota i miedzi, całe wzgórze nad kopalnią San José było już tylko wydrążonym szkieletem, ledwie podpartym po-

zostałościami górotworu. Diagnoza geologów nie pozostawiała wątpliwości – góra jest bardzo krucha.

W ramach akcji ratowniczej Codelco zainstalował na wzgórzu czujniki zdolne wyłapać najdelikatniejsze ruchy geologiczne. Jeśli groził kolejny zawał, inżynierowie mieli nadzieję, że wcześniej zostaną o nim ostrzeżeni.

Dla uwięzionych pod ziemią mężczyzn przesłanie było niejasne. Ratunek był już blisko, ale wciąż nie wiedzieli, kiedy dokładnie mają się go spodziewać.

– Nikt nie mógł spać. Zbyt się denerwowaliśmy – mówił Ávalos, opisując narastające napięcie. – Ten ciągły hałas, maszyny z tej i z tamtej strony. Wszyscy byli niespokojni, nie mogliśmy usiedzieć na miejscu. To było nawet gorsze niż te pierwsze dni po zasypaniu.

Jeden z mierników wzrastającego napięcia stanowiły papierosy – górnicy prosili o coraz większe ich ilości. Na początku palaczy było tylko dziewięciu, teraz już osiemnastu. Mieli do nich prawie nieograniczony dostęp. Kiedy wyczerpywał się przyznany im limit, robiło się coraz gorzej. Niewiele brakowało, by doszło do bójek.

Posyłano im na dół leki uspokajające. Niektórym pomagały spać, innym obniżały zbyt wysoki poziom adrenaliny. W kilku przypadkach miały one złagodzić początkowe objawy psychozy. Choć nigdy nie upubliczniano tych informacji, na spotkaniach lekarzy i ratowników medycznych, gdy omawiano stan psychiczny poszczególnych górników, padały między innymi takie terminy, jak zaburzenia dwubiegunowe, zespół maniakalno-depresyjny czy stan samobójczy.

Żeby jakoś pomóc sobie w tych trudnych chwilach, mężczyźni wymyślili oryginalną formę rekreacji. Z powodu wierceń strumieniem spływała do nich woda. Wykorzystując prymitywny system kanałów, górnicy kierowali ją z dala od miejsca zamieszkania, w dół, do najniższej części kopalni. Początkowo zmagazynowana woda stanowiła raczej błotniste bagno i nie

dało się w niej wykąpać. Więcej mułu zostawało na skórze, niż udało się zmyć brudu. Jednak w miarę postępu prac wiertniczych i ulepszania systemu kanałów dno kopalni zaczęło się zapełniać wodą. Ostatecznie basen miał wymiary siedem metrów na trzy i jeden metr głębokości. Na początku października górnicy nazwali go *La Playa* (plaża) – wody wystarczyło, by popływać i zrelaksować się.

– Zaliczałem kolejne baseny – wspominał Mario Sepúlveda. – To był naprawdę dobry pomysł.

Górnicy spędzali przy basenie całe godziny, moczyli się i śmiali.

Pedro Cortés, operator Manitou, przemysłowego wózka widłowego z regulowaną platformą hydrauliczną, podjeżdżał nim do basenu, włączał przednie światła i oświetlał niemal surrealistyczną scenę – siedemset metrów pod ziemią sześciu nagich mężczyzn baraszkowało w wodzie.

Podczas tych chwil udawało im się zapomnieć o sytuacji, w jakiej się znaleźli. Żartowali, opowiadali o życiu na górze i obiecywali sobie, że na zawsze zachowają tę jedyną w swoim rodzaju więź, jaka ich połączyła. Żaden nie wątpił, że oddałby za drugiego życie. Nawet te najbardziej napięte relacje, gdzieś na głębszym poziomie, opierały się na braterstwie.

– Patrzyłem mu w oczy i dokładnie wiedziałem, co myśli, czasami w ogóle nie trzeba było słów – mówił Samuel Ávalos, opisując swoją relację z Mariem Sepúlvedą.

Ich wzajemna lojalność wykuła się na ostrej krawędzi głodu i śmierci. Byli skazani na wspólne umieranie, nie szybką i gwałtowną śmierć w jednej przerażającej sekundzie, ale na powolną agonię trwającą wiele, wiele dni.

– W tamtym czasie nie rozmawialiśmy o kanibalizmie – przyznał Richard Villarroel. – Dopiero potem stał się tematem częstych żartów.

Te żarty o zjadaniu siebie nawzajem to niezbyt zawoalowane przyznanie się, jak niewiele dzieliło ich od barbarzyństwa.

Nagłe objawienie się poetów, składanie obietnic i nałogowy jogging można odczytywać jako zażartą próbę odzyskania człowieczeństwa, a jednocześnie odsunięcia jak najdalej od siebie ponurego cienia bestialstwa i śmierci.

DZIEŃ 63: CZWARTEK 7 PAŹDZIERNIKA

Podczas tych dwóch miesięcy pod ziemią górnicy zebrali masę prezentów, a wśród nich liczne zdjęcia nagich kobiet, miniaturowe Biblie, setki listów, świeże ubrania i przemyconą okazjonalnie czekoladę.

Każdy z nich urządził sobie własny kącik do spania. Mocowali do skalnej ściany siatkę, na której wieszali chilijską flagę, zdjęcia rodziny, listy i rysunki.

– Miałem takie specjalne miejsce z Bogiem i z diabłem – powiedział Ávalos. – Była tam Luli [chilijska celebrytka, blondynka z dużym biustem] ze swoim wielkim tyłkiem i Matka Teresa z Kalkuty. To moje idolki. Były dla mnie inspiracją.

Kiedy rozglądał się po swoim prowizorycznym „pokoju", Ávalos uświadamiał sobie, że żyje jak jakiś szczur. Nie mając mebli ani półek, zebrał wszystkie rzeczy na mokrej skale posadzki.

Nawet w czeluściach kopalni można się było złapać w pułapki sławy. W co drugiej dostawie przez *palomę* znajdowali flagi z prośbą, aby wszyscy złożyli na nich podpisy i jak najszybciej odesłali je na górę – były to flagi klubu piłkarskiego Deportivo Universidad Católica, klubu Cobresal, a także Geotecu (firmy wiertniczej), ale przede wszystkim narodowe flagi chilijskie. Górnicy nie odmawiali. Składanie autografów siedemset metrów pod ziemią i nabywanie przy tym szczególnej dolegliwości dłoni, zwanej „kurczem pisarskim", było zaledwie przedsmakiem tego, co czekało ich na górze. Wielu z nich nie było nawet w stanie pojąć rozmiarów fascynacji świata ich podziemnym życiem.

Widząc już bliski koniec uwięzienia, zaczynali myśleć o swoim wyjściu na powierzchnię. Co ze sobą wezmą? Co tutaj zostawią? Czas – którego do niedawna mieli w nadmiarze – teraz wręcz uciekał. Trzeba było zacząć się pakować.

Dni mijały – teraz *paloma* dostarczała rzeczy górników na powierzchnię. Na górę płynął strumień pamiątek: kolekcje skał, pamiętniki, flagi i dresy piłkarskie z autografami gwiazd europejskiego futbolu, włącznie z podpisem hiszpańskiego bohatera Mistrzostw Świata, Davida Villi, którego ojciec i dziadek byli górnikami.

Przynajmniej dwa razy dziennie, a czasami i częściej, Luis Urzúa był informowany o postępach prac, napotkanych przeszkodach i planie dalszych działań. Cała operacja wymagała stałej współpracy górników przebywających pod ziemią. Czasami prośby były proste, na przykład żeby przesunąć kamerę, by ratownicy na górze mogli zobaczyć konkretny fragment. Innym znów razem górnicy musieli przesuwać ciężki sprzęt, by wzmocnić dany odcinek stropu, wyciąć obluzowane skały albo naprawić sprzęt łącznościowy.

Zaczęli też wynosić na wysypisko, które urządzili na dnie kopalni, setki pustych butelek, plastikowych opakowań po posiłkach i zniszczony sprzęt. Błotniste posadzki, wszechobecny pył i brud maszyn uniemożliwiały utrzymanie czystości, mimo to mężczyźni próbowali zostawić wszystko w jako takim porządku.

– To trochę jak na wycieczce – Sepúlveda tłumaczył żartobliwie ratownikom. – Przed wyjazdem chcesz wszystko wysprzątać.

W ramach przygotowań do ewakuacji przeszli też szkolenie, jak radzić sobie ze sławą. Sepúlveda był wspaniałym gospodarzem podziemnych programów i świetnie dbał o morale grupy, ale teraz górnicy zaczynali myśleć, że na powierzchni mogą potrzebować kogoś, kto posiada nieco inne cechy – kogoś poważniejszego, rozumiejącego ten cały prawniczy żargon.

– Udało mi się porozmawiać z Mariem o odczuciach grupy, o tym, co wszyscy sądzą o jego „przywództwie". Powiedziałem mu: „Mają rację. Powinieneś się wycofać. Chcesz być pierwszy. Może nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale zawsze, zawsze jesteś tuż przed kamerą" – mówił Ávalos. – Nie było tajemnicą, że mają ochotę dać mu wycisk.

W ostatni piątek zaproponowano wybranie nowego rzecznika w drodze głosowania. Czy Mario był najwłaściwszą osobą w tej nowej fazie medialnej gorączki? Niektórzy proponowali spokojniejszego, bardziej dojrzałego przedstawiciela. Ostatecznie przeprowadzono głosowanie. Sepúlveda przegrał, a obowiązki oficjalnego rzecznika górników przejął Juan Illanes, erudyta z dużą dozą pewności siebie i niejakim pojęciem o prawie i własności intelektualnej. Sepúlveda uznał przegraną za policzek, bo w ten sposób pozostali zakwestionowali jego przywództwo w grupie. Natychmiast się wycofał i całą energię włożył w przygotowania do solowego występu w mediach.

DZIEŃ 65: SOBOTA 9 PAŹDZIERNIKA

Ratownicy poinformowali górników, że świder znajduje się niecałe 10 metrów od celu. Sepúlveda wysłał na górę wiadomość: „Idziemy tam, żeby obserwować strop. Kiedy się przebijecie, całą noc będziemy świętować. Powiedzcie, żeby nie przysyłali *palomy*, bo nikt jej nie odbierze".

Palomy, którą przesyłano prowiant, nigdy nie zostawiali bez nadzoru. Nawet w najgorszych chwilach górnicy pilnowali, by kanał zaopatrzeniowy, któremu zawdzięczali życie, miał pełną obsługę. Teraz jednak postanowili przenieść się ponad sto metrów wyżej, do warsztatu, gdzie miał się przebić świder.

Mężczyźni zebrali się razem, czuli niepokój i podniecenie. Już tak wiele rzeczy poszło nie tak: złamane świdry, zbaczanie z kursu, zawał. Nie bardzo wierzyli, że tym razem się uda. Czy ratunek rzeczywiście był tak blisko, jak im się wydawało? Sku-

pili się w wyrobisku, 50 metrów od miejsca, w którym, jeśli Bóg wysłucha ich modlitw, zobaczą przebijający strop świder. Błoto zmieszane z wodą cały czas zalewało pochylnię.

Alex Vega zaczął pisać. Osłaniając notes przed kapiącą wodą, rozpoczął sporządzanie dokładnej relacji z tej historycznej chwili, opisu sytuacji minuta po minucie adresowanego do swojej żony. Powietrze wypełniły unoszący się kurz, głośne walenie młotów i fruwające kawałki śmieci. Górnicy patrzyli na strop zahipnotyzowani jak dzieci wyczekujące Świętego Mikołaja, który lada chwila zjedzie kominem w dół. Ze skupionym wzrokiem, zlani potem, w kaskach i grubych roboczych rękawicach, stali gotowi do ostatniej misji.

Właściwie mogli tylko stać i patrzeć. Pedro Cortés rozmawiał przez telefon z inżynierami na powierzchni i opisywał, co się dzieje, a jego relacje tłumaczono i przekazywano Jeffowi Hartowi, wiertaczowi, który regulował prędkość i nacisk świdra. Unoszące się w powietrzu śmieci i okropny hałas nie pozwalały im podejść zbyt blisko.

Górnicy wsłuchiwali się w coraz wolniejsze, gdy zbliżał się do stropu, obroty świdra. Aż nagle dźwięk się zmienił, usłyszeli metal trący o metal, nierównomierny zgrzyt i chrzęszczenie. Zamarli. Jeff Hart nie miał wyboru, musiał wiercić dalej i przebić się przez przeszkodę. Wszyscy pamiętali, jak poprzednim razem stracili udar, a razem z nim cztery dni.

Świder podjął pracę i ponownie ugrzązł. Znów ostry zgrzyt. Świder musiał się zaplątać w metalowe kotwy stropu. Pedro Cortés cały czas miał kontakt z powierzchnią. Powiedziano mu, że został jeszcze metr.

Tymczasem na górze Jeff Hart zwolnił obroty. Jeśli pójdzie przez strop za szybko, świder może się zaklinować. Jeśli z impetem trafi nagle w pustkę, może zagrozić słabszym fragmentom chodnika. Ostatnie centymetry wymagały ostrożności. Z So-

ugarretem, Golborne'em i coraz większym tłumem ratowników i urzędników za plecami, Hart co chwila zatrzymywał świder, żeby sprawdzić obraz z kamery. Jak kontrolerzy lotów próbujący sprowadzić na ziemię awaryjnie lądujący samolot, górnicy pracowali i modlili się o bezpieczne przybycie maszyny.

Dźwięk pod ziemią był wprost ogłuszający. Nawet z zatyczkami w uszach i dodatkowymi słuchawkami odgłos świdra przebijającego się przez skałę powodował ból. W końcu udało się pokonać metalowe kotwy i o ósmej rano wiertnica pokonała górotwór.

Kiedy koniuszek świdra pojawił się w stropie warsztatu, cały korytarz wypełniły kłęby pyłu, nic nie było widać. Wielu górników mimowolnie pomyślało o zawale sprzed dwóch miesięcy. Teraz jednak pył był cudownym znakiem uwolnienia. Górnicy obejmowali się i krzyczeli z radości.

Nadeszła wiadomość z dołu: świder przeszedł! Do ratowników zaangażowanych w Plan B początkowo nie dotarło, że ich misja dobiegła końca.

– Myślałem, że to moje serce wybuchło – żartował Hart.

Golborne i Sougarret padli sobie w objęcia. Następnie ktoś otworzył butelkę szampana. Zadźwięczał samochodowy klakson. Aż w końcu teren wokół drugiego odwiertu zapełnił się podskakującymi z radości i ściskającymi się robotnikami. Ludzie łapali się za ramiona i tańczyli w kółkach. Całą dolinę wypełniły dźwięki klaksonów, bicie dzwonów i okrzyki. Po dwóch miesiącach ekipa ratunkowa dotarła do górników.

Hart od razu zaczął się pakować. On zrobił swoje. Teraz czas na Chilijczyków. Idąc przez obóz Nadzieja w swoim poplamionym roboczym kombinezonie, z podziwem patrzył na otwór, który wywiercił w skale do odległego podziemnego korytarza i uwięzionych górników. Wydawał się nieco zaskoczony nagłym statusem gwiazdy, jaki zyskał. Kobiety go obejmowa-

ły, dziennikarze pchali się do niego, nie chcąc uronić ani słowa z jego wypowiedzi. Ale Hart nie potrafił opisać swojego talentu. Gdy patrzył na reporterów, jego wzrok mówił: „nigdy tego nie zrozumiecie".

– Jestem wiertaczem – powiedział. – Ktoś, kto nim nie jest, nigdy nie będzie w stanie tego zrozumieć. To wibracja, która wypływa z ziemi. Czuję ją w stopach i wtedy wiem, gdzie jest świder.

Gdyby jego wiertnica zboczyła z kursu o 50 centymetrów, ominąłby górników. Trafił w dziesiątkę. Był jak strzelec wyborowy – bezbłędny.

Hart opisał dokładnie, jak na ostatnim etapie wiercenia pracował wspólnie z górnikami, jak dostarczali mu z dołu niezbędnych informacji w postaci zapisu wideo. Zapytany, co powiedziałby górnikom, roześmiał się i odparł:

– Dwa dni temu wysłaliśmy im wiadomość: „Niedługo będziemy". Teraz powiedziałbym: „Chodźcie za nami!".

W obozie Nadzieja wybuchła radość. Ratownicy w twardych kaskach na głowach chodzili od namiotu do namiotu i ściskali członków rodzin. A ci wreszcie mogli sobie pozwolić na nadzieję.

– Ślę do niego spokój i ukojenie. Najgorsze za nami – powiedział Alonso Gallardo, trzydziestoczteroletni siostrzeniec uwięzionego górnika Maria Gómeza.

– Mamy zamiar urządzić imprezę – informował Daniel Sanderson, dwudziestosiedmiolatek, który tej nocy spał zaledwie godzinę, niepewny losu dwóch przyjaciół, którzy zostali na dole. Sanderson również pracował w San José i twierdził, że koledzy, mimo zagrożeń i tego, co przeżyli pod ziemią, nie zamierzają zmieniać zawodu. – Pisali do mnie, że chcą poszukać nowej roboty w kopalni. Przecież jesteśmy górnikami.

– Starczy dla wszystkich – mówił trzydziestodziewięcioletni Juan Gonzáles, wyładowując czterdzieści skrzynek ze świeżymi awokado przed namiotem swojej rodziny. – Chcę ich po prostu

uściskać – dodał z myślą o Renánie i Florenciu Ávalosach, swoich dwóch uwięzionych pod ziemią braciach. – Powiedziałbym im, żeby byli spokojni, wszyscy tu na nich czekamy.

– Nie ma znaczenia, czy to będzie wtorek, środa czy czwartek – powiedział prezydent Piñera. – Chodzi o to, żeby ich uratować i zapewnić im bezpieczeństwo. I zrobimy wszystko, aby tak się stało.

Piñera nie wyjaśnił, czy dalsze plany zakładają montaż stalowego wzmocnienia szybu na całej jego długości czy tylko niektórych fragmentów. Od dawna uważano, że wzmocnienie jest konieczne, gdyż gwarantuje, że koła kapsuły będą mogły się poruszać po równej powierzchni. Teraz jednak plany się zmieniały. Inżynierowie uznali, że niewielkie zakrzywienia szybu mogą bardzo utrudnić wsunięcie takiego wzmocnienia. A co, jeśli któryś element zahaczy o coś i się zaklinuje? Co jest bardziej ryzykowne: instalacja wzmocnienia czy pozostawienie szybu bez niego? To było najważniejsze pytanie.

Minister Golborne również błagał o ostrożność.

– Bardzo dużo osiągnęliśmy, ale przecież nikogo jeszcze nie udało nam się uratować. Ta operacja zakończy się dopiero wtedy, gdy ostatnia osoba opuści kopalnię.

Tymczasem bliscy górników, zebrani przy ogniskach, z uśmiechami na twarzach jedli śniadanie, dzielili się kawą i wymieniali uściski z obcymi sobie ludźmi. Setki dziennikarzy pomknęło, by czym prędzej nadać wiadomość, że chilijscy górnicy są o krok bliżej wolności.

Pod ziemią, na dnie kopalni, Claudio Yáñez robił zdjęcie wydrążonego szybu, choć trudno było zobaczyć coś więcej niż pierwsze kilka metrów – wszystko powyżej spowijała całkowita ciemność. Razem z Samuelem Ávalosem nakręcili film, się-

gając kamerą jak najwyżej, jakby poprzez sam wysiłek i mocą wyobraźni mogli natychmiast wrócić do świata, który stracili. Szyb miał średnicę 72 centymetrów, wystarczającą, by doleciał na dół wyczekiwany powiew chłodnego powietrza. Mężczyźni rozkoszowali się nim, choć nie było do końca świeże. Mieli teraz przynajmniej coś w rodzaju klimatyzacji. Nie wiedzieli, że ten otwór, który już obiecywał im wyjście na wolność, stanowił jednocześnie śmiertelną pułapkę.

Chłodniejsze powietrze wpływające przez szyb zmieniało temperaturę we wnętrzu już i tak niestabilnej kopalni. Powodowało, że jej ściany zaczynały się kurczyć. Ta nagła zmiana temperatury, tak przyjemna dla ludzi, jeszcze bardziej destabilizowała konstrukcję kopalni.

DZIEŃ 66: NIEDZIELA 10 PAŹDZIERNIKA

Górnicy czuli się teraz więźniami bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Czas jakby się zatrzymał. Bez słońca, bez świtu, bez możliwości odliczania czasu, wciąż pytali jeden drugiego, czy to już dzień.

A potem, o szóstej, poranną ciszę przerwał nagle ogłuszający huk. Po nim nastąpił kolejny, i kolejny, i jeszcze jeden.

– Richard [Villarroel] kopnął moją nogę, żebym się obudził. Powiedział, że góra chce nas zabrać – wspominał Samuel Ávalos. – Pomyślałem, że to koniec. Kopalnia się wali. A skoro tak, to po nas. Ta góra była taka niestabilna. Wszystko mogło się zdarzyć. I nie przestawała. Trzask! Trzask! Trzask! Trzask, trzask, trzask! Huk jeden za drugim.

Luis Urzúa dzwonił do Sougarreta.

– Ściany pękają, jest okropny hałas – informował, tak samo jak reszta zaniepokojony dziwnym prądem powietrza unoszącym w wyrobiskach tumany pyłu.

Sougarret próbował ich uspokoić, że zawał był dużo wyżej i że nie grozi im żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Kiedy Samuel Ávalos usłyszał te odgłosy, był przekonany, że następuje właśnie ostatni akt – że cała ta pułapka od początku prowadziła ich wprost do śmierci. Był pewien, że kopalnia się zawali, że jest jak żywa istota wypełniona żądzą zemsty, zdeterminowana, by zatrzymać ich pod ziemią.

Omar Reygadas uważał z kolei, że pękanie skały i eksplozje to znak z góry. W jego uszach kakofonia huków i trzasków była jak głos Boga.

– Jestem chrześcijaninem. Pomyślałem, że to ostrzeżenie, że Bóg uczynił dla nas cud, a my nie możemy przestać w niego wierzyć. Musimy dziękować Mu za życie i za to, że nas uwolni. Góra wybuchała. My mieliśmy obietnice, których należało dotrzymać, przysięgliśmy być lepszymi ludźmi, i myślę, że góra przypominała nam, że musimy dotrzymać słowa. Inni mówili, że „kopalnia nie chce nas wypuścić, chce zatrzymać dla siebie wszystkich górników".

Richard Villarroel pozostał spokojny. Leżał w łóżku, zbierając siły na podróż do góry, ufny, że nic nie może już ich zatrzymać. Miał zamiar zobaczyć, jak żona rodzi ich syna, Richarda Juniora. Termin za niecałe dwa tygodnie. Skoro przeżył już tamten zawał, głód, gorąco i wilgotność, czuł się niezwyciężony. Wszystkie te przeraźliwe odgłosy pękających i jęczących ścian kopalni nie były w stanie zachwiać jego przekonaniem, że los przywiódł go aż tutaj, bo pisane mu było przeżyć.

Do południa trochę się uspokoiło, a potem wszystko ucichło. Ale wydawało się, że ta cisza to tylko przerażający antrakt, że góra odpoczywa przed kolejnym atakiem.

Niewielu spało tej nocy.

DWANAŚCIE

OSTATNIE PRZYGOTOWANIA

Górnicy rozpoczęli przygotowania do przyjęcia kapsuły. Miejsce oświetlono reflektorami, więc wyglądało jak miniaturowa scena. Wydrążony szyb był jednocześnie niepozorny i wręcz cudowny. Na pierwszy rzut oka właściwie trudno go było zauważyć – jeszcze jedna czarna plama pośród wielu nierówności i wybrzuszeń stropu. A jednak mężczyźni przyglądali się otworowi, jakby to była świątynia, i czasami nawet co godzina urządzali do niej pielgrzymki. Ta część kopalni znajdowała się wyżej niż miejsce, gdzie mieszkali, i zazwyczaj była pusta. Ponieważ odwierty zakończono, ciszę, która tu teraz zapanowała, zakłócały jedynie spadające krople wody.

Górnicy byli zdenerwowani, palili papierosy i próbowali jakoś przetrwać ten czas. Rozmawiali o zawartym pakcie – przysiędze milczenia. Każdy z nich przysiągł, że nie zdradzi szczegółów z życia pod ziemią. Każdy obiecał nie krytykować innych. Mogli mówić o własnych doświadczeniach, ale nie wolno im było ujawniać mediom żadnych szczegółów dotyczących ich nie zawsze najlepiej układających się relacji. Ustalili, że te

sprawy zatrzymają dla siebie, aż do czasu wspólnego nakręcenia filmu.

Dyskusjom na ten temat przewodniczył zwykle Franklin Lobos. Przypominał kolegom, że powinni trzymać się razem. Chciał założyć fundację, która pomogłaby otoczyć osiągnięcia górników należytym szacunkiem, urządziła wystawę o tym, jak przetrwali, i miała siedzibę w muzeum poświęconym temu dramatycznemu wydarzeniu. Wszystkie zyski z filmu, o którym marzyli, podzielą na trzydzieści trzy części, tak by każdy z nich skorzystał z zainteresowania mediów. Znana jako „pakt milczenia" ich umowa miała na celu ochronę prywatności i zachowanie w tajemnicy incydentów, których się wstydzili. Plotki głosiły, że mężczyźni oddawali się homoseksualnym flirtom, używali miękkich narkotyków i od czasu do czasu urządzali walki na pięści. Jednak główna część umowy dotyczyła finansów. Mężczyźni postrzegali to doświadczenie jako zbiorowe cierpienie, które jako takie wymagało równego podziału zysków. Po wyjściu górników na powierzchnię pakt nie przetrwał nawet dwudziestu czterech godzin.

W czasie dłużących się ostatnich kilku godzin górnicy błagali o więcej papierosów.

– To nie klinika leczenia uzależnień – mówił doktor Romagnoli, wciskając do *palomy* kolejne paczki. Zapytany ironicznie, co sądzi o lekarzu dostarczającym papierosy swoim pacjentom, odparł z przekonaniem: – To misja ratunkowa. [...] Nie mam serca odmawiać im papierosów.

Górnicy byli zdenerwowani, ale w dobrych nastrojach, prosili Romagnolego o *pisco*, rum, coca-colę i całą resztę.

Wysłano im także odzież wodoszczelną. Uszyte na miarę ze sprowadzonego z Japonii materiału zielone kombinezony zwinięto i przesłano razem z czystymi skarpetami, witaminami i ciemnymi okularami Oakley Radar.

Górnicy poprosili o pastę do butów, co odczytano jako znak pokory. Przez kilka tygodni żyli jak zwierzęta. Przywykli do bakterii i grzybów, które skolonizowały nawet ich skórę. Teraz, gdy cały świat na nich patrzył, chcieli się godnie zaprezentować – pragnęli mieć czystą twarz i włosy oraz wypastowane buty.

Mimo że ich wyjście na powierzchnię zaplanowano na godziny nocne, okulary miały chronić ich oczy przed światłem reflektorów, które rozjaśniały teren wokół szybu. Członkowie rodzin obawiali się jeszcze jednego: ataku przedstawicieli mediów. W sondażu przeprowadzonym dla chilijskiej gazety „La Tercera" rodziny stwierdziły, że ewentualność takiego ataku martwi je bardziej niż psychiczny i fizyczny stan bliskich.

Przy stanowisku *palomy* na wzgórzu ponad kopalnią doktor Liliana Devia powtarzała kolejność działań w ramach procedury ewakuacyjnej. Położyła na biurku plan szpitala polowego. Potem zaczęła przesuwać po nim kolorowe klocki lego, jak generał przygotowujący wojsko do walki.

– Po raz pierwszy od dłuższego czasu ci mężczyźni będą sami – tłumaczył doktor Mañalich. Obawiał się, że przy tym poziomie zdenerwowania w trakcie transportu na górę u górników mogą wystąpić ataki paniki.

Po wielu dniach ćwiczeń z Feniksem ratownicy byli pewni, że kapsuła jest bezpieczna i solidna, choć nieco ciasna, i nie można jej nazwać niewygodną. Ponieważ oglądanie monotonnie przesuwającej się skały przez piętnaście minut mogłoby doprowadzić do wymiotów nawet doświadczonego żeglarza, poradzą górnikom, by zamykali oczy, jeśli uznają to za konieczne. Dzięki doktorowi Romagnolemu oraz nowoczesnej aparaturze przesyłającej mu parametry życiowe transportowanego, jeśli rzeczywiście wystąpiłby atak paniki, na powierzchni natychmiast zobaczą to na ekranie laptopa i Pedro Gallo albo lekarz spróbują mężczyznę uspokoić.

Lawina próśb o konkretne utwory i piosenki, które chcieli zabrać do kapsuły, uspokoiła obawy, że trudno im będzie

znieść tę piętnastominutową podróż w pojedynkę. Víctor Zamora prosił o *Buffalo Soldier* Boba Marleya – przy dźwiękach tej właśnie piosenki Feniks z Víctorem na pokładzie miał się wyłonić z ziemi.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinni wydobywać górników w tempie jeden na dziewięćdziesiąt minut, co oznaczało mniej więcej dwudniowy maraton. W tym czasie ostatniej próbie poddana zostanie wytrzymałość całej ekipy.

Szpital w Copiapó, do którego miał przetransportować górników helikopter, przygotowywał się na oblężenie. Wokół budynku ustawiono bariery. Mieszkańcy sąsiadujących ze szpitalem domów bogacili się, wynajmując zarośnięte ogródki ekipom telewizyjnym i reporterom z całego świata. W dwóch oddziałach placówki zaklejono taśmą okna i powieszono ciężkie zasłony, żeby chronić wrażliwe oczy górników przed światłem słonecznym, a także ich samych przed wścibskimi dziennikarzami.

Władze prosiły media, by dały górnikom czas na przywitanie się z rodzinami, ale biorąc pod uwagę brak skrupułów reporterów, ich żądzę zdobycia świetnego materiału i rywalizację między nimi, raczej nie można było na to liczyć. Oprócz pytań o rzekome praktyki homoseksualne i zażywanie w kopalni narkotyków, z pewnością pojawią się też te dotyczące sytuacji rodzinnej górników. Przybycie na miejsce kochanek, żon i odnalezionych niedawno dzieci miłości spowodowało, że dla przebywających na dole mężczyzn odzyskanie upragnionej wolności wiązało się z ogromnym dodatkowym stresem.

– Czekałem, aż zapytają, kto chce wyjechać na górę – mówił Sepúlveda. – Wydaje mi się, że około dziesięciu z nas chętnie zostałoby pod ziemią.

W centrum Copiapó, jakiś kilometr od szpitala, setki górników wyszło na ulice w marszu protestacyjnym – ruch uliczny

został wstrzymany. Pracowali w San Esteban Primera, holdingu, do którego należała też San José i kilka innych miejscowych kopalni oraz zakładów przetwórczych. Podczas gdy uwaga prasy i sądów skupiała się na trzydziestu trzech uwięzionych pod ziemią mężczyznach, innych dwustu pięćdziesięciu górników zostało bez pracy i nikt się nimi nie interesował. Domagali się wypłaty należnych wynagrodzeń i dopełnienia formalności, żeby mogli szukać innej pracy.

Trąbili i nieśli transparenty z napisem: „33 ma się dobrze, resztę oszukali", chcąc w ten sposób zwrócić uwagę na szersze konsekwencje zawału w San José.

„Oni nie dostaną zagranicznych wycieczek, prezentów i zaproszeń z telewizji, nikt nie zwróci się do nich z prośbą o wywiad na wyłączność i nikt nie będzie ich specjalnie traktował" – napisano w miejscowej gazecie „El Atacameño". „Oni i ich rodziny chcą powrotu do normalności, chcą uczciwej pracy i zarobków, które pozwolą im godnie żyć".

Gdy bezrobotni maszerowali ulicami, żony górników przygotowywano do wystąpienia w światłach reflektorów. Burmistrz Copiapó, Maglio Cicardini, postanowił zafundować im kilka zabiegów w spa.

– Uznałem, że należy im się wizyta w salonie piękności – oznajmił ekstrawagancki burmistrz. Gdy kobiety wyszły z salonu, dodał: – Wszystkie wyglądają tak olśniewająco, że mam wątpliwości, czy mężowie je poznają.

W tym czasie przy kopalni trwały gorączkowe przygotowania. Setki ratowników wykonywało swoje obowiązki. Piloci helikopterów chilijskich Sił Powietrznych też już czekali w pogotowiu. W szpitalu polowym dyżurowało dwudziestu czterech lekarzy. Cały pluton pielęgniarek i ratowników medycznych czekał, by w razie potrzeby zmierzyć ciśnienie, podać glukozę i przeprowadzić ogólne badanie pacjenta.

Zorganizowano sześć punktów z pełną obsadą, od kontrolerów lotu do zespołu chirurgów. Ekipa chilijskiej policji (PDI)

czekała, by pobrać od górników odciski palców i sfotografować ich zaraz po ewakuacji.

– Chodzi o potwierdzenie ich tożsamości – wyjaśnił inspektor Óscar Miranda.

Patrole policyjne, piesze, konne i motorowe przeczesywały wzgórze w poszukiwaniu nieakredytowanych dziennikarzy. Korzystanie z radiowych częstotliwości rządowych ograniczono do niezbędnego minimum, bo w ciągu ostatnich tygodni zaczęto podejrzewać, że reporterzy przechwytują przesyłane tymi kanałami informacje.

Doktor Romagnoli patrzył w ekran swojego komputera, na którym wyświetlały się parametry życiowe górników. Zauważył wzrost tętna i ciśnienia krwi. Można powiedzieć, że dosłownie trzymał rękę na pulsie całej operacji. Mario Gómez miał niewielkie duszności – objawy krzemicy nasiliły się na skutek stresu związanego z bliską już ewakuacją. Sepúlveda nie wziął tabletki na uspokojenie i jak zwykle rozpierała go energia. Osmán Araya jęczał z powodu bólu zęba. Osiem godzin przed ewakuacją wszystkim kazano powstrzymać się od jedzenia. Jak pacjenci przed operacją musieli ściśle przestrzegać zaleceń lekarskich.

Yonni Barrios już nie dyżurował. Przeżywany stres okazał się zbyt silny i nie był już w stanie pomagać kolegom. Jego sytuacja rodzinna skomplikowała się, gdy żona i kochanka zaczęły przed telewizyjnymi kamierami toczyć walkę i obrzucać się błotem. Yonni nie wytrzymywał tego nerwowo. Nie miał już siły kontrolować stanu górników czy podawać im leków.

O piętnastej zostało im do wykonania jedno zadanie, po którym miała się zacząć ewakuacja: zdetonowanie ostatniego ładunku wybuchowego.

Kapsuły ratunkowej nie dało się opuścić na tyle, by mężczyźni mogli do niej wejść, bo blokował ją występ skalny. Gór-

nicy mieli wysadzić tę część litej skały. Dla doświadczonego *cargador de tiro* (strzałowego) takie zadanie było chlebem powszednim – to mniej więcej tak samo jakby gońca poproszono o rozniesienie listów.

Górnicy wyszkoleni w zakresie stosowania i transportu materiałów wybuchowych ostrożnie wkładali do *palomy* detonatory i tyle ładunków, ile potrzeba, aby zniszczyć przeszkodę stojącą na drodze Feniksa. Uwięzieni detonowali już ładunki podczas swojego dwumiesięcznego pobytu pod ziemią – najpierw w czasie pierwszych chaotycznych dni po zawale, żeby wysłać sygnał SOS, a potem w ramach operacji technicznych przeprowadzonych w kolejnych tygodniach. Oficjalnie rząd Piñery zaprzeczał, jakoby te detonacje miały miejsce, przede wszystkim dlatego, żeby ograniczyć pytania o plan ratunkowy i ewentualne jego kwestionowanie, a po drugie, żeby nie niepokoić niepotrzebnie i tak już będących na granicy wytrzymałości zrozpaczonych rodzin.

Kiedy zebrali pod ziemią odpowiednią ilość materiałów wybuchowych, musieli wywiercić otwory, w których należało je umieścić. Z góry podano im przewód, przez który tłoczono sprężone powietrze – odebrał go Pablo Rojas, a do wiertarki pneumatycznej podłączył Víctor Segovia. Ten ostatni zdziwił się, gdy zobaczył, że tak proste narzędzie z łatwością radzi sobie z litą skałą. Nawiercił sześć otworów, a Rojas włożył w nie laski dynamitu. Ładunki łączył jeden lont.

Urzúa i Florencio Ávalos nadzorowali prace, a reszta zebrała się w schronie – była to standardowa procedura stosowana w takich sytuacjach. Rojas zapalił lont i wraz z pozostałymi biegiem dołączył do reszty. Piętnaście minut później nastąpił wybuch. Górnicy ruszyli, by zobaczyć rezultat. Kiedy pył opadł, uśmiechnęli się. Przeszkadzający fragment skały znikł. Kiedy spuszczą kapsułę, nic jej już nie zatrzyma.

Teraz musieli usypać metrowej wysokości „lądowisko" dla Feniksa. Chodziło o to, żeby kapsuła stanęła na twardym pod-

łożu i równocześnie jej górna część pozostała w szybie. Wtedy każdy będzie mógł sprawnie wsiąść i zapiąć pasy. Kapsuła od razu powędruje do góry – nie będzie się kołysać i nie opóźni akcji. Przy użyciu ciężkiego sprzętu usypali odpowiedniej wysokości stertę skał i innych odpadków.

Kiedy mężczyźni gorączkowo budowali lądowisko, górotwór raz jeszcze się poruszył. Dynamit nie tylko skruszył skałę, wywołał też drgania powietrza, a te z kolei, przesłane dalej, rozluźniły skały, wywołując w chodnikach najpierw delikatną mżawkę odłamków, a potem osunięcie się skał. Zawalił się najniższy poziom, ten przy basenie. Oberwały się również fragmenty ścian między schronem i warsztatem, zasypując część głównego korytarza między nimi. Góra zaczynała płakać.

Mężczyźni nałożyli kaski. Nikt nie miał pewności, czy to tylko jeden szloch, czy też górotwór zacznie lamentować i zbombarduje ich swoimi śmiertelnymi łzami.

Luis Urzúa planował ostatni dzień pod ziemią. Choć był brygadzistą, nie miał większego od innych wpływu na podejmowane decyzje. Biorąc pod uwagę charyzmę, nie mógł się równać z Sepúlvedą. Ale utrzymał swoją pozycję wynikającą z górniczej hierarchii. Wszyscy zaakceptowali fakt, że to właśnie Urzúa ostatni opuści szyb, jak kapitan statku, który najpierw zapewnia bezpieczeństwo załodze, a na końcu dopiero sam się ratuje.

Pierwszego krótkiego wywiadu Urzúa udzielił w poniedziałek „Guardianowi".

– Znaleźliśmy się w sytuacji, która wcześniej w ogóle nie przyszłaby nam do głowy i mam nadzieję, już się nie powtórzy... ale takie właśnie jest życie górnika – powiedział. Zapytany o zagrożenia w kopalni San José, odparł: – Zawsze mawiamy, że kiedy się wchodzi do kopalni, trzeba się z nią przywitać, poprosić o pozwolenie na wejście i okazać jej szacunek. Wtedy można mieć nadzieję, że człowieka wypuści.

Dramatyczna historia uwięzionych górników przyciągnęła uwagę całego świata – na teren kopalni San José przybyło ponad 2000 dziennikarzy.

Mniejsze zdjęcie: Lisette i Bastian Gallardo, wnukowie Maria Gomeza, jednego z trzydziestu trzech uwięzionych górników, bawią się na pokrytym flagami wzgórzu ponad obozem Nadzieja.

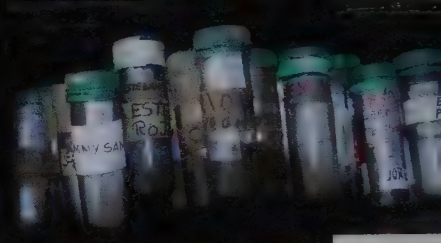

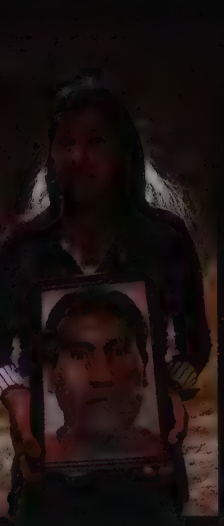

Od góry, zgodnie z ruchem wskazówek zegara: Jonathan Franklin, mający pozwolenie, by z bliska przyglądać się akcji ratunkowej, obserwuje sposób, w jaki dostarcza się górnikom pożywienie i lekarstwa. Wysyłane w niewielkich pojemnikach przez ratowników oraz ministra Golborne'a (*u góry, po prawej*), przez wiele tygodni utrzymywały zasypanych mężczyzn przy życiu, podczas gdy eksperci opracowywali plan ewakuacji. Listy pisane przez górników i ich rodziny umieszczano w małych plastikowych fiolkach (*po prawej*). Wielu krewnych znajdowało ukojenie w pisaniu wiadomości do uwięzionych pod ziemią bliskich (*po prawej, na dole*). Veronica Quispe stoi przed kopalnią San José, trzymając zdjęcie swojego męża, Boliwijczyka Carlosa Mamaniego (*poniżej, po lewej*). Na skalistym wzgórzu wzniesiono kapliczkę z trzydziestoma trzema świecami (*poniżej, w środku*).

Powyżej, po lewej: Psycholog Alberto Iturra miał wyjątkowo trudne zadanie – musiał dopilnować, by górnicy żyli pod ziemią w zgodzie i jedności.

Powyżej, po prawej: André Sougarret, główny inżynier odpowiedzialny za akcję ratunkową, codziennie przekazywał prasie najświeższe informacje i opowiadał o wyzwaniach stojących przed ekipą wiercącą szyb ewakuacyjny o głębokości ponad 700 metrów.

Po prawej: Jonathan Franklin rozmawia z prezydentem Piñerą.

Poniżej: Poranna mgła zamieniła obóz rozbity przez ekipy dziennikarzy w tajemniczy świat cieni.

U GÓRY, PO LEWEJ: W pierwszym miesiącu, używając maszyny wiertniczej Strata 950, poczyniono tak niewielkie postępy, że na początku września rząd zaczął rozważać inne sposoby dotarcia do uwięzionych górników.

U GÓRY, PO PRAWEJ: Konwój ciężarówek przywozi nowe urządzenia wiertnicze do kopalni San José. Między nimi jest maszyna używana do wydobywania ropy naftowej – wykorzystano ją przy realizacji Planu C.

ŚRODEK, PO LEWEJ: Olbrzymie wiertła przedzierały się przez setki metrów litej skały.

ŚRODEK, PO PRAWEJ: Wczesny październik, Jonathan Franklin przygląda się operatorowi maszyny wiertniczej Jeffowi Hartowi, kończącemu drążenie pierwszego tunelu łączącego uwięzionych górników z powierzchnią.

POWYŻEJ: Jeff Hart, operator maszyny wiertniczej, który na miejsce akcji ratunkowej przyleciał z Afganistanu, świętuje ukończenie szybu ewakuacyjnego.

PO LEWEJ: Na początku października rząd miał przygotowane trzy plany ewakuacji – robiono wszystko, by jak najszybciej dotrzeć do zasypanych mężczyzn.

Powyżej, po lewej: Wejść na teren akcji ratunkowej prowadzonej w kopalni San José pilnowali chilijscy policjanci. Jonathan Franklin uzyskał specjalne pozwolenie na obserwację akcji ratunkowej z bliska.

Powyżej, po prawej: Minister Golborne (po lewej) omawia z prezydentem Piñerą (po prawej) oraz głównym inżynierem André Sougarretem (w środku) szczegóły akcji ewakuacyjnej.

Po prawej: Widok w kierunku powierzchni ze zjeżdżającej w dół kapsuły.

Poniżej: Kapsuła Feniks dociera na miejsce, gdzie czekają na nią ratownicy i przedstawiciele rządu.

Poniżej, po prawej: Żartując, doktor Jorge Díaz mierzy doktora Jeana Romagnolego, sprawdzając, czy zmieściłby się w kapsule.

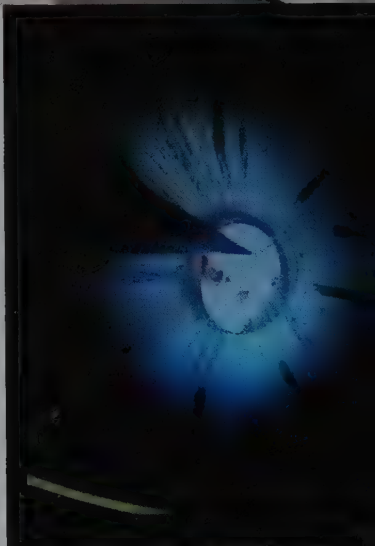

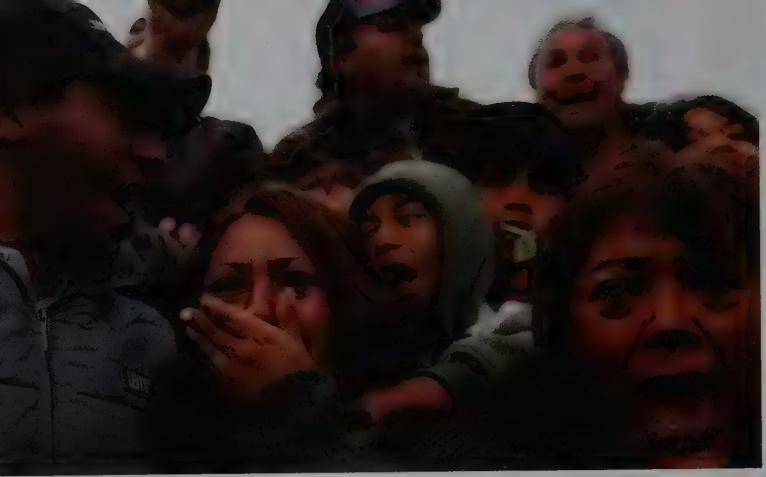

Powyżej: Członkowie rodzin Maria Gómeza i Daría Segovii świętują ostatni etap akcji ratunkowej.

Po lewej: Poszukiwaniom uwięzionych górników towarzyszyły olbrzymie emocje.

Po lewej: Solidarność w obozie Nadzieja – bliscy uwięzionych mężczyzn, zjednoczeni we wspólnym celu, by nie pozwolić ratownikom się poddać.

Po prawej: Mario Gómez, najstarszy z uwięzionych górników, po pięćdziesięciu jeden latach pracy pod ziemią, cieszy się z zakończenia ostatniej zmiany.

Po prawej: Górnik Franklin Lobos, dawna gwiazda piłki nożnej, tuż po wyjściu na powierzchnię przytula swoją córkę Carolinę.

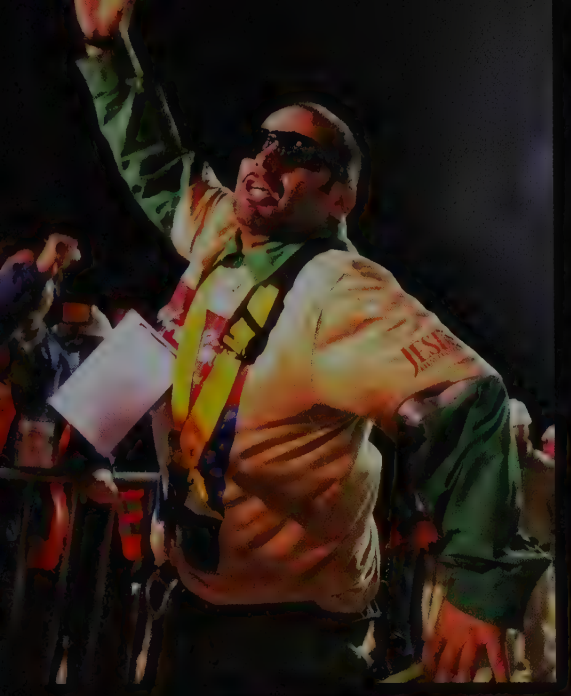

Po lewej: Mario Sepúlveda, któremu nadano przezwisko „Super Mario”, wychodząc z kapsuły, tańczy – podbija tym serca widzów na całym świecie.

Poniżej: Górnik Richard Villarroel, kilka minut po wyjściu na powierzchnię odwożony do utworzonego dla górników szpitala, uśmiecha się.

Powyżej: Kilka minut po wyjściu z kopalni José Henríquez, głoszący pod ziemią Słowo Boże, pozdrawia zebranych wokół ludzi.

Po prawej: Luis Urzúa, ostatni uratowany górnik, wraz z prezydentem Piñerą świętuje wyjście na powierzchnię. W czasie zmiany, kiedy doszło do zawału, Urzúa pełnił funkcję brygadzisty.

Poniżej: Górnicy w szpitalu śmieją się i żartują z prezydentem Piñerą.

Po sześćdziesięciu dziewięciu dniach oczekiwania bliscy górników hucznie świętują zakończenie akcji ewakuacyjnej i uratowanie ostatniego z uwięzionych pod ziemią mężczyzn, Luisa Urzúa.

Po lewej: Odzyskawszy wolność Mario Sepúlveda modli się na plaży w okolicach Copiapó.

DZIEŃ 68: WTOREK 12 PAŹDZIERNIKA

O siódmej rano schron trochę przypominał schronisko dla bezdomnych. Wszędzie leżały porozrzucane ubrania, a mężczyźni na ustawionych w rzędach polowych łóżkach przewracali się nerwowo z boku na bok. Prawie nadzy, tylko w spodenkach, przeciągali się i osłaniali oczy przed światłem, którego w ogóle nie gaszono. Łóżka stały bardzo blisko siebie, więc jeśli ktoś rozłożył ramiona, mógł dotknąć sąsiadów z obu stron.

Po godzinach spędzonych na nerwowym chodzeniu tam i z powrotem oraz grze w karty wielu górników w końcu zasnęło. Claudio Bugueño i Pedro Cortés czytali gazety przy swoich lampach. Liczyli, że w ten sposób czas szybciej im minie i zapomną choć na chwilę o zdenerwowaniu. Victor Zamora, robiąc obchód wilgotnego schronu, opowiadał dowcipy.

Muzyka, która zwykle umilała im czas, została wyłączona. W końcu, po dwóch miesiącach, umilkło nieustanne wiercenie. Pierwszy raz od początku tej gehenny z radością powitali ciszę.

Ogłoszono, że ewakuacja rozpocznie się w ciągu dwudziestu czterech godzin, więc świat czekał w napięciu. Jedyną ulicę w obozie Nadzieja otoczono barierkami, próżno wierząc, że wytrzymają one napór dziennikarzy.

Oddziały reporterów otrzymały teraz wsparcie w postaci stadka pięknych dziennikarek – były to prezenterki różnych programów telewizyjnych. Pozowały na półkach skalnych jak pawie i relacjonowały wydarzenia milionom widzów na świecie. Skąd się wzięły – pozostało tajemnicą. Skoczyły w nocy na spadochronach? Od samego początku media reprezentowali wyłącznie mężczyźni, i to raczej niechlujni. Ze względu na liczbę dostępnych pryszniców i wszechobecny pył, wybierali styl wojskowy lub turystyczny. Obecnie jednak przybyła na miejsce zupełnie inna odmiana tego gatunku, której najlepszym

przykładem była dziennikarka NBC, Natalie Morales – chodziła z zadartym wysoko nosem, prezentując sylwetkę modelki, błyszczące zęby i nieskazitelną fryzurę.

W obozie Nadzieja zaczęto się zakładać, który górnik pierwszy sprzeda swoją historię tabloidom. Plotka głosiła, że jakaś niemiecka gazeta oferuje 40 tysięcy dolarów i że jeden z uwięzionych już podpisał kontrakt. Członkowie rodzin kusili prasę ofertami zdjęć na wyłączność, także tymi zrobionymi pod ziemią.

Przez całe tygodnie Urzúa narzekał, że na dole krąży tyle aparatów fotograficznych.

– Mąż pisał w liście, że wszystko, co przesyłamy, jest przeszukiwane, więc mam uważać. Wymyśliłam, że ukryję aparat w parze skarpetek – przyznała na łamach „The Clinic" jedna z żon. – Zdjęcia mogą się przydać w sprawie o odszkodowanie. Teraz w listach, gdy mówimy o aparacie, używamy szyfru. Nazywamy go „zabawką".

Dla Caroliny Lobos to oblężenie przedstawicieli mediów było trudne do zniesienia. Wpadła w ich sieć dość szybko i udzieliła mnóstwa wywiadów, a nawet wzięła udział w programie *Kto chce zostać milionerem*. Wygrała 25 tysięcy dolarów. Teraz unikała dziennikarzy.

– Ojciec był słynnym piłkarzem, ale teraz jest górnikiem. Wie, jakie są media. Może i jest bohaterem, ale nie chcę sławy. Chcę tylko zniknąć – przyznała Lobos. Planowała cichą ucieczkę z ojcem i rodziną. – Bardzo go denerwuje, że robi się z tego widowisko. Przeżył coś strasznego, a ten cały cyrk odciąga uwagę od najważniejszego – od akcji ratowniczej... Tata nie dał się zwariować, zawsze wiedział, że to wypadek, a nie jakiś show.

Choć ewakuacja miała się rozpocząć za niecałe dwadzieścia cztery godziny, kapsuła leżała na razie spokojnie w warsztacie na wzgórzu. Technicy montowali na dachu kamerę, ale żeby to zrobić, musieli wyciągnąć część przewodów. W ostatniej chwili zdali sobie sprawę, że Feniks nie ma możliwości filmowania

szybu. Na wypadek gdyby skały zaczęły się odrywać i zasypywać szyb, chcieli mieć podgląd.

Pięciu ludzi pod kierunkiem Pedra Galla grzebało przy wysuwanych kołach kapsuły, interkomie i nowej kamerze. W tej chwili Feniks rzeczywiście wyglądał jak prototyp. Czy będzie gotowy, by o dwudziestej trzeciej rozpocząć pracę? Nikt nie śmiał pytać.

Wczesnym popołudniem górnicy postanowili pokrzyżować plany ratownikom. Z dołu dochodziły oznaki buntu. „Los 33" nie chcieli lecieć helikopterem do Copiapó. Żądali zmiany scenariusza – wszyscy zostaną w szpitalu polowym. Nikt nie poleci dalej, dopóki ostatni górnik nie wyjedzie na powierzchnię. Pojawiły się też plotki. Górnicy domagali się triumfalnego marszu ze wzgórza. Skoro razem weszli do kopalni, razem chcą ją opuścić.

Lekarze i psychologowie natychmiast się rzucili, żeby ich od tego odwieść. Co prawda stan górników był dobry, ale nie dało się przewidzieć, co może się stać, gdy po dziesięciu tygodniach jakby nigdy nic wyskoczą spod ziemi i pójdą, gdzie ich oczy poniosą. A co, jeśli cierpią na choroby, które niewłaściwie zdiagnozowano albo których w ogóle nie rozpoznano? Czy to odpowiedzialne, żeby zaspokajać ten zrozumiały, co prawda, ale jednak dziecinny nieco kaprys? Szpital polowy przewidziano na szesnaście osób. Trzydzieści trzy się nie zmieszczą.

ACHS zaczęło gorączkowe konsultacje z prawnikami. Czy górników można postraszyć zawieszeniem świadczeń zdrowotnych i ubezpieczeniowych? Odpowiedź brzmiała: nie. Alejandro Pino, główny koordynator ACHS, zaczął gromadzić flotę karetek pogotowia. Gdyby górnicy rzeczywiście zrezygnowali z helikoptera, chciał mieć plan B.

Iturra, psycholog, przeprowadził swoją ostatnią, spokojną rozmowę z uwięzionymi. Mówił do kierowników zmiany, radząc,

by zajęli czymś pozostałych. Sugerował, żeby się zdrzemnęli. Wtedy kolejny i zarazem ostatni raz zignorowali jego porady.

Kiedy zakończono prace przy kapsule, załadowano do niej 80 kg piasku i próbnie ją spuszczono w dół, i wciągnięto na powierzchnię. Dziesięć minut zajęło jej opuszczenie i tyle samo wciągnięcie. Poszło gładko – ratownicy doszli do wniosku, że być może uda się przeprowadzić całą operację w czasie o połowę krótszym, niż wcześniej zakładano.

O siódmej wieczorem André Sougarret zamieścił na Twitterze wiadomość, że „górnicy spędzili na dole ostatnią noc". Prezydent Piñera ledwie mógł opanować nastrój euforii, gdy ogłaszał ewakuację trzydziestu trzech uwięzionych pod ziemią mężczyzn. Prawie dwa miesiące temu jeden z górników błagał Piñerę przez prowizoryczny telefon: „Niech nas pan wydostanie z tego piekła". Prezydent dzięki temu dramatowi zyskał światową sławę i zdobył wielką popularność w kraju, co potwierdzały sondaże.

Ludzie na całej ziemi zaczęli wspólne odliczanie do pierwszej tego rodzaju akcji ratunkowej w historii świata. Plan był następujący: należało opuścić kapsułę ponad pół kilometra w głąb ziemi, zabrać pasażera i wyciągnąć go na górę – przy użyciu wysokiej klasy austriackiej wciągarki i najlepszej niemieckiej liny – a potem powtarzać całą procedurę aż do momentu, gdy ostatni górnik znajdzie się na powierzchni.

Po prawie dziesięciu tygodniach spędzonych na dnie kopalni złota i miedzi górników czekało jedno, ostatnie wyzwanie – wsiąść do kapsuły ratunkowej o kształcie pocisku i pokonać w niej wydrążony w skale, pełen zakrzywień i nierówności szyb.

– Niektórzy uważają, że Mario Sepúlveda powinien wyjechać pierwszy – informował prasę Iturra kilka dni wcześniej. – Sugerują, żeby Sepúlveda relacjonował wyciąganie kolejnych

górników albo przynajmniej niektórych. Ale powiedziałem Mariowi, że powinien pamiętać, po pierwsze, iż wyjedzie na górę bardzo zmęczony, a po drugie, że jeśli udzieli zbyt wielu wywiadów, jego atrakcyjność i wartość dla mediów pójdą w dół.

Rząd chilijski postanowił, że Mario wyjedzie drugi. Na pewno cieszył się największą popularnością, ale gdyby pojawiły się jakieś nieprzewidziane problemy, to ponieważ zwykle emocjonalnie do wszystkiego podchodził, nie wiadomo, jak by zareagował. Wybrano więc zastępcę brygadzisty, Florencia Ávalosa, sprytnego, wytrzymałego i doświadczonego pracownika. I to on będzie pierwszym z uwięzionych, który znajdzie się na powierzchni.

Ratownicy, wraz z niezwykle podekscytowanym prezydentem Piñerą, wybrali więc Ávalosa, bo mieli nadzieję, że w razie nieprzewidzianych okoliczności potrafi zachować swój zwykły spokój i udzielić rzeczowej informacji centrum dowodzenia.

Ze względów politycznych Chilijczycy zdecydowali, że boliwijski górnik Carlos Mamani również wyjdzie w pierwszej kolejności.

– Nie może być pierwszy, bo Boliwijczycy oskarżą nas o traktowanie ich rodaka jak świnki doświadczalnej. Ale gdyby wyszedł zbyt późno, oskarżyliby nas o uprzedzenia, więc rząd postanowił, że znajdzie się w pierwszej piątce – tłumaczył lekarz z ekipy ratunkowej, który prosił o anonimowość.

Evo Morales, prezydent Boliwii, poprosił o możliwość powitania Mamaniego na miejscu, a Chilijczycy z radością się na to zgodzili. Negocjacje w sprawie dostępu Boliwii do Oceanu Spokojnego, trwające niemal od stu lat, ostatnio znalazły się w fazie krytycznej i wszystko, co mogłoby poprawić sytuację pomiędzy oboma państwami, było mile widziane. Piñera gorąco powitał prezydenta Moralesa, ale w Mamanim ta scena wywołała niesmak i pogardę, tak samo zresztą jak sam Morales.

W rozmowie z doktorem Mañalichem kilku z mężczyzn wyraziło pragnienie, by wyjechać na samym końcu. Wydawało

się, że chcieli zademonstrować, jak ujął to lekarz, „godną podziwu solidarność". Jednak kiedy zadał im więcej pytań, wyszły na jaw prawdziwe motywy ich decyzji: chcieli trafić do Księgi rekordów Guinnessa jako ci, którzy najdłużej przebywali pod ziemią. Mógł to być rekord, który nigdy nie zostanie pobity. Problem rozwiązał wydawca Księgi, oświadczając, że rekord należy do całej grupy, a nie do któregoś z górników.

O ósmej wieczorem pięciu ratowników weszło do małego białego baraku na wzgórzu. Rozmawiali o zbliżającej się akcji i o tym, że jazda próbna przyprawiła jednego z ratowników o takie zawroty głowy, że zwymiotował w kapsule.

– Wilgoć jest dużo większa, niż się człowiek spodziewa – mówił jeden z nich o zjeździe do połowy szybu. – Ubranie miałem po prostu mokre.

– Podzieliliśmy górników na dwie grupy: GOLF, czyli zdrowych, i FOXTROT – tych z potencjalnymi problemami – wyjaśniła doktor Liliana Devia na ostatnim zebraniu w sprawie stanu zdrowia uwięzionych mężczyzn. Devia ostrzegła ratowników, że kilku górników jest w gorszym stanie, niż można wyczytać z relacji prasowych czy nawet opowieści rodzin. U jednego stwierdzono chorobę dwubiegunową, inny podobno próbował wiele lat temu popełnić samobójstwo, a trzeci mówił psychologom i pielęgniarkom, że czeka na niego siedem kochanek.

Opisując dziewięcioosobową grupę FOXTROT, lekarka poinformowała, że dwaj górnicy zostaną od razu wysłani na zabieg stomatologiczny. Kilku innych było tak zdenerwowanych i niestabilnych, że istniały obawy, iż mogą reagować agresywnie. Przygotowano środki uspokajające.

– Strzykawki są przygotowane – dodała doktor Devia i krótko poinstruowała ratowników, jak podawać leki, które „zatrzymają górników w łóżkach".

Doktor Devia, odpowiedzialna za informowanie ratowników o stanie fizycznym i psychicznym uwięzionych, nakreśliła plan działania. Pierwszy ratownik miał pełnić funkcję lekarza i zarazem policjanta. Polecono mu monitorować stan górników i utrzymać dyscyplinę. Dzięki licznym kamerom wideo rozstawionym na dole w czasie rzeczywistym przekazującym obraz oraz dźwięk psychologowie, lekarze i inżynierowie mogli na bieżąco kontrolować operację.

Jeśli wystąpią jakieś trudności albo zdarzy się wypadek, który naruszy procedurę, ratownicy mieli pozwolenie na zaprowadzenie porządku, włącznie z podaniem środków uspokajających. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ratownicy zapoznają górników z kapsułą, poinstruują ich, że muszą zapiąć uprząż na brzuchu oraz założyć długie elastyczne skarpety i podciągnąć je aż na uda. Chodziło o zapewnienie odpowiedniego krążenia krwi. Uprząż pozwalała „zmniejszyć obwód" górnika do rozmiarów odpowiednich dla kapsuły. Kiedy założą już uprząż, drzwi zostaną zamknięte, a odpowiedni sygnał przesłany na górę, rozpocznie się ich droga do wolności. Przez piętnaście minut mknąć będą krętym szybem, kołysząc się i przechylając na boki wraz z kapsułą.

Na powierzchni każdy górnik zostanie natychmiast wyciągnięty z kapsuły i powitany przez prezydenta Piñerę, a potem zaprowadzony na chwilę do rodziny. Potem na noszach przewiozą go do w pełni wyposażonego szpitala polowego zorganizowanego przez ACHS, oddalonego o niecałe dwadzieścia metrów od szybu ratunkowego. Tam nastąpi krótkie badanie, a potem górnicy będą mogli wziąć pierwszy od dziesięciu tygodni prawdziwy prysznic.

W przypadku stwierdzenia u któregoś z mężczyzn jakiejś poważniejszej dolegliwości – fizycznej lub psychicznej – ekipa medyczna zatrzyma go na kilkugodzinną obserwację, a potem odeśle do kolejnego budynku (również wzniesionego w ekspresowym tempie, bo w niecały tydzień), gdzie będzie mógł dłużej

pobyć z rodziną. Ostatnim etapem będzie krótka przejażdżka na lądowisko helikopterów. Zamiast jechać przez godzinę drogą, na której zapewne roiłoby się od paparazzich, górnicy polecą helikopterami chilijskich Sił Powietrznych do koszar w pobliżu szpitala w Copiapó. I tam znów zostaną zatrzymani – w celu przeprowadzenia dalszych badań i porozmawiania z psychologami.

Już podczas planowania ewakuacji przedstawiciele placówek medycznych wiedzieli doskonale, że nie mają prawa zmuszać górników do poddania się badaniom i przyjęcia pomocy medycznej. Jeśli górnik po opuszczeniu kapsuły będzie chciał udać się wprost do domu, władze nie mogły mu tego zabronić. Stan psychiczny mężczyzn sugerował jednak, że nie tylko będą wdzięczni za oferowaną pomoc, ale nawet zależni od niej. Po uratowaniu od pewnej śmierci z dołu płynęła taka wdzięczność, że można było przewidywać, iż górnicy bez oporów zastosują się do procedur, które teraz dokładnie omawiano.

Pod ziemią panował nastrój przyjęcia. Z minigłośników ustawionych niemal pod szybem rozbrzmiewała muzyka. Kamery filmowały ostatnie chwile. Górnicy pozowali do pamiątkowych zdjęć. W wilgotnym powietrzu wyczuwało się pełne napięcia wyczekiwanie.

Mężczyźni stanęli w kółku, by ostatni raz powtórzyć plan ewakuacji. W kapsule zaprojektowano otwieraną podłogę, tak aby górnicy mogli wyjść dołem – na przykład gdyby utknęła w szybie i trzeba by dopiero wymyślić, jak ją wyciągnąć.

O ósmej wieczorem prezydent Piñera przybył do namiotu rozbitego mniej więcej w połowie wysokości wzgórza. Jak na niskobudżetowym przyjęciu weselnym, wewnątrz na przenośnych stołach nakrytych niebieskimi obrusami ustawiono soki, napoje bezalkoholowe, przekąski oraz dwa telewizory z płaskimi ekranami. To w tym namiocie rodziny górników spędzą ostatnie, ciągnące się w nieskończoność godziny oczekiwania. Piñera wraz z żoną Cecilią Morel i najbliższymi współpracownikami

mieli przywitać rodziny oraz, jeśli okaże się to konieczne, śledzić przebieg akcji dzięki przekazowi z umieszczonych pod ziemią kamer. Rodziny na razie pozostawały nieco niżej, w obozie Nadzieja. Każdą z nich otaczał ciasny kordon dziennikarzy, którzy koniecznie chcieli pstryknąć zbliżenie wzruszonych twarzy lub usłyszeć ostatni komentarz podsumowujący przeżycia krewnych w czasie tych sześćdziesięciu dziewięciu dni niepewności. Przy namiocie Ávalosów około stu dziennikarzy balansowało niebezpiecznie na drabinach. Bezustannie się przepychali i w końcu jeden z nich wylądował na namiocie, zgniótł jajka i wywrócił prowizoryczne półki z jedzeniem – niewiele brakowało, a przygniotłyby one mieszkańców.

Prawie nikt na to nie zwrócił uwagi. Rodziny i media nauczyły się jakoś razem żyć, mimo dzielących ich kulturowych i językowych barier. Ale nie wszyscy goście byli mile widziani w obozie. Kiedy przybył brat prezydenta Piñery, zwany „El Negro" (Czarny człowiek), niektórzy członkowie rodzin gwałtownie zaprotestowali. Brat zawdzięczał swoje przezwisko albo kruczoczarnym włosom, albo temu, że w rodzinie uważano go za czarną owcę (w zależności w czyją wersję chce się wierzyć). Właściciel nocnego klubu, piosenkarz i wielbiciel całonocnych hulanek został wyzwany od najgorszych i przepędzony z obozu.

– Wynocha! – krzyczał ktoś. – Mamy już dość show-biznesu.

Dwa chilijskie helikoptery wojskowe to lądowały, to startowały, wykonując ostatnie loty próbne do szpitala w Copiapó. Aby się tam dostać drogą lądową, trzeba by jechać godzinę krętą szosą. Przelot helikopterem zajmie zaledwie pięć minut.

I wtedy góra znów o sobie przypomniała. Spod ziemi wydobyły się znajome przerażające dźwięki. Dach kopalni znów stękał i pomrukiwał. Dudnienie, takie jakie towarzyszy schodzeniu lawiny, huk osuwających się ścian, łoskot spadających kamieni

i trzeszczenie całej kopalni przypominały, że akcja ratunkowa jeszcze się nie skończyła. Rząd chilijski starał się nie dopuścić do tego, by informacja, że kopalnia wali się w ostatnim momencie, przedostała się do prasy. Nie teraz. Nie, kiedy byli już tak blisko. Ale nie udało się utrzymać tego w tajemnicy, bo rodziny miały już w szeregach ratowników własnych informatorów. Plotki mnożyły się w zastraszającym tempie. Informacje dochodziły sprzed kopalni, jak i od samych górników, a nieopierzony jeszcze rząd Piñery nie był już w stanie ich kontrolować.

Wysoko przy stanowisku *palomy* ratownicy patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Przecież górnicy mieli zostać uratowani w ciągu kilku następnych godzin, a tu nagle bogowie postanowili okazać swój gniew? Poddani władzy dawnych przesądów, ludzie nie mieli wątpliwości, że prześladuje ich wściekła bogini, podstępna wiedźma, która rządzi tą i wszystkimi innymi chilijskimi kopalniami.

Starsi, doświadczeni górnicy w ogóle się nie dziwili, dla nich był to klasyczny przypadek. Powszechnie uważano, że kopalnia pobiera podatek, opłatę za wstęp od tych, którzy ważą się do niej wejść. I teraz nie wypowiedziany głośno, ale przez wielu odczuwany strach podpowiadał, że podatkiem będzie ludzkie życie i że kopalnia nigdy nie pozwoli tym trzydziestu trzem mężczyznom wyjść na powierzchnię.

Górotwór nie chciał umilknąć. Ratownicy postanowili maksymalnie przyspieszyć ewakuację, przy której planowaniu najwyższa precyzja odegrała taką samą rolę jak zgadywanie w ciemno – nieuchronne przy każdym pionierskim przedsięwzięciu. Górnicy byli już jedną nogą na wolności, ale dochodzące spod ziemi ciągłe pomruki i trzaski przypominały, że jeszcze za wcześnie na toasty.

Na górnikach ostatnie odgłosy nie zrobiły większego wrażenia. Zdążyli się już przyzwyczaić do gradu kamieni. Jeśli tylko nie

występował bezpośrednio na terenie akcji ratunkowej, czuli się bezpieczni – pioruny może i uderzają, ale dopóki nikt nie został porażony, uznawali, że uniknęli śmierci. Podobne zachowania psychologowie zauważają w czasie wojny u żołnierzy, którzy po wielokrotnej obecności na polu bitwy potrafią iść spokojnie pod gradem kul.

Televisión Nacional de Chile (TVN), chilijska stacja telewizji publicznej, miała relacjonować ewakuację na żywo. Jej pracownicy ustawili siedem kamer, każdą w innym punkcie. Ujęcia zostaną złożone tak, by członkowie rodzin i ludzie na całym świecie mogli śledzić każdy szczegół operacji. Jak w przypadku Mistrzostw Świata czy Super Bowl, akcję będzie można obserwować z każdej strony.

Obawiając się, że górnicy mogą wyjechać nieprzytomni lub zanieczyszczeni wymiocinami, rząd chilijski zachował pełną kontrolę nad tym, co zobaczy świat. Lekarze optowali za tym, by górnicy weszli w blask reflektorów dopiero po ustaleniu ich stanu zdrowia. Wciągnięto więc ogromną chilijską flagę, która zasłoniła widok, co wywołało gwizdy i krzyki protestu.

O jedenastej wieczorem, gdy dziennikarze nadal pokrzykiwali i narzekali, że nic nie widzą, TVN pokazywała wciągarkę, która przygotowywała kapsułę do pierwszego zjazdu. Pomimo częstej obecności w mediach Feniksa wciąż otaczała tajemnica. Kapsuła wyglądała jak rakieta zaprojektowana przez inteligentnych szesnastolatków. Dzięki statecznikom na ogonie i wysuwanym kołom po bokach powinna bez przeszkód przemieszczać się szybem pełnym nierówności i małych zakrętów, które nadawały mu kształt pełznącego sześćsetmetrowego węża. Podróż w górę będzie jak przejażdżka na karuzeli w skalistym parku rozrywki.

Prezydent Piñera patrzył na kapsułę zatroskanym wzrokiem. Zapytał Sougarreta, czy rzeczywiście jest stuprocentowo bezpieczna. Sougarret zapewnił zdenerwowanego przywódcę, że nie ma o co się martwić, ryzyko jest naprawdę niewielkie. Piñera powtórzył jednak pytanie, jakby wciąż nie był pewien.

– Chciałbym zjechać na dół – powiedział w końcu prezydent i dodał, że pomysł, by osobiście sprawdzić bezpieczeństwo Feniksa, niezmiernie go ekscytuje. W tej sytuacji ludziom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Piñery bardzo skoczyło ciśnienie. Wcześniej pilnowali już prezydenta podczas pilotowania helikoptera i nurkowania z butlą, wiedzieli więc, że mówi poważnie. Wiedziała o tym także Cecilia Morel, pierwsza dama. Od razu uznała to za niebezpieczny i głupi pomysł. Spojrzała wprost w oczy męża i powiedziała, żeby wybił to sobie z głowy.

– Nawet o tym nie myśl – rozkazała. I Piñera posłuchał, choć wbrew sobie.

Prezydent spoglądał więc z zazdrością, jak do kapsuły wchodzi ratownik Manuel Gonzáles – pierwszy człowiek, który przebędzie całą trasę od skalistego wzgórza do tej nieznanej krainy, gdzie trzydziestu trzech ludzi żyło w całkowitej izolacji od świata. Przez sześćdziesiąt dziewięć dni. Wielkie żółte koło nad kapsułą zaczęło powoli rozwijać linę. Najpierw w szybie znikły stateczniki Feniksa, a po chwili cała reszta. Świat patrzył.

TRZYNAŚCIE

EWAKUACJA

DZIEŃ 68: WTOREK 12 PAŹDZIERNIKA

Gdy kapsuła zjeżdżała na dół, ludzie na powierzchni z zapartym tchem śledzili obrazy pojawiające się na trzech monitorach z kamer umieszczonych w różnych miejscach. Prezydenta Piñerę i jego żonę otaczali najbliżsi współpracownicy. Wpatrywali się w ekran przekazujący bezpośrednią transmisję z dna kopalni. Kiedy kapsuła dotrze na miejsce, obraz będzie nadawany na cały świat. Piñera nie zgodził się, by przekaz na żywo ograniczyć do niezbyt wyraźnych ujęć z daleka, które ani nie wzbudzały emocji, ani nie oddawały dramatyzmu sytuacji. Świetnie rozumiejąc oczekiwania widzów na całym globie, Piñera przekonał swoich doradców, że teraz właśnie Chile ma swoje pięć minut, żeby pokazać światu, co potrafi. Przy okazji tę samą wiadomość chciał świeżo upieczony prezydent przesłać swojemu narodowi. Piñera nie był politykiem, którego łączą z obywatelami jakieś szczególne emocjonalne więzi, kapitał polityczny zdobył przedsiębiorczością i umiejętnością wykazania się inicjatywą.

Przy drugim monitorze dyżurował Otto, poważny, lecz łagodny Austriak, który odpowiadał za opuszczanie i wyciąga-

nie kapsuły. Na platformie swojego centrum kontroli wielkości ciężarówki miał laptopa podłączonego do kamery na dole. Odbierał obraz i dźwięk z miejsca, do którego miała dotrzeć kapsuła. Dla niego ziarnisty, czarno-biały obraz był jak przekaz z innej planety, na którą wyrusza zdalnie sterowany przez niego pojazd.

W trzeci monitor patrzył Pedro Gallo, skromny wynalazca, który nieoczekiwanie przeobraził się z nic nie znaczącego właściciela jednoosobowej firmy telekomunikacyjnej w jednego z głównodowodzących akcją ratowniczą i zdobył przy tym serca górników. Jako przedsiębiorca wywodzący się z klasy pracującej rozumiał ich bolączki, umiał wytłumaczyć innym ich obawy i zaspokoić ich skryte potrzeby. Choć później będzie się tego wypierał, górnicy zarzekali się, że to Gallo przesyłał *palomą* czekoladę i inne słodycze. Te symboliczne akty nieposłuszeństwa oraz bezdyskusyjna lojalność wobec górników, a nie dowodzących akcją ratunkową, sprawiła, że w oczach tych pierwszych był niemal świętym.

Pięciu ratowników czekało gotowych do zjazdu na dół: dwóch żołnierzy piechoty morskiej z dużym doświadczeniem medycznym, dwóch ratowników z Codelco i jeden członek GOPE, chilijskiej jednostki policji do operacji specjalnych, który wykazał się już odwagą, wchodząc do kopalni podczas pierwszych, bardzo niebezpiecznych czterdziestu ośmiu godzin po zawale.

Feniks zostanie opuszczony przez strop warsztatu, pomieszczenia, w którym wcześniej, gdy kopalnia jeszcze działała, naprawiano i zostawiano na noc pojazdy. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy warsztat uznano za zbyt niestabilny, by górnicy mogli tam spać, więc rzadko wędrowali korytarzami wiodącymi prawie czterysta metrów w górę od ich właściwej kwatery. Dziś, w tym ostatnim i najważniejszym dniu dziesięciotygodniowego koszmaru warsztat to strefa zero, więc górnicy przenieśli swoje łóżka i ubrania do sąsiadującego z nim wyrobiska.

Mimo podekscytowania i buzującej adrenaliny nie przerywali codziennej pracy zmianowej. Ktoś musiał dyżurować przy *palomie*, żeby odebrać ostatnie przesyłki – włącznie ze specjalną odzieżą, okularami przeciwsłonecznymi i świeżymi skarpetami. Dostawy żywności zostaną wstrzymane dopiero w ostatniej chwili – ratownicy będą przebywać pod ziemią cały dzień, więc *paloma* musi dostarczyć im gorące posiłki, żeby byli w pełni sprawni. Grafik dyżurów przy *palomie* ustalono już dawno temu, na długo zanim jeszcze poznali datę ewakuacji. Wszyscy traktowali je bardzo poważnie. Ostatnia zmiana przypadła Franklinowi Lobosowi – to zadanie niemal kosztowało go życie.

Była 23.37, gdy terkot kół i szczęk metalu oznajmiły przybycie kapsuły. Czerwone stateczniki powoli opadały w dół. Kiedy Feniks stopniowo wyłaniał się z szybu, górnicy mieli wrażenie, jakby odwiedził ich gość z innej planety. Byli oszołomieni. Oto spełnia się ich marzenie. Yonni Barrios zbliżył się do kapsuły, zajrzał do środka i zobaczył ratownika Manuela Gonzáleza. Po raz pierwszy od sześćdziesięciu dziewięciu dni w kopalni zjawił się nowy człowiek.

Trzydziestu trzech mężczyzn z podziwem i szacunkiem patrzyło, jak González otwiera drzwi kapsuły, wychodzi z niej i obejmuje Barriosa. I wtedy tabun prawie nagich mężczyzn rzucił się na ratownika, by się przywitać.

Jednego z górników, Florencia Ávalosa, od wolności dzieliły już tylko minuty.

Ávalos był gotów. Wśliznął się w uszyty na miarę zielony kombinezon. Na nosie miał już okulary przeciwsłoneczne. Na prawym nadgarstku specjalne urządzenie mierzyło mu puls i wysyłało informację do ekipy na powierzchni. Jego prawy palec wskazujący tkwił w innym urządzeniu, które podawało informację o poziomie tlenu w jego krwi. Klatkę piersiową opa-

sywał specjalny pas – skomplikowana aparatura pomiarowa, która wysyłała na górę jeszcze kilka dodatkowych informacji dla lekarzy i techników.

Reszta górników zebrała się wokół niego, by popatrzeć, zrobić zdjęcia i nagrać całą scenę. Mimo że górnicy byli zdenerwowani, pomieszczenie wypełnił dziwny spokój. Jak zawodowi sportowcy w szatni przed ważnym meczem, mężczyźni żartowali i chodzili w kółko, ale wyczuwało się ich wiarę w powodzenie akcji. Na moment zapomnieli o przerażeniu, jakie ich ogarnęło w czasie zawału, i o tym długo towarzyszącym im poczuciu, że śmierć depcze im po piętach. Teraz zapanowała atmosfera radosnej imprezy, zwłaszcza że z czeluści kopalni dochodziła muzyka. Białe balony odbijały się od posadzki, gdy górnicy chodzili nerwowo tam i z powrotem – prawie nadzy, tylko w czystych białych slipach.

Perspektywa wyjścia na powierzchnię sprawiła, że w ich organizmach zaczęła się wydzielać adrenalina. Czuli, że wygrywają tę dziesięciotygodniową walkę z kopalnią. Wzdłuż ciemnych korytarzy tańczyły jasne snopy światła latarek, gdy wszystko jeszcze raz sprawdzali. Szczęk karabinków przypominał im, że na dole są już ratownicy z Codelco, GOPE i chilijskiej piechoty morskiej.

González założył Ávalosowi na szyję biały plastikowy identyfikator – podobny do tych, które noszą pracownicy służb technicznych na koncertach rockowych. Cała akcja była pełna rozkazów i procedur. Przez kilka tygodni ćwiczyli każdy jej moment. Jednak góra, w której była kopalnia, wciąż mogła im pokrzyżować plany. Nawet najgłębszy spokój siedemset metrów pod ziemią mógł być tylko iluzoryczną ucieczką od klaustrofobicznej rzeczywistości.

O godzinie 23.53 Ávalos wszedł do kapsuły, a ratownicy zamknęli drzwi. Górnicy z niecierpliwością nasłuchiwali odgłosów

rozmowy między Ottonem, austriackim operatorem wciągarki, centrum łączności i Pedrem Cortésem na dole. Tymczasem Ávalos nie mógł się doczekać tak bliskiego już spotkania z rodziną – dwójką synów, którzy od dwóch miesięcy nie widzieli ojca, i żoną, która pisała listy i oglądała nagrania, ale nie mogła przecież dotknąć męża ani spojrzeć mu w oczy. Ávalos wyszedł do pracy pewnego zimowego poranka, a teraz na świecie panowała już wiosna.

Kiedy kapsuła ruszyła w górę, *compañeros* Ávalosa wiwatowali, gwizdali i wznosili radosne okrzyki. Potem, zupełnie nagle, został sam. Przez piętnaście minut patrzył na drucianą siatkę, która dzieliła świat na równe romby. Lampa wewnątrz kapsuły oświetlała gładką, wilgotną powierzchnię skały. Sprężynujące koła szczękały, posuwając się wzdłuż skalnej ściany. Feniks podskakiwał na nierównościach i powoli wiózł Ávalosa na wolność.

Mniej więcej dwadzieścia metrów pod powierzchnią mężczyzna zobaczył pierwszy delikatny blask i usłyszał odgłosy życia. Ratownicy krzyczeli w jego stronę, pytając, czy wszystko w porządku. I potem nagle znalazł się w pełnym świetle – bohater dla czekającego w napięciu świata, ojciec wracający na łono stęsknionej rodziny i wielki skok w sondażach dla stojącego w pierwszym rzędzie prezydenta Piñery.

Kiedy wyciągnęli go z kapsuły, Byron, jego dziewięcioletni synek, się rozpłakał. Ratownicy skakali z radości. Kamery filmowały rozdzierającą serce scenę – przez moment dziewięciolatek był sam ze swoimi emocjami. Pierwsza dama, Cecilia Morel, minister zdrowia Mañalich, i Rene Aguilar, zastępca dowodzącego akcją, pospieszyli, aby pocieszyć dziecko. I wtedy nadeszło prawdziwe ukojenie – uścisk ojca.

Ministrowie, ratownicy w kaskach, lekarze i dziennikarze – wszyscy ocierali łzy wzruszenia. Już na początku uwięzieni określili się mianem „Los 33", a świat poznał ich jako zgraną grupę ludzi, zdolnych wspólnie pracować. W świecie, który

tak często definiują akty przemocy i zachowania egoistyczne, „Los 33" pozostali zjednoczeni wbrew wszystkiemu i dali przykład braterstwa bohaterów klasy pracującej. Praca zespołowa utrzymała ich przy życiu, a teraz razem zostaną uratowani.

Florencio uściskał najpierw rodzinę, potem prezydenta Piñerę, a później ratowników. Następnie położył się na noszach i został odwieziony do szpitala polowego. Cały personel szpitalny powitał go oklaskami. Lekarze przypuszczali, że Ávalos jest zdrowy – wybrano go na pierwszego właśnie ze względu na kondycję fizyczną i psychiczną – ale mimo to podali mu glukozę, a pielęgniarka zmierzyła mu ciśnienie. Kiedy leżał na łóżku, myślał o swoim młodszym bracie Renánie, wciąż uwięzionym pod ziemią.

CZWARTEK 14 PAŹDZIERNIKA, GODZ. 1.00

Jako rzecznik, clown i bezsporny lider „Los 33", Mario Sepúlveda przez sześćdziesiąt dziewięć dni nosił na swoich barkach ogromny ciężar. Nigdy nie zapominał, jak wielkie znaczenie dla przywódcy ma poczucie humoru i umiejętność rozbawienia innych – był jak nadworny błazen dla niewidocznych królów i księżniczek przysyłających rozkazy z góry. Jednak Sepúlveda posiadł też inną zdolność: świetnie rozumiał dynamikę grupy i wiedział, kiedy należało brutalnie zagrozić użyciem siły fizycznej. Teraz, gdy tę odpowiedzialność z niego zdjęto, będzie błyszczał w świetle reflektorów.

Zanim wszedł do kapsuły, trochę pożartował. O godz. 1.09, gdy Feniks zbliżał się do powierzchni ziemi, zaczął komentować swoją ewakuację.

– Ej tam, stara! – wołał do Katty, swojej trzydziestotrzyletniej żony. Na górze słyszeli jego śmiech. Gdy rechocząc, wyjechał na górę, natychmiast wyskoczył z kapsuły i nie zwracając uwagi na ratowników, którzy chcieli rozpiąć mu pasy i zdjąć aparaturę medyczną, rzucił się w kierunku prezydenta Piñery,

przykląkł na jednym kolanie i zaczął wyciągać prezenty ze swojej ukochanej, żółtej, ręcznie zrobionej torby – garść białych kamyków błyszczących złotymi żyłkami pirytu. Jeden dla prezydenta. Jeden dla ministra. Obdarowani śmiali się, zaciskając kamyki w dłoniach. Sepúlveda uściskał Piñerę trzy razy, a potem zajął się żoną, sugerując, że będą się kochać tak długo, aż żadne z nich nie będzie w stanie stać o własnych siłach.

– Przygotujcie wózek – zażartował.

Podbiegł potem do Pedra Galla i mocno go objął, pełen wdzięczności za wszystko, co ten osobiście zrobił, żeby uratować górników. Gallo płakał. Tłum zaczynał coraz głośniej wiwatować. Sepúlveda przyczynił się do, jak to nazwał reporter „Guardiana", „wybuchu globalnej radości".

W obozie Nadzieja gorączka ogarnęła wszystkich tylko na krótko. Członkowie rodzin oczywiście cieszyli się z pierwszych udanych powrotów, jednak nie mogli świętować, dopóki wszyscy nie wydostaną się z kopalni. Mieli świadomość, jak niepewna jest lina, która oddziela życie od śmierci.

Gdy kapsuła znów pomknęła w dół, Ávalosa i Sepúlvedę przeniesiono ze szpitala do sali spotkań, usytuowanej nieco wyżej na wzgórzu, bliżej lądowiska helikopterów. Białe kanapy, kwiatowe dekoracje i chłodne niebieskie światło – wnętrze przypominało elegancki nocny klub. Nic nie nasuwało skojarzeń z lekami, chorobą czy traumą. Chilijscy psychiatrzy i psychologowie zaprojektowali ekskluzywny salon i szerokie przejścia prowadzące do prywatnych pomieszczeń.

W sali głównej Ávalos uściskał dwóch synów, żonę i prezydenta Piñerę. Po drugiej stronie pomieszczenia to samo robił Sepúlveda – śmiał się, całował i ściskał rodzinę. Potem Piñera odciągnął Sepúlvedę na bok i poprosił go, aby udzielił krótkiego wywiadu telewizji. Ekipa czekała w jednym ze skrzydeł. Nie mając wielkiego wyboru – trudno odmówić prezydentowi – Sepúlveda usiadł przed kamerą i przedstawił bardzo pozytywny obraz tego, przez co wszyscy tam na dole przeszli.

– Jestem zadowolony, że mi się to przytrafiło, bo w moim życiu nadszedł czas na zmiany. Znalazłem się między Bogiem i diabłem, a oni o mnie walczyli. I wygrał Bóg. Podał mi rękę, a ja ją przyjąłem. Przyjąłem najlepszą pomoc na świecie i nigdy nie wątpiłem, że Bóg mnie stamtąd wyciągnie. Zawsze to wiedziałem.

Potem Sepúlveda pobiegł uściskać Ávalosa. Mężczyźni się objęli, a ich twarze rozpromieniły uśmiechy. Groźba, że wszyscy wydobywani mężczyźni zostaną na wzgórzu, aż do czasu, gdy przybędzie reszta, poszła chyba w zapomnienie. Przygotowania ratowników – konsultacje z prawnikami, groźby zawieszenia świadczeń, konwój karetek gotowych przewieźć trzydzieści trzy osoby – okazały się niepotrzebne. Sepúlveda i Ávalos dumnie pomaszerowali w kierunku helikoptera. Przepełniające ich emocje i wdzięczność, jaką odczuwali w tej chwili, wymazały wszelkie myśli o górniczej rebelii.

Juan Illanes
Carlos Mamani
Jimmy Sánchez
Osmán Araya
José Ojeda
Claudio Yáñez
Mario Gómez
Alex Vega
Jorge Galleguillos
Edison Peña
Carlos Barrios
Víctor Zamora
Víctor Segovia
Daniel Herrera

Jeden po drugim, z wojskową precyzją, mężczyźni zostali wyciągnięci na powierzchnię. Każdy z nich miał swoją historię,

swoją rodzinę i pierwszy, wzruszający pocałunek. Niektórzy padali na kolana i modlili się, inni płakali. Emocji wystarczyło w zupełności, by świat się zatrzymał i w zachwycie śledził wydarzenia szeroko otwartymi oczami. Z każdą godziną ludzi coraz bardziej łączyło odczuwane współczucie.

Feniks, teraz z bardzo porysowaną zewnętrzną powłoką, okazał się prawdziwym koniem roboczym nowej generacji: solidnym, niezawodnym i lojalnym.

Górnicy po kolei wsiadali do kapsuły i wyjeżdżali na powierzchnię. Spryskiwali się przemyconą na dół tanią wodą kolońską. Nie byli przy tym zbyt oszczędni.

– Boże, kapsuła po prostu cuchnęła wodą kolońską – powiedział jeden z ratowników. – Nie znam nazwy, ale wszyscy użyli tej samej. Coś okropnego.

Richard Villarroel postanowił przed wyjazdem na górę zrobić jeszcze ostatnie zdjęcia. Chciał zatrzymać w kadrze obrazy ich schronu, swojego łóżka, przyjaciół, jak się obejmują, śmieją i pozują. Górnicy ozdobili swój podziemny dom jak muzeum, na ścianach wisiały flagi ich ulubionych drużyn i wielkie kartki z podziękowaniami dla ratowników.

Villarroel mówił, że wchodząc do kapsuły ze słuchawkami na uszach, w których rozbrzmiewał głos gwatemalskiego piosenkarza Ricarda Arjony, czuł smutek.

– Trudno było zostawiać przyjaciół na dole.

Ale gdy kapsuła zbliżała się do powierzchni, Villarroel zaczął krzyczeć z radości. Przeklinał kopalnię.

– A potem poczułem zmianę powietrza. Poczułem czyste powietrze – to była najlepsza chwila. [...] Różnica jest niesamowita.

Dla światowej widowni, ocenianej na miliard osób, oglądanie chilijskiej akcji ratowniczej było czymś wspaniałym. Ziarnisty, czarno-biały obraz spod ziemi wydawał się transmisją z innej planety. Wielu widzom dramatyzm tej sytuacji i wspólne jej przeżywanie przypominały o misji Apollo w 1969

roku, kiedy to Neil Armstrong jako pierwszy człowiek stanął na Księżyciu.

Tymczasem na dnie kopalni los dalej pisał scenariusz.

O godzinie 1.30, gdy kapsuła zjechała w dół, by zabrać siedemnastego górnika, Omara Reygadasa, potężny huk odbił się głośnym echem w szybie. Potem mężczyźni na dole usłyszeli spadające odłamki skalne i rumor. Obraz z kamery filmującej akcję znikł. Operacja Lorenzo straciła wzrok.

Na swoim stanowisku łączności Pedro Gallo natychmiast wywołał górników przez interkom. Prosił Pedra Cortésa, który zajmował się pod ziemią sprzętem, żeby sprawdził, co się dzieje. Cortés się zawahał – kabel światłowodowy znajdował się w pobliżu miejsca ostatniego osunięcia. Pył jeszcze nie opadł, a on miał się udać w potencjalnie śmiertelnie niebezpieczną strefę tunelu.

– Chcesz mnie tam wysłać? Przecież wiesz, że to niebezpieczne. Były dwa zawały – jąkał się Cortés. Wcześniej w tym samym roku stracił w kopalni palec u ręki, teraz miał ryzykować o wiele więcej.

Gallo powiedział mu, że podgląd jest niezmiernie ważny. Operatorzy wciągarki muszą widzieć, jak wygląda sytuacja w danym momencie, żeby móc delikatnie posadzić kapsułę. Twarde lądowanie mogłoby ją uszkodzić albo spowodować, że się zaklinuje. A oglądali to na żywo prezydent Piñera i prawdopodobnie co czwarty dorosły człowiek na ziemi.

W końcu Cortés niechętnie zgodził się przejść przez ten tor przeszkód. Będzie musiał pokonać odcinek, gdzie spadają jeszcze odłamki z niedawno zawalonego stropu, z popękanymi i nadal pękającymi ścianami, a potem przebiec jeszcze sto osiemdziesiąt metrów w błocie. Idąc wzdłuż światłowodu, zna-

lazł przyczynę awarii – kabel został przecięty przez spadające kamienie.

Nie dało się tego naprawić. Setki kilogramów skały przygniotło kabel. Po chwili zastanowienia Gallo wymyślił szybkie rozwiązanie – mogą wykorzystać kabel zasilający kamerę w schronie, położonym trzysta metrów niżej: trzeba odłączyć go od tamtej kamery i podpiąć do kamery głównej filmującej akcję ratowniczą.

Gallo zadzwonił na telefon w schronie – zszokowany usłyszał w słuchawce głos Lobosa. Był sam na dalekim krańcu chodnika, w którym przed chwilą doszło do dwóch zawałów.

– Franklin! Co ty tam robisz?

– To moja zmiana. Odbieram jedzenie dla ratowników – odparł ze stoickim spokojem Lobos. – Dyżur to dyżur, a dziś moja kolej. Muszę wypełnić swój obowiązek.

– Stary, chyba cię pogięło! Były dwa zawały. Wynoś się stamtąd, i to już! – krzyczał do słuchawki Gallo.

– A jedzenie? Co z jedzeniem dla ratowników? – Lobos trzymał się procedur, zdeterminowany wytrwać do końca na posterunku albo nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa.

– Zapomnij, człowieku – wrzeszczał Gallo. – Wyślę jedzenie w kapsule. A ty wynoś się stamtąd!

Gdy Gallo walczył z awarią, prezydenta Piñerę, Televisión Nacional de Chile i Ottona, operatora wciągarki, nurtowało to samo pytanie: co się stało z obrazem?

Gallo poinformował Piñerę i Ottona, jak wygląda sytuacja – że stracili sygnał i pracowali nad odzyskaniem obrazu. Telewizji przesłał po prostu wideo z wcześniejszych etapów operacji.

– Wariowali z powodu braku obrazu, więc wziąłem wcześniejsze nagranie i puściłem na wizję. Potem zapytałem, czy wszystko w porządku, a oni mi podziękowali.

I miliard ludzi na świecie został oszukany. Nie mieli pojęcia, że transmisja tej idealnej ewakuacji pokazywana w najdalszych zakątkach świata to zmyłka, która ma ukryć dramatycz-

ny rozdział akcji ratunkowej, zbyt ryzykowny, by rząd chilijski pozwolił na pokazanie go światu. Jak każdy program z serii reality TV, dramat górników również wymagał kilku poprawek i scenariusza.

Ale ewakuacji nie przerwano. Oprócz Omara Reygadasa w czasie, gdy nie było podglądu z dołu, wyciągnięto jeszcze dwóch jego kolegów.

– Moja podróż w górę była dosyć nerwowa – mówił Reygadas. Najpierw nie mógł wejść do kapsuły, bo drzwi się zacięły. Ratownicy nie potrafili ich otworzyć. W końcu pokonali metalową siatkę za pomocą łomu. – Myślałem, że kopalnia nie chce mnie wypuścić. Kiedy już je otwarli, nie mogli ich domknąć, więc użyli taśmy. Przez całą drogę trzymałem drzwi, żeby się nie otwarły.

Kiedy kapsuła zaczęła się wznosić, Reygadas żartował z pozostałych kolegów.

– Wykrzykiwałem do nich coś w rodzaju: „Cholerka, wynoszę się stąd. Udało mi się. Udało mi się! Udało się!" – Ale mimo ogarniającej go radości poczuł też nagłą nostalgię za podziemnym światem. – Coś po sobie zostawialiśmy. Żyliśmy tam przez długi czas. Miałem uczucie, że zostawiam tam część siebie. To było jednak sześćdziesiąt dziewięć dni. Jakaś cząstka mnie tam została. Powiedziałem sobie, że to te złe cechy mojego charakteru i że na powierzchnię wyjadę z tymi najlepszymi.

Reygadas, wdowiec, nie mógł się doczekać, kiedy uściska swoje „małe małpki", jak nazywał gromadę wnuków. Kiedy zbliżał się do powierzchni, nawoływał ratowników.

– Chi... Chi... Chi... – krzyczał do nich, a oni odpowiadali: „Le... Le... Le...", tym samym potwierdzając, że wszystko jest w porządku, że już za chwilę będzie bezpieczny. – Słyszałem głos z góry, który pytał, czy wszystko OK, więc wrzasnąłem „OK, kurwa, OK", a potem przypomniałem sobie, że na górze jest przecież prezydent...

Kiedy Reygadas świętował już z „małymi małpkami", Pedro Gallo musiał poprosić Cortésa o wykonanie jeszcze jednej samobójczej misji. Tym razem, zamiast igrać ze śmiercią, szukając w chodniku źródła awarii, miał pobiec trzysta sześćdziesiąt metrów, do schronu, odłączyć kabel i zastąpić nim ten, który stracili.

– Nie wysyłaj mnie znowu – błagał Cortés. Potem zgodził się raz jeszcze wystawić się na grad odłamków. Ale najpierw chciał się pożegnać. Przybliżył twarz do drugiej podziemnej kamery i powiedział: – Gdyby coś mi się stało, to jestem tutaj, po raz ostatni.

Gallo zadygotał ze strachu. To on wysyłał Cortésa na tę misję i teraz poczuł ciężar przeznaczenia. Jeśli Cortés zostanie przygnieciony, okaleczony albo zabity, będzie go miał na sumieniu.

Zawał nie zablokował korytarza, co potwierdził wyczerpany Lobos, który przybiegł z dołu. Powiedział Cortésowi, że jest dość miejsca między dwoma osuwiskami, życzył mu szczęścia i zaczął przygotowania do ucieczki spod ziemi. Cortés nie kwestionował rozkazu, pomodlił się tylko o życie i przygotował do ostatniego wypadu do schronu.

W kopalni znanej z tego, że pracowali w niej mężczyźni określający się jako kamikadze, Cortés po raz drugi będzie prowokował bogów. Nawet w normalnych warunkach kopalnia potrafiła okaleczać i zabijać. Teraz, w tym ostatnim akcie, była bardziej niż zwykle niestabilna i niebezpieczna. Ale Cortés przetrwał prawie całogodzinną misję i wrócił jako bohater.

– Jego życie było w moich rękach – przyznał Gallo, który w tamtym czasie nie spał od ponad czterdziestu ośmiu godzin. – Ale to był obowiązek, a on musiał go wykonać.

Kiedy mieli już światłowód, Cortés i Ticona podłączyli kamerę. Potem Gallo przypomniał wszystkim, że telewizja nadaje „transmisję na żywo", tzn. wyświetla pusty ekran – bez kapsuły i ludzi. W rzeczywistości na dole górnicy i ratownicy tłoczy-

li się w pobliżu szybu. Gdyby Gallo nagle włączył prawdziwy podgląd, zdradziłby ich, bo ni stąd, ni zowąd na kilkuset milionach ekranów pojawiliby się ludzie.

Scena opustoszała, więc Gallo włączył prawdziwy podgląd, a potem górnicy i ratownicy mogli wrócić na swoje miejsca.

– Nikt nic nie zauważył – mówił z dumą Gallo.

Ze względu na wzrastające obawy o stabilność kopalni starano się maksymalnie przyspieszyć akcję. Operacja San Lorenzo nabrała tempa. Wydostanie pierwszych szesnastu uwięzionych było pokazem chilijskiej skuteczności i międzynarodowej współpracy. Teraz mściwa kopalnia zagrażała wciągnięciem ogólnoświatowej widowni w tragedię porównywalną z katastrofą „Titanica". Jeśli osuwające się skały zasypałyby górników w ostatniej chwili, zasypałyby także i pogrzebały ten rzadki moment globalnego optymizmu. Tymczasem w kopalni na pozór panował doskonały nastrój – rozbrzmiewały dźwięki muzyki, a balony obijały się o ściany. Mimo to wszyscy mieli przeczucie, że wściekła kopalnia szykuje jeszcze jedną serię niespodzianek.

Esteban Rojas
Pablo Rojas
Darío Segovia
Yonni Barrios
Samuel Ávalos
Carlos Bugueño
José Henríquez
Renán Ávalos
Claudio Acuña

Plan akcji ratunkowej zakładał udział ratowników przeszkolonych zarówno w zakresie wspinaczki wysokogórskiej, jak i medycyny wojskowej. Marynarka wojenna Chile wysłała dwóch komandosów z dużym doświadczeniem medycznym – potrafili

poradzić sobie z każdym wypadkiem i mieli ze sobą wszystko, od zamkniętego na klucz pojemnika z morfiną do strzykawki z lekami uspokajającymi. Nie chcąc urazić miejscowych ratowników, minister Golborne w ostatnim momencie pozwolił zjechać na dół także jednemu z nich – Pedrowi Riverowi. Ryzykował on już życiem w czasie pierwszych prób odnalezienia górników po zawale. Nikt nie mógł kwestionować jego odwagi ani umiejętności. Ale moment na włączenie go do akcji był chyba najgorszy z możliwych. Wszystkie procedury i dokładny plan akcji ustalono już dawno temu, a teraz pojawienie się Rivera spowodowało pewien chaos.

Rivero wyszedł z kapsuły i natychmiast zaczął sprawiać kłopoty. Wymachiwał kamerą i wszystko filmował. Poszedł w głąb kopalni, chodnikiem, w którym niedawno dwa razy doszło do obsunięcia się skały. Według Pedra Galla, który przyglądał się całej scenie, zadaniem Rivera było nakręcenie ostatnich chwil pod ziemią. Nikt z górników i ratowników nie uznał tego za rozsądne. „Nigdy nie ratuj ratownika" – brzmiała zasada całej ekipy. Biorąc pod uwagę zagrożenie kolejnymi osunięciami, które mogły uniemożliwić dalszą akcję, niepotrzebne ryzyko uznano za zwykłe szaleństwo.

Kiedy wrócił, poprosił o telefon i ogłosił, że sam Golborne przysłał go z misją specjalną i że zostaje w kopalni do końca. Z tego, co mówił, wynikało, że właśnie on ma wyjechać ostatni. Komandosi osłupieli. Z ich punktu widzenia zachowanie Rivera ocierało się o zdradę stanu.

Wybuchła gwałtowna kłótnia. Komandosi grozili, że siłą wepchnął Rivera do kapsuły.

Jako koordynator rozmów z Pedrem Gallem Cortés słyszał całą awanturę i nie mógł się nadziwić, jak do tego doszło.

– Co jest grane? – pytał Cortés Galla. – Ratownicy się kłócą, a przecież mieli nas ratować, tak czy nie?

Tymczasem górnicy zebrali się dookoła, by obejrzeć ten osobliwy spektakl.

Wtedy zadzwonił Golborne, żądając, by Rivero wyjaśnił swoim przełożonym na górze powody tej awantury. Rivero jednak się nie poddawał i odmówił odebrania telefonu. Gallo się zastanawiał, czy komandosi rzeczywiście nie będą zmuszeni siłą wepchnąć zadziornego Rivera do kapsuły, ale ostatecznie udało się go przekonać.

Kiedy Rivero niechętnie podszedł do Feniksa, komandosi złapali jego worek z pamiątkami – kawałkami skał i minerałów z czeluści kopalni – i wyrzucili zawartość, po czym wręczyli mu pusty wór, dając do zrozumienia, że to koniec jego przygody w tym miejscu. Rivero wszedł do Feniksa dobrowolnie, a potem, chcąc raz jeszcze ich zdenerwować, trzasnął metalowymi drzwiami. Zszokowani górnicy patrzyli, jak powoli znika w szybie. Choć obraz na żywo z całej akcji przekazywało siedem kamer, dzięki uważnej cenzurze Pedra Galla świat nie zobaczył ani sekundy z tych dramatycznych scen, jakie rozegrały się na pierwszym planie.

Kiedy ratownicy pozbyli się Rivera, rozpoczęli ostatnią fazę operacji. Franklin Lobos był dwudziestym siódmym wyciągniętym na powierzchnię górnikiem. Kiedy kapsuła jechała w górę, usłyszał głębokie dudnienie. Jeszcze jeden zawał. Czy szyb jest zagrożony? Jak blisko osunęły się skały? Akustyka kopalni wprowadzała w błąd. Czasami się wydawało, że słowa mkną chodnikami i niespodziewanie zamieniają się w szept. Kiedy indziej pojawiała się próżnia i pochłaniała wypowiedź stojącego tuż obok kolegi. Lobos był niemal pewien, że to osunięcie było gdzieś blisko.

– Brzmiało to tak, jakby się zawalił cały jeden poziom – wspominał.

O godzinie 19.20, kiedy dotarł bezpiecznie na powierzchnię, przywitał się z córką, Caroliną. Mocno ją uściskał. Ona ujęła jego twarz w dłonie i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem podała mu nową piłkę. Zrozumiał i dał popis żonglerki. Lobos rozpoczął nowe życie. Już nigdy nie będzie tym czło-

wiekiem, który dziesięć tygodni temu wszedł do kopalni. Teraz nawet najmniejsza codzienna czynność była czymś przepięknym.

W tym czasie w szpitalu cała jedna ściana pokryta została nazwiskami górników i ratowników. Kiedy kapsuła wyjeżdżała na górę, odpowiednie nazwisko odhaczano. Rozpoczynało się świętowanie.

Członkowie rodzin górników tłoczyli się przy łóżkach, by potrzymać za rękę swoich bliskich, którzy wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć w to, co się wokół nich dzieje. Kakofonię dzwonków komórek, odgłosy klepania po plecach i gwar setki ludzi w prowizorycznej klinice co pół godziny przerywało przybycie kolejnego górnika – każdego witano oklaskami i okrzykami. Lekarze ściskali pilotów F16. Pielęgniarki pozowały z dowódcami okrętów podwodnych. Ratownicy medyczni, geologowie i kartografowie obejmowali się prawdopodobnie po raz ostatni. Po miesiącach wspólnych działań batalia zbliżała się do końca.

Richard Villarroel
Juan Aguilar
Raúl Bustos
Pedro Cortés
Ariel Ticona

Lista uratowanych cały czas się wydłużała. O godzinie 21.30 brakowało na górze już tylko jednego górnika.

I raz jeszcze kapsuła powędrowała w dół, do więzienia, w którym trzydziestu trzech mężczyzn spędziło ponad dwa miesiące. Na dnie kopalni Urzúa ostrożnie wszedł do kapsuły.

Rozejrzał się i kapsuła zaczęła się unosić. Jego misja też dobiegała końca.

Prezydent Piñera i tabuny jego ludzi tłoczyli się wokół wylotu szybu. Policjanci pilnujący wcześniej porządku gdzieś się ulotnili, a ich miejsce zajęli gapie. W obozie Nadzieja narastające napięcie groziło już wybuchem. Na całym świecie miliard widzów wciąż patrzył z niedowierzaniem. To, co wydawało się smutną opowieścią o zmarłych tragicznie górnikach, na ich oczach przeobraziło się w historię najbardziej niesamowitej akcji ratunkowej w ostatnich czasach. Trzydziestu trzech ludzi. Siedemset metrów. Sześćdziesiąt dziewięć dni. Śmierć uwięzionych ludzi była niemal pewna. A teraz Urzúa wychodził z kapsuły – rozległy się powitalne wiwaty. To było jak bajka.

W obozie Nadzieja szampan, balony i okrzyki radości wypełniły chłodną, gwiaździstą noc. Społeczność zbudowana na wierze i determinacji wygrała z losem.

Urzúa wyszedł z kapsuły i uścisnął dłoń Piñery. Jak nakazywała tradycja stara jak samo górnictwo, symbolicznie przekazał mu odpowiedzialność za swoich ludzi.

– Panie prezydencie – powiedział – melduję zakończenie zmiany.

Kiedy wieziono go do szpitala, małomówny Urzúa z poważnym wyrazem twarzy skrzyżował ramiona na klatce piersiowej. Gęsta broda skrywała jego twarz – nie wyglądał na bohatera. Dziesięć tygodni temu wszedł do San José jako kierownik zmiany w mało znanej kopalni złota i miedzi. Dziś był symbolem człowieka dobrej woli. O włos uniknął śmierci, dostał drugą szansę, mógł zacząć od nowa, otrzymał coś, o czym większość ludzi może tylko marzyć. Kiedy Urzúa pławił się w blasku chwały, Feniks wywoził na powierzchnię ratowników.

Cała operacja możliwa była dzięki hojności całego świata. Żeby pomóc górnikom, setki anonimowych ludzi przewróciło

swoje życie do góry nogami. Jedni konstruowali świdry. Inni transportowali ich części ważące setki kilogramów. Jeszcze inni, jak Hart, kierowali te świdry we właściwym kierunku. Dzięki szybkiej decyzji Piñery, by szukać pomocy na świecie, opracowano wiele możliwych do zastosowania rozwiązań. Prezydent przyznał później, że wpływ na tę decyzję miała katastrofa rosyjskiego okrętu podwodnego „Kursk" oraz postępowanie rosyjskich władz, w tym zdecydowana odmowa przyjęcia pomocy.

– Rosjanie mogli poprosić Anglię o pomoc, ale tego nie zrobili – tłumaczył Piñera. – Ja szukając technicznych rozwiązań, osobiście zadzwoniłem do każdego prezydenta, którego znam.

Gonzáles, ratownik, który wyjechał ostatni, umniejszał swoją odwagę, mówiąc, że był tylko jednym ogniwem w całym łańcuchu. Czekając, aż kapsuła po niego zjedzie, zaczął czytać książkę pozostawioną przez któregoś z górników. Przed wyjazdem miał jedno życzenie.

– Chciałem zgasić światło – przyznał. – Ale mi nie pozwolili.

Wielu z górników czuło podobnie. Chcieliby nacisnąć guzik i wyłączyć to przeżycie, jeszcze zbyt bolesne i świeże, żeby ważyć się na jego drobiazgową analizę.

Kiedy Gonzáles wyjechał na powierzchnię, wyciągarka stanęła. Głośne silniki zamilkły i, po dziesięciu tygodniach walki i cierpień, obóz Nadzieja opanowała radość tej przemijającej, ale wspaniałej chwili.

Kiedy już ostatni helikopter odleciał do Copiapó, Pedro Gallo spojrzał w górę. Olśniewające pustynne niebo mrugało do niego tysiącami gwiazd i przez krótką chwilę wydawało mu się, że jest bliżej niego.

Zostawili tu po sobie niezatarty ślad czegoś naprawdę pięknego.

CZTERNAŚCIE

PIERWSZE DNI WOLNOŚCI

ŚRODA 13 PAŹDZIERNIKA – NOWE ŻYCIE

Na pokładzie helikoptera Samuel Ávalos z niedowierzaniem rozglądał się po okolicy – olbrzymie maszyny, namioty, konstrukcje, drogi i parkingi! Choć i on, i siedmiu innych górników znajdujących się w kabinie na bieżąco śledzili na dole postępy operacji ratunkowej, zmiana, jaka zaszła na tym nagim wzgórzu, które teraz stało się tętniącym życiem centrum, wciąż wydawała się niewiarygodna. Górnicy poprosili pilota, by zrobił jeszcze jedną pętlę nad wzgórzem. Helikopter wykonał zakręt z otwartymi drzwiami, dość mocno się przechylając. Patrząc w dół, górnicy zdali sobie sprawę ze skali Operacji San Lorenzo.

Po opuszczeniu rejonu akcji maszyna zeszła niżej – leciała teraz nisko nad pustynią i drogą, którą dziesięć tygodni wcześniej górnicy jechali na ranną zmianę do San José. Dwaj przedstawiciele chilijskich Sił Powietrznych towarzyszący uratowanym mężczyznom w drodze do szpitala poprosili ich o zdjęcia i autografy. Gdy górnicy w swoich przeciwsłonecznych okularach wysiedli z helikoptera w bazie wojskowej, rzeczywiście wyglądali jak gwiazdy filmowe. Tłumy gapiów wisiały na pło-

tach. Dzieci wspięły się na drzewa, żeby ich zobaczyć. Wszyscy wiwatowali na ich cześć.

Kiedy jechali potem z bazy do szpitala, wzdłuż drogi ustawił się szpaler ludzi. Niektórzy machali flagami, inni rzucali kwiaty i trzymali własnoręcznie zrobione tablice z napisami. Mężczyźni przeżyli szok. Wcześniej byli zwykłymi górnikami, anonimowymi, wręcz na granicy niewidzialności.

– To było dziwne. Gdziekolwiek poszliśmy, ludzie wiwatowali – powiedział Samuel Ávalos. – Nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje. Mózg ciągle to przetwarzał, starając się zrozumieć. Ale nie dawał sobie z tym rady, to nie miało sensu.

Przed wejściem do szpitala w Copiapó furgonetka wioząca górników musiała się przebijać przez tłum – pluton agresywnych policjantów starał się umożliwić przejazd. W samym szpitalu powitała ich dyrektor, doktor Maria Cristina Menafra. Powiedziała, że to „zaszczyt", że jej placówka może udzielić im pomocy medycznej.

Położono ich w salach na trzecim piętrze. Uzbrojeni policjanci pilnowali wejścia – nawet personel był kontrolowany, bo nie wszyscy mogli do nich wchodzić. Nawet członkowie rodzin mieli dostęp do krewnych tylko w ściśle określonych porach. Górników poddano serii badań krwi, testów psychologicznych i prześwietleń.

Rozkoszując się prostymi przyjemnościami, takimi jak prysznic czy zwyczajne łóżko, górnicy powoli zaczynali zdawać sobie sprawę, jaką atrakcją medialną się stali. Samuel Ávalos, dzielący pokój z Alexem Vegą, od czasu do czasu odsuwał zasłonę w oknie, aby pogapić się na mrowie reporterów z mikrofonami, teleobiektywami i notatnikami.

– Wyjrzałem przez okno i dosłownie wszędzie byli ludzie. Spali na zewnątrz, żeby nas zobaczyć.

Górnicy żyli jakby w szklanej bańce. Mogli siebie oglądać w telewizji i słuchać niekończących się dyskusji na temat ak-

cji ratunkowej, terminu ich wypuszczenia ze szpitala i milionów dolarów, jakie Hollywood i producenci telewizyjni mają im zaoferować.

Tymczasem na terenie kopalni uwijały się dwie ekipy – pracownicy firm demontowali maszyny i pakowali swoje rzeczy, a gromada ratowników i oficjeli zbierała pamiątki, poczynając od pustych flaszeczek, w których wysyłano przez *palomę* wiadomości, aż do fragmentów świdrów ważących po sto kilogramów. Podobnie jak kiedyś mur berliński, teraz obóz Nadzieja i całe miejsce akcji dosłownie znikało w oczach.

Wlot szybu zasłonięto pokrywą, podobną do tych, jakimi zamyka się uliczne studzienki. Obawy, że ciekawscy, turyści czy wielbiciele mocnych przeżyć mogą próbować spuścić się do szybu, zmusiły władze do postawienia policjantów przy szybie i innych wejściach na górne poziomy kopalni. Ale główne wejście nie było pilnowane, nawet nie wzniesiono wokół niego ogrodzenia.

W szpitalu górnicy rozkoszowali się obfitością świeżego powietrza, pomarańczami, pocałunkami z najbliższymi i solidnym dachem nad głową, który nie groził zawaleniem. Wielu z nich twierdziło nawet, że brakuje im odgłosu kapiącej wody, stale towarzyszącego im w kopalni. Monotonne, codzienne czynności sprawiały im teraz niekłamaną przyjemność. Ávalos opisywał, jakie to wspaniałe uczucie, móc podziwiać zieleń, drzewa i niebo.

– Kiedy spoglądałem na horyzont, czułem się tak, jakby mój mózg musiał się nagle przestawić i przetwarzał te wszystkie informacje w wirze myśli – wspominał. Miał wrażenie, jakby jego życie zmieniło się z dwuwymiarowego na trójwymiarowe. – Teraz naprawdę doceniamy życie; myślę, że innym trudno to zrozumieć – dodał.

Dziennikarze jednego z niemieckich tabloidów postanowili sprawdzić niektóre pojawiające się plotki. Która żona zdradza-

ła męża? Czy któryś z górników miał w kopalni doświadczenia homoseksualne? Kto kogo uderzył? Obsesyjnie zainteresowani seksem, narkotykami i wszystkim, co mogłoby zostać uznane za skandal, przeczesywali teren, skupywali listy i wypytywali rodziny uratowanych mężczyzn. Z kolei poważni dziennikarze z BBC, „El País", „New York Timesa" i innych mediów z całego świata próbowali dostać się do szpitala, aby choć przez chwilę porozmawiać z górnikami.

„Mam nadzieję, że oślepiające światła fleszów okażą się dla was łagodne" – napisał Hernán Rivera Letelier, chilijski pisarz, chcąc ostrzec górników przed czekającym ich atakiem mediów. „To prawda, że przetrwaliście długi czas w piekle, ale biorąc pod uwagę całą sytuację, to było piekło, które znacie. Jednak to, co Was czeka, towarzysze, to piekło, o którym nie macie pojęcia, piekło, gdzie liczy się tylko show, alienujące piekło telewizorów. Przyjaciele, chcę Wam powiedzieć tylko jedno: uważajcie na rodzinę, na najbliższych. Nie pozwólcie im odejść, nie spuszczajcie z nich wzroku, nie straćcie ich. Trzymajcie się ich tak jak tej kapsuły ratunkowej, która wywiozła Was na wolność. To jedyny sposób, by przetrwać atak mediów, który właśnie się zaczyna".

Dla tabloidów cała historia była niepokojąco ludzka. Nie było w niej zwłok, demonów ani krwawego konfliktu, który można by dodatkowo podrasować na użytek światowej widowni. Twierdząc, że opinia publiczna „ma prawo wiedzieć", tabloidy postanowiły odpowiednio przedstawić całą sprawę. Ich dziennikarze oparli się na powszechnym przeświadczeniu, że w warunkach ekstremalnych ludzie zawsze zachowują się jak barbarzyńcy. Szukając sensacji, zapomnieli o podstawowej funkcji mediów: edukowaniu i informowaniu.

Górnicy w szpitalu byli nieco zdezorientowani. Nigdy nie uważali się ani za chorych, ani za słabych psychicznie. Jeśli nie liczyć

kilku problemów z zębami, uszkodzonych bębenków i nadwyrężonych mięśni, byli zdrowi i chcieli wracać do domów. Jednak lekarze się na to nie godzili. Personel szpitala uważał, że górników trzeba chronić. Tylko kilku lekarzy uważało, że stan mężczyzn jest dobry.

CZWARTEK 14 PAŹDZIERNIKA

O ósmej rano górników odwiedził prezydent Piñera. Obiecał radykalne polepszenie warunków pracy, nie tylko w górnictwie, ale także w transporcie i rybołówstwie.

– Możemy zagwarantować, że już nigdy nie pozwolimy, by ludzie pracowali w tak niebezpiecznych i nieludzkich warunkach – mówił Piñera. – W ciągu najbliższych dni oficjalnie ogłosimy nową umowę z robotnikami.

Prezydent zaproponował mężczyznom rozegranie meczu piłkarskiego – górnicy kontra ludzie Piñery.

– Zwycięzcy zostają w La Moneda. Przegrani wracają do kopalni – zażartował.

Górnicy się śmiali i gawędzili z prezydentem. Mimo ciężkich przeżyć i cierpienia, wielu z nich myślało już o powrocie do zawodu.

– To jasne, przecież musimy pracować, to część naszego życia – powiedział Osmán Araya.

Alex Vega przyznał mu rację:

– Chcę wrócić do zawodu. Jestem górnikiem. To coś, co ma się we krwi.

PIĄTEK 15 PAŹDZIERNIKA

Górnicy obudzili się zdenerwowani. Koszmary z kopalni nawiedzały ich we śnie. Jeden obudził się w środku nocy i poszedł szukać *palomy*. Nadeszła jego zmiana i chciał spełnić swój obowiązek.

– Jednym śni się kopalnia – mówił doktor Mañalich. – Innym wydaje się, że mają tam jeszcze coś do załatwienia.

Napięcie wzrosło, gdy rodziny zaczęły się domagać, by wypuszczono pacjentów do domu – sami górnicy też na to nalegali.

– Jesteśmy nieco zaniepokojeni, bo oddajemy rodzinom osoby dość niestabilne – stwierdził Mañalich, który badał górników przed wypisem. – Jest mało prawdopodobne, że ci ludzie wrócą do normalnego życia.

Przynajmniej kilku z nich miało gwarantowany zespół stresu pourazowego. Sepúlveda skorzystał na tej kryzysowej sytuacji – odkrył i rozwinął zdolności przywódcze, ale na przykład Edison Peña nie potrafił sobie poradzić z psychicznymi skutkami uwięzienia. Niektórzy podskakiwali nawet na najlżejszy dźwięk – na przykład spadający na podłogę metalowy kubek. Kilku spało przy włączonym świetle. Inni, żeby się uspokoić, potrzebowali tabletek nasennych. Figueroa, psychiatra, oceniał, że u około 15% z nich mogą się pojawić poważne problemy psychiczne, 15% wyjdzie z tego mocniejszych i odporniejszych, a reszta będzie gdzieś pośrodku. Nie było żadnych przykładów z przeszłości, do których można by porównywać to wydarzenie. Psychologowie mają do dyspozycji wiele źródeł na temat leczenia żołnierzy czy pasażerów, którzy przeżyli katastrofy lotnicze, ale w tym przypadku byli zdani tylko na siebie. W przypadku ofiar wypadku w tej chilijskiej kopalni niewiele ze znanych psychologicznych zasad dało się zastosować.

Pomimo niepewności co do psychicznej stabilności górników, w piątek 15 października, o czwartej po południu dwudziestu ośmiu z nich wypisano ze szpitala w Copiapó. Konieczny był skomplikowany wybieg, żeby przemycić ich ze szpitala tak, aby media nie odkryły, co się dzieje. Gdy karetki z pompą wyjechały główną bramą, rzekomo z górnikami, ci ostatni wymknęli się po cichu.

– Kiedyś pracowałem w wywiadzie – odparł z uśmiechem doktor Jorge Díaz, gdy zapytano go, jak zorganizował tę tajną operację.

Omar Reygadas tak dobrze się przebrał za inspektora policji, że mógł spokojnie przechadzać się wśród tłumu i robić zdjęcia dziennikarzom. Inni górnicy zmienili ubrania, zdjęli okulary i opuścili szpital z podstawionymi kobietami grającymi role ich żon. Spokojnie gawędząc, wyszli zupełnie niezauważeni, po czym zostali odwiezieni do domów lub hotelu.

Samuel Ávalos udał się do pensjonatu, gdzie czekał na niego pokój z prysznicem i niecierpliwiąca się żona.

– Zaatakowałem ją od razu, minęło tyle czasu. Byliśmy jak króliki – opowiadał. – Ale i tak nie mogłem spać. W głowie miałem nieustanną gonitwę myśli. Nie dało się. Do tego skurcze w lewym ramieniu. W ogóle nie mogłem się odprężyć. Całe ciało było non stop spięte. Nie byłem sobą. Kiedy go dotykałem, dziwnie się czułem. Nie byłem pewien, co myśleć, gdy patrzyłem na siebie w lustrze. To nie były moje oczy.

Górników wypisanych ze szpitala oszołomiło zgotowane im powitanie.

– Nie sądziłem, że jeszcze tu wrócę, więc takie przyjęcie po prostu nie mieściło mi się w głowie – mówił Edison Peña. Powstrzymując łzy, dodał: – Przeżyliśmy coś naprawdę strasznego.

Kiedy wysłannicy mediów ustawili się przed skromnymi domami górników, rozpoczął się handel informacjami. Boliwijczyk Carlos Mamani zażądał określonej sumy za odpowiedź na każde pytanie. Inni górnicy inkasowali tysiące dolarów, a potem nie chcieli opowiadać o tym, co przeżyli pod ziemią. Dziennikarze czuli się oszukani, a górnicy utrzymywali, że mają prawo do tych pieniędzy.

Yonni Barrios praktycznie nie mógł się dostać do domu. Mnóstwo ludzi chciało spisać jego historię. Chociaż każdego dnia bardzo się starał, by zapewnić opiekę medyczną swoim

trzydziestu dwóm towarzyszom, prasa zajmowała się przede wszystkim jego życiem osobistym – zarówno jego żona, jak i kochanka Susana Valenzuela rościły sobie prawo do jego serca.

Barrios wybrał ostatecznie Valenzuelę. Podczas krótkiej rozmowy z prasą rozpłakał się, kiedy opowiadał o swoich obowiązkach na dole.

– Wykonywałem tylko swoją pracę. Robiłem, co mogłem, żeby pomóc kolegom, którzy teraz są moimi dobrymi przyjaciółmi.

Zapytany o pierwsze siedemnaście dni, odmówił odpowiedzi, powołując się na „pakt milczenia". Ale Jimmy Sánchez, najmłodszy z górników, udzielił wywiadu, w którym określił Urzúę jako żałosnego przywódcę.

– To Mario Sepúlveda nam przewodził – powiedział Sánchez, zapoczątkowując serię potwierdzeń, wyjaśnień, deklaracji.

Gdzie jest Sepúlveda? Media domagały się odpowiedzi. Oficjalne oświadczenie wydane przez szpital głosiło, że Sepúlveda jest wyczerpany i potrzebuje odpoczynku. W prywatnych rozmowach lekarze przyznawali, że zatrzymali Sepúlvedę – wbrew jego woli – by chronić go przed mediami, ponieważ istniały uzasadnione obawy, że nie będzie w stanie znieść związanej z tym presji.

Sepúlveda, uwięziony po raz kolejny, choć tym razem przez swoich wybawców, był wściekły. Chciał wyjść ze szpitala.

Gdy doktor Romagnoli przyszedł go odwiedzić, górnik był nieco zdezorientowany, głównie z powodu podanych mu leków.

– Niech mnie pan stąd wyciągnie – błagał lekarza. – Ciągle mnie czymś szpikują. To zakład dla obłąkanych. Dają mi zastrzyki.

Leki sprawiły, że Sepúlveda ciągle był śpiący i nerwowy.

– Podawali mu haldol – powiedział doktor Romagnoli i wyjaśnił, że lek ten, stosowany w przypadku ostrej psychozy

i schizofrenii, jest tak silny, że wprost „zwala pacjenta z nóg". – Zaaplikowano mu także diazepam [lek uspokajający], w celu zachowania nad nim kontroli. Był zrozpaczony – kontynuował Romagnoli. Uznał wtedy, że musi uwolnić Sepúlvedę, nawet gdyby miał rozpętać awanturę. – Poszedłem do Iturry i powiedziałem mu: „Wypuśćcie go, bo jak nie, to będzie grubsza afera. Zaraz pobiję kilku policjantów i wsadzą mnie do pudła". Szczęście nie powinno być uznawane za chorobę.

Sepúlvedę wywieziono więc ukradkiem karetką do pobliskiej kliniki, raz jeszcze nabierając koczujących pod szpitalem dziennikarzy. W końcu Sepúlveda znalazł się u progu wolności. Katty Valdivia, jego żona, opisała męża jako człowieka bardzo pobudzonego i tryskającego energią.

– Nie rozumieją Maria, on taki po prostu jest.

SOBOTA 16 PAŹDZIERNIKA

Do soboty wypisano ze szpitala trzydziestu jeden górników, ale Sepúlveda i Zamora wciąż pozostawali zamknięci. Zamora miał zapalenie zęba. Sepúlvedę wypuścili w końcu o dziesiątej rano. Od razu udał się do wynajętego mieszkania na, już sporo spóźnione, przyjęcie urodzinowe w gronie rodzinnym. Swoje czterdzieste urodziny, przypadające trzeciego października, spędził pod ziemią. Teraz mógł wreszcie świętować wraz z Katty i dziećmi.

Nadpobudliwy Sepúlveda niewiele siedział podczas urodzinowego posiłku. Wpadł do drugiego pokoju i, jak dziecko odkrywające zgubione zabawki, zaczął otwierać zaklejone paczki, które wysłał z kopalni. Zaciągnął do salonu skrzynkę z prymitywnie zapakowanymi tubkami rozmiarów mniej więcej kija do baseballu i zatopił ostrze swojego scyzoryka w grubym plastyku jednej z nich. Desperacko zaczął rozcinać tubę i wyciągać jej zawartość – plastykowe butelki wypełnione minerałami i kryształami z wnętrza kopalni.

– To pozostałości po wybuchu, kiedy zostaliśmy uwięzieni i nikt nas nie słyszał – wyjaśnił Sepúlveda. – Są symbolem naszej nadziei i naszych wysiłków, żeby się stamtąd wydostać. Daję je tylko najważniejszym dla mnie osobom.

Następnie zaczął wyciągać listy, które doszły do niego pod ziemią. Kiedy je czytał, uśmiech znikł z jego twarzy i popłynęły po niej łzy. Głos mu się łamał, gdy próbował opowiedzieć swoim krewnym o wspomnieniach i obrazach, które bombardowały jego umysł. Potem ogłosił, że chce gdzieś pojechać. I to od razu. Chce pojechać w miejsce, o którym marzył pod ziemią – na plażę.

Po drodze Sepúlveda zachowywał się jak człowiek, który dopiero co wyszedł z więzienia. Wszystko zwracało jego uwagę, od odgłosów ulicznego ruchu do łatwości, z jaką można kupić jedzenie, wybrać napój, na który ma się ochotę, i się poruszać.

– Teraz to wszystko ma dla mnie wartość – mówił. Podniósł z podłogi samochodu dwie puste plastykowe butelki po wodzie. – Spójrzcie tylko, wystarczą, żeby wziąć prysznic. Jedna, żeby się namydlić, druga do spłukania.

Plaża w pobliżu Caldery świeciła pustkami. Słońce schowało się za warstwą szarych chmur. Od morza wiała ciepła bryza, mewy szukały zdobyczy na granicy wody. Sepúlveda zaczął grać z synem w piłkę. Potem zrobił przerwę, żeby nacieszyć się tą chwilą.

– Wiecie, o czym marzyłem tam, pod ziemią? To było moje najpiękniejsze marzenie – żeby pojechać na plażę i się wykąpać!

Kiedy to mówił, przez chmury przebiło się słońce. Smugi złotego światła opadały z nieba na ziemię i odbijały się od piasku.

– To boskie światło, światło nadziei – powiedział Sepúlveda. – Kiedy dowiercili się do nas po raz pierwszy, wskazałem na otwór i powiedziałem do reszty: „To jest światło i drzwi do nadziei. A wyżej, przyjaciele, jest raj". Chcę, żeby świat się od

nas uczył. Uczył się, jak żyć. Wszyscy mamy swoje dobre i złe strony, i musimy się uczyć, jak rozwijać te dobre – tłumaczył Sepúlveda, który na własnej skórze się przekonał, jak kruche jest życie. – Życie może się skończyć w dwie minuty. Jakie znaczenie mają pieniądze, gdy jesteś martwy? Nie, patrzcie na mnie, ja jestem szczęśliwy. Dwa miesiące bez grosza i jestem szczęśliwy – powiedział, a potem, wskazując na fale i niebo, dodał: – To jest życie.

I kopał piłkę, biegał z synem po plaży i gonił mewy, aż w końcu zdjął koszulę, buty i spodenki i zupełnie nagi z rozłożonymi ramionami pobiegł do morza. Kiedy fale oblały mu kostki, rodzina zaczęła wiwatować.

Mario Sepúlveda, przywódca „Los 33", kąpał się i baraszkował jak dziecko.

NIEDZIELA 17 PAŹDZIERNIKA

Aby do końca uporać się z traumatycznym przeżyciem i móc spokojnie żyć dalej, cztery dni po uwolnieniu dwunastu górników wróciło do kopalni San José. Na miejscu obozu Nadzieja miała być odprawiona msza dziękczynna. Religijni i polityczni przywódcy oraz koordynatorzy operacji ratunkowej zebrali się, by oficjalnie zakończyć tę próbę, na jaką wystawił ich los.

Przy namiocie pilnowanym przez policjantów szybko doszło do zwykłej burdy z udziałem grupy pracowników San José, których nie chciano wpuścić na tę religijną ceremonię. Władze jasno dały do zrozumienia, że zaproszenie dotyczy tylko „Los 33". Ich koledzy z San José byli wściekli. Oni również ucierpieli, wielu przez całe tygodnie ochotniczo brało udział w akcji ratunkowej i pomagało uwolnić uwięzionych pod ziemią. To było ich miejsce pracy, ich pot i ich cierpienie stanowiło teraz część tej góry, a potraktowano ich jak intruzów. Zaczęły się przepychanki z policjantami. Protestanci z kopalni otwarcie oskarżali właścicieli, że nie wypłacają im należnych pensji.

Ochroniarze nie wpuścili na uroczystość również reprezentantów związków zawodowych, którzy przybyli, by uczcić udaną akcję ratowniczą i zaprotestować przeciwko wstrzymywaniu wypłaty należnych wynagrodzeń. Właściciele kopalni nie pokazali się, zajęci zapewne omawianiem najlepszej linii obrony w trakcie spodziewanych procesów – zapewne nie pozwolą im one wyjść z sądów przez całe lata. Czy trafią do więzienia? Zapłacą ogromne kary? Chilijski wymiar sprawiedliwości potrzebuje czasu, by o tym zadecydować.

– Chcą nam płacić w ratach przez jedenaście miesięcy – powiedział Evelyn Olmos, rzecznik prasowy związków. – A my potrzebujemy pieniędzy teraz.

Ostatecznie, po wielu naciskach, właściciele zgodzili się wypłacić zaległe wynagrodzenia.

– Kiedy nikt nie wierzył, że nasi koledzy żyją, my przyszliśmy tutaj, wszyscy pracownicy. Wiedzieliśmy, że żyją, i przynieśliśmy naszą solidarność i wiarę – skarżył się Javier Castillo, jeden z miejscowych przywódców związkowych. – A teraz, kiedy oni żyją i wszystko wraca do normy, nie pozwalają nam wejść na mszę. To boli.

Castillo bardzo długo walczył o zamknięcie kopalni. Przez dziesięć lat patrzył, jak dochodzi do okaleczeń i śmierci robotników. Wydawało się, że ofiary stanowiły część codzienności kopalni, podobnie jak sznur ciężarówek wiozących cenne kruszce wydobyte z jej wnętrza. Kiedy na światło dzienne wyszły kolejne fakty o warunkach bezpieczeństwa w kopalni, doszło do ostrych wystąpień przeciw właścicielom.

Manuel Gonzáles, pierwszy ratownik, który zjechał w Feniksie, był przerażony warunkami panującymi w San José.

– Nie było podstawowych rzeczy – powiedział telewizji publicznej TVN. – Przez dwadzieścia pięć godzin siedziałem tam w temperaturze czterdziestu stopni Celsjusza, wilgotność wynosiła prawie sto procent. Wyobrażam sobie te pierwsze siedemnaście dni, kiedy nic nie było wiadomo… to musiało być straszne.

Po mszy i odczekaniu, aż odejdą przedstawiciele mediów, Samuel Ávalos się przebrał, żeby nie zostać rozpoznanym, i rozpoczął wędrówkę po obozie Nadzieja. To był obcy świat. Przed wypadkiem codziennie jeździł przez te nagie skaliste wzgórza do pracy. Teraz dosłownie wszędzie widział kable, przyczepy kempingowe i inne ślady życia. Dostał pozwolenie na obejrzenie szybu, dzięki któremu został uratowany.

– Otwór wydał mi się bardzo mały – mówił. – Nadal nie mogę zrozumieć, jak się nim wydostałem. Gdyby mnie ktoś o to zapytał, po prostu nie wiedziałbym, co odpowiedzieć – bez wątpienia urodziłem się drugi raz.

A potem zaczął obrażać górę.

– W tej kopalni było jakieś zło. Jak się obraziła, rzucała w człowieka kamieniami, była żywą istotą... Więc nasikałem na tę cholerę, a potem wyzwałem ją od najgorszych.

Ale mimo że szukał zemsty, nadal czuł przed nią respekt.

– Jeśli zechce mnie zabić, zrobi to, nawet tu, na powierzchni. Ona ma moc.

Inna grupa uratowanych górników po mszy udała się do głównego wejścia kopalni. Stojąc przed nim, patrzyli przez chwilę, a potem podnieśli garść kamieni i wykrzykując obelgi, rzucali nimi w ziejącą jamę. Przez chwilę wygrywali – kopalnia nie miała dla nich żadnej odpowiedzi.

EPILOG

TRIUMF NADZIEI

Piątego sierpnia 2010 roku do kopalni trzydziestu trzech górników sprowadził splot wydarzeń i decyzji podjętych w ostatniej chwili.

Mario Sepúlveda spóźnił się na autobus. Musiał więc czekać na okazję, o którą trudno było tego pamiętnego ranka na pustej drodze, więc na miejscu zjawił się kilka godzin po czasie. Samuel Ávalos nawet nie był górnikiem. Na ulicach małego chilijskiego miasteczka sprzedawał pirackie kompakty. Krewny zabrał go do San José, żeby spróbował czegoś innego. Z kolei Carlos Mamani nie miał nawet podpisanej umowy o pracę w kopalni, dorabiał nocami, bo niedawno urodziła mu się córeczka, Emili.

Z każdą rozpoczynającą się w San José zmianą mężczyźni wchodzili w świat, który kazał płacić sobie daninę. Kopalnia znana była ze swojego mściwego ducha, który nigdy się nie wahał przed okazaniem gniewu i bombardowaniem górników skalnymi odłamkami. „Los 33" to nie byli zwyczajni faceci. Zostali ofiarami, jeszcze zanim kopalnia się zawaliła.

Żeby w ogóle pomyśleć o zatrudnieniu się tutaj, trzeba było mieć prawdziwego pecha w życiu, kłopoty finansowe i niesamowitą odwagę.

W świecie tych trzydziestu trzech ludzi wypadki były częścią codzienności. Jeśli człowiekowi udało się skończyć zmianę w jednym kawałku, inkasował 75 dolarów. Jeśli przetrwał cały tydzień, zarobił 525 dolarów. Z dodatkowymi zmianami i nadgodzinami niektórzy wyciągali 2000 dolarów miesięcznie. W San José płacili około 30% więcej niż w innych kopalniach podobnej wielkości w tym regionie – praktyka podobna do tej stosowanej w wojsku i dyplomacji, w których jest przyznawany dodatek do wynagrodzenia za pracę w strefie wojennej.

Kiedy piątego sierpnia nastąpił zawał, górnicy powinni byli zginąć. Tak potężne oberwanie stropu o każdej innej porze dnia i nocy przygniotłoby i na zawsze pochowało przynajmniej część rozproszonych w labiryncie chodników ekip. Ale górotwór trzasnął akurat podczas lunchu – wtedy, gdy wszyscy przyszli do schronu, żeby coś zjeść, odstawiając wcześniej narzędzia i myśląc już o tym, że za chwilę wsiądą do samochodu, który wywiezie ich na słońce i świeże powietrze, gdzie jest mnóstwo jedzenia i wody. Kiedy zostali uwięzieni za ścianą skalną wielkości wieżowca, nie mieli jedzenia i drogi ucieczki. Szacowano, że oczyszczenie wyrobisk i dokopanie się do górników zabierze cały rok.

Kiedy przez siedemnaście dni zaczynali swoją powolną śmierć głodową, wielu z nich przeklinało swój los – „Gdybym tylko…", „Mogłem przecież…", „Dlaczego ja?".

Powolne umieranie dało im aż za wiele czasu, żeby przemyśleć życie, podsumować osiągnięcia, porażki, pomyśleć o rodzinie. Wynik nie był zbyt dobry. Wielu roztrwaniało pieniądze na tanie przyjemności, zostawiało żony czy dziewczyny z dziećmi na pastwę losu. Inni popadli w alkoholizm i uzależnienie od narkotyków. Hojność i altruizm to cechy raczej nieobecne w tej grupie ludzi.

Codzienna praca w San José nie nastrajała do introspekcji czy osobistego rozwoju. Wciąż obecne zagrożenie odczuwane było tak dotkliwie, że trudno się dziwić, iż po siedmiu dniach unikania śmierci czuli się usprawiedliwieni, wydając zarobione pieniądze na wódkę, kochanki czy inne przyjemności.

I wtedy zdarzył się cud. Zamiast poddać się zwierzęcemu instynktowi i tkwiącej w człowieku barbarzyńskiej naturze, tak świetnie opisanej we *Władcy much*, górnicy uchwycili w sobie istotę człowieczeństwa i przy niej zostali.

Zamiast walczyć o puszkę tuńczyka, dzielili jej mizerną zawartość na równe, niemal niewidoczne porcje. Jedna jedyna puszka brzoskwiń wystarczyła im do ucztowania. Nie dopuszczając do władzy brutalnej siły, organizowali codzienne spotkania, na których omawiali najważniejsze decyzje, a potem nad nimi głosowali.

– Humor i demokracja – powiedział Luis Urzúa, kiedy zapytano go, co pomagało mu utrzymać przywództwo podczas tych tygodni spędzonych pod ziemią. – Było nas trzydziestu trzech, więc szesnaście plus jeden stanowiło większość.

W czasie pierwszych godzin po zawale na miejsce przybyły rodziny górników, zbudowały kapliczki i błagały polityków, by pozwolili kontynuować poszukiwania. Członkowie rodzin z całą świadomością postanowili zignorować logikę i rachunki prawdopodobieństwa. W swoich sercach mieli niezachwianą wiarę – oczywiście, że górnicy żyją. Jedyna wątpliwość dotyczyła kwestii: jak długo wytrzymają.

Przez dziesięć tygodni trzydziestu trzech mężczyzn zjednoczyło się we wspólnej walce. Zasypani siedemset metrów pod ziemią, we wnętrzu kopalni, by przetrwać, stworzyli prawdziwą wspólnotę. Chociaż rodziny wciąż gromadziły się w rejonie kopalni, a ratownicy podejmowali kolejne próby, rząd chilijski pracował nad planami pogrzebu i projektem białego krzyża, który dla upamiętnienia górników miał stanąć na wzgórzu kopalni. Ze statystyk dostarczonych prezydentowi Piñerze wyni-

kało, że prawdopodobieństwo, iż którykolwiek górnik przeżył, wynosi dwa procent.

Ostatecznie wiara i nowoczesna technika zjednoczyły się, by prawie dosłownie przenosić góry. Coraz częściej rodziny, górnicy, ratownicy i media demonstrowali światu umiejętność pracy dla wspólnego dobra.

Ostateczny koszt akcji oszacowano na 20 milionów dolarów, co daje 600 tysięcy dolarów na jednego górnika. Nie tylko sumy tej nigdy nie kwestionowano, ale w wielu przypadkach rachunki w ogóle nie zostały wystawione. Firmy wydobywcze, takie jak Precision Drilling, Minera Santa Fe, Center Rock, Anglo American, Geotec, Codelco, Collahuasi i dziesiątki innych zapłaciły z własnej kieszeni.

W trakcie prac napływała pomoc z Japonii, Kanady, Brazylii, Niemiec, Republiki Południowej Afryki i Stanów Zjednoczonych. United Parcel Service przetransportował za darmo sprzęt wiertniczy ważący razem trzynaście ton. Firma Oakley wysłała małą paczkę, a w niej trzydzieści pięć par okularów przeciwsłonecznych. Ekipy mechaników w Center Rock Inc. w Pensylwanii pracowały po godzinach, by zaprojektować nowy, specjalny kształt świdra. Ocenia się, że na każdego górnika przypadało 30 do 50 ludzi pracujących w pełnym wymiarze godzin. W czasie lunchu stołówka w obozie Nadzieja mogła się kojarzyć z siedzibą Narodów Zjednoczonych – koreańscy dziennikarze, brazylijscy nafciarze, lekarze z NASA, chilijscy strażacy, kanadyjscy robotnicy z platform wiertniczych i górujący nad wszystkimi, barczysty Jeff Hart z Kolorado, najlepszy wiertacz na świecie.

Na pytanie, jaka lekcja płynie z tego doświadczenia, Samuel Ávalos odpowiedział:

– Nasze życie jest kruche jak porcelana. Może się skończyć w sekundę. I to w najmniej spodziewanym momencie. Żyj i ciesz się życiem. Chwilą. Nie rób zbyt wielu planów. Zrozum, że twoje problemy są niczym w porównaniu z tym, co prze-

szliśmy tam, pod ziemią... Znajdź w sobie siłę, by je pokonać, i pomagać innym.

Jak to się stało, że gromada zdesperowanych górników i ich rodziny dała pokaz wrażliwości i inteligencji emocjonalnej? Niewielu z nich ma wykształcenie, nie odnosili sukcesów zawodowych, niewiele też czasu poświęcali rodzinie. To twardziele pracujący w zaułkach ciemnych jaskiń, gdzie mało kto wytrzymałby jedną zmianę.

Ich koledzy ginęli. Inni tracili zdrowie i odchodzili. A na ich miejsce przybywali nowi. Tym ludziom – a są tacy w każdym zakątku kuli ziemskiej – koncepcja sprawiedliwego świata merytokracji była równie obca jak procedury wejścia na pokład samolotu czy ubiegania się o paszport. A jednak stali się dla świata przykładem, przykładem, jak przetrwać. Małym przypomnieniem, że podobnie jak zło, dobro też istnieje. I przypomnieniem, że na tym coraz bardziej połączonym świecie jedno wydarzenie może nas wszystkich zjednoczyć.

Kiedy w 2001 roku grupa fanatyków zaatakowała World Trade Center, świat natychmiast się podzielił. Z najgorszych możliwych przyczyn podziały przesłoniły zrozumienie. Rasizm. Sekciarstwo. My i oni. Strategie wojenne. Wszystko to wymazało rodzącą się globalną świadomość. Potem we francuskim „Le Monde" pojawił się słynny nagłówek: „Wszyscy jesteśmy Amerykanami". To nie była radosna chwila. Raczej deklaracja klęski, przyznanie, że nadszedł czas konfrontacji brutalnej strategii z jeszcze brutalniejszą siłą. Zaczęła się era terroryzmu i tortur. Symbolem tego kolejnego niechlubnego okresu w historii świata stało się Guantánamo.

Akcja ratownicza w Chile była antytezą jedenastego września, wydarzeniem, które pokazało ludzkie współczucie, braterstwo i koncepcję globalnej wioski zbudowanej na altruizmie. Obsesja światowych mediów na punkcie historii chilijskich górników była odchyleniem od normy, czyli codziennego potoku wiadomości o wojnach, masakrach, powodziach i huraga-

nach. Czy to tylko chwilowa odmiana? A może krótki wgląd w ogromne rezerwy dobrej woli, które zawsze można wykorzystać dla wspólnego celu?

Wyciągnięte ramiona świata, które objęły chilijskich górników, mają tyle samo wspólnego ze stanem planety, co z losem samych uwięzionych. Co roku tysiące górników zostaje zasypanych i ginie. Setki innych udaje się uratować. Światowe media wcale nie mogą narzekać na brak dobrych wiadomości. Jeśli tylko dziennikarzom zechce się poszukać, znajdą mnóstwo prawdziwych bohaterów. W sierpniu 2010 roku, po prawie dziesięciu latach, jak mówią analitycy, „ery terroru", zdawało się, że świat już umiera z braku nadziei, ale odwaga trzydziestu trzech ludzi i całej rzeszy wspaniałych, wytrwałych ratowników znów zjednoczyła świat. Przynajmniej przez chwilę mogliśmy powiedzieć: „Wszyscy jesteśmy Chilijczykami".

OD AUTORA

Słowo o tłumaczeniu

Chilijska odmiana hiszpańskiego jest niesamowicie naszpikowana slangiem, a język, którym posługują się górnicy, aż roi się od wulgaryzmów. Kombinacja tego spowodowała, że dosłowne tłumaczenie okazało się praktycznie niemożliwe. Wielokrotnie więc z języka hiszpańskiego, którym mówili górnicy i ratownicy, a także rodziny i politycy, została tylko istota wypowiedzi i treść. Wiele wulgaryzmów usunięto nie ze względu na ich obraźliwy charakter, ale z powodu prostego faktu, że w innych językach tracą one sens. Autor i wydawca zachowali intencję wypowiedzi, ale ujednolicili styl przekładu. Wśród tłumaczy pojawią się zapewne różnice zdań, jak najlepiej przedstawić czytelnikom na świecie bogatą fakturę chilijskiej odmiany hiszpańskiego.

O datach i godzinach

Książka opiera się na wywiadach przeprowadzonych z około 120 osobami uczestniczącymi w tej ogromnej operacji, w tym z większością górników, prezydentem Piñerą oraz głównymi

koordynatorami akcji i ratownikami. Ze względu na specyficzne warunki, w jakich znaleźli się górnicy, nie zawsze byli w stanie potwierdzić dokładną datę i godzinę pewnych wydarzeń. W przypadku gdy trudno odróżnić dzień od nocy, które pomagają nam odmierzać czas, jest to zupełnie zrozumiałe.

Autor bardzo dobrze to rozumie, jako że sam przez osiem dni z rzędu nie zmieniał ubrania, nie brał prysznica ani nawet nie zdejmował butów. W ciągu ostatnich dwudziestu dni akcji wszyscy byli wyczerpani i znużeni. Autor pragnie również zaznaczyć, że pomimo wielu wysiłków włożonych w próby ustalenia właściwej kolejności zdarzeń, różnice zdań w tym względzie wciąż występują wśród samych ich uczestników.

Wyłączny dostęp do źródeł

Do wielu z opisanych w książce scen i wywiadów tysiące dziennikarzy obecnych w obozie Nadzieja nie miało dostępu. Na początku, podobnie jak wielu innych, relacjonowałem wydarzenia zza linii wyznaczonej przez policję. Kiedy jednak zdałem sobie sprawę ze skali rozgrywającego się dramatu, zwróciłem się do ACHS, firmy ubezpieczeniowej odpowiedzialnej za większą część operacji, o zezwolenie na dokumentowanie ich wysiłków. Pracowałem dla kilku gazet, w tym dla „Washington Post" i „Guardiana". Przedstawiciele ACHS od razu się zgodzili i na pół dnia zabrali mnie na miejsce akcji. Potem oznajmili, że to koniec wycieczki.

Poprosiłem, by pozwolili mi zostać i kontynuować dokumentowanie wydarzeń. W takim wypadku, poinformowali mnie, muszę mieć zgodę ekipy ratowniczej. Wypełniłem odpowiednie dokumenty, napisałem, że jestem pisarzem, i dostałem przepustkę nr 204. Przez kolejne sześć tygodni miałem dostęp do centrum akcji. Relacjonowałem, nagrywałem i filmowałem. Nigdy nie twierdziłem, że robię cokolwiek innego niż pełnoetatowy reporter.

Okulary przeciwsłoneczne Oakley

Niczego nie ukrywam i z dumą przyznaję, że to ja jestem odpowiedzialny za dostarczenie górnikom okularów przeciwsłonecznych. Podczas spotkania Codelco z przedstawicielami chilijskiej Marynarki Wojennej stało się jasne, że wychodzący z kopalni górnicy będą potrzebować wysokiej jakości ochrony oczu. Biorąc pod uwagę ogrom operacji logistycznych, jakie wiązały się z całą akcją, oficjele poczuli się nieco zagubieni w kwestii okularów. Siedem lat wcześniej miałem okazję poznać Erika Postona, przedstawiciela firmy Oakley, i wciąż miałem jego wizytówkę. Napisałem do niego e-mail z pytaniem, czy mogliby przysłać trzydzieści pięć par okularów przeciwsłonecznych (dwie zapasowe), a oni się zgodzili.

PODZIĘKOWANIA

Pisząc tę książkę tuż po zakończonym ludzkim dramacie, napotkałem wiele wyzwań; konieczne też okazały się pewne poświęcenia. Przede wszystkim chciałbym podziękować mojej żonie, Toty Garfe, za zgodę na moje kilkumiesięczne zniknięcie, oraz córkom, Kimberly i Amy – przepraszam, że nie zdążyłem na wasze urodziny. Zoe, zdjęcia z chrztu są wspaniałe, choć wolałbym na nim być. Susan, gratuluję zdobycia aż tylu medali w skokach do wody – widziałem wideo. Maciel, jak udało ci się urosnąć o piętnaście centymetrów w dwa miesiące? Francisco, moja córko pierworodna, twoja lojalność w stosunku do ojca--globtrotera została w pełni doceniona.

Dziękuję mojej agentce Annabel Merullo, Caroline Michel, Juliet Mushens, Aleksadrze Cliff i całemu zespołowi w PFD – to wy pierwsi dostrzegliście potencjał tej książki i przeprowadziliście ją przez frankfurckie targi książki, a potem dalej. Jestem wam dozgonnie wdzięczny. George Lucas z Inkwell Management przeprowadził ją z kolei przez dżunglę amerykańskich wydawnictw, aż w końcu trafiłem do Putnam, gdzie

Marysue Rucci i Marilyn Ducksworth z chłodną precyzją zmieniły ją w pięknie zaprojektowaną, wspaniale zredagowaną i znaną w całym kraju pozycję. Zarówno Diana Lulek, jak i Michelle Malonzo z Putnam porzuciły zaplanowane wcześniej zajęcia, by odpowiedzieć na wiele moich pytań związanych z publikacją pierwszej książki. Chciałbym też podziękować zespołowi redakcyjnemu w Putnam: Meredith Dros i Lisa D'Agostino, koordynując ten projekt, były bardziej zajęte niż kontrolerzy ruchu na nowojorskim lotnisku im. Kennedy'ego. Dziękuję prezesowi wydawnictwa Ivanowi Heldowi – doceniam pana bezustanne wsparcie. Na koniec chcę podziękować dyrektor artystycznej Claire Vaccaro, która cierpliwie opracowywała mapy i zdjęcia, oraz Lindzie Rosenberg, pracującej nawet w święta. Bill Scott-Kerr i Simon Thorogood w londyńskim Transworld Publishing wsparli ten projekt już na wstępie i dzięki nim mógł się rozwinąć – dziękuję. Dziękuję również Bobowi Bookmanowi i zespołowi w CAA za ich nieustający optymizm w samym środku szaleństwa, jakim jest hollywoodzka produkcja filmowa. Colinowi Badenowi i Diane Thibert oraz Rachel Mooers z Oakley jestem wdzięczny za hojne wsparcie górników, a Martínowi Frunsowi, Alejandrowi Piñowi, całemu personelowi medycznemu i ekipie psychologów z ACHS za ich profesjonalne podejście i stałą pomoc w tym przedsięwzięciu. Specjalne podziękowania należą się Albertowi Iturze, który miał prawdopodobnie najtrudniejszą pracę z wszystkich – utrzymanie jedności wśród górników tam na dole. Alberto, górnicy pewnie nie zdawali sobie sprawy, jak trudne zadanie ci przydzielono, ale cała reszta z nas tak!

Dziękuję mojemu ojcu, Tomowi Franklinowi, który sprawdzał treść i poprawiać błędy językowe w moich wypracowaniach, kiedy byłem jeszcze w trzeciej klasie – widzisz, tato, opłacało się! Dziękuję starszej siostrze Sarze, wspaniałej pisarce, która mnie inspirowała i przetarła szlak mojej karierze. Dziękuję bratu, Christopherowi, który w spokoju tworzy parki i inne miej-

sca rekreacji – ty już zostawiłeś swój ślad na ziemi. Dziękuję mamie, Susan, która patrzy na nas z góry – nie tylko wydałaś mnie na ten świat, ale też wyposażyłaś w ducha przetrwania i wytrwałości.

Dziękuję kolegom, w tym Deanowi Kuipersowi z „L.A. Times", jednemu z pierwszych inwestorów w moją wiarę w siebie. Samowi Loganowi z SouthernPulse, dziennikarzowi z wizją. Denise Witzig z Brown University, mojej najważniejszej mentorce. Johnowi Kifnerowi z „New York Timesa", jednemu z moich pierwszych mentorów. Hunterowi S. Thompsonowi – wyjaśnienia nie są konieczne! Michaelowi Smithowi z Bloomberg, najlepszemu dziennikarzowi śledczemu, jakiego znam. Jorge Molinie z „El Mostrador", wspaniałemu chilijskiemu reporterowi. Pablowi Iturbe i Timowi Delhaesowi z Tigabytes, bliskim mi spiskowcom i marzycielom. Rory'emu Carrollowi, Martinowi Hodgsonowi, Davidowi Munkowi, Markowi Rice'owi-Oxleyowi i całej ekipie zagranicznej z „Guardiana" za znoszenie moich aktów hojności. Tiffany Harness, Dougowi Jehlowi, Griffowi Wittemu i Juanowi Forero z „Washington Post", którzy udowodnili, że wielcy redaktorzy wciąż istnieją. Guillermowi Galdosowi z Discovery Channel za przyjęcie mnie w kopalni San José i za inspirację. Lonzowi Cookowi i Karlowi Penhaulowi z CNN za dobry humor i wspaniałe kolacje. Amarowi Gómezowi-Pablosowi Benavidesowi z Televisión Nacional de Chile za lojalność i wspólny śmiech. Franciscowi Peregilowi z „El País", który stanowi przykład, że wielkie dziennikarstwo nie wyklucza współpracy. Bertowi Rudmanowi, Johnowi Quinonesowi, Joemu Goldmanowi i całej ekipie ABC News, którzy wzięli mnie pod swoje skrzydła w obozie Nadzieja. Carlosowi Pedrozie i Manuelowi Martinezowi z „Esquire Mexico" za lojalność i oko do prawdziwych „newsów". Miguelowi Soffie za udowodnienie, że w konfrontacji z następnym pokoleniem poczujemy się niemrawi i leniwi! I na koniec Jamesowi Bandlerowi, mojemu odwiecznemu cichemu wspólnikowi, mistrzowi

niedomówień, dzięki któremu dwadzieścia jeden lat temu pojechałem do Chile.

Dziękuję też trzydziestu trzem górnikom – z których każdy poświęcił swój czas na rozmowę ze mną i dostarczył mi informacji do tej książki. W szczególności dziękuję Mariowi Sepúlvedzie, Raúlowi Bustosowi, Alexowi Vedze, Juanowi Illanesowi i Samuelowi Ávalosowi.

Na koniec dziękuję mojemu najbliższemu współpracownikowi, Mortenowi Andersonowi, za jego cierpliwość podczas mojej niespodziewanej i przedłużającej się delegacji, oraz asystentkom Gemmie Dunn, Lucii Bird i Ellen Jones, które również wykazały się anielską cierpliwością, przepisując i tłumacząc wypowiedzi chilijskich górników z niemal niezrozumiałego slangu na perfekcyjny angielski.

Jonathan Franklin – dziennikarz śledczy oraz telewizyjny komentator w sprawach dotyczących Ameryki Łacińskiej. Urodził się w Manchesterze, w New Hampshire. Ukończył Brown University, w Providence. Pracował jako dziennikarz dla znanych światowych tytułów prasowych, takich jak „San Francisco Bay Guardian", „The Boston Globe", „Esquire" czy „Playboy". Franklin od piętnastu lat mieszka w Chile. Od dwunastu pracuje jako korespondent dla brytyjskiego „The Guardian". Jego materiały były niejednokrotnie wykorzystywane przez ABC News Nightline, 60 Minutes, BBC oraz liczne programy dokumentalne światowych produkcji. Obecnie mieszka z żoną i sześcioma córkami w Santiago.

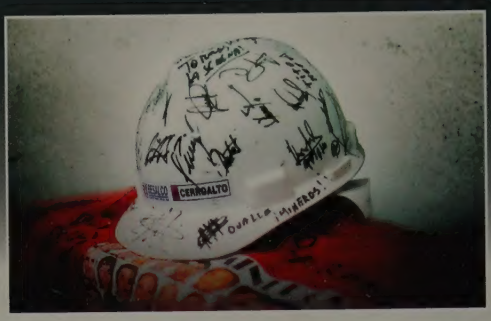

69 dni pod ziemią.
69 dni walki, wypełnionej chwilami zwątpienia i nadziei.
69 dni dramatu, który całymi miesiącami pozostawał czołowym newsem dzienników telewizyjnych całego świata.

Szczegółowa relacja z najbardziej spektakularnej akcji ratunkowej ostatnich lat w relacji jedynego dziennikarza, któremu z bliska pozwolono obserwować chilijski dramat!

„Relacja, którą pokazały nam w zeszłym roku stacje telewizyjne, wystarczyła, by wprawić nas w osłupienie. Jednak, by zrozumieć prawdziwą wagę tego, co udało się dokonać uwięzionym pod ziemią mężczyznom, trzeba przeczytać tę wyśmienitą lekturę".

The Sunday Times

„Sam Dante nie wymyśliłby gorszego kręgu piekła niż ten, który opisuje Franklin w swej niezwykłej relacji".

Publishers Weekly

ISBN: 978-83-7508-358-3
9 788375 083583
Cena detaliczna: 38,00 zł

www.soniadraga.pl